

Max Frisch
Powiedzmy,
Gantenbein...

*tłumaczył
 Jacek Frühling*



1980
Warszawa
Czytelnik

Ci, którzy byli przy tym obecni, ostatni, którzy z nim jeszcze rozmawiali, przygodni znajomi, powiadają, że owego wieczoru nie był inny niż zazwyczaj, że był ożywiony, bez cienia buty czy arogancji. Jadło się wykwintnie, ale nie obficie, gadało się wiele, trzy po trzy na pewnym poziomie. Przynajmniej na początku nie zachowywał się spokojniej niż inni. Podobno kogoś zdziwiło jego zmęczone spojrzenie podczas przysłuchiwania się rozmowie; potem brał w niej udział, aby zaznaczyć swą obecność, dowcipnie, a więc nie inaczej niż zwykle. Później cała grupa poszła jeszcze do baru, gdzie naprzód stali w płaszczach, później przysiedli się do innych osób, które go nie znały; może dlatego przycichł. Zamówił już tylko kawę. Powiadają, że kiedy potem wrócił z toalety, był błydy, ale właściwie zauważono to dopiero, kiedy, nie siadając powtórnie, przeprosił towarzystwo, oświadczając, że chce wrócić do domu, bo się nagle poczuł nieszczególnie. Pożegnał się krótko, bez ściskania dłoni, przelotnie, aby im nie przerywać rozmowy. Ktoś jeszcze powiedział: — Zaczekajże, my także nie będziemy tu wiecznie siedzieli! — Ale jak

powiadają, nie dal się zatrzymać, a kiedy wreszcie szatniarka przyniosła jego płaszcz, nie włożył go na siebie, lecz zarzucił na ramię, jakby mu się śpieszyło. Wszyscy twierdzą, że nie pił za wiele, nie byli pewni, czy naprawdę poczuł się niedobrze, czy nie był to pretekst; uśmiechał się. Może jeszcze się gdzieś z kimś umówił. Panie pokpiwały z niego przymilnie; zdawało się, że akceptuje to podejrzenie, ale nie powiedział ani słowa. Trzeba go było puścić. Jeszcze nie wybiła północ. Kiedy później zauważono zapomnianą przez niego fajkę, było za późno, aby za nim pobiec... Śmierć musiała nastąpić wkrótce potem, jak wszedł do swego wozu; reflektor był włączony, silnik pracował, migacz mrugał raz po raz, jak gdyby wóz za chwilę miał wyjechać na środek jezdni. Siedział wyprostowany, z głową odrzuconą w tył, z rękami zaciśniętymi na rozerwanym kołnierzyku, kiedy podszedł policjant, aby zobaczyć, dlaczego wóz z zapuszczonym silnikiem nie rusza z miejsca. Musiała to być śmierć nagła, ci, którzy przy niej nie byli, powiadają, że lekka — nie mogą sobie tego wyobrazić — śmierć, jakiej się pragnie...

Wyobrażam sobie:

Tak mógłby skończyć Enderlin.

Albo Gantenbein?

Raczej Enderlin.

Tak, właśnie mówię, że go znałem. Cóż to znaczy! Wyobrażałem go sobie, a teraz odrzuca moje wyobrażenia jak rupiecie; nie potrzebuje już historii, tak jak odzieży.

Siedzę w barze. Popołudnie, więc jestem sam z barmanem, który mi opowiada swoje życie. Właściwie dlaczego? Ale opowiada, a ja słucham, popijając, zaciągając się papierosem; czekam na kogoś, czytam gazetę. — Tak to było — powiada, płucząc szklanki. A więc historia prawdziwa. — Wierzę panu — mówię. Wyciera szklanki, które mył. — Tak — mówi raz jeszcze — tak było! — Piję i myślę sobie: człowiek doświadczył czegoś, teraz szuka historii do swego doświadczenia...

Był w moim wieku, szedłem za nim, od chwili kiedy opuścił swój wóz, zdaje się Citroena, zatrzasnął drzwiczki, wsunął pęk kluczy do kieszeni spodni. Zainterесowała mnie jego postać. Właściwie miałem zamiar zwiedzić muzeum, naprzód zjeść śniadanie, potem zwiedzić muzeum, skończyłem ze swoją zawodową krzątaniem, a ponieważ nikogo w tym mieście nie znałem, wpadł mi w oko przypadkowo, nie wiem dlaczego. Zrobił głową ruch, jak gdyby go coś zaswędziało, zapalił papierosa. Zauważyłem to w chwili, kiedy sam chciałem zapalić; dałem temu spokój. Szedłem za nim, nie widząc jeszcze jego twarzy, skręciłem w prawo, bez wahania i pośpiechu rzuciłem papierosa. Było to w okolicy Sorbony, przed południem. Jakby coś poczuł, wrócił do swego wozu, aby sprawdzić, czy drzwiczki są naprawdę zamknięte, zaczął szukać w niewłaściwej kieszeni pędu kluczy. Ja tymczasem udawałem, że przyglądam się plakatowi, i chcąc się od tamtego czymś odróżnić, zapaliłem fajkę.

Bałem się, że wsiądzie do wozu i odjedzie, kiedy udawałem, że czytam repertuar Theatre National Populaire. Ale potem usłyszałem zatrzaśnięcie drzwiczek i odwróciłem się, ruszył piechotą, mogłem więc iść za nim. Obserwowałem jego chód, ubiór, ruchy. Uderzające było jedynie jego wiosłowanie ramionami. Wyraźnie się śpieszył. Towarzyszyłem mu od bloku do bloku w kierunku Sekwany, choćby dlatego, że nic w tym mieście nie miałem do roboty. Trzymał teraz w rękę skórzaną tekę; przypominam sobie, że kiedy opuszczał wóz pierwszym razem, teki tej nie miał przy sobie. Zepchnięty przez ludzką cizbę, płynącą naprzeciw mnie po chodniku, straciłem go z oczu i już chciałem dać temu spokój, ale inni ludzie popychali mnie naprzód, każdy chciał przejść na drugą stronę ulicy, zanim zapłonie czerwone światło. Wcale tego nie chcąc, szedłem dalej. Wiem dokładnie, że nic z tego nie wychodzi; wcześniej czy później ten, na którym spoczął mój wzrok, zniknie w jakichś drzwiach albo nagle zatrzyma taksówkę i zanim zdążę złapać inną, będzie za późno i będę mógł tylko kazać zawieźć się z powrotem do hotelu, aby w ubraniu, nie ściągając obuwia, wyczerpany moimi pozbawionymi sensu wędrówkami, położyć się na łóżku... Takie już mam dziwactwo!... A więc, ledwie dałem temu spokój, właściwie zadowolony, że nie potrzebuję kontynuować pościgu, poznałem go znowu po sposobie wiosłowania ramionami... Choć było przedpołudnie, miał na sobie ciemny strój wieczorowy, jakby wracał z opery. Może właśnie to łączyło mnie z nieznanym, wspomnie-

nie przedpołudnia, kiedy w ciemnym wieczorowym ubraniu wracałem od pewnej kobiety. Jeszcze albo już nie czuł mego pościgu. Nawiasem mówiąc był, tak samo jak ja, bez kapelusza. Choć się śpieszył, nie posuwał się naprzód prędzej ode mnie, któremu nie wolno było zwracać na siebie uwagi zbytnim pośpiechem, który powinien był iść jak wszyscy inni; wskutek tego wyprzedzał mnie nieco od bloku do bloku, ponieważ byłem gotów zaniechać bezcelowego pościgu, ale piżed sygnałem świetlnym za każdym razem trafialiśmy do tej samej gromadki przechodniów. Twarzy jego ciągle jeszcze nie widziałem; kiedy raz, korzystając z wolnego miejsca, znalazłem się na równej linii z nim, spojrział W drugą stronę. Raz zatrzymał się przed witryną, mogłem więc dojrzeć jego rysy, ale się nie odezwałem; twarz nie wchodziła w rachubę — wstąpiłem - do pierwszego lepszego baru, żeby nareszcie zjeść śniadanie... Następny, na którego padł mój wzrok, miał skórę 'mydlaną, jaką miewają tylko Amerykanie — mleko z piegami. Mimo to poszedłem za nim. Z tyłu oceniłem go na lat trzydzieści pięć; piękny wiek. Właśnie zarezerwowałem bilet na przelot powrotny i właściwie miałem zamiar zabić czas pozostający mi do odjazdu, może w Central Parku. — Sorry — powiedział, ponieważ mnie potrącił, odwróciłem się; ale zobaczyłem go już tylko z tyłu. Miał na sobie szary płaszcz, byłem ciekaw, dokąd mnie poprowadzi. Chwilami zdawało się, że sam tego nie wie, wahał się, miało się wrażenie, że i on jest w tym Manhattanie trochę zagubiony. Im dłużej szliśmy, tym bardziej stawał

mi się sympatyczny. Zastanawiałem się: z czego żyje, jaką ma pracę, gdzie mieszka, czego już w swoim życiu dokonał, czego jeszcze nie, co myśli, kiedy tak idzie wśród miliona ludzi, za co się uważa. Widziałem jego jasną głowę nad szarym płaszczem, właśnie przecięliśmy Trzydziestą Czwartą ulicę, kiedy nagle przystanął, żeby zapalić papierosa; zauważyłem to za późno i minąłem go, kiedy się już zaciągał; gdyby się tak nie stało, może skorzystałbym ze sposobności, aby mu uprzejmie zaofiarować zapalniczkę i nawiązać z nim rozmowę. Kiedy się odwróciłem, nie miał już włosów na głowie; oczywiście powiedziałem sobie od razu, że nie może to być ten sam człowiek, że musiałem go zgubić w ścisku i pomylić, przecież dużo jest szarych płaszczy. Mimo to przeląknęłam się, kiedy nagle wydał mi się człowiekiem pięćdziesięcioletnim. Na to nie byłem przygotowany. — Can I help you?* — zapytał, a ponieważ nie można mi było w niczym pomóc, ruszył dalej swoją drogą, ze smuzką dymu unoszącą się nad ramieniem. Dzień był błękitny, słoneczny, ale w cieniu diabło zimny i wietrzny: nasłonecznione drapacze nieba odzwierciedlały się w ocnionych szklanych ścianach, nie można było zatrzymać się w chłodzie tych wąwozów. Dlaczego nie miałby być człowiekiem pięćdziesięcioletnim? Chodziło o jego twarz. Dlaczego nie o twarz człowieka tysego? Chętnie byłbym go obejrzał jeszcze raz

Can I help you? (ang.) — Czy mogę panu w czymś pomóc?

z przodu, ale już do tego nie doszło; szedł wprawdzie wolniej od tamtego, młodszego, ale znikł nagle w jakiejś bramie i choć poszedłem za nim — wahałem się zaledwie dwie czy trzy sekundy — zobaczyłem tylko, jak wszedł do windy, której brązowe drzwi, obsługiwane przez Murzyna w libe-rii, powoli zamknęły się (jak w krematorium), niepowstrzymanie; wetknąwszy papierosa do wiadra wypełnionego piaskiem, jakie mają zwyczaj usta-wiać w tym kraju, wsiadłem do sąsiedniej windy, stałem w tłoku jak inni, którzy wchodząc podawali numer piętra i wysiadali, kiedy go, wywoływano; stałem, spoglądałem na chyżo rozbłyskujące nume-ry, wzruszyłem ramionami, kiedy zapytał, gdzie chcę wsiąść; gmach miał 47 pięter...

Człowiek doświadczył czegoś, teraz szuka do tego historii — wydaje się, że nie można żyć z do-świadczeniem, które nie ma swojej historii; czasami wyobrażałem sobie, że ktoś inny ma właśnie do-kładną historię niego doświadczenia...

(Barman nim nie jest).

Brzask za otwartym oknem, tuż po godzinie szóstej, pojawił się jak skalna ściana, szara, szczelna, granitowa: z granitu nagle przebija się jak krzyk, ale bezgłośnie, głowa końska z otwartymi szeroko oczyma, z pianą na pysku, rzy, ale bezdźwięcznie, próbuje wyskoczyć z granitu, za pierwszym razem nie udaje jej się i nigdy się nie uda, widzę to, tylko

dzika głowa z rozwianą grzywą wyrwała się z granitu, głowa pełna śmiertelnej trwogi; tułów pozostaje w środku, beznadziejnie; białe oczy o obłądnym wyrazie spoglądają na mnie szukając zmiłowania...

Zapaliłem światło.

Leżałem z otwartymi oczyma.

Widziałem:

— zniecka znieruchomiła grzywa z czerwonej terakoty, bez życia, z terakoty albo z drzewa, z kredowobiałym uzębieniem, z czarnymi, lśniąco pomalowanymi nozdrzami, wszystko artystycznie pomalowane, bezgłośnie, powoli głowa końska cofa się w głąb skały, zamykającej się bezgłośnie, szczelnie, jak brząsk za oknem, szary, granitowy jak na Przełęczy Św. Gotharda; głęboko w dolinie daleka szosa, na zakrętach pstre samochody, podążają wszystkie do Jerozolimy (nie wiem, skąd ta pewność!), kolumna kolorowych samochodzików, podobnych do zabawek.

Zadzwońnię.

Na dworze padał deszcz.

Leżałem z otwartymi oczyma.

Kiedy wreszcie nadeszła pielęgniarka i zapytała, co się stało, poprosiłem o kąpiel, co jednak bez zgody lekarza było o tej godzinie niemożliwe; zamiast tego dała mi soku i upomniała, żebym był rozsądny; powinienem spać, powiedziała, aby jutro być w dobrym stanie podczas wizyty lekarza i móc w sobotę opuścić lecznicę; potem zgasiła światło...

Wyobrażam sobie:

Kiedy młoda pielęgniarka, mająca dyżur nocny,

ii

zjawia się wreszcie — jest Łotyszką, nazywa się Elke — zastaje łóżko puste; chory sam sobie zrobił kąpiel. Spociał się, a ponieważ chce się wykapać, stoi nagi w kłębach pary, słyszy wyrzuty pielęgniarki, ale nie widzi jej; Elke jest przerażona, twierdzi, że pacjent nie wie, co robi. Dopiero kiedy zamknęła okno, a kłęby szarej pary, które zamglily również lustro, stopniowo znikają, chory nagle, uświadamia sobie swą nagość i uśmiecha się. Niech wróci do łóżka, mówi pielęgniarka, niech natychmiast zamknie kran; ponieważ tego nie czyni, chce to zrobić sama, ale nagus zagradza jej drogę, nie mając na razie nic innego pod ręką, aby się okryć w obliczu młodej dziewczyny, pomaga sobie żartem: — Jestem Adam! — Ona nie widzi w tym nic śmiesznego. On nie wie, dlaczego się śmieje. Dlaczego o tej porze zachciało mu się kąpiele, pyta pielęgniarka rzeczowo, w dodatku bez pozwolenia lekarza? Potem szybko wyciąga z szafy prześcieradło kąpielowe, aby skończyć z tym nonsensem; podaje mu je, żeby się nie przeziębził, bez słowa, a on patrzy na nią, jakby widział Elke po raz pierwszy. Dziewczyna o szaro-, wodnistych, może zielonkawych oczach. Ujmuje ją za oba ramiona. Dziewczyna o płowych włosach i dużych zębach. — Cóż to ma znaczyć! — mówi. A on trzymając ręce na jej łopatkach słyszy siebie mówiącego: — Jestem Adam, a ty jesteś Ewa! — Jeszcze brzmi to jak żart; ona nie ma odwagi zawołać kogoś w uśpionym szpitalu, naciska tylko dzwonek, drugą ręką zmaga się z szaleńcem, nagle jednak pełna lęku, od chwili kiedy ostrożnie ściągnął

jej z głowy niebieski czepeczek z czerwonym krzyżem. Twarz jej zna od tygodni, ale nowe są jej płowe włosy, teraz rozpuszczone, kipiące w nieładzie. Nie chce sprawić Elke bólu, chce tylko powiedzieć: jestem Adam, a ty jesteś Ewa! Ale trzyma ją za włosy, tak że dziewczyna nie jest w stanie poruszyć głową. — Słyszysz mnie? — pyta. Wystarczyłoby, by ta Ewa w roli pielęgniarki, studentka, chłopka znad Bałtyku, o zielonych oczach i końskich zębach, uśmiechnęła się, a żart zostałby przywrócony. Ale ona wpatruje się w niego. Jak się zdaje, on nie wie, że jest nagi. Ona już się z nim nie zмага, on nawet tego nie czuje; ona walczy tylko o odzyskanie niebieskiego czepeczka, ale daremnie, choć tymczasem zjawił się na korytarzu lekarz dyżurny. On powtarza — oczywiście lekarz nie ma pojęcia o tym, co tu zaszło — jak nauczyciel języków, który chce coś wbić uczniom w głowę: — Jestem Adam, a ty jesteś Ewa, jestem Adam, a ty jesteś Ewa! — Elke, stojąca przed nim bezradnie jak przed pijakiem, krzyczy nie na niego, lecz na dyżurnego lekarza: — Dlaczego nie ruszy się pan z miejsca i nie pomoże mi! — Przy tym nic się przecież nie dzieje. Lekarz, z rękami w kieszeniach białego kitla, nie porusza się, uśmiechnięty, niepewny, czy to nie on, mimowolny obserwator, nie uczynił czegoś niestosownego. Cóż miał zrobić? Kiedy nagus zauważa, że chociaż są Adamem i Ewą, nie znajdują się sami na korytarzu, kiedy się zbliża do dyżurnego, uśmiech znika z twarzy lekarza, który jednak i teraz nie wyciąga ręk z kieszeni swego białego kitelka. — Kto pan jest? —

pyta nagus, jakby tego lekarza nigdy tu jeszcze nie było. Z rękami w kieszeniach swego białego kitelka, odróżniającego go od nagusa, lekarz robi coś gorszego, niż gdyby się uśmiechnął: zwraca się do niego po nazwisku. Przyjaźnie. Ale z tą chwilą wszystko się kończy. Nie ma ratunku. Elke, wyzwolona z zagrożenia, poprawia fryzurę. — Diabeł z pana! — ^ mówi nagus, lekarz wyciąga wreszcie ręce z białego kitla, aby się chwycić poręczy schodów, cofać krok za krokiem. — Diabeł z pana! — mówi nagus nie podnosząc głosu, ale zdecydowanie, kiedy biały przystanął i chce coś powiedzieć. — Diabeł z pana, diabeł! — Tymczasem Elke, teraz znowu w swoim głupim czepku na płowych włosach, próbuje go uspokoić, ale jej się to nie udaje. Nagi nie myśli o powrocie do swego pokoju. Chce się dostać do windy, której jednak nie ma na tym piętrze, a ponieważ długo czekać nie może, zbiega po schodach, mijając "lekarza tak nagle, że lekarz i Elke mogą tylko spojrzeć na siebie... W dwie minuty później, nie zatrzymany również przez zdumionego odźwiernego, naprawdę jest na ulicy, na której od tygodni nie postawił nogi, mijają ludzi, którzy pod lśnącymi parasolami czekają na tramwaj i oczom swoim nie wierzą: mężczyzna, nagi jak go Pan Bóg stworzył, przecina ulicę na ukos, nie zważając na sygnał} świetlne, kieruje się w stronę uniwersytetu. Przystanął na środku jezdni, reguluje zegarek, jedyne, co ma na sobie. Rowerzysta, pogwizdujący czeladnik piekarski, musi nagle zahamować, pośliznął się na mokrym bruku i pada. Nagiego wprawia to

w przerażenie, zaczyna nagle biec, choć nikt mu nie następuje na pięty. Przeciwnie, ludzie odsuwają się na bok, przystają, spoglądają tylko w jego stronę. Mimo to uważa się za ściganego. Już przy uniwersytecie musi odsapnąć; pochylony naprzód, z rękami opartymi o blade kolana, to znowu wyprostowany, podnosząc i opuszczając ramiona jak na lekcji gimnastyki, dawno to było, oddycha. Na szczęście pada deszcz. Nie wie, dlaczego na szczęście, ale tak to odczuwa. Wie, że nie jest Adamem, wie, gdzie się znajduje: w Zurychu, bynajmniej nie odchodzi od zmysłów, ale jest nagi, więc musi znowu biec, trzymając łokcie możliwie naj swobodniej. Nie wie, dlaczego jest nagi, jak do tego doszło. W pewnej chwili, nie przystając, upewnia się, czy ma okulary, to, że jest nagi, poznaje jedynie po kołysaniu się członka. A więc dalej naprzód, trzymając łokcie możliwie naj swobodniej. Gdyby nie był nagi, zwaliłby się z wyczerpania. Aby oszczędzić sił, kłusuje w bok, choć wolałby popędzić do lasu, a więc kieruje się w stronę miasta. W pewnej chwili objazd, czerwone światło, kolumna wozów, które nie podążają do Jerozolimy, twarze za przesuwanymi się wycieraczkami, nagi, bez parasola, przepycha się wśród lśniącej blachy; nie może czekać, człowiek jest bardziej nagi, kiedy nie biegnie. A więc dalej, mija regulującego ruch policjanta, który jakby nie wierząc własnym oczom, pozostaje z wyciągniętym ramieniem na swym podniesieniu. Jak zwierzę; znajduje to, co jest dla niego korzystne, natrafia na plac budowy — WSTĘP TYLKO DLA

UPRAWNIONYCH, tu odpoczywa za ogrodzeniem z desek, ale długo bez pędzenia nie wytrzyma. Dokąd? Oto park publiczny, w którym o tej porze nie ma żywej duszy, również i z powodu deszczu; mógłby tu usiąść na wilgotnej ławce przez nikogo nie nagabywany, o tej porze wszystkie ławki są puste; nagabywany jedynie przez swą nagość, która mu się nie śni, o nie, którą widzi, kiedy tylko nie biegnie. Nie ma obudzenia, jak kiedy się człowiek budzi ze snu. Jest nagi, z czarnym owłosieniem wokół wstydlivej części ciała, z członkiem, okularami, zegarkiem na ręce. Wyczerpany, dyszący, ale przez chwilę szczęśliwy, z ziemią i trawą między palcami nóg, wolniej, ale nie przystając, chwytając z trudem oddech, jakby go biczowano, wolno, coraz wolniej, szczęśliwy jak łyżwiarz, z rękami opartymi na biodrach, biegnie wolno, zakreślając pętlice, przez trawnik publiczny, raz w lewo, raz w prawo, wokół najbliższego płatanu, i musi się śmiać: — Jestem Adam, a ty jesteś Ewa! — Tylko że nic to już teraz nie znaczy, więc biegnie dalej, znowu przez ulicę, trzymając łokcie możliwie najswobodniej, aż widzi policję, która zbliża się nie od tyłu, lecz od przodu, dwa motocykle; ponieważ się uśmiecha, sądzą, że się poddaje, ustawiają swe czarne wehikuly przy najbliższym chodniku, chwytają za siodełka, pociągają je wstecz, żeby ustawić motocykle na podpórce, nim ruszą naprzeciw niego, dwie postacie w czarnych skórzanych kurtkach, w wysokich butach i hełmach, uzbrojone jak nurkowie, ocięzające; zanim znowu usiedli na swych

czarnych motocyklach, zapuścili silniki, zanim z jedną nogą opartą o bruk odwrócili swe motocykle, nagi dotarł do stopni, na które motocyklem nie można się dostać. Teraz biegnie jeszcze tylko jego ciało. Mosiężna brama, którą zna, jest zamknięta. Znowu na jezdni, jak gdyby chciał ułatwić pościg, biegnie, cwałuje, aż czarne motocykle okrężną drogą znalazły się znowu, jeden z lewej, drugi z prawej strony, eskorta, która go bawi. Wołają, żeby przystanął; zdaje się zapomnieli, że jest całkowicie nagi...
Przypominam sobie:

Dalszy *dag* opowiadał mi ktoś, komu się to naprawdę zdarzyło... Byli- wobec niego uprzejmi/mówił, pełni zrozumienia. Trzęsąc się siedział na scenie wśród kulis z poprzedniego wieczora. Kurtyna była podniesiona, widownia pusta, ciemna, w słabym świetle dziennym, wpadającym sponad galerii, lśniły poręcze foteli, miejsce dla orkiestry było również puste. Światło robocze. Ale próba jeszcze się nie zaczęła, był tylko personel techniczny. Policjant w czarnych butach, w kulistym hełmie, onieśmielony, znalazł się bowiem po raz pierwszy w życiu na scenie, nie miał odwagi usiąść, choć nie brakowało foteli, ustawionych jak w sali koronacyjnej, ale o nędznym wyglądzie, kiedy nie były oświetlone; gapił się na plafon. Kiedy się drzwi na widowni otworzyły i weszły sprzątaczkę, polecił im odejść, poza tym nie miał nic do roboty. Do tego, aby skracając oczekiwanie pochodzić tam i z powrotem, brak mu było śmiałości. Lękał się również dialogu z nagim osobnikiem, choć na

widowni nie było nikogo, nawet sprzątaczek. Przerzucał kartki służbowego notesu, odwrócony plecami do widowni, która go wyraźnie niepokoiła. Wreszcie jeden z robotników przyniósł dygocącemu nagusowi jakiś kostium pachnący kamforą, rodzaj płaszcza, zapytał, co się stało, ale policjant, wsunąwszy wielki palec za pas, skarcił go wzrokiem. Nagi podziękował, brzmiało to uprzejmie, zwyczajnie. Płaszcz był błękitny ze złotymi frędzlami, królewski płaszcz z podszewką z taniej jutowej tkaniny. Nagiego bolały nogi, były lepkie od smoły zmieszanej z drobnym zwirem. Później zjawił się jakiś pan po cywilnemu, który wbrew oczekiwaniu nie zapytał o personalia; wyglądało na to, że je zna. I wszystko przebiegło zwyczajnie. W wozie — nie była to karetka pogotowia, ale kierowca miał na czapce godło miasta — rozmawiali o pogodzie, o ustaniu föhnaf. W wozie na przodzie kierowca w czapce i nurek, który położył swój hełm na kolanach, miał teraz głowę nieprawdopodobnie małą, obaj milczący. W wozie z tyłu: inspektor (tak się doń zwracał kierowca) i człowiek w płaszczu z frędzlami, ale boso. Inspektor zapytał mimochodem, dlaczego nagus pobiegł właśnie do opery, ale przerwał samemu sobie, częstując tamtego papierosem. Człowiek w płaszczu królewskim potrząsnął przecząco głową. Nie jechali do szpitala kantonalnego, lecz w kierunku Balgrist, oczywiście nic o celu nie mówiąc; najpóźniej na Kreuzplatz uświadomił sobie, że go traktują jak umysłowo chorego. W pobliżu Burgwies zapytał rzeczowo, czy dziś jeszcze poczta jego zostanie przedreso-

wana; powtórzył to pytanie siedząc w sekretariacie, naprzeciw młodego asystenta, który wobec błękitnego płaszcza ze złotymi frędzlami starał się nie okazywać zdziwienia. Oświadczono, że ubranie zostanie mu za chwilę dostarczone. Znowu fa uprzejmość, posunięta tak daleko, że unikano zwracania się doń po nazwisku. Profesora nie było jeszcze w zakładzie. By podtrzymać rozmowę, oświadczył, że coś takiego nigdy mu się jeszcze nie przytrafiło, wierzone mu w granicach, w jakich asystent (znowu z rękami w kieszeniach białego płaszcza) przed zjawieniem się profesora był uprawniony do wierzenia. Powiedział, że chciał wydać okrzyk; siedział jednak zupełnie spokojnie, zachowywał się rozsądnie, grzecznie, normalnie. Podczas mycia rąk wysmarowanych smołą i krwią, osuszając je, zobaczył się w lustrze: przeraził go kostium, brakowało tylko korony. Powtórzono mu raz jeszcze, że jego ubranie zostanie lada chwila dostarczone. Potem powiedział znowu, że chciał wydać okrzyk. Przyjęto to do wiadomości. Okrzyk? Skinął głową z przeświadczeniem niemego, któremu się zdaje, że został zrozumiany. Jak to okrzyk? Tego nie wiedział.

Jest to jak runięcie przez lustro, nic więcej nie wie, kiedy się budzi, runięcie przez wszystkie lustra, a potem, wkrótce potem, świat się znowu składa w jedną całość, jak gdyby nic się nie stało. Nic też się nie stało.

Siedzę w mieszkaniu — w moim mieszkaniu... Niedawno jeszcze ktoś musiał tu przebywać; widzę resztkę burgunda w butelce, wyseпки pleśni na aksamitnie czerwonym winie, poza tym kawałki chleba, twarde jak cegła. W lodówce (zajrzałem, choć nie byłem głodny) wyschnięta, stwardniała od zimna i prawie czarna szynka, także odrobina sera, popękanego jak kora, zielonkawego, szklanka stężącej śmietany, w salaterce pływające mętne pozostałości kompotu, mół morelowy. Jest jeszcze puszka z gęsią wątróbką. Prowiant podróżny dla mumii? Nie wiem, dlaczego nie wyrzuciłem tego do kubła ze śmieciami. Siedzę w płaszczu i czapce, na dworze pada deszcz. Siedzę na poręczy fotela i bawię się korkociągiem. Korkociąg pozostaje zawsze korkociągiem, towar standardowy, sprzęt domowy w stylu epoki. Widzę: ktoś zwinął nasze dywany, nasycił je kamforą, zwinął i obwiązał sznurkiem, pozamykał okiennice przed deszczem, słońcem i wiatrem, przed latem i zimą; nie otwieram ich. Wszystkie miękkie meble przykryte są białymi pokrowcami. Śmieszny widok: jak gdyby bawiły się w sąd kapturowy. Albo w uroczystość pogrzebową w kraju o obcych zwyczajach. Również i popielniczki są opróżnione, widzę to, nie tylko opróżnione, ale nawet pomyte; wszystkie wazony opróżnione i pomyte, żeby nie zalatywało zgnilizną... Ciągle jeszcze siedzę w płaszczu i czapce, z rękami w kieszeniach spodni. Pachnie kurzem i pastą do podłogi. O osobach, które tu niegdyś mieszkały, można powiedzieć na pewno: jedna była płci męskiej, druga żeńskiej. Widzę w szafie

bluzki, trochę bielizny damskiej, która nie zmieściła się w walizie albo jest już niemodna, po drugiej stronie krawaty, trzy nędzne marynarki pana na zimę, dwie na lato, na dole stoją buciki, uszeregowane jak do apelu, niektóre na prawidłach. Dlaczego puste obuwie jest takie okropne? Biorę pantofel damski, barwny, lekki jak kwiat, tak, wącham go. Pachnie skórą, niczym więcej. Wstrzymuję oddech, przerażony jak włamywacz, nasłuchuję. Któż miałby przyjść! Ale mógłby ktoś zadzwonić, jakiś domokrążca, który nie może wiedzieć, że nikt tu już nie mieszka. Nasłuchuję z bucikiem w rękę; nie chciałbym być w domu. Poza kranem w kuchni, z którego jak zawsze kapie, jest cicho. Jak w Pompei. Milczy również telefon. Widzę: wyciągnęła wtyczkę. Nie mam, niestety, zapalek.' Jak cicho jest, kiedy człowiek nie pali. Za oknem tramwaje, klaksony, ale tułaj, za zamkniętymi okiennicami, gdzie w płaszczu i czapce siedzę na poręczy fotela w białym pokrowcu, kiedy na dworze pada, tu jest jak w Pompei; wszystko na miejscu, tylko czas minął. Jak w Pompei: można z rękami w kieszeniach spodni wędrować po pokojach i wyobrazać sobie, jak tu dawniej żyli ludzie, nim zasypał ich gorący popiół. Echo rozbrzmiewa również (ponieważ dymany zostały zwinięte) jak w Pompei —

W pewnej chwili naprawdę rozlega się dzwonek.

Nie otwieram —

Pan o moim nazwisku wyjechał.

Na próżno siedzę w płaszczu i Czapce, z nie

zapaloną fajką w zębach; nie mogę sobie wyobrazić, jak się tu żyło, mniej- niż życie w Pompei, choć jej niebieski szlafrok ciągle jeszcze wisi w łazience... Może to lepiej, że nie mam zapalek; wystarczy, że sobie wyobrażam, jak człowiek, który tu mieszkał, zapala zapalną, jak osłania ją dłonią, płomyk staje się wreszcie dostatecznie duży, aby go przytknąć do kotary, pierwszy, drugi, trzeci i czwarty, piąty, kotara nie zapala się, ani śladu płomienia, tli się tylko, żarzy, śmierdzi, również abazur nie pali się jak należy, przepala się tylko, powstaje w nim dziura o brązowej otoczce, śmieszne, trzeba by mieć benzynę, benzynę do kotar, aby naprawdę zajęły się płomieniem, potem wyścielane fotele, dywany, książki, odzież; nie można do tego użyć zapalek, byłoby to tylko śmieszne.

Kupię sobie nowe ubrania. A przy tym wiem: to nic nie pomoże, one tylko na wystawie sklepowej wydają się inne. Już kiedy sprzedający przynosi je do kabiny i potem znika taktownie, żebym przymierzył, wiem, jak wszystko będzie wyglądało po trzech miesiącach. Ale nie można przecież chodzić po świecie nago; więc zmuszam się, wiercę się przed ruchomymi lustrami, aby zbadać krój, który mi się w witrynie dość podobał. Właściwie kupuję tylko po to, aby sprawić przyjemność Sprzedawcy, który jest zachwycony; widzę tył swojej głowy, której nie można zmienić; kupuję pośpiesznie i zawsze to samo. Już minuty, podczas których krawiec z poduszczką na szpilki, uwie-

szoną na rękę, służalczo kuca i fachowo zaznacza kredą, jak dalece odbiegam od standardowych wymiarów, są dla mnie męką. Tanie czy drogie, angielskie, włoskie czy krajowe, to zupełnie obojętne; zawsze w tym samym miejscu powstają te same fałdy, wiem o tym.

Inne życie — ?

Wyobrażam sobie:

Człowiek uległ wypadkowi, powiedzmy drogowemu, rany cięte na twarzy, nie ma niebezpieczeństwa życia, tylko niebezpieczeństwo utraty wzroku. Wie o tym. Leży długo w szpitalu z zawiązanymi oczami. Może mówić. Może słyszeć: ptaki w parku za otwartym oknem, od czasu do czasu samoloty, potem głosy w pokoju, ciszę nocną, deszcz

O brzasku. Może czuć zapach: marmolady jabłecznej, kwiatów, higieny. Może myśleć, co chce, 1 myśli... Pewnego ranka zdejmują mu opatrunek, widzi, że widzi, ale milczy; nie mówi, że widzi, nikomu i nigdy.

Wyobrażam sobie:

Jego dalsze życie, udaje ślepego również w czterech ścianach, jego obcowanie z ludźmi, którzy nie wiedzą, że ich widzi, jego możliwości towarzyskie i zawodowe płynące z tego, że nigdy nie mówi, co widzi, życie jako gra, jego swoboda dzięki tajemnicy itd.

Powiedzmy, że nazywa się Gantenbein.

Przymierzam historie jak ubrania!

Siedzę w gospodzie wiejskiej. "Miałem szczęście, mógłbym teraz nie* tylko nie żyć, lecz bezkarnie być winnym śmierci jedenaściorga dzieci — zamiast tego siedzę w gospodzie wiejskiej, zamawiam wiśniówkę, tymczasem samochód (nawet nie jest mój, tylko Burriego) czeka w garażu naprzeciw na części zamienne; nie mam odwagi pomyśleć, co mogło być się stać... Miałem szczęście.

Nie wiem, o czym myślałem, kiedy z wypaloną fajką w ustach, spokojny, nie zmęczony, trzymając obie ręce na kierownicy, czujny, jeśli chodzi o oczy, ale myślami gdzie indziej, na zakręcie, nie wziąłem pod uwagę możliwości niespodziewanej gołodzi (może myślałem o obiedzie u Burriego). Jechałem z szybkością nie przekraczającą 60 kilometrów, jak to potwierdzają świadkowie, na całej drodze dotąd nie było gołodzi, ani śladu. (Może myślałem o moim zaproszeniu do Harvardu —)

Teraz przestał padać śnieg.

Piję moją wiśniówkę, -jak zawsze, kiedy się coś stanie, jestem zdumiony, że nie wymyśliłem sobie tego, zmieszany, jakby mnie rzeczywistość odgadła albo też źle zrozumiała; nagle stoję na rynku wiejskim, otoczony widzami, i kiedy się schylam, aby pomówić z człowiekiem z garażu, który wlaź pod wóz, już się przyznałem, że to ja, nikt inny, tylko ja, omal nie zabiłem około tuzina berneńskich uczniów. Patrę na te dzieciaki o czerwonych zimowych policzkach, w chłodnym powietrzu oddechy ich unoszą się jak chorągiewki; dzieci żyją. Gdyby

tamto się stało, wydawałoby się równie nieprawdopodobne; byłbym tym samym, którym jestem teraz, i nie tym samym, w tej chwili otoczonym przez kilkunastu uczniów berneńskich, którzy gapią się, paplą i żyją, naoczni świadkowie wypadku z określoną datą i miejscem, uszczęśliwieni sensacją, rzeźcy, dopóki nie odezwie się szkolny dzwonek —

Zamawiam drugą wiśniówkę.

Godzina dziesiąta, wtorek, takiego to a takiego.

Pracują już godzinę nad wozem, który nie jest mój. Sztubaki zgadły: oś spłaszczona, piasta koła wygięta, zapewne trzeba będzie także zmienić łożysko. Niewiele się na tym znam. Myśl, że będę musiał tu przenocować, przeraża mnie, choć gospoda wiejska jest zupełnie porządna. Ciągłe jeszcze nie zdjęłem płaszcza, siedzę, próbuję czytać gazetę (można by także pojechać koleją, żeby tu nie nocować; lokalny rozkład jazdy wisi na drzwiach prowadzących do toalety), pociągam fajkę, podczas kiedy (jak czytam) w Algierze torturują—

Oto, co się dzieje.

Kiedy znowu czytam o wypadkach w Algierze albo gdzie indziej i kiedy potrafię wyobrazić to sobie na kilka chwil, nie ma nic innego, a wyobrażenie trudno jest wytrzymać. I jestem gotów do każdego czynu. Ale siedzę tutaj, czytam starą gazetę i wytrzymuję. Bezczyinnie... Czekam na części zamienne do wozu, który nie jest mój. To jest już wspomnienie: (podczas kiedy w Algierze torturują)

Zimny, suchy śnieg, który niedługo pozostawał na powierzchni szosy, lekki pył śnieżny, kłębiący się za każdym przejeżdżającym pojazdem, w środku szosa była prawie bez śniegu, szara i sucha, tylko po obu jej stronach pozostawał biały welon, dopóki nie przejechał następny wóz, nawet powolny rower wystarczał, aby go unieść i za każdym razem inaczej ułożyć jak kryzę.

Prawie nikogo nie wyprzedzałem. Również poza osiedlami nie jechałem z szybkością ponad osiemdziesiąt na godzinę. Było to już w obrębie osiedla, widziałem, choć poprzez jednostajne ruchy wahadłowe wycieraczki, myślałem o czymś innym, oczy moje widziały, stopa cofnęła się z pedału gazu, przytomność umysłu, która już często graniczyła z cudem, nie opuściła mnie, kiedy poczułem szarpnięcie, najprzód w kierownicy, potem we własnym ciele. Stopa nie nacisnęła hamulca, lecz natychmiast dodała znowu gazu. Kiedy poczułem szarpnięcie, zobaczyłem na lewo gromadę uczrziaków, na prawo witrynę mleczami wiejskiej z reklamami sera i czekolady. Przez chwilę jeszcze spokojny, spodziewałem się, że ten miękki poślizg potrafię w jakiś sposób opanować, ale potem już wiedziałem: A więc jednak! I mocno trzymałem między zębami fajkę, jakby coś od tego zależało. ' Miałem wrażenie, że ten mój młyniec trwa wieczność, niezależnie od kręcenia kierownicą. Było coś szyderczego w tym, że nie rzuciło mnie w lewo, jecz nagle w prawo, jak sanie, w poprzek szosy. Nie wiedziałem już teraz, gdzie prawa strona, gdzie lewa, wszystko przestało się zgadzać. Na

szczęście żaden pojazd nie jechał w tym momencie naprzeciw mnie; ciężarówka z dużą przyczepą, która: jak gdyby pojawiła się w mojej pamięci, w istocie przejechała właśnie przed chwilą. Widziałem tylko, jak się wieś obraca. Przyglądałem się. Bezwładny, ale całkowicie przytomny. Na lewo okno wystawowe mleczarni, na prawo działwa szkolna. Jak karuzela. Kiedy wreszcie nastąpił trzask, było to śmieszne, jak' spóźnione echo, które mnie nie zaskoczyło; wiedziałem już od dawna, że cud, który mi zwykle towarzyszył, opuścił mnie. Zgubiłem fajkę, to wszystko, wóz stał teraz w odwrotnym kierunku, zatrzymany przez krawęznik; gdyby nie to, znajdowałbym się w witrynie mleczarni. Wycieraczki kołysały się w dalszym ciągu. Nagle bardzo zdenerwowany, manewrując, jakbym dopiero uczył się prowadzić samochód, chciałem jechać dalej, ale wóz nie ruszał się z miejsca; miałem włączony trzeci bieg, motor zgaśł, włączyłem pierwszy, nacisnąłem starter, aby zapuścić motor. Ale i teraz wóz ledwie się poruszał. Pełznął. Wreszcie wysiadłem, żeby go obejrzeć. Żadnego uszkodzenia blachy. Doznałem uczucia ulgi; ponieważ jednak miałem teraz wrażenie, że wokół we wsi pootwierano wszystkie okna, wstydziłem się, otaczali mnie sztubacy, wydawało mi się, że się na mnie gapią, gapili się jednak tylko na porche'a, który na ich oczach tak zabawnie wirował. Jakiś chłopiec raz po raz powtarzał: — Ależ nim wierciło! — Odczuwałem teraz brak fajki, nie umiałem zmanifestować mojej zimnej krwi; wyszedłem na środek ulicy,

końcem bucika dotknąłem w kilku miejscach ziemi, aby pokazać światu, że jest gołoledź. Dopiero teraz otworzyły się dookoła okna. Z rękami w kieszeniach musiałem czekać, aż odciągną wóz, jakbym spadł z nieba, zapytałem o nazwę wsi.

Jestem w Lengnau, kanton Bern.

Kiedy później w gospodzie piłem wiśniówkę, dowiedziałem się od kelnerki, że na tym zakręcie wydarzyło się już dużo wypadków, były również śmiertelne.

Nie wiem, po co to opowiadam.

_ Mój wypadek nie interesuje mnie...

Powiedzmy, że nazywam się Gantenbein.

Początek byłby łatwy:

Wchodzę, pora przedpołudniowa, wchodzę po prostu do sklepu i stoję. — Pan sobie życzy? — Udamę, że nie rozumiem szwajcarskiej niemczyzny. Rozglądam się: okulary, lupy, lunety, okulary wszelkiego rodzaju, binokle, lornety, ale przede wszystkim okulary. To, czego sobie życzę, leży w witrynie przy Fraumunsterstrasse (z przodu na prawo) od wielu tygodni. Biała panienka, która pytanie, czego sobie życzę, wypowiada najprzód po angielsku, potem poprawną niemczyzną, jest na razie zajęta, na razie wystarcza jej moje kiwnięcie głową na znak, że mam cierpliwość, a co najmniej dobre maniery. (Uważam, że lepiej rozpocząć moją rolę w poprawnej niemczyźnie.

Zawsze, kiedy mówię poprawnie po niemiecku, zdaje mi się, że gram rolę, i dzięki temu mniej mam zahamowań. Moja angielszczyzna byłaby za mizerna; wystarcza jej tylko na tyle, aby się z grubsza porozumieć; francuszczyzna tym mniej wchodzi w rachubę, czuję niższość wobec każdego Francuza, jeśli rozumie tylko swój język). A więc stoję, panienka zajęta jest damą, która za każdym razem, kiedy się jej nakłada nowe okulary, wyciąga szyję jak ptak przelatywający wodę, oddaję się nadziei, że nikt z moich znajomych nie wejdzie teraz do sklepu. Dama, Amerykanka, jest rozczarowana za każdym razem, za każdym kolejnym podejściem w okularach do lustra, zdaje się, że nie może się pogodzić ze swoim wyglądem, jaki lustro jej pokazuje, to potrwa jeszcze długo. Mam czas, aby raz jeszcze przemyśleć moje przedsięwzięcie, ale nie zmieniam decyzji. Kiedy panienka obsługuje mnie wreszcie, odbywa się to bez nieuprzejmości w stosunku do Amerykanki, panienka demonstruje raz po raz, że obsługuje tubylca jedynie mimochodem. A więc chciałbym—dlaczego się jąkam? — chciałbym kupić okulary od słońca. — Bardzo proszę! — Podczas gdy panienka podaje mi okulary, gawędząc równocześnie z Amerykanką, widzę w szufladzie cały arsenał okularów od słońca, które również nie wchodzi w rachubę. Jak mam jej to powiedzieć? Panienka w bieli, skromna sprzedawczyni, ale ubrana jak pracownica naukowa, utrzymuje, że ciemniejszych nie ma. — Bo wtedy w ogóle nic by pan nie widział, a te, które leżą w witrynie, nie mają nic wspólnego z okularami

od słońca, to są okulary dla niewidomych. — Proszę o nie. Zdumienie sprzedawczyni —• tymczasem Amerykanka zdecydowała się i ponieważ nic odpowiedniego dla siebie nie znalazła, trzeba ją odprowadzić do drzwi z wyjątkową uprzejmością — zdumienie sprzedawczyni, wywołane moim życzeniem, szybko się ulotniło, kiedy mnie zaczęła obsługiwać jako jedyne go klienta; nie wzbrania się wyraźnie sprzedać mi okulary dla niewidomych, ale robi to, oferując w dalszym ciągu, jak gdyby klient tylko żartował, okulary od słońca, niektóre mi nawet zakłada, aż tracę cierpliwość i wręcz żądam tego, czego sobie życzę, nic innego, tylko czarnych okularów dla niewidomych. — Proszę bardzo! — Miejmy nadzieję, że nie zjawi się teraz właściciel sklepu, by się zająć tym wyjątkowym wypadkiem. Kto wie, czy nie jest potrzebne świadectwo lekarskie! Obsłużony wreszcie w myśl życzenia i poinformowany, że okulary dla niewidomych to tylko atrapa dla ukrycia ślepych oczu i dlatego są takie ciemne, dowiaduję się o cenę. Czy okulary dobrze się trzymają, pyta panienska w bieli: jest teraz szara jak popiół, liliowoszara, dotyka moich skroni, widzę zupełnie z bliska jej twarz, jej pełne, miękkie wargi, teraz fioletowe jak dojrzałe śliwki, nagle zapadł wieczór, zmierzch, półmrok, zaćmienie słońca. A jest przecież przedpołudnie, słyszę to; tak brzmią głosy tylko za jasnego dnia. Widzę teraz słońce, jak w odległych latach chłopięcych, kiedy je obserwowaliśmy przez osmolone szkiełko: matowe, o wiele mniejsze, niżby się to zdawało,

bez promiennej aureoli, żółtawe do szarobiałego, barwy niedojrzałych moreli, ale metaliczne. Oświadczam, że okulary trzymają się doskonale. Panienska sprawdza raz jeszcze, widzę raz jeszcze jej śliwkowe wargi, prowokujące do pocałunku. Nigdy już nie będę całować, myślę sobie; materiał, z którego wargi są zrobione, jest zbyt obcy. Wciągam w nozdrza jej perfumy, widzę jej bliskie włosy, zielono-czarno-sine jak kogucie pióra, jej skórę jak kwiat zimowita jesiennego. Ociągam się ze spojrzeniem, w lustro, zdejmuję okulary; ani śladu zmierzchu, jest przedpołudnie, za oknami ulica, ludzie, pstra blacha samochodów, słońce, witryna, ulica w słońcu, wszystko jak zazwyczaj, kościół Fraumunster wśród bicia dzwonów na jedenastą i gromady mew. Na szczęście zjawia się następny klient; podczas gdy panna w bieli przeprosza mnie na chwilę, aby go obsłużyć, jeszcze raz wkładam okulary. Widzę moją rękę, ciało jak marcepan, który, nie zjedzony w porę, pokruszył się i zszarzał. W lustrze, tak, widzę jeszcze tyle, że nie są to drzwi prowadzące na zewnątrz, lecz lustro, widzę mężczyznę o mojej figurze, nie wiem, czy człowiek w lustrze, którego: oczy są niewidome, również mnie poznaje. Kiedy podchodzę bliżej, aby ujrzyć jego oczy, tamten idzie ku mnie jak ślepiec, który nie ustępuje z drogi, tak jakby chciał przejść przeze mnie — już zdjąłem okulary. — Proszę — mówię i płacę...

Początek. zrobiony.

Co dalej?

Oczywiście potrzebna mi jeszcze laska —

Wyobrażam sobie:

Pierwsze wyjście Gantenbeina, które podej-
 | muje nie bez bicia serca, nie prowadzi daleko;
 i już pierwszy osobnik, któremu Gantenbein —
 uzbrojony w ciemne okulary i czarną laseczkę,
 jak ślepiec, wodząc nią od czasu do czasu wzdłuż
 krawężnika — nie schodzi z drogi, zaskakuje go
 i brutalnym pytaniem, czy nie ma oczu w głowie;
 Gantenbein, zamiast cieszyć się tym pierwszym
 potwierdzeniem, zaniemówił z wściekłości na gbura
 i w dodatku obejrzał się za nim. Ślepiec ogląda
 się! — pierwsza gafa. Jego zamiar, aby bez względu
 na osobę przed nikim nie schodzić z drogi, był
 może słuszny, ale Gantenbein zabrał się do tego
 zbyt energicznie, ze zbyt wyraźną premedytacją,
 j. ■ Zawsze z początku się przesadza. Gantenbein
 | przystaje na chwilę; nim pójdzie dalej, uderzając
 laską o krawężnik, musi się wewnętrznie rozluź-
 | nić. Wybrał oczywiście okolicę, którą zna. Kreuz-
 platz, , Zeltweg, Heimplatz, tędy chodził kiedyś
 co dzień do szkoły, zna tę drogę na pamięć. Na
 Hohe Promenade, sam w alei, zdejmuje okulary:
 Zurych jest miastem niebieskim, tylko moje oku-
 lary czynią je popielatoszarym, tak że człowieka
 lęk zdejmuje, popielatoszarym z odcieniem lila.
 Kiedy Znowu wkłada okulary, nie może uniknąć
 | uczucia pożegnanja. A więc dalej. Wybór pory
 } dnia wydaje się również słuszny, jest przerwa
 południowa, ludzie nie myślą o przyglądaniu się,
 | lecz o jedzeniu. Kiedy po chwili jakiś pan jednak
 się nim zajmuje, przeprowadza go przez ulicę,
 Gantenbein wydaje się sobie samemu oszustem;
 będzie się musiał do tego przyzwyczaić. Storchen-

gasse, Weinplatz, Rennweg, powoli idzie już lepiej; uderzenia laską o krawężnik także nie powinny być zbyt częste, wystarczą od czasu do czasu, myślę. Ważne jest przede wszystkim, aby bez względu na to, co się widzi, powstrzymać się wewnątrz od wszelkich sądów. Dlaczego ślepi nie robią wrażenia smutnych, lecz pogodzonych z losem? Powoli, myślę, Gantenbein zaczyna się rozkoszować swoją sytuacją, aż nagle — jego okulary nie przepuszczają czerwieni — zapiszczały zahamowane opony, tuż za nim. Ze "strachu, chociaż nie został nawet potrącony, zgubił laskę; leży ona, Gantenbein zauważył to od razu, na asfalcie między kołami samochodu; i oto druga gafa: ślepy nie umiał poczekać, schylił się, aby sam podnieść laskę. Czy już się zdradził? Nie brak świadków, pisk opon przy hamowaniu zatrzymał wielu przechodniów, widzi ich, te upiory, niektórzy podchodzą, - sini z ciekawości lub z oburzenia, podczas gdy w fioletowym wozie sportowym (karmann) siedzi blondyna o potwornie zmienionym kolorycie, potrząsa głową, rusalka o zielonkawych włosach, tak jak tamta w sklepie, o śliwkowych wargach. Czy on jest ślepy? Jej futro jest koloru gnijącego morszczyku. Czy on jest ślepy? Mówi, że tak, po raz pierwszy mówi światu, że jest ślepy, tak, i rozgląda się, czy mu wierzą... Na szczęście nie było na miejscu policji. Upiory sprzeczą się, komu zawdzięcza życie, zgadzają się ze wzburzoną damą z karmanna, że obowiązany jest nosić na ramieniu emu żółtą opaskę. O tym Gantenbein nie pomyślał. Milczał. Odczuwał brak kapelusza, który

leżał przed jego oczyma na bruku, poza tym wydawało mu się, że incydent jest właściwie zakończony, ani bowiem jego lewa łydka, ani jej lśniący-zderzak nie doznały widocznego szwanku. Dlaczego nikt nie podał mu kapelusza? Zielonkawa rusalka, w dalszym ciągu przerażona jego szczęściem, nie chciała jechać dalej bez zgodnego stwierdzenia przez wszystkich, że jest wcieleniem niewinności, również bez stwierdzenia tego przez jakąś gosposię, która uporczywie milczała. Nie chodziło teraz o Gantenbeina, widział to, lecz o pytanie, czemu przypisać, że taka osoba w ogóle rozbija się takim wozem. Litował się nad nią: nagle wszyscy przeciwnie. Jej oczodoły wydawały mu się brunatnO-czarne, jak wilgotne listowie z ubiegłej jesieni, brunatnoczarne wpadające w siną czerń. Głośno poinformowany przez gospodynię, która go ujęła pod ramię, że omal go nie przejechała kokota, tak, kokota, Gantenbein nie powiedział ani słowa. Niewidomy nie wydaje wyroków. Czy nie jest ranny, zapytała gosposia, jak gdyby nienaturalnie zabarwiona dama z karmanna dawno go o to nie spytała. Był nie tylko nietknięty, ale nagle odzyskał przytomność umysłu: zapytał teraz, co zaszło. Podczas Jkiedy mu opowiadano, że równie dobrze mógłby być już martwy, włożył na głowę kapelusz, który przed chwilą na oczach świadków własnoręcznie podniósł z bruku. Zobaczył, że nikt w jego ślepotę nie wątpi. Oburzenie upiorów, które jeszcze nie zdążyły odnaleźć powrotu do nudnego dnia codziennego, skierowało się teraz po prostu przeciw dzisiejszemu ruchowi ulicznemu. Już

raz przejechano tu kogoś. Zapanowało ogólne rozgoryczenie. Ponieważ nie wypadło, by Gantenbein pierwszy ruszył w drogę, raz jeszcze zdjął z głowy kapelusz, żeby go otrzepać z ulicznego pyłu; tymczasem gospościa stawała się w stosunku "do kokoty coraz bardziej nieprzyjemna. Wreszcie Gantenbein, oczyściwszy swój kapelusz, z powrotem włożył go na głowę; był już czas na niego, nie chciał doczekać, aż nadejdzie policja i zażąda papierów, prawa jazdy, może zaświadczenia, że jest ślepy, oświadczył damie z karmanna, że jej i tylko jej zawdzięcza życie. Z ręką w liliowej rękawiczce na starterze, uruchamiając silnik, zapytała Gantenbeina z wdzięcznością, dokąd idzie.

— Do domu! — powiedział.

— Gdzie pan mieszka?

Z tyłu znowu odezwał się klakson, a ponieważ Gantenbein zauważył jeszcze i tramwaj, który z powodu karmanna nie mógł jechać dalej, zdecydował się szybko na zajęcie miejsca w wozie, obszczekiwanym przez pieska, którego naprawdę nie dojrzał, krótko ostrzyżonego pudła. Dama włączyła nerwowo bieg szarpnięciem i ruszyli.

A teraz: o czym mówić?

Dlaczego nie nosi żółtej opaski, zapytała bez wyrzutu, raczej po macierzyńsku. Aby się utrzymać w roli ślepego, zapytał, czy piesek, którego omal nie rozdeptał, to foksterier. To było po dyletancku, zdradzało nowicjusza. Zamilkł całkowicie. Jest właśnie potworny ruch, zameldowała na usprawiedliwienie gwałtownych zrywów samochodu. Jechali w kierunku miasta, widział: jezioro lśniące jak

w świetle księżycy, czarne pnie i gałęzie na tle jasnej nocy, liście na nich jak ż brązu, nikt nie ma na sobie białej koszuli, znane chorągwie na moście powiewają obco, barwami kraju, którego nie ma, to zabawne. Tylko znana sylweta z wieżami pozostała znaną sylwetą. By) szczęśliwy, że nikt nie nosi białej koszuli, odczuwał ulgę, rozbawienie, gdziekolwiek spojrzeł. Mewy były liliowe. Liliowe także helmy policjantów. Był zachwycony. Czy jest zadowolona z karmanna, zapytał. Skąd niewidomy wiedział, że jedzie karmannem? Ale i to mu uszło, był zdumiony. Aby dowieść ślepoty, całkowicie wystarczyło od czasu do czasu strząsnąć popiół z papierosa obok popielniczki, kłopot sprawiło mu tylko, że nie mogli mówić o filmach. Filmy są dobrym łącznikiem. Wyglądało na to, że i ona nie bardzo wie, o czym można mówić ze ślepcem, a pokusa, żeby wobec tego mówić o sprawach intymnych, była wielka. Czy jest żonaty? Zobaczywszy z przerażeniem, że przekroczyła białoliliową linię bezpieczeństwa, nie mógł odpowiedzieć, a potem nie tylko wyminięcie tramwaju, ale i pytanie przestały być aktualne; odetchnął z ulgą. O tak, rzekła, jest z karmanna zadowolona. Chwilami spoglądała na niego z boku, ciekawa, komu uratowała życie. Chyba nie nakłada dla niego drogi,, powiedział; adres, swój, oczywiście fałszywy, podał tylko mniej więcej. Z ręką w lila rękawiczce na kierownicy, czekając, aby stado niebieskawych upiórów przeszło przez jezdnię, zapytała powtórnie, czy nie ma nikogo, kto by się nim zajmował. Na szczęście pojawiło się zielone

światło, musiała włączyć bieg. Przeczuwał już codzienne trudności swej "foli, na przykład: siedzieć • obok kobiety, która prowadzi wóz, i nie mówić przy tym ani słowa, nie wdychać, nie udzielać jej męskich rad, nawet nie zadygotać, kiedy widzi, czego ona nie dostrzega, ciężarówkę z prawej strony, być nadal uprzejmym, kiedy ona, nie zauważywszy swego błędu, istotnie raz jeszcze wy-dostaje się z opresji, być uprzejmym, swobodnym...

— Dziękuję — powiedział — tu mieszkam.

— Tutaj? — zapytała, zatrzymała samochód,' zaciągnęła ręczny hamulec, dodała: — W takim razie jesteśmy sąsiadami.

Z tym Gantenbein się nie liczył.

— Tak — powtórzyła — jesteśmy sąsiadami !

Siedzieli teraz w nieruchomym wozie, wyłączyła już silnik, ale Gantenbein, całkowicie utraciwszy przytomność umysłu, nie podnosił się z siedzenia. Co dalej? To, że śnieg podczas jazdy, a więc nic wyczuwając laską krawężnika, może powiedzieć „tu mieszkam" — nie zdziwiło jej. Widocznie wierzyła w jego szósty zmysł i była wyraźnie rada z sąsiada, który nigdy nie widział wchodzących do jej mieszkania i wychodzących z niego panów; myśl, że wydaje mu się damą, uskrzydliła ją. Czy może mu zrobić kawę? Wolalby teraz koniak. A może napiłby się herbaty? Nie miał odwagi odmówić^ musiał ją traktować jak damę, aby uratować swą rolę ślepcy; kiedy go całkiem niewinnie zapytała, jak się nazywa, nie mógł się nie przedstawić.

— Gantenbein? — zapytała. — Czy pan jest spokrewniony?...

— Nie — odparł.

— Nie — zawołała — cóż za przypadek!

Potworzyła to jeszcze kilkakrotnie, grzebiąc w torbie z krokodylej skóry, aby mu również podać nazwisko, wydrukowane na karteczce z czerpanego papieru, które mógł doskonale odczytać; mimo to przeczytała na głos: Camilla Huber. To, co widniało poniżej, przemilczała: manicure. To nie dotyczyło ślepeca. Tak samo jak uwaga: tylko po telefonicznym porozumieniu. Powtórzył tylko to, co usłyszał: Camilla Huber." To wystarczało. Wsunął karteczkę do kieszeni; zapytała, gdzie dokładnie jej sąsiad mieszka.

— Tam — odparł — w niebieskim domu. Nie widziała żadnego niebieskiego domu.

— Hm — powiedział — a gdzie my jesteśmy? — Musiał teraz kłamać w dalszym ciągu. — Czyż to nie Feldeggstrasse? — zapytał.

— Oczywiście.

Był to jednak nie początek, lecz koniec Feldeggstrasse, która jest dosyć długa, o sąsiedztwie nie mogło więc być mowy; dama w futerku była rozczarowana, zauważył to, i zasmucona, że jednak jego szósty zmysł zawodzi; nie dała sobie tego wyperswadować, o nie, w tych okolicznościach tym bardziej, zapuściła znowu silnik, aby Gantenbeina zawieźć pod sam dom; wobec tego że nie pozwolił się zaprosić na kawę, nie mogłaby wziąć na siebie odpowiedzialności, nie małaby ani chwili spokoju itd.

Przyjął jej zaproszenie.

W windzie, podczas gdy dama pyta, czy często zdarza mu się zabłądzić w mieście, Gantenbein zamyka oczy, aby przygotować się do pierwszej wizyty jako ślepiec, aby przy wychodzeniu z windy potknąć się w sposób wiarygodny (nie zanadto). Camilla jest wzruszająca; ledwie weszli do mieszkania, już bierze jego płaszcz, kapelusz i laskę. Również i Camilla nie wie, czy czarna laseczka jest mu w mieszkaniu potrzebna, czy nie; to jej pierwszy niewidomy gość. Jemu wydaje się, że laseczka jest nieodzowna, żeby pamiętać o swej roli.

— Proszę usiąść!

Zapomina, że nie widzi foteli.

— Ładnie tu u pani — mówi — bardzo ładnie!

— Prawda? — odpowiada Camilla, która nie zauważyła jego gafy, i dodaje: — Żeby pan mógł zobaczyć, jaki mam stąd widok! Na całe jezioro!

Camilla przesadza.

— Widać góry? — pyta Gantenbein.

Camilla, ciągle jeszcze w swoim futerku barwy morszczyntu, otworzyła dyskretnie okno, aby przyjąć gościa świeżym powietrzem, potem raz jeszcze upewnia się, czy go naprawdę nie zraniła. On przygląda się, jak cichutko przykrywa tapczan kocem, równie cicho uprząta dwa kieliszki od koniaku i biustonosz, jak gdyby mimo wszystko wątpiła o ślepcie swego gościa; pozostaje, co widocznie przeoczyła, zwiędnięty kłębuszek pończoch. Kiedy Camilla odwraca się na chwilę, gość wsuwa je nogą, pod tapczan. Stoi nie inaczej niż zwykle,

kiedy jest się po raz pierwszy w obcym mieszkaniu: nieco zakłopotany, starając się nie rozglądać, ale już po pierwszym wrażeniu, które chce ukryć, zaczynając natychmiast mówić. Gawędzi o czynszach i drożyznie, tymczasem Camilla opróżnia napełnione w ciągu nocy popielniczki, akceptując wszystko, co pada z jego ust. Potem się rozgląda. Teraz, kiedy znikł już także zwiędły kłębuszek jej pończoch, jest to mieszkanie, które można pokazywać, mieszkanie samodzielnej kobiety. Potem on mówi coś o kłopotcie, którego nie powinna sobie fobić, ale na próżno; Camilla poszła już do kuchni, żeby nastawić wodę — Gantenbein został sam.

Kiedyś, później, zyskawszy doświadczenie jako ślepiec, będzie miał odwagę bywać na każdym przyjęciu; będzie stał w willi w ciemnych okularach ślepca, będzie gawędził z pułkownikiem szwajcarskim, którego przez pomyłkę uważa za znanego paskarza. Nie można ślepemu brać tego za złe. Nie rozróżni adwokata od fałszerza podpisów, który jest kuzynem owego paskarza. Gantenbein chętnie będzie się dawał pouczać, aby dowieść, że jest ślepy. Będą go prowadzili do stołu, aby w rozmowach przy jedzeniu uświadomić go, co chcieliby, aby widział, a czego nie. Przedstawią mu świat taki, jakim ukazują go gazety, a udając, że w to wierzy, Gantenbein zrobi karierę. Nie będzie musiał martwić się brakiem kwalifikacji; świat potrzebuje takich ludzi, jak Gantenbein, którzy nigdy nie mówią, co widzą, a jego przełożeni będą go cenili; nie' zabraknie też materialnych do-

wodów tego. Aby nie wypaść z roli, Gantenbein będzie się wystrzegał odwoływania swych poglądów lub choćby zmieniania ich tylko dlatego, że widzi rzeczy, przeczące jego poglądom. Zrobi karierę polityczną, nie rzeczywistą, ale honorową; będzie wszędzie obecny, wsparty na czarnej laseczce, żeby się nie potknąć, a ponieważ raz zostało ustalone, że nie widzi tego, co się rozgrywa przed jego oczyma, wszędzie będą chętnie wysłuchiwać jego zdania. Być może będzie to czasami niemiłe, na przykład kiedy spotka pana, który przedstawi mu się jako monsignore, i kiedy na chybił trafił zapyta, kto to mówił przed chwilą o parszywych Żydach, był to bowiem monsignore we własnej osobie. W trakcie tego będą jedli kawior. Gantenbein spotka osobnika, który przed chwilą mówił o wolności kultury, i zapyta, czy inny osobnik, który za Hitlera grał równie wybitną rolę, jest także w salonie, nie widząc, że to ten sam człowiek. W trakcie tego będą palili papierosy itd... Wizyta u Camilli Huber, manicurzystki, jest tylko pierwszą próbą i kiedy gospodyni wraca z dwiema filiżaneczkami, Gantenbein ciągle jeszcze jest nowicjuszem.

— Jak się wabi pani piesek? — zapytuje.

— Teddy.

— Wspaniały okaz.

— Prawda? — mówi ona i nie pyta siebie w duchu, w jaki sposób Gantenbein mógł to stwierdzić. Dopóki ślepiec chwali, wolno mu mówić o wszystkim. Gantenbein nie może sobie odmówić przeprowadzenia odwrotnej próby.

— Niech pani powie — mówił po chwili — jakie te krzesła firmy Miller są wstrętne. Tak uważam. Okropne.

Ona właśnie nalewa kawę.

— Skąd pan może o tym wiedzieć? — odpowiada krótko, pouczając go o jego niekompetencji, po czym pyta uprzejmie: — Pan pija z cukrem?

On potwierdza skinieniem głowy.

— Kawalek ciasta?

Gantenbein ociąga się. ^A

— Tort engadyński, niestety napoczęty — ■ przyznaje się szczerze — ale zupełnie świeży.

Choć Gantenbein nie znosi słodczy, prosi o tort. Pierwszy raz będzie jadł jako ślepiec! Z tortem sprawa jest prosta; wodzi się widelcem po talerzyku, aż natrafia się na kawalek. (Trudniej będzie z pstrągami, które chętnie sam rozbiera; Gantenbein będzie musiał zrobić z tego numer popisowy: ślepiec, który sam rozbiera pstrąga, i to zręczniejszy niż którykolwiek kelner, bajecznie, tak że ludzie przy stole nie mogą wyjść ze zdumienia i zachwyceni tym niewiarygodnym wyczynem proszą ślepca, aby zajął się również ich pstrągami).

— Mój Boże — woła Camilla — łyżeczki! Robi z siebie niezaradną.

— To okropne — śmieje się — jaka zła ze mnie gospodyni, wie pan —

A więc zdaje się, że to jest rola, którą chce grać Camilla. Nie jest gospodynią. Czy ma nadzieję, że Gantenbein weźmie ją za intelektualistkę? A więc w każdym razie nie gospodyni, to jest bezsporne.

Artystka? Gantenbein rozumie: w każdym razie kobieta pracująca zawodowo. Inaczej nie biegałaby tam i z powrotem po każdą łyżeczkę osobno, ciągle jeszcze w swoim futerku barwy morskoczerwonej, radosna, jakby się dla niej rozpoczynało nowe życie. To czyni ją piękniejszą, niż jest, w każdym razie młodszą. Rozkoszuje się tym, że nie jest widziana, kiedy siada na tapczanie, żeby Gantenbein nie zauważył i źle tego nie zrozumiał, zsunęła z nóg fioletowe pantofle i postawiła je w pobliżu na dywanie.

— Nie szkodzi! — powiada.

— Co nie szkodzi?

— Teddy się ucieszy — mówi Camilla.

Prawdopodobnie kawałek tortu spadł na dywan, ale ponieważ nie była to sztuczka zamierzona, wygląda przekonująco. Gantenbeinowi nie wolno tylko zrozumieć tego teraz, nie wolno mu podziękować, kiedy Camilla zsuwa na jego talerzyk drugi kawałek wczorajszego tortu. Gantenbein wtyka widelec, jakby to był poprzedni kawałek, pożerany tymczasem przez psa. Dlaczego będąc ślepym nie ma psa? Camilla może sobie wyobrazić przerażenie, kiedy nagle człowiek poczuje na tyłce pchnięcie zderzaka. Kiedy później Gantenbein, aby ochłonąć z przerażenia, prosi o kieliszek koniaku, Camilla na próżno szuka butelki, którą on widzi już od dawna. Camilla jej nie widzi. Gantenbein musi pomóc: bierze swój talerzyk, jak gdyby chciał go odstawić, i potrąca nim o butelkę z koniakiem. Nie przerywając rozmowy (właściwie o czym?), Camilla idzie do kuchni, aby umyć

jeden z kieliszków, tymczasem zaś Gantenbein, jako znawca koniaku, nie potrafi powstrzymać się od wzięcia butelki do ręki i odczytania etykiety. Kiedy Camilla, w dalszym ciągu w futerku, ale, jak się rzekło, bez obuwia, wraca po cichu, zastaje Gatenbeina nie tylko z butelką koniaku w lewej ręce, ale i z ciemnymi okularami dla niewidomych w prawej. Chciał ułatwić sobie odczytanie etykiety. Bardziej rażąco nie mógł wypaść z roli, ale Camilla usprawiedliwiacie, że nie ma w domu koniaku innej marki, i tylko strach, że teraz zostanie bez-, apelacyjnie przyłapany, ratuje Gantenbeina przed gestem, który niechybnie zdumiałby Camille: przed natychmiastowym nałożeniem okularów. Opanowuje się jednak. Kiedy później, napiwszy się koniaku, aby przyjść do siebie po przeżytych strachu, znowu wkłada okulary, jest to całkowicie wiarogodne, mimowolny, nie rzucający się w oczy, zwykły gest, nie zakłócający w najmniejszym stopniu rozmowy. Mówią o najnowszym locie w kosmos, o przyszłych losach ludzkości, a więc o rzeczach, których i tak nikt nie potrafi dojrzeć. Jej futerko, oglądane bez okularów, jest bursztynowożółte, włosy ma oczywiście nie zielonkawoniebieskawe, lecz blond, utlenione. Wargi jej również nie są śliwkowo-sine; Gantenbein już się przyzwyczaił do tamtej barwy i uważa, że kolor pomadki do ust, widziany oez okularów, jest równie nienaturalny. A jednak opłaciło się zdjęć na chwilę okulary. Gantenbein wie teraz, że mieszkanie Camilli nie jest fioletowe, ale urządzone z przeciętnym smakiem; mogłoby ! to być również mieszkanie osoby z wyższym wy-

kształceniem, graficzki albo kogoś w tym rodzaju. Brak tylko książek. Czy chciałby posłuchać płyty? Zabrzmiało mu to zbyt nastrojowo, więc zapytuje, która godzina. Camilla mówi: kilka minut po pierwszej. Jego zegarek wskazuje dziesięć przed drugą. Wydaje się, że chciałaby, aby jeszcze pozostał, rozkoszuje się tym, że nie jest widziana. Rozkoszuje się swoją rolą. Kiedy Gantenbein opróżnia drugi ! kieliszek koniaku, bije druga. Widocznie Camilla nie pracuje w biurze. Kobieta z towarzystwa? Na pewno nie. Wydaje się, że jest dumna ze swego sposobu wyrażania się, który wyklucza podejrzenie o przynależność do warstwy mieszczańskiej, i kiedy znowu siada na podwiniętej nodze, Gantenbein słucha zaciekawiony, jaką Camilla Huber chciałaby być widziana. Na pewno nieco młodszą niż jest. Nawet jeśli się jest tak młodą jak ona, powtarza kilkakrotnie. Gantenbein zamyka oczy, aby móc lepiej wczuć się w jej pragnienia. Camilla była raz zameżna. Raz i nigdy więcej. Mężczyźni wyobrażają sobie zawsze, że dzięki swoim pieniądзом mogą pozwalać sobie na wszystko. Camilla uważa, że kobieta pracująca zawodowo ma takie same prawa jak mężczyzna. Być służącą mężczyzny tylko dlatego, że się go kocha, to dno. Po prostu dno. Camilla się nie sprzedaje. Te czasy minęły. Oczywiście, jako młoda kobieta, miewa czasami przyjaciela, ale ona nie ma przesądów. Niech sobie sąsiedzi myślą, co chcą. Jest kobietą niezależną. Samodzielną. Nie jest osobą, która pozwala się wszędzie, zaprosić. Oczywiście, jest daleka od mieszczańskiego małżeństwa.

Bo przecież małżeństwo to także tylko zaprzeczenie niezależności. Wykluczone. Gantenbein rozumie. Kobieta nowoczesna. Pracująca zawodowo, choć Gantenbein nigdy nie zobaczy jej przy pracy, stojąca na własnych nogach, jeżdżąca samochodem, który, rozumie się, zdobyła własną pracą. Inaczej nie może sobie wyobrazić życia; jest kobietą samodzielną i niezależną, kobietą nowoczesną, niepotrzebnie powtarza to do znudzenia; Gantenbein pojął już, jaką rolę chce grać przed nim, zaakceptuje ją, jeżeli Camilla pozostawi mu w zamian rolę niewidomego.

— Na pewno — mówi stojąc na progu z czarną laseczką, którą mu Camilla podała, a o której omal nie zapomniał — na pewno zobaczymy się jeszcze, skoro jesteśmy sąsiadami —

Camilla, uszczęśliwiona, potakuje głową.

Mężczyzna, intelektualista, dożył czterdziestu jeden lat bez szczególnych sukcesów, bez szczególnych trudności; dopiero kiedy przychodzi wyjątkowy sukces, ogarnia go przerażenie z powodu roli, jaką widocznie grał dotąd —

Czy sam w nią wierzył?

Dzieje się to w małym, miłym towarzystwie, I w którym, jak wie, jest ceniony, właściwie nie dzieje się nic, zupełnie nic, ot, wieczór jak wiele innych. Mężczyzna nie wie, dlaczego ogarnął go strach. Wmawia w siebie, że za dużo wypił (dwa kieliszki! może już w ogóle nie znosi alkoholu); powstrzymuje się od dalszego picia; kiedy podchodzi do niego

uprzejmy gospodarz, krążący wśród gości z butelką, przykrywa prawą ręką kieliszek, bez słowa, aby nie zwracać na siebie uwagi, ale zdecydowanie, nawet gwałtownie, jak gdyby mógł jeszcze obronić się przed lękiem, a równocześnie z myślą o tym, aby zachować pozory uważnego słuchacza. Co mu się stało, zapytuje pani, która już od dosyć dawna nie bierze udziału w rozmowie. Również gospodarz, przed chwilą zganiony przez żonę za puste kieliszki, przyczynia się do wywołania sensacji. Co się dzieje z Enderlinem? A on wie tylko, że nie ma nic do powiedzenia. Później pozwala znowu napęłnić swój kieliszek, bo alkohol nie mógł nań podziałać, przeciwnie, czuje się przeraźliwie trzeźwy. Niestety, jest dopiero jedenasta, dyskretnie ulotnienie się byłoby raczej niemożliwe; więc pije. Właśnie w tych dniach w prasie nie tylko jego rodzinnego miasta, ale i zagranicznej (sprawia to zawsze zupełnie inne wrażenie, choć stan faktyczny pozostaje ten sam), pojawiła się trzywierszowa notatka o powołaniu go do Harvardu ; jest mu nieprzyjemnie, że właśnie teraz zaczęto mówić o tej notatce, tym bardziej kiedy pani domu zdradza nieodpartą, chęć trącenia się na tę intencję kieliszkami, aby go zachęcić. Enderlin na próżno próbuje odwrócić uwagę od tego tematu: nie przychodzi mu do głowy nic, co by odwróciło jego własną uwagę. Ktoś siedzący w cieniu, za lampą stojącą, jakaś dziewczyna, nie wie, co to Harvard; powoduje to zwłokę, ponieważ pan domu, zanim trąca się kieliszkami, musi wyjaśnić, co to jest Harvard i co znaczy powołanie do Har-

vardu. A więc, wiwat! Nie uroczyście, ale z taką przyjazną powagą, że dookoła Enderlina powstaje pauza. Zaproszenie do Harvardu, no tak, Enderlin próbuje to zbagatelizować, nieco jednak rozdrażniony, że widocznie tego się po nim nie spodziewano. Gościom smakuje wino, burgund rocznik 1947, ale pauza wokół Enderlina trwa nadal. Ostatecznie (Enderlin musi coś powiedzieć, aby nie milczeć jak posąg) powoływano już do Harvardu szarlatanów, poza tym nie jest to pierwsze zaproszenie, jakie otrzymał. To na marginesie. Aby być sprawiedliwym, musi zwrócić uwagę, że również mniejsze uniwersytety, na przykład bazylejski, cieszą się zasłużonym uznaniem. Albo uniwersytet w Tybindze. Ale o tym Enderlin nie powinien być i nie chciał mówić; powiedział to zresztą w cztery oczy, podczas gdy całe towarzystwo zajęte jest pudłem, który wtoczył się do pokoju, aby zademonstrować swoje sztuczki. Wspomniał zwierzątko! Enderlin jest również tego zdania, zadowolony, że całe zainteresowanie, przynajmniej na razie, przeniosło się na pudelka. Czy prędko udaje się do Harvardu, pyta jedna z pań, a kiedy to zostało powiedziane, niestety tak cicho, że inni, po drugiej stronie abażura, raz jeszcze zadają to samo pytanie, i kiedy Enderlin powtórnie, i to tak głośno, aby wszyscy słyszeli, musiał określić przypuszczalny termin swego wyjazdu do Harvardu, oczywiście, stał się znowu ośrodkiem zainteresowania, mimo pieska. Enderlin uważa teraz za nieodzowne opowiedzieć coś wesołego, jakąś anegdotę, która by rozerwała towarzystwo.

Ale nic mu nie przychodzi na myśl. Otoczenie czeka, nie z napięciem, ale przychylnie. Cóż opowiada człowiek stojący w obliczu kariery? Prawie wszyscy wybitni ludzie lubią opowiadać, że wyrzucono ich kiedyś ze szkoły; to znana historia, ale słucha się jej chemie. Jednakże Enderlin, choć jest przy głosie, wie, że nie ma nic do powiedzenia. Tymczasem gospodarz częstuje gości cygarami, a jego małżonka uznaje, że czas wygonić wesołego pudelka, który uważa się za ośrodek zainteresowania oniemiałego towarzystwa. I ciągle jeszcze nie bije północ... „Wkroczył Hermes”.

Oto wszystko, co Enderlin potrafiłby z siebie wydobyć, antyczne powiedzenie, dokładnie oddające zakłopotanie, jakie panuje w tej chwili. Ale to nie wypada; Hermes jest tematem pracy, która mu przyniosła zaproszenie do Harvardu... Ostatecznie gospodarz poczuł się odpowiedzialny za grobową ciszę i próbuje zabawić towarzystwo, które nagle przestało się bawić, anegdotami; ale padają one w próżnię, towarzystwo czeka na Enderlina. Nie może tego zmienić, im dłużej milczy, z lewą ręką w kieszeni spodni, z kieliszkiem w prawej, właściwie jedyny w kręgu, który słucha, co mówi gospodarz, wszyscy inni słuchają, jeśli tak można powiedzieć, poprzez jego osobę, śmieją się, kiedy Enderlin się śmieje, Enderlin staje się ośrodkiem zainteresowania, tym bardziej, im dłużej milczy; nie pomaga, że gospodarz jest doskonałym gawędziarzem. Pauza, podczas której gospodarz raz jeszcze zeszedł do piwnicy, zaczyna się niewin-

nie; goście zakładają nogę na nogę, strząsają popiół, ktoś otwiera okno, co wszyscy witają z radością, ale pauza rośnie, ktoś częstuje ciastem, goście palą, zegar bije dwunastą i kiedy gospodarz wraca z nowymi butelkami, jest przekonany, że Enderlin w czasie jego nieobecności coś powiedział, rozgląda się i pyta, o czym była mowa i odkorkowuje...

Powoli zaczyna się rozmowa.

Tylko dla Enderlina, który się przy tej okazji żegna, stało się coś, zresztą nie po raz pierwszy i zapewne nie po raz ostatni. Aby to zrozumieć, będzie musiał przeżyć wiele drobnych przerażeń. Sam w swym samochodzie, z pewnym wahaniem wkłada kluczyk do stacyjki i doznaje uczucia ulgi, że przynajmniej silnik funkcjonuje. Przestaje myśleć o tym, co było. Wieczór bez znaczenia...

Była to godzina długa i pusta — tak sobie wyobrażam — a równocześnie podniecająca, kiedy Gantenbein, w niebieskich okularach, z czarną laseczką między kolanami, siedział w poczekalni Miejskiego Urzędu Zdrowia. Również i człowiek ślepy, musiał się z tym zgodzić, jest członkiem społeczeństwa. Bez żółtej opaski na ramieniu byłby wyjęty spod prawa. Z widokiem na obraz miejscowego malarza, który musi tutaj odpokutować za zakupienie go z funduszków publicznych, siedział samotnie w pustej poczekalni, być może pierwszy w ogóle patrzył na ten obraz. Nie mógł natomiast zabrać się do czytania gazety, która tkwiła w kieszeni jego płaszczu. W każdej chwili mógł ktoś

wejść. Stara, drobna jak gnom kobiecina, w pomarszczonych, za dużych już dla niej bucikach i w za dużym już, zwiędłym kapeluszu, z za dużą sztuczną szczęką, obywatelka tego miasta, walcząca o miejsce w jednym z pięknych i słusznie wychwalanych przez wszystkie pisma domów dla starców miasta Zurychu, weszła przed nim. Gantenbein przyrzekł jej trzymać kciuki, o czym oczywiście zapomniał; siedział samotny, wśród dźwięków zegara wydzwaniającego jedenastą, zajęty własną przyszłością, podczas gdy drobna kobiecina o ogromnej szczęce, z owłosioną górną wargą, siedziała teraz oko w oko z życzliwą bezsilnością lekarza miejskiego; trwało to już dziesięć minut. Bicie jedenastej, najweselsza impreza Zurychu, brzmiałoby przy otwartym oknie jeszcze piękniej, bardziej oszałamiająco[^] ale Gantenbein nie miał odwagi wstać i otworzyć okna. W okularach, z czarną laseczką między kolanami, jak należy, kiedy się ma dostać żółtą opaskę, siedział cierpliwie. Musiał przedstawić dowody, świadectwa co najmniej dwóch lekarzy specjalistów. Bieganina (zawsze z postukującą o krawężnik laseczką) i mielenie językiem, zanim udało mu się wyprowadzić w pole dwóch miejscowych lekarzy, którzy nie kazaliby sobie za to zapłacić, pochłonęły niemal miesiąc, nie licząc straconych przy tym nerwów. Teraz jednak miał świadectwa w kieszeni, potrzebna była jeszcze tylko pieczęć urzędu, który, jak mówiono, odznaczał się wyrozumiałością, choć kazał Gantenbeinowi czekać, jak gdyby niewidomy nie miał już na tym świecie nic do stracenia... Czy nie

byłoby korzystniej, zapytuje Gantenbein samego siebie, być nie ślepy, lecz głuchym? Ale już za późno na to... Dzwony na jedenastą zamilkły; teraz słycać za to stukot maszyny do pisania w pokoju obok, prawdopodobnie dla pocieszenia starowinki; wolno jej raz jeszcze podać dane: 'datę urodzenia, imię ojca, którego grób już przekopano, nazwisko panięskie matki, ostatnie miejsce zamieszkania, choroby, adres żyjącego jeszcze syna, przebywającego za oceanem, który mógłby odciążyć ubezpieczalnię. W każdym razie maszyna stuka. Nie bez bicia serca Gantenbein już teraz zastanawia się nad swoimi odpowiedziami dla maszyny w sąsiednim pokoju. Wyrzuty sumienia?... Gantenbein od czasu do czasu zamyka oczy, aby się wczuć w swoją rolę. Jeśli często już po kilku oddechach otwiera oczy, to nie z ciekawości, co zobaczy, w każdym razie nie przede wszystkim dlatego; wie przecież, jak w przybliżeniu wygląda poczekalnia urzędu. Może to już oznaka starości, że wszystko, co oczy mogą oglądać, wydaje się poczekalnią. Mimo to otwiera je raz po raz. Siatkówka jest ochroną przed przecuciem, które wywołuje w nas każdy szmer, i przed czasem; widzi się, co wskazuje zegar kościoła Świętego Piotra naprzeciw, i zegary wskazują ciągle terażniejszość. Ochrona przed wspomnieniami i ich otchłanią. Gantenbein cieszy się, że nie jest naprawdę ślepy. Nawiasem mówiąc, już się w pewnej mierze oswoił z barwami, których zmianę powodują jego niebieskie okulary: słońce jak mleczna żarówka nad fasadami z popiołu; liście jak z brązu; chmury, fałszywie

grożące atramentową burzą. Tak niezwykła, że Gantenbein nie może się do niej przyzwyczaić, jesienna cera kobiet, jak kwiat zimowitu.

W pewnej chwili, kiedy Gantenbein akurat spogląda na zegarek, przechodzi przez poczekalnię urzędnik trzymający czarną teczkę z aktami (tylko czerń pozostaje czernią) w sinawej ręce, bez słowa ani skinienia głową, może już wie, że ma przed sobą niewidomego, w każdym razie nie skłonił głowy, Gantenbein także nie, a potem Gantenbein siedzi znowu sam, z łaseczką między kolanami, i ma czas raz jeszcze zastanowić się nad swoim przedsięwzięciem, nad jego dodatnimi i ujemnymi stronami —

Pozostaje przy nim.

Powoli godzi się z tym, że już nie zostanie przyjęty, urzędy miejskie zamykają się o kwadrans przed dwunastą, o ile mu wiadomo, dla odciążenia ruchu ulicznego w godzinie szczytu, a więc po[^]godzony z tym, że każą mu przyjść o drugiej po południu, nabija fajkę, nie inaczej niż zwykle, jest to czynność, którą nie patrząc można pozostawić palcom, na ślepo... Strony dodatnie przeważają... Tylko przy zapalaniu, w tej chwili, spogląda na migocący płomyczek, choć jego język już wie, że tytoń się pali. Strona ujemna, która go niepokoi najbardziej: zamknięcie się wewnątrz siebie, na jakie go jego rola niewidomego naraża. Teraz fajka się pali. Raz po raz Gantenbein doznaje uczucia ulgi, że nie jest naprawdę ślepy; fajka smakowałaby inaczej, gdyby się nie widziało dymu, gorzko, oszalamiająco jak tabletki lub

zastrzyk, ale nieprzyjemnie. Niedawne przelotne spotkanie z Camilla Huber umacnia go w nadziei, że ludzie będą wobec niego nieco swobodniejsi, odrobinę wyswobodzeni od strachu, że ich kłamstwa są widoczne. Przede wszystkim jednak Gantenbein spodziewa się, że ludzie nie będą się wobec niewidomego maskować, dzięki czemu będzie mógł lepiej ich poznać i wytworzy się stosunek bardziej rzeczywisty, skoro zaakceptuje także ich kłamstwa, stosunek oparty na zaufaniu.

Lekarz urzędowy wreszcie każe prosić.

Gantenbein Theo, urodzony wtedy a wtedy, tam a tam, wszystkie szczegóły zawarte są w zaświadczeniach, które lekarz urzędowy, usiadłszy, przegląda bez zaciekawienia, nie pobieżnie, ale szybko, wkrótce bowiem będzie kwadrans przed dwunastą. Sądząc z niemej obojętności lekarza, zaświadczenia wydają się być w porządku. Sekretarka zakłada już na maszynę do pisania urzędowy dowód ślepoty, dwustronny formularz; Gantenbein ma tylko punkt po punkcie mówić prawdę, co nie zawsze jest łatwe, ponieważ, jak wiadomo, każdy formularz zakłada sytuację zasadniczą, która nie istnieje. Gantenbein nie ma na przykład pracodawcy. Majątek? Pytanie sprzeczne z konstytucją, narusza szwajcarską tajemnicę bankową, której kraj ten tyle zawdzięcza, ale Gantenbein, żeby nie robić trudności, wymienia jakąś sumę, więc troszczący się o niego skarb państwa odczuwa ulgę, a panienska uderza w klawisze maszyny. Całe jej pełne napięcia zainteresowanie nie dotyczy odpowiedzi a k czy n i e, lecz aby to wystukać bez

błędu. Tylko tego. Przy tym wyraz twarzy lekarza miejskiego, Gantenbein widzi: lekarz nie ufa swej sekretarce bardziej niż ślepcowi. To korzystne, teraz brakuje tylko, aby sekretarka musiała coś wytrzeć gumą; lekarz, sądząc z jego wyglądu, nie wrzaśnie na nią, tylko ją ukarze tym, że będzie wobec niewidomego uprzejmiejszy niż wobec niej. Gotów do podpisu, skoro żółta karta zostanie wreszcie wypełniona, już trzyma wieczne pióro. Wydaje się, że wszystko jest w porządku. Gantenbeina denerwują tylko jego zbyteczne wyobrażenia: na przykład, gdyby miał przysiąc prawdziwość świadectw lekarzy-specjalistów. Lekarz urzędowy napomyka, że jest dużo domokrażców, którzy takie karty dla niewidomych wyludzają podstępem, aby wrzusać gospodynie. Dlaczego o tym wspomina? Mówiąc nawiasem wygląda na to, że starowina pomagała Gantenbeinowi, powołując się na poglądy ślepego pana, wypowiedziane w poczekalni; Gantenbein czuje, że jego zjawienie się tutaj zostało dobrze wyreżyserowane.

— Łatwo to powiedzieć! — mówi uprzejmie lekarz urzędowy, zbijając poglądy Gantenbeina — ale gdzie umieścić wszystkich starych ludzi? — Przytacza cyfry, aby później zapytać: — Widzi pan jakieś rozwiązanie?

Telefon odwołuje lekarza, więc Gantenbein musi się zastanowić, zanim powtórnie usłyszy: czy widzi pan jakieś rozwiązanie? Ogranicza się do zrozumienia trudności, wobec jakich taki lekarz urzędowy co dzień staje. Ślepotą poglądów, jakie Gantenbein wyraził w poczekalni, żeby starowince

dodać otuchy, przydaje mu się, czyniąc również wiarogodną jego fizyczną ślepotę. Kiedy lekarz, chcąc swą niecierpliwość wobec sekretarki puścić z dymem, bez słowa zaczyna szukać zapalek, Gantenbein uprzejmym ruchem wyciąga zapalniczkę. Na to lekarz nie był przygotowany. Sekretarka teraz istotnie wyciera coś gumą. Na to lekarz był przygotowany. Nasz umysł nie może być jednocześnie wszędzie obecny; lekarz zapomina o papierosie i o Gantenbeinie. Spogląda na sekretarkę, zaabsorbowany opanowywaniem się, do chwili, kiedy wreszcie karta niewidomego będzie gotowa, milcząco; zapalniczka Gantenbeina znika w jego kieszeni. Teraz lekarz podpisuje. Żółta opaska zostanie przesłana za zaliczeniem, informuje sekretarka. Jak zawsze, kiedy uzyskuje od urzędu coś, co mu jest potrzebne, Gantenbein jest pełen zrozumienia dla urzędu, lekarz' zaś, ze swej strony wdzięczny za zrozumienie, a może również z potrzeby przeciwstawienia się swej sekretarce, która uważa, że on ma okropny charakter, podnosi się i osobiście odprowadza Gantenbeina do windy, nie omieszkawszy wyrazić nadziei, że Gantenbein mimo wszystko odnajdzie w życiu swoją drogę. Gantenbein próbuje go uspokoić, współczucie wprawia go w zakłopotanie, zapewnia, że przed utratą wzroku wiele widział z tego świata; był nie tylko w Grecji i w Hiszpanii, ale nawet w Maroku, którego na przykład lekarz nigdy nie widział, oczywiście w Paryżu, w Luwrze, w Damaszku, a za młodych lat raz na szczycie Matterhorn, tak, co prawda podczas mgły. Winda każe na sie-

bie czekać, więc wywiązuje się ożywiona rozmowa, o podróżach. Lekarz urzędowy niewiele może podróżować, ma w ciągu roku trzy lub cztery tygodnie urlopu. Gantenbein poleca mu gorąco Hawanę. W przyszłym roku, mówi lekarz, chciałby raz jeszcze pojechać do Hiszpanii. Gantenbein zwraca jego uwagę przede wszystkim na centralną część kraju, Salamankę, Avile, Segovie, Kordobę. Gorsze niż w Hiszpanii, zapewnia Gantenbein, są obecnie szosy w Turcji, nie mówiąc o Iraku; w pewnej chwili winda zatrzymuje się przed nimi, ponieważ jednak żaden z nich nie wsiada, drzwi zamykają się znowu. — Widziałem dosyć — mówi Gantenbein. Tylko w Rosji nigdy niè był, tak samo jak lekarz urzędowy. Dochodzi do pierwszej rozmowy politycznej, którą Gantenbein prowadzi jako niewidomy, idzie to łatwiej, niż kiedykolwiek: człowiek daje się pouczać przy pomocy poglądów... Drzwi windy otwierają się po raz drugi, nie ma już czasu na liczne informacje, których Gantenbein mógłby jeszcze udzielić. Jeżeli Hiszpania, to pieczary Altamiry. Jeżeli Segovia, to należy jadać w restauracji Hemingwaya „Candido”, tuż przy akwedukcie. Jeżeli Turcja, to nie wolno pominąć meczetu w Edirne. Jeżeli Jerozolima, to koniecznie w piątek. Gantenbein stoi już w windzie, lekarz nie prosi go o rękę, lecz o palec, Gantenbein nie od razu rozumie, o co mu chodzi. O jego palec wskazujący, by mógł nim nacisnąć właściwy guzik w windzie, skoro usłyszy zamykanie się jej drzwi zewnętrznych. Gantenbein musi zapewnić raz jeszcze, że go

ktos na dole oczekuje. Opaska, mówi lekarz raz jeszcze, zostanie mu przesłana...*

No, więc tak.

Sam w windzie, odprężony jak aktor za kulisami, Świadom tego, że go nikt nie widzi, Gantenbein natychmiast odczytuje urzędowy papier. Ślepotą jego została uwierzytelniona. Daje to od razu inne poczucie, inny sposób bycia, również w stosunku do lekarza, kiedy Gantenbein po pięciu minutach, zjechawszy windą w dół, a potem znowu wjechawszy nią na górę, musi raz jeszcze stanąć przed nim, zapomniał bowiem swej czarnej łaski. — Prawda! — mówi lekarz, rojąłdając się w trakcie namydlenia i mycia rąk; spieszo mu na obiad, sekretarka już sobie poszła. Nie chcąc trudzić uprzejmego lekarza, Gantenbein sam bierze łaskę, zawieszoną na oparciu fotela, śmiertelnie przerażony, że stracił głowę, wskutek czego zdemaskował nie tylko samego siebie, ale i dwóch lekarzy specjalistów. Co teraz? Wydaje się jednak, że lekarz urzędowy nic w tym nie widzi, tak bardzo wierzy we własny podpis; kiwa tylko głową, osuszając teraz umyte ręce, nieco zmieszany, bo jest bez marynarki. Po tygodniu, punktualnie, jak się tego należało spodziewać po szwajcarskim urzędzie, Gantenbein otrzymuje żółtą opaskę, która mu wiele rzeczy ułatwia.

Trudności pozostają jedynie w obcowaniu z kobietami.

Aby wypróbować nową opaskę, Gantenbein idzie oczywiście nie do kawiarni, w której przed utratą wzroku był codziennym gościem, lecz do innej, gdzie go kelnerzy nie znają; jest zachwy-

eony oglądaniem samych nowych twarzy, kobiet, jakich jeszcze nigdy nie widział. Zachwył jego nie daje im spokoju, widzi to. Z czarną laseczką między kolanami, z żółtą opaską na ramieniu, Gantenbein, wypiwszy swoje campari, wkłada papierosa do cukiernicy i robi parę innych takich sztuczek. Czyżby nie dowierzano jego urzędowej opasce? Czuje, że go obserwują. Wypróbowuje różne pozy, wyrażające męską swobodę, które go zdradzają, i już widzi rezultat; również dama przy stoliku obok demonstruje swobodne pozy, to nagle pudruje sobie nos, to maluje wargi albo odwraca głowę, jakby nie chciała, żeby się na nią gapiono, to znów po prostu wystawia go na próbę, uśmiechając się nagle do niego. Będzie mu trudno, kobiety nigdy nie uwierzą w jego ślepotę, opaska opaską, a kobiety czują w plecach, kiedy się na nie patrzy.

Siedzę w barze, godzina popołudniowa, jestem więc sam z barmanem, który mi opowiada swoje życie. Kapitalny narrator! Czekam na kogoś. Płuczac szklanki mówi:

— Tak właśnie było!

Piję. A więc historia prawdziwa.

— Wierzę panu — mówię.

Barman wyciera szklanki.

— Tak — mówi jeszcze raz — tak było!

Piję i zazdroszczę mu — nie jego niewoli rosyjskiej, lecz pozbawionego jakiegokolwiek wątpliwości stosunku do swojej historii...

— Hm — mówi — znowu tak strasznie pada. Nie podchwytuję tego tematu, piję.

— Każda historia jest zmyślona — mówię po chwili, nie wątpiąc, w okropności jego niewoli — w gruncie rzeczy, każde „ja”, które się wypowiada, jest jakąś rolą...

— Panie doktorze — mówi — jeszcze jedną whisky?

Panie doktorze!

— Nasza chciwość historii... — mówię i spostrzegam, że dużo już wypilem, można to poznać po tym, że nie wypowiadam zdań do końca, zakładając, że już zostałem zrozumiany dzięki mojej sile przekonywania — człowiek ma może dwa czy trzy doświadczenia najwyżej, kiedy opowiada o sobie, kiedy w ogóle opowiada. Wzorec przeżyć, ale nie historia — mówię — nie historia. — Piję, ale kieliszek mam pusty. — Nie można oglądać samego siebie, w tym rzecz, a historii widzi się tylko od zewnątrz, stąd nasza chciwość historii! — Nie wiem, czy barman, który spędził sześć lat na Uralu, słucha mnie, biorę papierosa, aby być niezależnym. — Ma pan jakąś historię? — zapytuję, nie bacząc na to, że przed chwilą opowiedział mi coś, co widocznie uważa za swoją historię, i mówię: — Ja nie mam żadnej. — Palę, obserwuję go, jak bierze moją pustą szklanę, by ją zanurzyć w wodzie, jak sięga po inną, czystą, suchą, nie mogę mu przeszkodzić w przyrządzeniu kolejnej whisky; właśnie dlatego, że go obserwuję, nie mogę temu przeszkodzić... Myślę o człowieku z Kesch, historii tej nigdy jeszcze nikomu nie opowiadałem, choć

mnie ciągle prześladowe, jest to historia morderstwa, którego nie popełniłem. Obracając szklanke, za-
pytuje:

— Był pan kiedyś na Kesch?

— Kesch? — pyta. — Co to takiego?

— Piz Kesch — odpowiadam — to szczyt
górski.

— Nie — mówi. — Dlaczego?

Bzdura! myślę sobie. Dlaczego właśnie on
miałby być tym człowiekiem, którego w roku
1942 spotkałem na szczycie Kesch? Milknę. Bzdu-
ra. Piję*

— Każdy człowiek prędzej czy później wymyśla
sobie historię, którą uważa za swoje życie — po-
wiadam — albo nawet szereg historii. — Jestem
zbyt pijany, aby móc naprawdę iść za własnymi
myślami, złości mnie to, więc milknę;

Czekam na kogoś.

— Znałem człowieka — zaczynam o czymś
innym — mleczarza, który źle skończył. Dostał
się mianowicie do szpitala dla wariatów, choć nie
uważał się ani za Napoleona, ani za Einsteina,
przeciwnie, uważał się za mleczarza. Wyglądał
też jak mleczarz. Zbierał przy tym znaczki pocztowe,
ale była to jego jedyna cecha świadcząca o fantazji;
jako człowiek, na którym można polegać, był
kapitanem straży ogniowej. Zdaje mi się, że za
młodu uprawiał gimnastykę, w każdym razie był
człowiekiem zdrowym, spokojnym, wdowcem, ab-
stynentem, nikomu w naszej gminie nie przyszłoby
do głowy, że tego człowieka będzie trzeba umieścić
w szpitalu dla wariatów. — Pałę. — Nazywał

się Otto — mówię. — „Ja”, które sobie ten poczciwiec wymyślił, nie było kwestionowane przez całe jego życie, zwłaszcza że nie wymagało to od otoczenia żadnych ofiar, przeciwnie, dostarczał do wszystkich domów mleko i masło. Nawet w niedzielę. Dwadzieścia jeden lat. My, dzieciaki, lubiliśmy go; często sadzał nas na swoim trzykołowym wózku. — Pałę. Opowiadam: — Był wiosenny wieczór, sobota, Otto, jak w ciągu wszystkich tych lat, z fajką w ustach stał na balkonie swego segmentowego domku, położonego wprawdzie przy wiejskiej ulicy, ale otoczonego tyłoma ogródkami, że skorupy nie mogły nikomu wyrządzić krzywdy. Bo z przyczyn, które dla niego samego pozostały nie ujawnione, Otto chwycił nagle doniczkę z kwiatami, jeżeli się nie mylę, były to geranie, i grzmotnął nią niemal prostopadle w ogródek, co od razu spowodowało nie tylko skorupy, ale i ogólne poruszenie. Wszyscy sąsiedzi jak na komendę zwrócili głowy w tym kierunku; stali na balkonach, tak jak on, bez marynarek, aby delektować się wieczorem, albo w swych ogródkach, polewając grządki, i wszyscy natychmiast odwrócili głowy. Wydaje się, że to ogólne poruszenie rozgniewało naszego mleczarza tak bardzo, że wszystkie doniczki, w liczbie siedemnastu, cisnął do ogródka, który ostatecznie, tak jak doniczki, był jego skromną własnością. Mimo to zabrali go. Od tej pory Otto uchodził za obłąkanego. I słusznie zapewne — ciągnę. — Odtąd nie można było z nim rozmawiać. — Pałę, barman uśmiecha się, jak wypada, ale nie jest pewien, co właściwie chciałem powie-

dzieć. — No cóż — mówię i gaszę papierosa w popielnicze — jego „ja” zużyło się, to może się zdarzyć, a żadne inne nie przyszło mu do głowy.

To było okropne.

Nie wiem, czy mnie rozumie.

— Tak — mówię — tak właśnie było.

Biorę następnego papierosa.

Czekam na kogoś —

Barman podaje mi ogień.

— Znałem innego człowieka — mówię — który nie dostał się do szpitala dla wariatów, choć żył całkowicie w urojeniu. — Palę. — Wyobraził sobie, że jest pechowcem, człowiekiem rzetelnym, ale nie mającym szczęścia. Wszyscy litowaliśmy się nad nim. Ledwie coś niecoś zaoszczędził, przychodziła dewaluacja. I tak było zawsze. Żadna cegła nie spadała z dachu, jeśli on akurat nie przechodził. Urojenie, że się jest pechowcem, należy do najulubieńszych, ponieważ jest wygodne. Nie było miesiąca, tygodnia, a nawet dnia, w którym nie miałby powodu do narzekania. Kto go jako tako znał, bał się zapytać: co słyhać? Właściwie nawet nie biadał, uśmiechał się tylko z powodu swego legendarnego pecha. I rzeczywiście, zawsze przytrafiało mu się coś, co innym było oszczędzone. Po prostu pech, nie można było temu zaprzeczyć, zarówno w rzeczach ważnych, jak i w drobiazgach. Znosił to dzielnie — powiadam paląc — aż zdarzył się cud. — Palę i czekam, żeby barman, zajęty głównie szklankami, choćby mimochodem zapytał o rodzaju cudu. — Był to dla niego cios — mówię — prawdziwy cios, kiedy wygrał

główny los na loterii. Doniosły o tym gazety, więc nie mógł zaprzeczyć. Kiedy go spotkałem na ulicy, był błądy, nieprzytomny, nie zważył w swoje urojenie, że jest pechowcem, lecz w loterię i w ogóle w cały świat. Nie było w tym nic śmiesznego, potrzebował pociechy. Na próżno. Nie mógł pojąć, że nie jest pechowcem, był tak zbity z tropu, że w drodze z banku do domu naprawdę zgubił portfel. Myślę, że wolał to — dodaję — w przeciwnym razie pocziwiec musiałyby wymyślić inne „ja”, nie mógłby już widzieć siebie jako pechowca. Inne „ja”, to rzecz kosztowniejsza niż strata wypchanego portfela, oczywiście musiałyby zrezygnować z całej historii swego życia, raz jeszcze przeżyć wszystkie wydarzenia, i to inaczej, ponieważ nie pasowały już do jego życia... Piję.

— Wkrótce potem zdradziła go jeszcze żona — mówię. — Żał mi było tego człowieka, był naprawdę pechowcem.

Pałę.

Deszcz pada w dalszym ciągu... Już nie wiem, co właściwie chciałem przez to powiedzieć, i obserwuję mego barmana: może to jednak on? — myślę, choć temu zaprzeczam; nie pamiętam już, jak ten człowiek z Kesch wyglądał, może dlatego nie mogę się go pozbyć; pałę, myślę o tym, milczę, pałę.

Był rok 1942, niedziela kwietniowa lub majowa, kwaterowaliśmy w Samaden, kanton Graubunden,

dzień był bezchmurny, miałem przepustkę na koniec tygodnia, ale nie pojechałem do domu; chciałem być bez ludzi i poszedłem w góry. Właściwie urlopowiczom chodzenie w pojedynkę było zabronione ze względu na grożące niebezpieczeństwa; mimo to poszedłem sam na Piz Kesch. Przenocowałem w stodole, zimnej jak psiarnia, bez siana, pełnej przeciągów; noc była jasna, gwiazdzista, chciałem ominąć szafas, przypuszczając, że są tam oficerowie, którym, jako zwykły kanonier, musiałbym się zameldować, a tego właśnie nie chciałem. Pragnąłem mieć urlop, urlop od wszelkiego przymusu meldowania się. Ponieważ przez całą noc marzęm, zerwałem się wcześniej, na długo przed wschodem słońca; na tle szarego piargu nikt nie mógł mnie dostrzec w moim polowym mundurze khaki, wspinałem się dosyć szybko i kiedy doszedłem do śniegu, był jeszcze twardy jak lód. Odpoczywałem w siodle Keschu, kiedy właśnie weszło słońce, jak okiem sięgnąć nie było człowieka, na śniadanie zjadłem suchą ovomaltinę. Miałem przy sobie czekan, dlatego właśnie nie chciałem, aby mnie ktoś w dolinie zobaczył: samotny wędrowiec z czekaniem. Teraz byłem rad z posiadania lśniącego czekana, może obyłoby się i bez mego, śnieg bowiem wkrótce zmięknął na słońcu, ale w cieniu trzeba było wyrąbywać stopnie. Zdjąłem zakurzoną bluzę mundurową, przywiązałem ją do paska, od czasu do czasu rozglądałem się, czy nikt się nie zbliża, szczególnie oficerowie. Gdybym dostał się wreszcie na .szczyt, nie mogliby mi już niczego zabronić, myślałem

sobie, najwyżej zapytać, czy nie znam rozkazu, i skończyłoby się na wysokogórskim koleżeństwie. Ale nie widziałem nikogo, w każdym razie nikogo na śnieżnym polu; kiedy nie wyrąbywałem stopni, również żaden dźwięk nie docierał do moich uszu. Byłem sam jak na księżycu. Słyszałem, jak zsuwają się ze skał zwały śniegu, poza tym nic, od czasu do czasu dźwięczne uderzenie czekana o skały, szum wiatru nad granią, poza tym nic. Kiedy później dotarłem do szczytu, doznałem uczucia szczęścia: byłem sam na sam z krzyżem zatkniętym na najwyższym punkcie. Robiło się coraz cieplej, zbudowałem z kamieni wnękę chroniącą od wiatru, zdjąłem z siebie nawet przepoconą koszulę, zwinąłem bluzę w coś w rodzaju poduszki. Później, zmęczony nocą, spałem, nie wiem, jak długo: w każdym razie zamknąłem oczy i drzemałem, nie myśląc o niczym. Człowiek, który do mnie nagle zagadał, cywil, powiedział coś, przekonany, że się posłużył dialektem szwajcarskim; był niewątpliwie Niemcem, widząc moje zdumienie, oświadczył, że nie chciał mi zakłócić spokoju; oczywiście usiadłem natychmiast, na razie bez słowa. Musiał tu już być dłuższą chwilę, jego plecak leżał opodal. Powiedziałem: — Dzień dobry! — i podniosłem się na nogi, tak że staliśmy teraz obok siebie. Trzymał przy oczach lornetę, chciał wiedzieć, który ze szczytów nosi nazwę Bemina. — Przecież jest pan żołnierzem! — powiedział, ujrzawszy moje niemożliwe rurowate spodnie, i uśmiechnął się znacząco; pokazałem mu ów szczyt, ale zauważyłem po chwili, że doskonale

orientuje się w okolicy. Zapewne miłośnik Engadinu, cudzoziemiec, ale dobry znawca gór; w każdym razie znał nie tylko nazwy szczytów: Bemina, Palii, Rosatsch, ale i wsi w dolinie. Miał ze sobą mapę jak należy, chociaż mapy były w owym czasie konfiskowane, oraz Leikę. Uporczywa potrzeba ciągłego naśladowania naszego narzecza, brzmiącego w jego ustach jak dziecięce paplanie, bez umiejętności podchwycenia odmiennego akcentu, a przy tym naiwna łaskawość, co mnie drażniło, mimo że on widocznie tego nie zauważył, wszystko to utrudniało naszą rozmowę bardziej niż wiatr. Oczywiście odpowiadałem poprawną niemczyzną, chociaż ze szwajcarskim akcentem, ale na próżno. — Dużo wojska tutaj, tak! — Widziałem, że stara się brać serio mój mundur. Może ten nastrój zakłopotania powstał z mojej winy, pomyślałem sobie, kiedy wyciągnął ku mnie lornetę, i zaproponowałem, aby się napił z mojej manierki Veltlinera. Zobaczyłem teraz przez lornetę, że posłużył się moimi śladami. Nikt się poza tym nie zjawiał. Podziękowałem za lornetę. Został około pół godziny, gawędziliśmy, przede wszystkim o górach, także o fibrze, ton jego był pełen uznania. Miałem jakieś opory (właściwie dlaczego?) przed spojrzeniem mu w twarz, jakby przygotowany na nietakt, który mnie z góry wprawiał w zakłopotanie, I mało miałem do powiedzenia. Nie wiem, za kogo mnie uważał, w każdym razie za człowieka niewyrobionego; zdziwił się ogromnie, kiedy się okazało, że znam Berlin. Im płynniej szła teraz rozmowa, płynniej przez to, że przestał posługiwać się dialek-

tem, tym niecierpliwiej czekałem na chwilę, kiedy sięgnie po swój plecak. Moja rada, będąca odpowiedzią na pytanie, jak najprędzej mógłby zejść do Madulein, okazała się zbyteczna. Nocował w schronisku na Kesch, które Chwalił, jakbym ja je wybudował. Dużo oficerów, tak, bardzo miłe chłopaki. Pytanie, czy nas szkołą w alpinistyce, pozostawiłem wiatrowi. Nie dopuszczał żadnych wątpliwości, że zdąży dotrzeć na czwartą do Madulein. Bądź co bądź spakował teraz plecak, ofiarując mi przy tej okazji jabłko. Byłem nieco zawstydzony. Jabłko tu na górze, to było coś. Kiedy przymocował na grzbiecie plecak i uściśliśmy sobie dłonie, nie byłem na to przygotowany, dał nagle wyraz prostodusznej szczerości, której dosłownego brzmienia zapomniałem. „Rzesza” — to mi wystarczało; sens był wyraźny. Nic na to nie odpowiedziałem, ale też w ogóle milczałem, stałem z rękami w kieszeniach moich rurowatych spodni polowych, których nienawidziłem, spoglądałem na kraj, który, jak tamten powiedział, wkrótce należeć będzie do Rzeszy. Widziałem: skały, czarniawe, miejscami też czerwone, śnieg w świetle południa, stoki pokryte szarym piargiem, potem bezdrzewne, kamieniste łązki, potoki lśniące od słońca, hale, bydło, z oddali wyglądające jak małe robaki, dolinę porośniętą lasem, cienie chmur; w pobliżu czarne kawki. Dopiero po chwili, kiedy wsunął do plecaka również Leikę i kiwnąwszy wesoło, trochę łaskawie ręką, raz jeszcze życząc mi lekkiej służby, wreszcie znikł za skałą, ogarnęła mnie złość, że mu nie dałem po pysku, i zacząłem

się interesować jego znakami szczególnymi; wsta-
piłem na wystającą półkę skalną, ale za późno;
ujrzałem go dopiero, kiedy okrążywszy grzbiet
znalazł się trzydzieści metrów pode mną i mogłem
tylko dojrzeć jego zielony filcowy kapelusz. Po-
śliznął się, ale złapał równowagę; potem schodził
ostrożniej. Zawolałem na niego, żeby raz jesz-
cze zobaczyć jego twarz; nie usłyszał. Chciałem
mu powiedzieć, żeby łaskawie unikał strącania ka-
mieni. Raz po raz rozlegał się ich łoskot, ale to
mu widocznie nie przeszkadzało, był przecież na
górze. Im bardziej opanowywałem w sobie obu-
rzenie z powodu jego wypowiedzi, tym bardziej
mnie teraz gniewało, jak ten idiota schodzi. Znowu
potoczyły się kamienie! Gwizdnąłem na palcach;
zapewne wziął to za gwizd świstaka, który również
wkrótce należeć będzie do państwa Hitlera; obej-
rzał się. Stałem na skale, dopóki nie dotarł do siodła
Keschu, czarny człowieczek na śniegu; zapewne
robił znowu zdjęcia, w każdym razie długo człapał
tu i tam. Podniosłem bluzę, nagle zdecydowany
zejść, aby go dogonić. Po co? Zostałem na szczycie.
Obserwowałem go, dopóki nie zszedł ze śnieżnego
poła, potem widziałem go jeszcze na piargu, na
hali maskowała go lodenowa kurtka i dałem spokój
bezsensownemu obserwowaniu. ,
Potem zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, zapewne z zimna, przera-
żenie ogarnęło mnie na myśl: zepchnąłem tego
człowieka w przepaść. Wiedziałem: nie uczyniłem
tego. Ale właściwie dlaczego? Nie śniło mi się to
także, obudziłem się tylko z myślą: jedno pchnięcie

ręką, kiedy pochylił się, żeby podnieść plecak, wystarczyłoby...

Zjadłem teraz jego jabłko.

Jestem oczywiście rad, że tego nie uczynił. Byłoby to morderstwo. Nigdy o tym z nikim nie mówiłem, nigdy, nawet w cztery' oczy, choć tego nie uczyniłem... Spojrzałem wokół: jak okiem sięgnąć nikogo. Kilka czarnych kawek. Żadnego naocznego świadka. Nikogo. Tylko wiatr. Wieczorem w Samaden znalazłbym się na głównym apelu w tylnym szeregu, głowa w prawo, ręce przy szwach, postawa na baczność, dziarska i karna, potem piłbym piwo. Myślę, że nikt by tego po mnie nie poznał. Od tego czasu rozmawiałem z wieloma mordercami, w wagonie restauracyjnym, podczas przerwy koncertowej czy gdzie indziej, nie można nic po nich poznać... Po zjedzeniu jabłka raz jeszcze wszedłem na wystającą półkę skalną, aby zobaczyć, jak głęboko byłby runął. Chropowaty, iskrzący się, nawis, poza tym nic. Czarne kawki żeglowały nad dalekim małym lodowcem.' Niewielka ściana północna, no tak, niemal prostopadła. Spojrzałem na zegarek: czas mijał. Wziąłem moją zakurzoną bluzę, pas, czekan., Śnieg był teraz dosyć miękki, przyznaję, że i spod moich nóg stoczył się raz kamień. Kiedy dotarłem do siodła Keschu, już właściwie zapomniałem o tym człowieku. Niezależnie do tego, że schodzenie po miękkim śniegu wymagało całej mojej uwagi, nie trzeba chyba dodawać, że miałem inne, poważniejsze troski; myślenie o nich miało niezawodnie więcej sensu, zaczynając od tego potwora feld-

febla, który znowu chciał mnie wyznaczyć na wartę, albo raczej od mego zawodu, który zawiesiłem na kołku, z zawodu nie byłem przecież żołnierzem. Kiedy po południu w siodle Keschu patrzyłem na krzyżujące się ślady jego kroków, nie przyszła mi na myśl jego wypowiedź tam na górze, gdzie teraz pozostał tylko samotny biały krzyż, raczej to, że można było zrobić coś, czego nie zrobiłem. I na tym, tak można by sądzić, sprawa się właściwie zakończyła; właśnie dlatego, że nic nie uczyniłem. Interesowało mnie jednak, gdzie prawdopodobnie byłby runął. Tylko dla własnej ciekawości. Choć tutaj znajdował się mały lodowiec, pobrnąłem na północ, pod Piz Kesch. Niedaleko; tylko żeby zobaczyć; tylko parę kroków. Śnieg był tutaj tak miękki, że się zapadałem po kolana; spociłem się. Przydałyby się narty. Znałem zjazd przez lodowiec. Bez ekwipunku bojowego, bez karabinu na plecach, musiał być wspaniały. W prawo do Sertig, w lewo do Bergun. Daleko, więc nie dobrnąłem; zresztą czas był już na mnie. Trzecia! O tej porze tamten był już daleko w dolinie, z jednej strony miał przed sobą widok na Madulein, z drugiej na dział wodny; jeżeli szedł tak dziarsko, jak opowiadał, musiał już być przy pierwszych sosnach. Podczas kiedy ja tutaj zapadałem się w śnieg po kolana! Mimo wszystko stałem teraz pod tą małą ścianą, a nie wiedząc, jak byłoby mi na duszy na widok strzaskanej czaszki, zastanawiałem się rzeczowo, czy ów człowiek byłby runął na ten piarg. Wdrapałem się parę metrów w górę, aby dokładniej obejrzeć

ścianę, a także stanąć pewniej; rozpadlina pod moimi nogami przejęła mnie lękiem. Dyszałem. Może byłby zawisł na skałach, tylko jego Leica spadłaby na śnieg, a może i nie. Oglądana z bliska, nie była to właściwie żadna ściana; zapewne zatrzymałby się już w żlebie na górze. Nie wiedziałem, dlaczego zajmuję się tym, co się nie zdarzyło. Nie było tu wichru jak na szczycie, panowała śmiertelna cisza; ciurkała tylko wolno topniejąca woda, popołudniowe słońce padało bowiem na żleb. Było gorąco, nie po raz pierwszy przeklinałem niepraktyczny mundur naszej armii. W popołudniowym świetle skała wyglądała jak z bursztynu, niebo nad nią było fioletowe, natomiast mały lodowiec niebieskawy, w każdym razie w szczelinach, śnieg zaś wyglądał raczej jak mleko, tylko moje głębokie ślady szklistosine. Wszystko dokoła nieruchome. Tylko czarne kawki żeglowały wysoko. Krzyż na szczycie był stąd niewidoczny. Wróciłem do siodła Keschu. Nadzieja, że można będzie ześlizgiwać się kawałkami, okazała się płonna; próbowałem kilkakrotnie, ale śnieg był zbyt rozmiękły. Poszedłem śladami tamtego aż do końca śnieżnego pola, jego stąpienia można było rozpoznać i na łupkowym żwirze, ślady zsuwania się, ale i inne, kroki jak pieczęcie, stwierdziłem, że miał na sobie pierwszorzędne buty górskie, dopiero na łąkach straciłem jego ślad na zawsze. To wszystko.

Wieczorem w Samaden, na apelu, stanąłem w tylnym szeregu, ale na próżno: odkomenderowano mnie na wartę, nic nie wyszło z piwa i ze spania,

słońce piekielnie mnie spaliło, dostałem gorączki. Choć powoli doszedłem do przekonania, że ów człowiek spotkany na Kesch nie był niewinnym turystą, z nikim się tym nie podzieliłem. Pełniłem wartość na rynku, a więc nic do roboty, i z karabinem na ramieniu mogłem wypatrywać, czy nie przejdzie przez rynek człowiek w zielonym filcowym kapeluszu. Moja beletrystyczna nadzieja oczywiście się nie ziściła. Pełniłem wartość na próżno, dziesięć kroków w jedną stronę, dziesięć z powrotem. W owym czasie, w roku 1942, nie było właściwie turystów. Poznałbym go, ale nie przechodził przez Samaden —

A więc postawmy na tym krzyżyk!

Na czym?

Jak wiadomo, w następnych latach wiele się wydarzyło. Wiele istotnych rzeczy. Nigdy o tym nie myślałem, dalibóg nie było czasu na drobiazgi, a co dopiero na chimery, na wymyślone morderstwa, kiedy, jak się wkrótce dowiedziałem, codziennie dokonywano ich dosyć. A więc nie myślałem już o tym i nigdy nie opowiadałem o tej niebieskiej niedzieli na Piz Kesch; byłoby to zbyt śmieszne.. Nigdy też już nie wdrapałem się na szczyt tej góry. Mimo to, jak się później okazało, nie zapomniałem o tym, choć naprawdę wyszło mi z pamięci niejedno, czego istotnie dokonałem. To znamienne. Wydaje mi się, że przede wszystkim rzeczywiście dokonane czyny wypadają nam najłatwiej z pamięci; jedynie świat, nie wiedząc o czynach nie dokonanych, przypomina sobie z przyjemnością o dokończonych, które mnie właściwie tylko nudzą. Pokusa'

rozdmuchania swoich paru czynów dobrych czy złych płynie z tej nudy. Nie mogę już słuchać o tym, że dokonałem tego czy tamtego, mniejsza o to, czy było to haniebne, czy chwalebne, Tylko jako niezapomniana przyszłość, nawet jeżeli ją "przenoszę w przeszłość jako wymysł, moje życie nie nudzi mnie — jako urojenie: gdybym tego człowieka na Piz Kesch strącił ze śnieżnego nawisu...

Nie uczyniłem tego.

Żaden oprawca nie przyjdzie po mnie.

A więc: położmy na tym krzyżyk!

Dopiero o wiele później, czytając gazetę, nagle znowu o tym pomyślałem. Wyczytałem między innymi, że w pobliżu Klósters, w kantonie Graubunden, miał być założony niemiecki obóz koncentracyjny; plany były gotowe i należy przyjąć, że tego rodzaju plany sporządzono nie bez gruntownego zapoznania się z okolicą. Kto przeprowadzał rekonesans w okolicy Klosters? Może człowiek, który owej niedzieli 1942 roku również wyprawił się na Piz Kesch, aby się rozkoszować widokiem, człowieka, którego nie strąciłem ze śnieżnego nawisu—

. Nie wiem.

Nie dowiem się nigdy, kim był.

Innym razem musiałem o tym pomyśleć, kiedy Burri, wówczas młody lekarz, wrócił z Grecji, gdzie pracował w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu, i opowiadał nam, co na własne oczy oglądał, między innymi: jak wygłodzone dziecko greckie, które w śródmieściu Aten próbowało z ciężarówki Wehrmachtu ukraść bochenek chleba, pochwycone

zostało przez żołnierza i zastrzelone na środku jezdni. Burri widział oczywiście nie tylko to; nie każdy żołnierz strzelał do dzieci greckich czy polskich. Wiem o tym. Zapytałem tylko, jak wyglądał ten żołnierz w Atenach, jak gdybym go mógł rozpoznać —

Po co!

Gawędziliśmy, jak to się robi na wierzchołku góry, że tak powiem, po koleżeńsku, dwaj mężczyźni, dookoła ani żywej duszy, po koleżeńsku, ale zwięźle, wiatr, nie ustający ani na chwilę, nie pozwala na długie zdania. Rzecz jasna bez formalności, podania ręki, bez wzajemnego przedstawiania się. Obaj dotarliśmy do szczytu, to wystarcza, obaj mieliśmy ten sam rozległy widok. Nie wiem już nawet na pewno, czy podaliśmy sobie ręce; może trzymałem moje w kieszeniach spodni. Później zjadłem jego jabłko, nic więcej, spojrzałem z nawisu w dół. Wiem z pewnością, czego nie uczyniłem. Może był to porządny chłop, może nawet chłop pierwsza klasa, powtarzam sobie to raz po raz, aby sobie ulżyć, że tego nie uczyniłem. Może nawet spotkałem go jeszcze kiedyś, nie wiedząc o tym, po wojnie, inaczej ubranego, tak że się: człowieka przy najlepszej woli nie poznaje, może jest jednym z wielu ludzi, których szanuję i których znajomości nie chciałbym utracić. Jestem tylko czasem taki niepewny. Nagle. A przecież minęło dwadzieścia lat. Wiem, że to śmieszne. Śmieszne jest nie móc zapomnieć o czynie, którego się nie dokonało. Nikomu też o tym nie opowiadam. I czasami całkowicie o nim zapominam...

Tylko mam w uszach jego głos.

Opróżniam szklanę.

Czas płacić.

— Tak—powiadam — Rosjanie!

Widzę, że mój barman myślał tymczasem także o czymś innym... O swojej historii z kopalni rosyjskiej, związanej z moją historią, która nie miała miejsca — zostawmy to...

— Panie doktorze — pyta — jeszcze jedną whisky?

— Niech mi pan powie — mówię, podczas gdy opróżnia popielniczkę i ściereczką wyciera ladę, którą widocznie zasypałem popiołem — był pan kiedy na Piz Kesch?

— Nie—odpowiada — pan już pytał o to.

Za dużo wypilem... Kobieta, która tymczasem weszła, szuka kogoś wzrokiem, co mi przypomina, że od półtorej godziny czekam na kogoś; okazuje się że to żona tego kogoś, musiał niestety wyjechać, przyszła, aby go wytłumaczyć. Zsuwam się ze stołka, aby pomóc jej zdjąć przemoczony płaszcz. Żeby być uprzejmym. Żeby pokazać, że nie mam pretensji. Oczywiście. Właściwie, to ja powinienem się tłumaczyć; zupełnie zapomniałem o czekaniu. Chcąc być uprzejmy mówię:

— Napije się pani czegoś?

Jestem nieco zmieszany, bo męża jej, który bawi w Londynie, a na którego miałem czekać, nigdy jeszcze nie widziałem i zamiast niego widzę jego żonę; tak, jestem nieco zmieszany.

— Ciągle jeszcze pada? — zapytuję.

— Nie chcę pana zatrzymywać! — mówi ona,

siadając na stołku przy barze. — Naprawdę nie chcę pana zatrzymywać —

— Czego się pani napije? — pytam.

— Ach — powiada — taka ulewa!

Musi naprzód poprawić fryzurę, a zauważywszy widocznie, że za dużo wypilem, zamawia dla siebie piwo imbirowe. O czym teraz mówić? Od razu, nie wiem dlaczego, uważam ją za aktorkę. Widzę tę kobietę po raz pierwszy i zapewne ostatni. Aby nie być nieuprzejmy, nie pytam o jej zawód; może jest nawet znaną aktorką i moje pytanie dotknęłoby ją. Sięgam więc po precle na prawo i lewo i chrupię je, i słucham, dlaczego Svoboda, jej mąż, musiał wyjechać, coraz to podaję jej ogień i wyrazem twarzy w milczeniu proszę o wybaczenie. Mówiąc o mężu pali nieco za pośpiesznie. Jej wilgotne od deszczu, czarne włosy lśnią. Jestem zdecydowany nie zakochać się w niej. Oczy ma niebieskie, duże. Czasem na mnie kolej coś powiedzieć, aby nie sprawić wrażenia zakłopotanego czy tępaka. Niepewność, czy mam ją uważać za aktorkę, czy nie, wprawia mnie w coraz większe zakłopotanie. Tymczasem ona, nie wiem dlaczego, mówi teraz o Peru. Pytam siebie, jaką rolę powierzyłbym tej kobiecie. Moje milczenie, wypełnione spojrzeniami, daje jej widocznie poczucie, że jest zrozumi-
miana; w każdym razie i ją ogarnia lekkie zakłopotanie. Pije swoje piwo imbirowe, jakby nagle zaczęła się śpieszyć. Nie chce zatrzymywać obcego pana. Wypytyuję ją o Peru, ale ona naprawdę nie chce zatrzymywać obcego pana, przyszła, żeby wytłumaczyć swego Svobodę, chce płacić, do czego

nie dopuszczam. — Ależ proszę pani! — mówię, a ponieważ barman Pepe udaje teraz głuchego i wycofał się w głąb baru, nie dochodzi do płacenia i musimy gawędzić dalej. O czym? Wypytyuję o jej męża, którego miałem poznać. Jej mąż, jak wspomniałem, przebywa w Londynie. Nagle, jakby zaalarmowany, całkowicie trzeźwieje; tylko obcy pan, którego ona nie chce zatrzymywać, jest, tak jak przedtem, pijany, nic okropnie, ale bądź co bądź tak, że różnię się od niego. Peru, mówi ten pan, to kraj jego nadziei! Chociaż to, co on mówi, ja uważam za brednie, ona słucha z szeroko otwartymi oczami, zdaje się, że jej się podoba gawędzenie o Peru, którego nie znam. Objechała Peru ze swoim mężem. Muszę przyznać się do czegoś, mianowicie: rzadko trafia się kobieta, z którą rozmowa może mnie interesować, jeżeli w jakimś stopniu nie interesuję się nią jako kobietą. Stąd moje spojrzenie na jej usta. Kiedy przypadkiem dochodzi do moich uszu, że jest wierna, nie wiem, ■ dlaczego to powiedziała, nie słuchałem uważnie. Ma twarz żywą i ładną, kiedy mówi, przyglądam się jej bez słowa (podczas gdy obcy pan rozmawia) z uśmiechem, aż ona się rumieni, odrzuca w tył włosy, długo strząsa z papierosa popiół, którego nie ma, udaje, że odcyfrowuje reklamę nad barem: JOHNNIE WALKER HIGHEST AWARDS, mruga z powodu unoszącego się koło jej twarzy dymu z własnego papierosa, GUARANTEED SAME QUALITY THROUGHOUT THE WORLD, twarz jej warto oglądać również z boku, ręka jej nie jest obca; nawet włosy, ta najdziwacz-

niej szał w człowieku substancja, nie robią wrażenia obcych... Spogląda na miniaturowy zegarek.

— O — mówi — już trzecia!

Ale ja mam czas.

I ona ma właściwie czas.

— Naprawdę nie napije się pani whisky? — zapytuje. Pepe, jak każdy barman, jest bystrym znawcą ludzi, więc już trzyma czystą szklanke i wystarcza, żeby powiedzieć:

— A więc dwie.

Pytam siebie, co dalej...

Trzecia po południu to straszliwa godzina, godzina bez spadku, płaska i beznadziejna, przypominam sobie odległe dzieciństwo, kiedy leżałem chory i była trzecia po południu: książki z obrazkami, marmolada z jabłek, wieczność... Aby tylko coś powiedzieć, zapytuje, czy ma dzieci, co mnie właściwie nie obchodzi. Przyglądamy się manipulacjom barmana: lód, whisky, woda sodowa... Kiedy później (około 15.30) obcy pan obejmuje ręką jej obnażone ramię, odczuwa zakłopotanie nie wobec niej, lecz wobec mnie. Wbrew moim oczekiwaniom ona nie spogląda na mnie z miną drwiącą na temat: mój panie, co to ma znaczyć? Nie cofa również swego ciepłego ramienia, a ponieważ w dodatku milczy, nie pozostaje nic innego, jak przetrzymać gest obcego pana. Przy tym szczerze ubolewam, że nic nie czuję. Więcej jeszcze: jestem tym niemile zaskoczony. I kiedy obcy pan cofa wreszcie swoją rękę, ponieważ jest mi ona potrzebna do sięgnięcia po whisky, zanim się ogrzeje, ona, jak sądzę, zauważa moje ukryte przygnębienie i źle je rozumie.

W każdym razie, sięgnawszy po szklanke, pociąga zbyt duży łyk whisky, jak gdyby ją coś spotkało, odsuwa włosy z czoła, spogląda na mnie — na mnie! —■ swoimi wielkimi, niebieskimi oczami, nie widząc, że chciałbym być sam. Palimy, na dworze ciągle jeszcze pada, palimy. Czuję, że wpadam teraz w ten rodzaj melancholii, z którą mężczyznom jest tak do twarzy, która czyni ich nieodpartymi. Nic nie pomaga, że teraz dokładnie obserwuję obcego pana. Jak należało oczekiwać (znam go!), mówi teraz ze sztuczną szczerością, bardziej intymnie, niż miałbym ochotę, o sprawach życiowych. Czy kobieta mająca zawód powinna mieć dziecko? Co należy rozumieć przez małżeństwo? Przejrzałem jego grę. Chodzi tylko o to, aby wypowiadać słowa, zanim nabiorą znaczenia osobiście-historycznego, takie słowa, jak miłość, mąż i żona, płęć, przyjaźń, łóżko i zawód, wierność, zazdrość, gatunek, osobowość i tak dalej, i tak dalej. A ponieważ moje własne poglądy, rozcieńczone dó ogólników, nudzą mnie śmiertelnie, obcy pan zaprawia je małymi przykładami, które wymyśla. —, Przypuśćmy — powiada — że dwoje ludzi, jak my, pada sobie w ramiona. Albo: uda nam się, nie będzie z tego żadnej historii, jeżeli przyjmiemy, że sprzysięgniemy się przeciw jakiemukolwiek powtórzeniu. — Posuwa się jeszcze o krok dalej, by przykładowi, sformułowanemu zasadniczo, nadać kształt nieco bardziej pogładowy; wymyśla dialogi, które niepostrzeżenie umożliwiają użycie słowa „ty”, przykład wymaga tego, a ona już rozumiała, że obcy pan traktuje to tylko przykładowo, kiedy

mówi: „my”. Albo: „ty i ja”. Albo: „wiedziałaś, że się nawzajem opuścimy, i ja. o tym wiedziałem”. Ona pali, rozumie, że on mówi w cudzysłowach, więc spokojnie pali. W pewnej chwili on sięga znowu po moją szklanę, aby zademonstrować, że są w tym opustoszałym barze, a nie gdzie indziej, i mówi znowu: pani. Gra się skończyła. Ona milczy teraz długą chwilę, dym, wydobywający się z półotwartych ust, otacza niebieskawym welonem jej twarz, pełną zrozumienia dla jego poglądów, dla ich powszechności i zasadniczej wagi. Nikt nie jest zakochany, to jasne. Ale zabawa w „ty” przeniosła doświadczenie zmieniając nieco rozmowę i tego nie można już przekreślić zwracaniem się per pani. Patrzą na zegarek, aby przestrzec obcego pana; na próżno. Słowo „pani”, nawet jeśli się go dotąd naj skrupulatniej trzymać, uzyskało czar, który przepędza nudę. A więc mówię teraz o zwykłych sprawach, o wydarzeniach światowych, monologuję. Od czasu do czasu, jak gdyby dym zmuszał ją do tego, przymruża oczy, jak kobieta, kiedy kogoś obejmuje, i byłoby zupełnie naturalne, gdyby obcy pan, czy to żartem, czy niemym psim spojrzeniem, raz jeszcze dotknął jej nagiego ramienia, jej ręki, trzymającej papierosa nad popielniczką, jej drugiego ramienia, karku. Nie robi tego. Gdybym go nie pilnował, może by spróbował— mimo woli...

Teraz naprawdę chciałem zapłacić.

— Pepe!—zawołałem.

Aby nas traktować jako parę, barman udawał, że jest absolutnie nieodzowny przy oknie naprzeciw

baru, jakby nigdy jeszcze nie widział ruchu ulicznego podczas deszczu, nie reagował na moje kilkakrotne uderzenie monetą o ladę, jak głuchy. Właśnie dlatego odważyłem się pukać bardzo cicho, nie natarczywie.

— Musi pan iść — powiedziała.

■— Niestety — potwierdziłem.

— Ja również — oświadczyła.

Znowu zastukałem monetą o ladę.

Nie wiem, jak się to stało, że obcy pan, który mnie nudził jeszcze bardziej niż ona, ponieważ słyszałem go nie po raz pierwszy, nagle mówi o wdzięku homoseksualistów; zajęty skłanianiem nieuważnego barmana do zwrócenia na mnie uwagi, nie słuchałem dokładnie; ona przyznaje mu rację, o tak, jeżeli chodzi o wdzięk takich mężczyzn, którzy się chętnie przebierają (przypominam sobie teraz: mówiliśmy o pewnym aktorze, potem o aktorach w ogóle) i znają się również na strojach kobiecych i perfumach. Ona ma na sobie żółty kostium. On wyznaje, że jej kostium mu się podoba, ale dodaje: gdyby mu się mniej podobał, nie miałyby pojęcia, co należałoby zmienić. Przysięga na to. Natomiast osobnik tamtego rodzaju, natychmiast.— robi to tylko dla przykładu ----- sięgnąłby do jej kołnierzyka, coś zmienił, zaczarował. Czyni to. Ona pod wpływem zmieszania staje się jeszcze ładniejsza, widzę to, inna niż dotąd...

Płacę.

Nie chciałbym żadnej historii miłosnej.

Chciałbym pracować.

Miała już pod pachą czarną torebkę idealnie

harmonizującą z żółtym kostiumem, czarną jak jej włosy, kiedy wsunąłem do kieszeni resztę wydaną przez barmana; dała wyraz radości, że mnie spotkała. Podałem jej płaszcz. Wobec tego, że mąż jej był w podróży, zaproszenie na kolację samo się nasuwało; nie zrobiłem tego, tymczasem ona owijała szalem szyję. I ja dałem wyraz radości, że ją spotkałem; teraz, zanim włożyła płaszcz, po raz pierwszy i, miałem nadzieję, ostatni ujrzałem całą jej postać. Uważam, że większość przygód miłosnych jest do uniknięcia.

— Ma pani wszysdco? — zapytałem, jak gdybym już wiedział, że jest zapominalska.

To jej się spodobało. Nie wiem, czy to byłem ja, czy obcy pan, który teraz — spoglądała z takim zmieszaniem — przeciągnął ręką po jej czole, żartobliwie, samowolnie, wyraźnie drwiąco, aby w subtelny sposób podkreślić, że nie zachodzi tu wypadek zrządzenia losu; w każdym razie tak się stało. Nasze pożegnanie w deszczu, kiedy wreszcie nadjechała taksówka, było pośpieszne i formalne. Dopiero kiedy znalazła się w taksówce, pogardliwie pochłonięta wyłącznie swoją czarną torebką, ugodziło we mnie to, co nazywamy uczuciem. Sądzę, że to zauważyła; i kiedy opryskliwy kierowca, opryskliwy, ponieważ w tym miejscu nie wolno mu było przystawać, odjechał w deszcz, a ja na próżno czekałem, czy ona nie pomacha mi rękawiczką, znieruchomiałem ze strachu, że moja samowola mogłaby się skończyć...

Naciągnąłem czapkę na głowę.

Odwróciłem się na pięcie — nie chciałem być

tym „ja”, który przeżywa moje historie, historie, które mogą sobie wyobrazić — odwróciłem się na pięcie, aby możliwie najprędzej rozstać się z obcym panem.

Odwróciłem się na pięcie — jej taksówka w bruzdzie między rozpryskami deszczu, kiedy obejrzałem się raz jeszcze, była taką samą taksówką, jak wszystkie inne, już nie do odróżnienia, i gdy zatrzymała się przed skrzyżowaniem, nagle znalazła się wśród mnóstwa taksówek, tak samo rozbryzgujących wodę...

Idę wolno do hotelu.

Na ulicze przed hotelem, w którym leżałem w ubraniu na łóżku, terkotał świder pneumatyczny; teraz, kiedy chciałem spać, wydał mi się demoniczny; nie pomogło zamknięcie okien, nawet opuszczenie żaluzji, szyby dygotały. Nie wiedziałem, co robić. Kiedy świder na chwilę przestawał pracować, zmieniał się tylko ton terkotania, terkotał bowiem kompresor. Nie wiedziałem, co w tym mieście robić, nakręciłem jej numer, jak dla żartu. Była w domu. Jak dla żartu: zaledwie odezwał się jej głos, oddałem słuchawkę obcemu panu.
' — Proszę!

Nie miałem nic do powiedzenia, ona również. Więc co? Zacząłem dowcipkować. Jej śmiech (bez twarzy) nudził mnie. W trakcie tej mozolnej gadaniny leżałem na łóżku, obserwowałem lewą nogawkę, kołyszącą się pajacowato, przyglądałem się niebieskim skarpetom obcego pana, którego

palcami nóg mogłem jeszcze dowolnie poruszać, nawet wielkim palcem solo, słuchałem nie bez złośliwej satysfakcji, że dziś wieczorem nie jest wolna, musi iść do Opery, na gościnny występ, zdaje mi się, La Scali, tak przynajmniej zrozumiałem. Natomiast jest do dyspozycji bilet jej męża, który niestety, jak mi wiadomo, musiał wyjechać. Demoniczny terkot ustał nagle. Kiedy jej głos, teraz cichszy, gdyż miasto między nią i mną nagle ucichło, nawiasem mówiąc głos niezupełnie taki, żeby musiał mu towarzyszyć obraz pięknej kobiety, otóż kiedy głos ten z pewnym ociąganiem się zapisał, co robię wieczorem, wyznałem, że opera zupełnie mnie nie interesuje. Mimo to obcy pan gawędził dalej. Nie miałem ochoty zobaczyć się z nią jeszcze raz. Kiedy odłożyłem słuchawkę, wydało mi się to zabawne, jak przeważnie po dokonaniu czegoś: — nie uważałem, aby mgliste umówienie się obcego pana mnie obowiązywało; było uciążliwe, ale nie obowiązujące. Czy to konieczne?— myślałem wyjmując z walizy ciemne ubranie i zawieszając je na ramiączku; potem, nagle zupełnie wytrzeźwiony, znowu wyciągnąłem się na łóżku, aby zapalić... Ujrzałem obcego pana w moim ciemnym ubraniu, siedzącego na miejscu jej męża, oraz siebie samego, jako jej męża, który wyjechał, nie wie, co z sobą począć w obcym mieście, ponieważ pada deszcz, leży w koszuli i spodniach w pokoju hotelowym, nie różniącym się od mojego, i pali — Usiłuję czytać.

(Czasami i mnie się zdaje, że każda książka,

nie zajmująca¹ się niedopuszczeniem do wojny, stworzeniem lepszego ustroju społecznego i tak dalej, jest bezsensowna, bezużyteczna, nieodpowiedzialna, nudna, niewarta czytania, niedopuszczalna. Nie żyjemy w epoce opowiadania o sobie. A jednak życie ludzkie dokonuje się albo chybia celu w obrębie poszczególnego „ja”, nigdzie poza tym).

Po prostu nie wiedziałem, co robić.

Tuż po szóstej (zamierzałem nie odebrać jej zapowiedzianego telefonu między szóstą a siódmą) opuściłem hotel z zamiarem pójścia do kina, aby nie słyszeć świdra, który znowu był w ruchu. Deszcz przestał padać, w mokrym asfalcie odbijały się błękit nieba i wiosna. Bez płaszcza, przebrany, już do Opery, a więc w ciemnym wieczorowym garniturze, z rękami w kieszeniach spodni, wszedłem na film, który już się rozpoczął; nie mogłem zrozumieć, dlaczego na ekranie strzelają, i nudziłem się; potem poszedłem do jednego baru, do drugiego, puszczałem w ruch automat grający...

Obcy pan: Enderlin.

Następnego ranka, kiedy się znowu znalazł na ulicy i na świecie, wcześniej niż zazwyczaj, była godzina siódma, a więc kiedy obcy pan w ciemnym ubraniu wieczorowym siedł po obcej ulicy jak inni, śpieszący się do codziennej pracy, bez płaszcza, z rękami w kieszeniach, starając się nie zwracać na siebie uwagi, kiedy w barze, otoczony robotni-

kami popijającymi kawę, również" napił się kawy, kupił papierosy, gdyż w ciągu nocy wszystkie wypalili, wiedział: — noc z kobietą, która wtopi się w ową osobliwą liczbę, nigdy nie wymienianą. Mille e tre! Wiedział, zjadał bułeczkę za bułeczką nie ■ licząc ich, zamówił drugą kawę. Wierzył, że to minęło, miał nadzieję, że w to wierzy. Choć po jego bladej twarzy za butelkami nic nie można było poznać, miał jednak uczucie, że każdy poznaje; wywołało to w nim zamęt, tak jak słońce na zewnątrz, lustro za butelkami, ruch uliczny obcego miasta, jak fakt, że jest wtorek, wtorek takiego to a takiego; nie wiedział, dlaczego wywołuje to w nim zamęt. Nikt go tutaj nie znał. Jeżeli nawet za późno, aby pod osłoną nocy wyjść niepostrzeżenie, udało mu się, jak się spodziewał, opuścić dom nie będąc przez nikogo widzianym. Spodziewał się tego ze względu na nią. Przemierzywszy labirynt ulic, obserwowany zapewne jedynie przez zmiataacza, umył sobie później twarz pod pompą uliczną, która mu pozostanie w pamięci... Wilgotna chustka w kieszeni spodni przeszkadzała mu teraz, stał i pił drugą filiżankę kawy, w całkowity zamęt wprowadzało go to, że jeszcze teraz i tutaj, gdzie syczała maszyna espresso, dzwięczały filiżanki i głosy, czuł potrzebę chodzenia na palcach. Jak gdyby mężczyźni z prawa i z lewa, woźnice w skórzanych fartuchach, nigdy nie trzymali w objęciach kobiet! Nawiasem mówiąc sprawa jej klucza poszła gładko; leżał teraz w skrzynce na listy, jak było umówione, zaś kluczyk od skrzynki na jej nocnym stoliku. Jeżeli nie zaśpi, wszystko będzie w porząd-

ku... Po drugiej kawie obudził się, jakby przedtem spał, i wcale nie czuł się zmęczony. Był przede wszystkim rad, że jest teraz sam. Sam wśród mężczyzn. Ona zapewne spała, a sen to najodleglejsza kraina, jaka istnieje; nie myślał tego, lecz czuł: dopóki śpi, nie ma jej w tym mieście. A on był w tym mieście tak jak wczoraj: sam. Otworzył niebieską paczuszkę, ciesząc się pierwszym papierosem, którego znowu będzie palił sam. Wtedy stwierdził, że w prawej kieszeni spodni nie ma zapalniczki, tylko wilgotną chustkę do nosa; w nocy zostawił zapalniczkę. Właściwie złożyło się szczęśliwie, wierzył bowiem naprawdę, że unikną powtórzenia; z nie zapalonym papierosem w ustach rozglądał się dokoła, roztargniony od chwili uświadomienia sobie, że zostawił zapalniczkę. Jeden z furmanów spluwał ustawicznie na podłogę terazzo, posypaną trocinami. W jakim innym kraju na świecie posypuje się takie podłogi czymś takim? Jednak o władnięty nagle miękkim zmęczeniem, będącym groźbą połączenia się z nią raz jeszcze, przestał się ociągać i poprosił jakiegoś robotnika o zapalki; otrzymał jednak zapalniczkę, podaną spękaną, zatłuszczoną ręką, płomyczek dla tego jedyne, pierwszego papierosa, którego mu znowu wolno było wypalić samemu, i koniec na tym. Podziękował czyjejs potylicy. Jedyłą twarzą, która go od czasu do czasu obserwowała w tym barze, była jego własna w lustrze za butelkami, wąska twarz w rogowych okularach, ponad nią włosy ostrzyżone na jeża. Nie wiedział, co się w nim czasami podoba kobietom. Tylko wodnistyszare

oczy — spoglądały z lustra, jak gdyby naprawdę tam tkwiły, podczas gdy jego ciało znajdowało się poza lustrem — są takie, że poznaje w nich siebie... Rozkoszował się paleniem papierosa, który nie był w pieszczotliwych żartach przenoszony z jednych ust do drugich, oraz czytaniem zagranicznej gazety, którą tylko co kupił. Ostatecznie świat jeszcze istnieje. Jej podstęp, który wczoraj wieczorem i sprawił wrażenie tak rzeczowe i prawie zabawne, zagraniczna rozmowa telefoniczna dla upewnienia się, czy mąż istotnie bawi jeszcze w Londynie, teraz, w mimowolnym wspomnieniu wydał mu się nagle niesympatyczny; trzymając filiżankę w lewej ręce, znowu czytał o Algierze. Nie wiedział, dlaczego myśli teraz o tym. Ostatecznie to jej sprawa. Zasmucała go jednak myśl, że pewnego odległego dnia, który właściwie już się zaczął, będzie pamiętał jej fortel dokładniej niż cokolwiek innego, jak w łóżku, ze słuchawką w lewej ręce, gawędziła z Londynem, trzymając prawą na jego piersi. Zamknął oczy, aby nie być przy tym obecny. Ale nie mógł zamknąć uszu. Potem długi czas palili tylko i milczeli. Ostatecznie to naprawdę nie jego sprawa, jak ona wmontuje to w swoje małżeństwo, nie chciał myśleć o tym teraz, trzymając w lewej ręce filiżankę i czytając o Algierze. Ale i Algier nie był jego sprawą; odczuwał teraz potrzebę zapłacenia. Już po kwadransie wyglądał w tym barze jak wszyscy inni, nie było w nim nic, co by go wyróżniało, to by go dlatego przede wszystkim wprawiało w zakłopotanie; kiedy zapłacił, nie szedł już na palcach; nie dziwiło go też, że był to wtorek,

wtorek takiego to a takiego. Było pewne, że dziś wyruszy w dalszą podróż. Z zagraniczną, gazetą przy ustach, bo mu się nagle zebrało na ziewanie, wyszedł, zatrzymał taksówkę, aby pojechać do hotelu. Chciał teraz spać, wykapać się i spać... Już fakt, że zna jej nazwisko, to za dużo... **W** jadącej taksówce, z ręką w wytartej pętli, próbował uporządkować to, co pozostało mu w pamięci: — Było to wczoraj po południu w barze, padał deszcz, czekał na kogoś, spotkanie z żoną tego kogoś, jej żółty kostium i mokre włosy, **piwo** imbirowe, gra tego obcego pana, która go nudzi, którą zna, i która z nim nie ma nic wspólnego, rysa dzieląca go od obcego pana; chciał iść swoją drogą... To było wczoraj.

Istnieje jakiś demon, tak mu się wydaje dzisiaj, demon ten nie znosi gry, poza swoją własną, z naszej gry robi swoją, jesteśmy krwią i życiem, które nie jest rolą, i ciałem, które umiera, i duchem, który jest ślepy, na wieki wieków, amen... Z taksówki, z ręką w wytartej pętli, widział świat: wczorajsze fasady, wczorajsze, nie zmienione place, te same co wczoraj ulice i skrzyżowania, potworną reklamę linii lotniczych, która już wczoraj wpadła mu w oko. Wszystko nie zmienione: tylko nie jest to wczoraj, lecz dzisiaj. Dlaczego jest zawsze dzisiaj? Daresmne pytanie, czy tak musiało się stać, ciążyło mu jak wilgotna chustka do nosa w kieszeni spodni. Opuścił w dół szybę, aby podczas jazdy niepostrzeżenie wyrzucić przynajmniej wilgotną chusteczkę; nie miał jednak odwagi. Nie ciążyła mu ani trochę zdrada małżeńska, której się dopuścili oboje, o tym

mógł jeszcze nie myśleć; ciążyło po prostu, że jest to teraz fakt, taki sam jak wszystkie pozostałe fakty na świecie. Był nieco zdziwiony. Czegóż, jako człowiek o średnim doświadczeniu, oczekiwał? Już przed ósmą rano, kiedy jeszcze spała z włosami rozpuszczonymi, świat, który podczas nocy miłosnej spłonął bezimiennie, istniał znowu, był bardziej rzeczywisty niż jej objęcia. Świat nie zmieniony, z zielonkawobrudnymi autobusami i reklamami, monstrialny, z nazwami ulic i pomnikami, i z datą, której nie chciał zapamiętać. Mimo to fakt, choć bez znaczenia, pozostaje faktem; niewidoczny; nie można go wyrzucić jak mokłą chustkę do nosa. Niczego nie żałował. Bynajmniej. Peszyło go tylko, że dziś nie jest wczoraj. Nie widać nic po mieście. Był z tego rad. Jest sobą samym. Był właściwie bardzo rad. Nie ma sensu spotkać się powtórnie, chciałby ją jeszcze zobaczyć, nie zatelefonuje jednak do niej, nawet z lotniska nie zadzwoni, bo wie, że to nie ma sensu... Nie pojechał do hotelu, polecił kierowcy przystanąć, zapłacił, wysiadł; chciał pójść do muzeum. Żeby nie być na świecie. Chciał być sam i poza czasem. Ale muzeum było jeszcze o tej porze zamknięte, stał więc po zniknięciu taksówki na schodach, z rękami w kieszeniach spodni, bez płaszcza, ciągle jeszcze w ciemnym stroju wieczorowym, nie ogolony, z papierosem w ustach, ale nie miał przecież zapalek i nic w kieszeniach, by nakarmić gruchające gołębie, nic poza mokłą chustką do nosa. Powąchał grzbiet swej ręki: Zapach jej perfum już się ulotnił —

To skończy się, jeśli się znowu spotkają ze sobą, i skończy się, jeśli odleci na zawsze; wiedział, że skończy się w każdym razie, że w obliczu czasu nie ma nadziei... Stał więc teraz, ponieważ było zimno, podniósł kołnierz marynarki, potem przysiadł na cokole kolumny, otoczony gruchaniem białych i szarych gołębi, które od czasu do czasu, nie wiadomo czym przestraszone, z szumem unosiły się w górę ku klasycystycznym gzymsom.

Czy ona śpi jeszcze?

, Przrzekli sobie, że nigdy nie będą do siebie pisywali, nie chcieli przyszłości, przysięgli sobie:

Bez powtórzenia —

Bez historii —

Chcieli tego, co było raz tylko możliwe: teraz-niejszości...

Było to tuż po północy i odnosiło się również do niego, siedzącego teraz na cokole w otoczeniu gruchających gołębi, które znowu sfrunęły z gzymsów na pusty plac i schody, jeden po drugim, teraz bez szumu; nie wiedział, jak poradzić sobie z przyszłością: — gdyż przyszłością, to wiedział, jestem ja, jej mąż, jestem powtórzeniem, historią, skończonością i przekleństwem we wszystkim, starzeniem się z minuty na minutę...

Spojrzał teraz na zegarek, którego jednak nie miał na rękę; aby prędzej wydostać się z jej mieszkania, wsunął go do kieszeni spodni. Była teraz 9.05. Jeżeli jego zegarek chodził jeszcze. Na 11.30 umówił się z kimś w sprawach zawodowych, zapewne po tym spotkaniu nastąpi wspólny obiad. Przed założeniem zegarka na rękę przytknął go

do ucha: chodził'. A więc 9.05. Odkąd ujrzeli się po raz pierwszy — wczoraj po południu w owym opustoszałym barze — nie upłynęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Nie było dla nich jeszcze powtórzenia, nawet pory dnia. Ani wczoraj, ani dzisiaj, żadnej przeszłości, żadnego zaokrąglenia przez czas — wszystko jest dzisiaj. Ich pierwszy ranek, pierwsze południe. Poza kilkoma nic nie znaczącymi słowami, kiedy zamówił kawę, kupił papierosy i poprosił robotnika o ogień, nie padły jeszcze między nich żadne słowa, żadna rozmowa z innymi ludźmi. Jeszcze świat był po prostu na zewnątrz. Palił teraz; bo nagle znalazł obok wilgotnej chustki zapaliki, jedna z nich dała jeszcze .ogień. Siedział teraz, palił, spoglądał na czarne, zakurzone lakierki, nie wiedział, jak poradzi sobie z przyszłością, która rozpoczęła się już jego wspomnieniem... Przypomniwał sobie mieszkanie: kiedy przyszedł, aby ją zabrać na operę, chciała mu pokazać mapę Peru i nie odstępowała od tego, choć na operę był już najwyższy czas. Stał w hallu i czekał nie bez odrobiny zniecierpliwienia, choć to raczej ją interesowała opera, nie jego. Wolałby film, a po filmie kolację. Z nieprzydatnymi rękami w kieszeniach, czekał na dane dotyczące Peru, które jej zdaniem mogły być dlań pożyteczne, szukała i szukała zwłaszcza mapy dróg w Peru, zamierzał bowiem, gdyby miało kiedykolwiek dojść do tego, podróżować wozem. Jeszcze sekundę wcześniej, zanim to zaszło, nie uważałby tego za możliwe — stała przed nim, i starannie rozkładała mapę Peru. Nie uważałby tego za możliwe, ściślej mówiąc:

wcale o tym nie myślał i kiedy poczuł, że jego ręka, o której sądził, że tkwi w kieszeni marynarki, musnęła jej czoło, był bardziej zdumiony niż ona. Udała, że tego nie poczuła. Czy gest ten, lekki jak niewinny żart, nie był już kiedyś zrobiony? Zapomniał o tym, ale teraz wiedział i był z powodu powtórzenia go nieco zawstydzony. Już po południu, w owym barze, ręka jego niechcący musnęła jej czoło: jakby żartem. Jakby na pożegnanie. Zachowała się tak, jakby to uznała za jego szczególnie sposób bycia; studiował więc zbutwiałą mapę dróg w Peru, którą jako pamiątkę przechowywała od lat, i choć jego gest jej nie uraził, powstała pauza, zanim potoczyła się rozmowa na temat stanu dróg w Peru, teraz bardziej rzeczowa niż kiedykolwiek. Było to o godzinie ósmej. On miała na sobie płaszcz, mieli przecież iść do Opery i nie był to żaden wybieg; jeszcze teraz wierzyli, że pójdą do Opery, choć spóźnią się na pierwszy akt. Jej wóz, którego nawet nie zamknęła, stał na ulicy, gdzie wolno było parkować jedynie samochodom dowożącym towary, nawet nie zgasiła światła (jak to spostrzegł następnego ranka). W sąsiedztwie skrzyni, na której rozpostarta była mapa Peru, jeszcze kiedy nazajutrz rano opuszczał mieszkanie, rozmawiali inaczej niż po południu w opustoszałym barze, gdzie był to flirt z zakłopotania, jednostronny, uprawiany jedynie przez niego; w barze nie wiedział, o czym z nią mówić. Teraz rozmawiali jak para rozsądnych ludzi nad mapą Peru. Żałowała, że mąż jej wyjechał; mógłby udzielić na temat Peru dokładniejszych informacji, powiedziała. Przypusz-

czła, że on naprawdę wybiera się do Peru. Uśmiechał się. Peru! Tę jedyną nazwę wypowiedział, leżąc w jej objęciach; ale nie wiedział o tym jeszcze, kiedy się uśmiechał, i jego uśmiech zmieszał ją nieco. Choć usiłował uprzejmie przekazać jej swą wiedzę o Inkach, podczas kiedy ona, nie siadając i nie proponując mu, aby usiadł, sięgnęła po papierosa, właściwie nie wiedzieli, o czym była mowa. Spoglądali na siebie. Było już około dziewiętej, ona zaś dotychczas jeszcze nic mu nie zaproponowała, stali wciąż jeszcze pałac papierosy, wciąż jeszcze miała na sobie płaszcz. Wydawało się, że coś pchało ją do wymieniania od czasu do czasu imienia męża, jak gdyby groziło niebezpieczeństwo, że je zapomni; uspokoiło ją wyraźnie, kiedy i on wypowiedział nazwisko jej męża, którego nie znał osobiście, i zauważyła, jakie to zabawne, że rozmawiają stojąc. Przypomniał o przedstawieniu, które toczyło się niepowstrzymanie, ona zaś usiadła, nie zdjęła jednak płaszcza. On stał; jeszcze dłuższy czas. Okoliczność, że nie miał na sobie płaszcza, była mu niemiła; wyglądało to tak, jak gdyby nie wszedł na górę tylko na chwilę. Mówił stojąc, nie szczędził słów, ale znajdował się na skraju nudy; ręce trzymał w kieszeniach spodni, przed tymi rękami, które go nie słuchały, odczuwał lęk. Lęk przed przerwami. Już po raz trzeci po prostu spoglądali na siebie, mężczyzna i kobieta, bez słowa, nawet bez uśmiechu. Bez zakłopotania. Tymczasem jednak usiadł, ale tak, że rozdzielał ich stół, wyglądało na to, że oboje lękają się przedsięwziąć cokolwiek, co mogłoby

coś zmienić na zewnątrz, na przykład nastawić jakąś płytę. Siedzieli i palili. Nie wiadomo, dlaczego mówił teraz o kotach. Dochodziła jedenasta, kiedy oboje wyznali, że mają pragnienie. Natychmiast zgniotła w popielniczo papierosa. Choć byłoby wygodniej wypić coś w jej mieszkaniu, poczuli oboje, że powinni pójść do miasta, znowu do jakiegoś baru. Jej milcząca zgoda zdumiała go. Zadowoleni ze swego pragnienia, podnieśli się, choć, jak to wyczuwał, nie byłoby wbrew jej zwyczajom, gdyby o północy kogoś czymś podejmowała. - Zgasła stojącą lampę. Do tej pory całe mieszkanie było oświetlone, wszystkie drzwi stały otworem, od wielu godzin, odkąd zaczęła szukać mapy Peru, nie wyłączając drzwi do kuchni, jak gdyby odczuwali lęk przed zamkniętymi drzwiami. Kiedy zgasła lampę stojącą, a potem i lampę pod sufitem, zrobiło się jakoś dziwnie; on stał w hallu, ona kręciła się w rozpiętym płaszczu. Po raz pierwszy — właśnie zgasła również światło w pracowni — widział jej postać ze słodką świadomością, że nigdy jej już nie zapomni — zapomni ją! wiedział o tym, siedząc na cokole, otoczony gruchaniem białych i szarych gołębi, niezdecydowany, czy ma ją jeszcze zobaczyć, czy nie. Chciał iść. Dokąd? Podniósł się jak wczoraj, z rękami w kieszeniach czarnego wieczorowego ubrania, jak wczoraj w jej mieszkaniu. Odczuwał pragnienie. To było wczoraj: oboje chcieli iść. Dokąd? Gotowi do wyjścia, stali już w hallu, czekał tylko, żeby znalazła kluczyk od samochodu. Światło paliło się jeszcze tylko w hallu. Rozglądając się, jak gdyby coś mogło być

nie w porządku, trzymała już lewą rękę na kontakcie. ----- Chodźmy! — powiedziała, kiedy ręka jego, jakby na pożegnanie jakiejś możliwości, nie chcący, a zarazem ironicznie, choć uświadomił sobie, że się powtarza, przesunęła się po jej czole. — Chodźmy! — powtórzył za nią, a ona przekreśliła wyłącznik i nie było już światła, dopóki brzask nie zaczął zaglądać przez okna. Ciągle jeszcze stała w płaszczu, kiedy całe jej ubranie, unieczystwione pocałunkami, od dawna już śmieszne, stanowiło kłamstwo z futra, wełny i jedwabiu, które niełatwo było z siebie zrzucić, ale wymagał tego kodeks namiętności. Wyznaczają jej mandat, powiedziała, zatkniętą za szybę wozu kartkę. Mówiła to, podczas gdy on, działając ze swobodą zdradzającą znawstwo bielizny damskiej, które jednak nie wystarczyłoby mu bez drwiącej pomocy z jej strony, wiedział już w swej trzeźwej samotności, że wszystko będzie tak samo jak zawsze i /zawsze. Był trzeźwy, tak, ale tbez ironii, trzeźwy i milczący. Latarnia uliczna oświetlała sufit pokoju, sufit oświetlał pokój, kiedy on, pan w czarnych lakierkach, odpowiednich do Opery, w białej koszuli i w krawacie, wciąż jeszcze z zegarkiem na rękę, ale bez okularów, które ona mu zdjęła, poczuł jej obce ciało; z jego obcych warg odczytywała palcami jego uśmiech. Pięknie było nie znać się nawzajem w stopniu przekraczającym możliwość wzajemnego poznania się.

Punktualnie o dziesiątej otworzono muzeum.

Zamknął oczy jak dziecko, które powiedziało, że zamyka teraz oczy, żeby nie padły na nie ciemno-

ści nocy i nie zgasiły mu wzroku... Siedział teraz na ławce w sali z oszklonym sufitem... Do jego uszu dochodziły gwizdy z dworca towarowego, którego i>5gdy nie widział, sapanie małej lokomotywy, syk pary, gwizdy, echo gwizdów, dudnienie pociągu, towarowego o skrzypiących osiach, stuk kół na zwrotnicach, gwizdy, zgrzyt hamulców, echo gwizdów, znów sapanie, potem cisza, przerywana sykiem*pary. Tak przez całą noc. Kiedy się obudził, gwizdy zamilkły, nie wiedział, gdzie się znajduje, gruchanie gołębi ustalo, gołębi już nie było, ani białych, ani szarych, ani jednego gołębia..., siedział w sali z oszklonym sufitem, chodzący tam i z powrotem dozorca obserwował go; spał w miejscu publicznym. Przeraziło go to.

Spał prawdopodobnie tylko dwie czy trzy minuty, na 'siedząco, jak się śpi w pociągu albo w samolocie, z otwartymi ustami, z idiotyczną miną, z przekrzywioną twarzą; może ludzie przechodzili przez salę, grupą z przewodnikiem, słysząc było głosy... Nie noc, nie jej ciało w nocy, lecz jego obecność w tej sali z górnym światłem wydawała mu się snem, a gruchanie gołębi dalekim wspomnieniem; tylko brak jej drobnego ciała był rzeczywistością, teraźniejszością, kiedy tak stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, słuchając dalekiego miasta jak przyływu morza, głuchego, monotonnego, falującego; fale były zielone. Może dozorcę raziło jego ciemne ubranie wieczorowe w godzinach rannych, w dodatku z podniesionym kołnierzem. Na pewno! Odwinął kołnierz.

Zmusił się do przeczytania:
„Hermes. Prawdopodobnie początek III wieku przed Chrystusem, częściowo zrekonstruowany, lewa noga dorobiona, tak samo szyja.. Pozycja głowy (oryginał) sporna”.

Obserwował pozycję głowy.

Był wtorek.

Nie wiedział, co się z godziny na godzinę ztracało, czuł tylko, że jego wspomnienie odrywa się od jej prawdziwej osoby, i miał to sobie za złe. Równocześnie sprawiało mu to ulgę. Był wolny. Sięgnął po portfel, aby stwierdzić, że ma jeszcze przy sobie bilet lotniczy. Miał go. O 18.40 musi być na lotnisku. Do tego czasu jest wolny. To, co mu pamięć mówiła o kobiecie, którą był wypełniony, było prawdziwe i nic nie znaczące jak list gończy, dokładne i bez pożytku jak list gończy, nic nie mówiące, kiedy danej osoby nie ma: taki to a taki kolor włosów, nosi żółty kostium (ale to było po południu w barze, wieczorem miała na sobie biały), czarna torebka, mówi z lekkim obcym akcentem, prawdopodobnie Alzatka, wiek około lat trzydziestu, smukła...

Dozorca ulotnił się...

Od czasu do czasu znowu ¹ rozlegały się głosy, ktoś wchodził do sali, wychodził, czasami dobiegał I warkot unoszącego się nad oszklonym sufitem samolotu. Potem znowu zapadała cisza. A na dworze świeciło słońce.. Chwilami jednak nad obcym J miastem przeciągały chmury; poznać to było można i po tym, że nagle robiło się bardziej szaro, marmur stawał się bardziej płaski, potem znowu robiło się ;

bardzo jasno, a marmur stawał się ziarnisty...

Dlaczego nie szedł dalej?

Sam w tej wielkiej sali z górnym światłem, podparty na rękach, jak gdyby oglądał posąg marmurowy o spornej pozycji głowy, ciągle jeszcze siedział na wyściełanej ławce; nagle poczuł się bardzo samotny. Ale nie poszedł, aby do niej zadzwonić. Wiedział, jak by to było. Przychodzi dzień, kiedy dwoje ludzi zaczyna pytać, pada choćby takie pytanie: gdzieś był, gdzieś była wczoraj wieczorem? Pytanie jest jeszcze zadawane bez złej myśli, człowiekowi pochwlebia ciekawość drugiej strony, przecież nie chce nic powiedzieć, chodzi tylko o pokazanie, jak się tęskni —

Podniósł się teraz.

Aby nie stać się łupem przyszłości...

To zabawne; podnoszę się, siadam, palę, stoję, śpię, budzę się, podnoszę się, idę, siadam, podnoszę się.

Na dworze znowu gruchające gołębie...

Zatrzymał taksówkę.

W nocy, choć prawie nie spali, nic prawie nie mówili, aby przy pomocy stów i nazwisk nie dopuszczać świata; nie milczeli, o nie, ale szeptali, jak gdyby istnieli tylko oni, nie było żadnego przedtem, żadnego potem, ani jednego imienia, tylko oni, bezimienni.

Wybiła teraz jedenasta.

Chciał odwołać spotkanie wyznaczone na 11.30.

W hotelowej przegródce na klucz leżała karteczka, którą mu podano razem z kluczem od jego pokoju, jakaś wiadomość. Od kogo? Sposób, w jaki mu

y

m

podano klucz i karteczkę, towarzysząca temu dyskrecja, obrażały go ze względu na nią. A przecież równie dobrze mógł wracać z czysto męskiego przyjęcia. Na karteczce było napisane, że telefonowała jakaś pani z prośbą, aby do niej zadzwonił, podała numer telefonu, nazwisko, które teraz, wracającemu z jej objęć, wydało się szczególnie dziwne. Więcej jeszcze. Jej prośbę o telefon — czytając karteczkę w windzie, zapomniał, na którym piętrze powinien wysiąść i jaki ma numer pokoju — odczuł jako nikczemne złamanie słowa; jako niewierność. Podczas gdy on nie odstępiał od nocnej przysięgi, od tego jedyne, co wspólnie do nich należało, ona sprzymierzyła się ze światem. Tak to odczuwał, znalazłszy się w swoim pokoju, gdzie chciał przespać się do godziny odlotu; nie zadzwoni do niej, był rozczarowany, kiedy ściągał z nóg czarne lakierki, odczuwał nagle wywołane tym rozczarowaniem zmęczenie, był też odrobinę rad, bo to rozczarowanie odrywało go od niej, od kobiety, która rozplynęła się w bezimierności wszystkich kobiet, odczuwających potrzebę mężczyzny. Teraz dopiero przeczytał dokładnie karteczkę, aby spotęgować swe rozgoryczenie, i zauważył zanotowany czas: 19.10, dzięki czemu zrozumiał swoją pomyłkę. Jej prośba, by zatelefonował, pochodziła z wczoraj. To znowu wszystko zmieniało. Zaczął obliczać: wczoraj o 19.10 znajdował się w drodze do niej. Z karteczki można było odczytać prośbę kobiety, której w tej postaci już nie ma, nigdy nie będzie, nieznanym w żółtym kostiumie, która po południu siedziała na stolku w pustym

barze. Po co to zmartwychwstanie? Już zmiął karteczkę i wrzucił ją do kosza na śmiecie, kierując swe niezadowolenie nie przeciw niej, lecz przeciw czasowi, który zgłaszał się wszędzie i z każdą bagatelą, czasowi, który nas zawsze przegania, przeciw przemijaniu w każdym szczególe; włożył do walizki ciemne ubranie wieczorowe, ułożył bezwładne rękawy, jakby to były zwłoki, położył ha wierzch ciemne spodnie, usiadł na brzegu łóżka, zdjął z ręki zegarek i w pewnej chwili raz jeszcze zobaczył zmiętą karteczkę w koszyku, jedyne, co miał po niej poza marzeniem. Wyglądziwszy papierek, jeszcze raz przyjrzał mu się dokładnie; nie było to jej pismo. Nawet nie znał jej pisma. To, czego się obawiał i spodziewał, jak gdyby się teraz zmieniło, opadła go melancholia, że jej telefon, jej natarczywa prośba, aby zadzwonił, nie pochodzi z dzisiaj, 19.30 to mogło być tylko wczoraj. Na ulicy znowu terkotał świder pneumatyczny, ale milczenie, które teraz słyszał, było głośniejsze od pneumatycznego świdra; jej milczenie. Nie jego milczenie, którym by się rozkoszował, lecz jej milczenie. Gdyby teraz zatelefonował? Aby przełamać jej milczenie. Siedział z ręką na aparacie. Jego łóżko było rozeslane, ale nie tknięte. Wreszcie podniósł się. Wziął natrysk... Jeszcze każda kobieta, pomyślał, każda, którą obejmował, czuła się kochana; ale każda, którą naprawdę zaczynał kochać, mówiła mu prędzej czy później, że jak wszyscy mężczyźni, nie ma pojęcia o miłości... Stał pod szumiącym natryskiem, kiedy odezwał się telefon, przez chwilę z waha-

niem, potem energicznie; w dalszym ciągu stał pod strumieniami wody. Kiedy dzwonicie nie ustawało, jednak podniósł słuchawkę (— telefon do pana, chwileczkę, już łączę — nie bez bicia serca, równocześnie ubawiony, w słuchawce Odezwwały się trzaski. — Halo? — Stał nagi jak Adam i mokry, czekał, żeby telefon znowu zadzwonił, niemy wskutek bicia serca. Nie mógł już sobie wyobrazić jej głosu. Wbrew wszelkim przysięgom gotów ją zobaczyć, rzucił okiem na nie zaciągnięte zasłony, tak że zapewne można go było obserwować, ale pozostał przy aparacie, dopóki nie usłyszał głosu człowieka, który, jak się umówili, czekał na niego na dole, w hallu hotelowym. — Dobrze — powiedział wolno — już schodzę.

Powiedzmy, że nazywam się Gantenbein.

Przedstawiam się:

moje pożycie z wielką aktorką, którą kocham i której dlatego pozwalam wierzyć, że jestem ślepy; Wynikające z tego nasze szczęście. Ma na imię Lila.

Świat uważa to za czysty obłąd, kiedy aby się pobrać, stoimy • w świetle reflektorów, aktorka i niewidomy; prorokuje się temu małżeństwu (wi^dzą to po minach ludzi składających nam życzenia) najwyżej jedno lato, niepewne wydaje im się tylko, które z tych dwojga, Lila czy Gantenbein, właściwie zasługuje na współczucie.

Jesteśmy szczęśliwi jak niewiele par małżeńskich.
Wyobrażam sobie:

Lila zdradza mnie (jeśli użyć tego bardzo głupiego słowa) od początku, ale nie wie, że to widzę, i cieszy się jak dziecko za każdym razem, kiedy czekam na nią na lotnisku. Czekam na tarasie dla publiczności, oparty na czarnej laseczce, w okularach, zaopatrzony w żółtą opaskę. Lila nie macha ręką, kiedy później wraz z gromadką pasażerów idzie przez wielką płytę betonową, oczywiście i ja nie macham ręką. Aby z radości nie wypaść z roli. Widzę pana, który niesie jej płaszcz, Lila, trzymając go pod rękę, rozgląda się dookoła. Teraz mnie dostrzegła! Widzę to. Potem' oboje nikną w hali, w której dokonywana jest odprawa celna. Nigdy nie zapytam, kim był ten pan. Bo Lila nigdy o nim nie wspomina i nie mógłbym jej wytłumaczyć, skąd w ogóle wiem o jego istnieniu, nie porzucając mojej roli. Kiedy pytam, w jaki sposób moja Lila zamierza w czasie podróży radzić, sobie ze swoimi torbami, płaszczami, parasolkami, pismami ilustrowanymi, ze wszystkim, co ze sobą zabiera, zapewnia, że zawsze trafią się ktoś, kto kobiecie pomaga. Nie warto, żebym się tym przejmował. Czasami odprawa celna trwa bardzo długo. Lila nic na to poradzić nie może. Lubię czekanie na lotniskach, chętnie patrzę na odrzutowce, bez względu na to, czy pada deszcz, czy jest pogoda, chętnie słucham hałaśliwego głośnika; świat jest pełen celów: Wiedeń, Kair, Stuttgart, Ateny, Bejrut, Bangkok, Tokio,- Sztokholm, Lizbona, Caracas, Praga, Londyn, Nowy Jork... Przed

pójściem do hali, w której odbywa się odprawa celna, upewniam się oczywiście, czy wszystko jest w porządku, stoję przed lustrem, przesuwam krawat trochę w lewo lub w prawo, aby Lila po pierwszym wylewnym powitaniu mogła go znowu doprowadzić do ładu.

Oczywiście bije mi mocno serce.

Inni, którzy wraz z Lilą czekają na odprawę celną, również oczekiwani przez mężów lub żony, dają znaki rękami przez szybę i próbują porozumieć się jak głuchoniemi, co nam, Liii i mnie, nie jest potrzebne. Wreszcie przychodzi kolej na **Lilę**. Pan, który dźwiga jej ciężki płaszcz, jest stale ten sam, również i wtedy, kiedy Lila może lecieć o dzień później, niż to było przewidziane. Dlaczego potrząsa głową? Tego by jeszcze brakowało, żeby ci celnicy pozamieniali bagaże. To szczęście, że ktoś ujmuje się za moją Lilą! Wszyscy pozostali panowie troszczą się jedynie o własne rzeczy! Teraz rozstają się, widzę: bez pocałunku. Czyżby Lila wątpiła w moją ślepotę? Potem ów pan przechodzi obok mnie; Lila, obładowana płaszczem, torbami, pismami ilustrowanymi, idzie wolniej niż on. Ponieważ ów pan, mijając mnie, zawsze spogląda w drugą stronę, nie mogę nic powiedzieć o jego twarzy. Jak Lila się wlecze! A ja nawet nie mogę wyjść naprzeciw niej, stoję jak manekin w witrynie sklepu, aż spada na mnie pocałunek, po którym mówię: —» Lila? — i sięgam po jej manatki. Czego óna zapomniała? Nie ma nawet czasu pa poprawienie mego przekrzywionego krawata. Czy szuka swego tragarza? Idzie dziesięć kroków za nami,

aby jej na to zwrócić uwagę, zapytuję, czy ma już tragarza. Ale, nie o to chodzi. Moje pytanie, jak jej poszło ze zdjęciami filmowymi, jest przedwczesne. O tym później. Prosi, abym chwilę czekał, nie ruszał się z miejsca, bo mnie później nie odnajdzie. Chce tylko kupić gazetę. A więc manekin nie rusza z miejsca, stoi z jej płaszczem i parasolką, zagradzając wszystkim drogę. Widocznie czegoś zapomniała; jej znajomy spóźni się na autobus, myślę sobie, a nie jest w zwyczaju, aby ten pan jechał naszym wozem. Widzę, jak się przestraszył, potem zaczyna przeszukiwać kieszenie, potrząsa głową, szuka dalej, nie wiem, czego. Na wszystko to patrzę jak na film: nie bez napięcia, nie bez zadatku' na współudział, jaki człowiek ma na początku filmu, w nadziei, że to, co się tam rozgrywa, zostanie wyjaśnione. I jak w filmie: ludzie na ekranie są sami, choć mogę ich widzieć, są bez mnie; mogę tylko współczuć z nimi, ale jestem na zewnątrz, niezależny, a więc spokojny. Może on ma jeszcze przy sobie jej paszport? Jestem cieplejszy niż tragarz. Słusznie przypuszczałem! Teraz śmieją się! Paszport (dlaczego Lila mnie o niego nie zapytała?) jest oczywiście V/ jej torebce. Nie wypada mi śmiać się również. Pytam tragarza o pogodę, aby odwrócić jego spojrzenie, na wypadek gdyby Lila i pan, któremu rzeczywiście uciekł autobus, uszczęśliwieni, że paszport się znalazł, teraz jednak pocałowali się. Nie jestem jeszcze taki niezależny, jakbym chciał; mogłoby mi sprawić przykrość, gdyby ten tragarz (opinia publiczna) mógł przypuścić, że widzi więcej niż

ja. Teraz Lila, wyzwolona od zdenerwowania, ujęła mnie znowu pod ramię, jest całkowicie moja, czuję to. — Dostałaś gazetę? — zapytuję całkiem zwykłym tonem, ale ona teraz odpowiada na moje poprzednie pytanie, jak jej się wiodło w Geiseltasteig. Ach! Szukamy teraz jej wozu, który dostrzegam, ale Lila przypomina sobie zupełnie dokładnie, że postawiła go gdzieś tam dalej; nie spieram się z nią. Chodzę tam i z powrotem, mrukiwy tragarz nie ma powodu do śmiechu. O — mówi Lila — tam przecież stoi! — Nie mówię: widzisz! Takie prawowanie się o drobiazgi zabija wielką miłość. Potem, w samochodzie, który Lila prowadzi, czuję, że jestem najszczęśliwszym z kochanków.

Miejmy nadzieję, że Gantenbein nigdy nie porzuci swej roli, polegającej na tym, że wierzy. Jakże czuła jest Lila, ilekroć powraca ze swoich występów gościnnych. Siada mu na kolanach, beztroska w tej samej mierze co i on, pełna przychylności, ponieważ nie ma mowy o spojrzaniu, które by ją uczyniło hardą i zakłamaną; jest szczęśliwa jak nigdy jeszcze z żadnym mężczyzną, wolna od obłudy, bo czuje, że nikt jej nie podgląda i nie podejrzewa. Potem zdejmuję moje ciemne okulary, aby ucałować oczy Gantenbeina, miłość jej jest prawdziwa, czuję to, gdyż nie musi wobec Gantenbeina kłamać. Jaka potrafi być hojna w miłości! Nie chciałaby żyć z żadnym innym mężczyzną, powiada, i wierzę jej. Nie zawsze będzie to łatwe,

ale się oplaci; nie można ślepcowi mydlić oczu.

Nie zdają się na moje oczy.

Kufer Liii, którego zamek błyskawiczny jest odsunięty tylko do połowy, wypływa swą zawartość na korytarz. Scenariusze, listy, obuwie. Pozostanie to na wiele dni, ale Gantenbein nic nie powie; mieszkanie staje się podobne do kosza na papiery, ledwie Lila wraca z zakupów, i tak pozostanie, wiem o tym, dopóki Gantenbein potajemnie nie pozbiera sznurków, nie wyrzuci papierów. Nie mówiąc ani słowa. Lila wierzy, że porządek z czasem powstaje sam z siebie, wierzy w krasnoludki i to jest wzruszające.

Co znaczy porządek!

Tylko człowiek nie zespolony ze światem potrzebuje porządku, aby nie zginąć; Lila jest zespolona ze światem.

Lila jest piękna. Tak przynajmniej mówi jej wielu ludzi. Kiedy Gantenbein ją o tym zapewnia, zamyka oczy, wodzi palcami po jej włosach, okrywa pocałunkami dołeczek nad jej obojczykiem.

Lila przed lustrem:

■— Na miłość boską — woła — spóźnię się!

Nie może *znaleźć* naszyjnika.

— Która to godzina? — zapytuje.

Zawsze się spóźnia, Gantenbein nie potrafi temu

przeszkodzić, ale nie zjawi się bez naszyjnika, *ponieważ zrobił w tajemnicy porządek, wie, gdzie* leży jej naszyjnik, a ponieważ ją kocha, więc kładzie go na widocznym miejscu, aby Lili łatwo było znaleźć.

— Słuchaj — powiada — mam go!

Zawsze idzie jak z płatka.

Jakoś.

Wyobrażam sobie:

Czasami mamy gości i wtedy sprawa bywa trudniejsza — gdyż inni obserwują — kiedy na przykład Lila nie widzi, że trzeba' by wreszcie opróżnić popielniczki, że nie podała, niestety, cukru do czarnej kawy, że nasz pies (myślę, że mamy psa) swoim chrapaniem pod stołem nie przyczynia się w niczym do odpowiedzi na pytanie, czy w Erneście Jungerze dokonała się jakaś przemiana; w takich chwilach muszę uważać, żeby się nie zdradzić, pó prostu nie wstać, aby opróżnić pełne popielniczki. Ktoś przechodzi na temat Joyce'a. Głaszczę więc chrapiącego psa (jawnika czy doga?) i widzę, jak nasi goście rozglądają się za cukrem, milczę, dzięki moim ciemnym okularom zwolniony od obłudnego stwierdzenia, że również czytałem Finnegans Wake. Kiedy popielniczki zostaną opróżnione? Ktoś przerzuca się na Benna, co mnie nie dziwi; Kafka już był na tapecie. Lila ze swoimi niebieskimi, szeroko otwartymi, pięknymi oczyma! Nie widzi, że nieubłagany pan, który teraz w każdej rozmowie powołuje się na wielki

wzór Brechta, ma tę samą twarz co pan, który do ostatka działał w Izbie Piśmiennictwa Rzeszy; udaję oczywiście, że i ja tego nie widzę. Jest to uciążliwe. Przy sposobności podnoszę się i mimochodem opróżniam popielniczki... Mój lęk, że taką czynnością mógłbym się zdradzić — ślepy, który widzi, że trzeba opróżnić popielniczki — nie dotyczy Liii; ona już od dawna przyzwyczała się do tego; ale goście, którzy mnie jeszcze nie znają, stanowią dla mnie pewne niebezpieczeństwo, i w kuchni, kiedy opróżniam popielniczkę bije mi mocno serce. Słyszę słowa:

— Niech pani powie, Lilu, czy on jest naprawdę ślepy?

— Bardzo się wysiła — mówi Lila —¹ żeby tego nie zauważono. Ja także zachowuję się zawsze tak, jakbym nic nie zauważała.

— Właściwie do jakiego stopnia jest ślepy?

— To zdumiewające — wtrąca ktoś ■— jak on wie, kiedy się go obserwuje. Tylko kiedy sam mówi, ma się naprawdę wrażenie, że jest ślepy. Prawda? Kiedy się uniesie, jak przed chwilą.

— Z powodu Little Rock.

— Ma pan rację — mówi pan, który teraz odkrył Brechta. — To dziwne, kiedy siedzi i głaszcze swego psa, człowiek ma uczucie, że jest obserwowany.

— Prawda?

— Odkąd jest ślepy?

— Odkąd się znamy — mówi Lila. — Z początku myślałam, że sobie żartuje. — Pauza. — Nigdy państwu tego nie opowiadałam?

— Nie!

Wtedy Lila opowiada naszą historię, za każdym razem coraz zabawniej, chętnie tego słucham, opowiada ją tym dokładniej, im bardziej nie zgadza się ona z rzeczywistością, ta urzekająca anegdota o naszym pierwszym spotkaniu: — jak to Gantenbein zjawił się w jej garderobie z konwencjonalnym bukietem kwiatów, świadczącym o zachwycie, jak Lila byłaby go nie przyjęła, gdyby stara garderobiana nie zaklinała jej, bo to przecież niewidomy; Lila zajęta właśnie rozcharakteryzowaniem się, w bieliźnie, na którą ma narzucony szlafroczek. Ślepy? Lila (jak zawsze) twierdzi, że wyglądała jak czarownica, twarz jej lśniła od tłuszczu. — Jak to ślepy? — spytała, ale nim pomyślała, w jaki sposób niewidomy może być zachwycony jej grą, Gantenbein stał już w drzwiach, niepowstrzymany, jak to potrafią ślepcy, nie widział niemożliwości swego¹ zachowania i zdumionej miny garderobianej. Stoi więc z różami w ręku, jest ich trzy, mówi o swoim zachwycie. Nie można mu nie wierzyć. A przy tym Lila (i to zawsze powtarza) właśnie tego wieczoru grała gorzej niż zazwyczaj, wręcz katastrofalnie. On nie wie, co zrobić z różami. Lila przed lustrem, twarz zatłuszczona, jak już mówiła, czarownica z rozpuszczonymi włosami, wskazuje na stół, który się, niestety, kiwa, garderobiana odbiera od niego trzy róże, on całuje ją w rękę (ten szczegół opowiada Lila tylko wtedy, kiedy mnie przy tym nie ma), nie zauważył swego niestosownego kroku, jest tym w pewnej mierze wstrząśnięta; usiadłszy na stolku

rozmawia potem o Ionesco ze znawstwem, tó pierwszy gość w jej garderobie, nie wodzący wzrokiem dokoła, mający wyłącznie sztukę na oku; Lila doprowadza do porządku fryzurę i ubiera się do wyjścia w jego obecności, no i po upływie kwadransa ma wrażenie, że jest żoną człowieka niewidomego... — Ktoś śmieje się głupawo... Przynoszę popielniczki. Milczenie. Widzę, jak są zdumieni, kiedy Gantenbein rozstawia popielniczki, jedną tu, drugą tam, nie przewracając żadnej filiżanki ani kieliszka. — Dlaczego państwo nie piją? — zapytuje i napelnia puste kieliszki; przyglądają mu się, obserwuję dokładnie, czy nie czai się gdzieś wątpliwość? Jeśli mi się zdaje, że u kogoś zrodziły się wątpliwości, napelnięm jego kieliszek z czubem. Takie sztuczki są mi potrzebne coraz rzadziej. Ktoś kieruje rozmowę na Musila.

Ważny punkt:

Pozwalam, aby mnie Lila utrzymywała.

Powód:

Nie ma chyba pary małżeńskiej, która najpóźniej w momencie rozchodzenia się nie odkryłaby, że sprawy finansowe między mężem i żoną nigdy nie zostały rozwiązane, i nie czułaby się tym boleśnie dotknięta. Nie chodzi o szczęśliwą parę, rozporządzającą zbyt małą ilością pieniędzy; to nie sprawa finansowa między mężem i żoną, która zaczyna się dopiero wtedy, kiedy oboje wystarczająco zarabiają na siebie, a więc można by przypuszczać, że mają dosyć na dwoje. Próby posiadania wspólnej

kasy, każdy daje i bierze z niej, zawiodyły ż powodu dzisiejszego społeczeństwa, które, od biorących napiwki aż do państwa, zwraca się, jak i za dawnych czasów, wyłącznie do mężczyzny.

Wyobrażam sobie:

Lila i Gantenbein w restauracji. Lila, która mnie utrzymuje. Kelner przynosi rachunek. Proszę. Widzę karteczkę, wstydliwie złożoną na talerzu, odgrywam rolę ślepego, mówię dalej, jak kobieta, kiedy przynoszą rachunek, Lila szuka torebki i płaci, ja mówię dalej, jakby nic nie zaszło. Kiedy wraca kelner z resztą, pytam go, czy ma cygara. Trwa to dłuższą chwilę. A więc gawędzimy. Lila jest wspaniała, milcząca jak mężczyzna, ani słowa o pieniądzach, tak że naprawdę można porozmawiać. Z mojej strony najwyżej pytanie: czyśmy już właściwie zapłacili? Czasami naprawdę tego nie widzę, to przecież nie moja sprawa. Lila opowiada o swoim dzieciństwie, tymczasem wybieram cygaro, jestem ogromnie ciekawy jej dzieciństwa. Ale teraz, kiedy obcinam koniec cygara, Lila znowu musi sięgnąć po torebkę i znowu płacić, inaczej chłopak sprzedający cygara, którego ostatecznie jej dzieciństwo nie obchodzi, nie ulotni się. Nie mam pojęcia, ile kosztuje moje cygaro, wiem tylko, że zostaje zapłacone, nic nie zakłóca mojej ciekawości, jak dalej przebiegało jej dzieciństwo, słucham paląc. Kiedy wysiadamy z taksówki, mówię: — Wreszcie deszcz przestał padać! — Lila znowu grzebie w torebce, płaci, sama musi zdecydować o wysokości napiwku. Czekam na jej ramię. Kiedy listonosz nie przynosi nic poza ra-

chunkami, mówię: — Dziś nie ma dla mnie żadnej poczyty! — Mówimy o rachunkach tylko wtedy, jeśli są groteskowe. Rachunki za komorne, telefon i prąd, za ogrzewanie, wywózkę śmieci, za wszystko, co się automatycznie powtarza, nie są groteskowe, a więc nie stanowią tematu rozmowy, tak samo jak wydatki za przymusowe ubezpieczenie na starość. Na nie jestem ślepy. Kiedy Lili nie ma w domu, płacę z pieniędzy leżących w szufladzie. Lila nie domaga się wyliczenia, mimo to mówię jej, kiedy szuflada jest pusta, chyba że o tym zapomnę. Lila bywa przerażona albo i nie. Choć zasadniczo, aby nie dopuścić do powstania między nami kwestii finansowej, nie interesuję się stosunkiem wpływów do wydatków, rozumiem, kiedy Lila, która nie jest skąpa, nagle czuje, że powinniśmy oszczędzać. Szanuję jej uczucia. Rezygnuję z cygar nie okazując niezadowolenia, wiedząc, że są całe warstwy społeczne, które w ogóle nie palą cygar. Jestem gotów, Lila wie o tym, do wszelkich wyrzeczeń. Kiedy mimo to Lila przynosi cygara, całą skrzyneczkę, choć, niestety, nie te, o które chodzi, oczywiście palę je; Lila musi, przecież wiedzieć, na co sobie możemy pozwolić. To, że wreszcie powinienem zamówić smoking, nie jest moim pomysłem, odwlekam jego realizację, jak długo się da; lakierków również nie mam. Natomiast koniecznie muszę pójść do dentysty, nie potrzebuję chyba mówić, jakie to dla mnie niemiłe. Nie rozmawiamy o tym. Nie pytam, ile moja Lila zarabia; sama tego nie wie, widzę tylko, ile pracuje, i raz po raz mówię, że powinna zrobić sobie wakacje.

Koniecznie. Potrzebuje tego, to widzi nawet ślepy. Kieszonkowe, które mi Lila daje, waha się, ale przeciętnie wystarcza, abym na urodziny albo na Boże Narodzenie mógł jej ofiarować coś, na co by się sama nigdy nie zdobyła; wzrusza ją to za każdym razem i wtedy całuję jej włosy. Kiedy, co się zdarza, idę do lokalu z inną kobietą, nie ona płaci; tak daleko zamiana naszych ról nie sięga. Każda kobieta, im jest pewniejsza, że nie uważam jej za sprzedajną, tym chętniej pozwala za siebie płacić. Tak już jest i to mnie bawi. Nawiasem mówiąc to się wyrównuje, gdyż i Lila, kiedy idzie z innym mężczyzną do lokalu, pozwala bez sprzeciwu, by za nią płacił; wiem, że lubi to, już choćby dlatego, że nie musi ustawicznie sięgać po torebkę, aby zapłacić za kawę, za taksówkę, za szatnię, za gazetę, za bilet do kina i za parkowanie wozu. Czasami żal mi Li. Wtedy szachruję i płacę za jej plecami; Lila nigdy tego nie zauważa, jest przecież kobietą, chociaż samodzielna. Nie mogę posuwać mego szachrajstwa za daleko, aby jej nie odebrać poczucia samodzielności. Lila nie wie, że mam własne konto bankowe, i nigdy jej tego nie powiem. Gdybym to uczynił, nie mogłoby już być, jak jest teraz. Postawmy sprawę jasno: nigdy jeszcze nie czerpałem z mego konta na własne potrzeby. Całkowicie, od stóp do głów, żyję z Li. Ona wie o tym i to wystarcza. Z mego tajnego konta pokrywam codzienne wydatki, o których nie warto mówić, podatek za psa, jakieś grzywny, które by ją irytowały, oliwę i smary, znaczki pocztowe, jałmużnę, tragarzy, Armie Zbawienia, same dro-

biazgi. Nie mogę po prostu patrzeć na to, aby kobieta, zupełnie tak jak mężczyzna, ciągle musiała sięgać do torebki. Zasadniczo wystarczy, że Lila mnie żywi, ubiera i że ja nie przyczyniam się niczym do jej utrzymania, ubierania, nie płacę za jej kosmetyki ani za jej i nasze rozrywki. Kiedy Lila mówi:

— Może zjemy dziś homara? — poddaję się jej pogodnemu kaprysowi. Dlaczego mężczyzna ma rozstrzygać, kiedy można pozwolić sobie na luksus? Każdy człowiek ma kiedy indziej ochotę na luksus, jedno z dwojga musi się podporządkować. Lila jest nierozsądna jak mężczyzna, który płaci. Ale przecież to ona płaci. Rozsądek tego drugiego, który nie płaci, to psucie zabawy; wystrzegam się tego, chociaż nie zawsze łatwo jest jeść homara tylko z miłości do kogoś; ale kto się pozwala utrzymywać, musi się podporządkować. Ja pozwalam się utrzymywać. Lila jest przy tym szczęśliwa.

Nasza codzienność jest wesoła.

Widzę po koncercie, że madame Stoffel czatuje na nas na schodach, i w trakcie rozmowy powiadam:

— Nie wiesz przypadkiem, co robi ta pani Stoffel? — To Liii nie obchodzi. — Miejmy nadzieję, że jej tu nie ma! *— powiadana. Po chwili Lila ciągnie mnie za rękaw. — Będziesz się śmiał — powiada — ale ona stoi tam właśnie! — Śmieję się, jak gdybym w to nie wierzył, po czym schodzimy innymi schodami.

Lila wierzy w mój szósty zmysł.

Wyczytała gdzieś, że ślepiec orientuje się we własnym domu lepiej niż ktokolwiek, kto musi ufać własnym oczom; ślepy nigdy nie chybia klamki ani kranu. Dzięki poczuciu przestrzeni, które go nie myli choćby o centymetr, krąży jak anioł, nic nie tłucze. Teza ta, wyrażona przy pomocy sformułowań naukowych, znalazła się na łamach pewnego magazynu amerykańskiego, opublikował to pewien profesor, który przeprowadził przeszło tysiąc testów. Lila przeczytała mi to. Trzymam się tego. Tylko raz, kiedy wskutek krótkiego snu nasze mieszkanie zostało pogrążone w ciemnościach, miałem kłopoty, jak ktoś, kto widzi albo raczej właśnie nie widzi, ponieważ jest ciemno choć oko wykol. Ponieważ jednak jest tak ciemno, Lila też nie może zobaczyć, jak się będę, i kiedy wreszcie zjawiam się ze zbawczą świecą, znowu jestem dla niej aniołem.

Wyobrażam sobie:

Lila przy kupowaniu sukni, Gantenbein musi jej towarzyszyć, to ułatwia jej decyzję, siedzę więc, jedyny mężczyzna, całe popołudnie w małym, ale drogim, przez znawczynie całego świata cenionym salonie mód, obwieszonym kostiumami, zastawionym lustrami. Gdziekolwiek spojrzę: Gantenbein z czarną laseczką między kolanami, z ciemnymi okularami na oczach. Widzę: Gantenbein stał się bardziej elegancki, odkąd pozwałam się utrzymywać; jestem to winien Liili; niewidomy

światowiec. Lila przymierza teraz kolejny model, piąty, o którym on ma wyrazić swój sąd. Jestem bardzo ciekaw. Nie modelu, lecz opinii Gantenbeina. Dama prowadząca wysoko ceniony salon, nie sprzedawczyni, lecz artystka i do tego przyjaciółka, nieco za otyła, aby- ze swoimi klientkami rywalizować, jeżeli chodzi o elegancję, ale światowa dama, traktująca Lilę nie jak klientkę, lecz można powiedzieć jak siostrę, znawczynię, człowieka, jak kogoś, kto potrafi się wczuć w jej zachwyty, raz po raz daje do zrozumienia, że nie pragnie niczego oprócz docenienia jej bezinteresownego, spontanicznego, radosnego uznania wiasnie dla tego modelu, który Lila teraz na siebie włoży. A więc dama ta, której nie znoszę, jest Gantenbeinem zachwycona. Nie każdy mężczyzna, niezależnie od tego, czy jest małżonkiem czy kochankiem, gotów jest poświęcać kobiecie tyle czasu. Lila i ja jesteśmy zawsze nieco zakłopotani tą jawnością naszej miłości. Dama zaciągnęła teraz firankę. Jest równocześnie przekonana o mojej ślepotcie w stosunku do cen, które Lila za każdym razem uiszcza plikami banknotów, czego, jak obie sądzą, nie zauważam, a ponieważ mimo znajomości ludzi, którą sobie przypisuje, nie ma pojęcia, kto tu kogo utrzymuje, jestem w jej oczach osobnikiem nie tylko najcierpliwszym, ale i najbardziej wielkodusznym, który obecnie zasnuwa kłębam dymu jej mały, ale drogi salon, oczywiście nie nazywany przez nią sklepem, lecz atelier albo boutique. Dopóki Lila jest w kabine, sprzedawczyni zachowuje się tak, jak gdybym nie był ślepy. — Zobacz pan! — mówi i każe

przynieść z przeciwka kawy, aby mój entuzjazm nie opadł: Zobacz pan! taki ma sposób mówienia. Ale i Lila za firanką zachowuje się tak, jak gdyby cała ta impreza miała jedynie na celu sprawienie mi przyjemności. Siedząc popijam kawę jak pasza, który robi zakupy dla całego haremu; Lila jako modelka dla całego haremu. To po prostu Biblia z wzorami jedwabi, co mam z nią począć? Nie wątpię o mojej ślepcie, przeciwnie; ale chciałyby, abym czuł, że mimo niej traktują mnie poważnie. Oczywiście nigdy nie zdejmuję okularów. Kiedy trzeba, widzę kolor materiału, zezując bokiem spod okularów. Długo tego nie robię, gdyż wywołuje to zawrót głowy. Zezuję jedynie w momentach decydujących.

— Słuchaj — mówi Lila — jestem zdecydowana.

— To pięknie.

— Jestem pewna — szczebiocze dama — że nie będzie pani tego żałowała. Jak już mówiłam, widziałam ten kostium u Diora i od razu pomyślałam o pani, madame Gantenbein.

Teraz zezuję.

— Kto miałby prawo to nosić — słyszę — jeżeli nie pani, madame Gantenbein? Tylko, jak mówiłam, kołnierz —

Uważam, że kostium jest niemożliwy.

— Słuchaj — mówi Lila — jestem zdecydowana.

To, że powtórzyła swoje słowa, dowodzi, iż jest niepewna, potrzebuje pomocy. Lila ma smak, ale jak każdy człowiek ma i pochodzenie. Przy-

puścimy, że byłaby córką bankiera: oczywiście czułaby lęk przed każdym kołnierzem, który robiłby z niej zbyt wielką damę, i zawsze ciągnęłoby ją k> czegoś skromnego. Gdyby natomiast była córką alzackiego właściciela sklepu z pasmanterią, wówczas bez względu na to, czy w kołnierzu byłoby jej do twarzy, czy nie, szłaby na wszystko, co dałoby jej wygląd wielkiej damy, i w decydującym momencie stałaby się ślepa na kolory. Muszę jej pomóc. Czy pan Dior, który specjalnie dla niej stworzył ten model, kocha ją, tego nie wiem. Ale ja kocham Lilę, niezależnie do tego, czy jest córką bankiera, właściciela pasmanterii, czy, co byłoby również, możliwe, córką purytańskiego pastora. Mówię:

— Pięknie.

— Wiesz, musimy go jeszcze tylko poupinać... Upinają poprawki na Liii.

— Czy to ten żółty? — pytam.

— Nie — powiada — koloru wina.

Dama, siostra i artystka, która musi teraz przykucnąć, aby upiąć dół kostiumu — kiedy kuca, widzę, że spódnica jej omal nie pęka — uważa, że mojej Liii jest w tym kostiumie niewiarygodnie do twarzy; widzę, jak Lila, która w gąszczu szpilek ledwie może się ruszać, odwraca głowę w stronę najbliższego lustra i mimo szpilek usiłuje uwierzyć w to wręcz niewiarygodne.

— Koloru wina? — pytam. — Jak burgund?

— Można tak powiedzieć.

— O tak — mówię — do twarzy ci w tym kolorze.

Niełatwa sprawa z niewidomym!

— Jałt burgund? — pytam. — Czy jaki?

Ślepy. Gantenbein przypomina sobie różne rodzaje czerwieni. Uważa, że byłoby jej również do twarzy w czerwieni łososiowej, nawet w suchej, ceglanej, może i w ciemnej, jaką mają więdnące róże, w rdzawej czerwieni albo czymś w tym rodzaju. Gantenbein lubi czerwień. Pamięta tylko jeden jej rodzaj, w którym nie byłoby Liii do twarzy: płytką, fałszywą, chemiczną czerwień lemoniady. Pauza. Niechaj sobie przypomni: czerwona jest krew, czerwona jest barwa alarmu, na przykład chorągiewka przy wysadzaniu w powietrze, czerwone są pyszczki ryb, księżyc i słońce podczas wschodu i zachodu, ogień, żelazo w ogniu, czasem ziemia i dzień za zamkniętymi powiekami, czerwone są wargi, czerwone są chustki na głowę na brązowych, zielonych i szarych pejzażach Córta, czerwone są rany, maki, wstyd i gniew, wiele jest rzeczy czerwonych, plusz w teatrze, głóg, papier, płachty na walkach byków, czerwony ma być diabeł, czerwień rodzi się z zieleni, tak, czerwień, to barwa nad barwami — dla Gantenbeina.

Suknia jest poupinana.

— Słuchaj no — mówi Lila — to nie jest czerwień lemoniady.

Pałę i czekam.

— Nie — oświadcza dama — jak mi Bóg miły, nie'

— A może uważa pani — zapytuje Lila spoglądając w stronę kucającej sprzedawczyni — że to jednak czerwień lemoniady...

— Skądże znowu!

Widzę w lustrze wahanie Liii.

— Może pan być spokojny — mówi sprzedawczyni w moim kierunku, jest zniecierpliwiona, uważa wszystkich mężów za ślepych. — Może pan być spokojny — powtarza i zwraca się do

: Liii — pan byłby zachwycony, gdyby mógł panią zobaczyć.

Nie mając obowiązku być zachwyconym, jako ślepy, zadaję dalsze pytania, a Lila odpowiada z pewnością siebie, której nie przejawia w lustrze; na przykład:

— Czy to nie jest za skromne?

Przeciwnie, jest zbyt bombastyczne.

' — Co to, to nie — mówi Lila.

Palę.

— Proszę pani — mówi Lila półgłosem — zmierzmy jeszcze raz ten żółty kostium.

Może Lila wie już od dawna, że nie jestem ślepy, i pozostawia mi moją rolę jedynie z miłości?

Wyobrażam sobie:

Lila przechodzi w płaszczu przez scenę, próba, Lila gra lady Makbet, siedzę w ciemnej łoży, położyłem nogi na miękkim siedzeniu fotela przede mną, gryzę fistaszki, które, aby nie śmiecić, rozłupuję w kieszeni, a więc na ślepo; łupinki pozostają w mojej marynarce, znalezienie wśród nich fistaszka staje się coraz bardziej pasjonujące. Dyrekcja,

choć niechętnie, zgodziła się na moją obecność; musiała to uczynić, aby móc Liii, która w tym teatrze przeprowadza wszystko, odmówić czegoś innego. Dyrekcja zapytuje zapewne samą siebie, dlaczego ja, ślepiec, muszę przychodzić na próby. Lila życzy sobie tego. To dla niej pomoc, powiada... A więc: Lila przechodzi w płaszczu przez scenę, wita się, przyjmuje powitania, jakby się nic spóźniła. Jak ona to robi, nie wiem; przyszliśmy do teatru razem i prawie w porę, ponieważ Lila znowu nie mogła znaleźć zegarka, a ja nie podsunąłem go jej dzisiaj, abyśmy raz przyszli na czas. Musiała to wyczuć, kiedyśmy doszli do wejścia za kulisy. Może jakaś rozmowa na schodach albo list u portiera, nie wiem, w każdym razie spóźnienie Liii znów się jednak dokonało; czekamy, cisza przed próbą, stuk młotka za kulisami, cisza, reżyser przy pulpicie omawia z 'asystentem coś, co nie jest pilne, lecz potrzebne, aby wobec czekających aktorów nie stwarzać wrażenia, że czeka się jedynie na Lilę. Za chwilę nadejdzie, przeszła przecież przez scenę, jest już w swojej garderobie. Cisza, później przekleństwa reżysera, które w mojej łóżki wyraźnie słyszę. Kazać ludziom czekać nie jest zamiarem Liii, lecz jej darem. Czeka ją. Gdybym jej później opowiedział, co słyszałem, nie dałaby temu wiary; nigdy takich przekleństw nie słyszała, przeciwnie, kiedy się zjawi, wszyscy będą rozbrownieni, oczarowani. Czekam więc, żuję fistaszki, bo w łóżki nie wolno palić, czekam...
Wejście lady Makbet.
W pulowerze; ale się jej wierzy —

Oczywiście Gantenbein nie może się wtrącać, kiedy reżyserowi przychodzi do głowy jakiś fatalny pomysł; żaden reżyser nie pozwoli, aby niewidomy miał coś do gadania. Mimo to jestem dla niej pomocą. W tajemnicy. Po próbie.

Na przykład:

Reżyser, na ogół wrażliwy na wizualność, wpada na pomysł doprowadzenia Lili tuż przed rampę, kiedy chce zmyć z rąk urojoną krew; chce zrobić raz inaczej, ale źle. Dziwię się, że tego nie widzi, znowu gryzę fistaszki. Lila stoi posłusznie tuż przy rampie... Później, przy obiedzie,- po próbie, zapytuję, dlaczego lekarz i piastunka, stworzeni przez Szekspira dla tej słynnej sceny, zostali skreśleni; pytanie dopuszczalne również dla ślepego, gdyż nie słyszałem ani lekarza, ani piastunki, którzy nie mają wprawdzie wiele do powiedzenia, ale stoją obok, kiedy lady mówi w szaleńczym śnie. Istotnie, dowiaduję się; zostali skreśleni właśnie dlatego, że niewiele mają do powiedzenia. Go o tym myślę, łatwo sformułować, ale w jaki sposób Gantenbein (nie zdradzając się z tym, że widzi to, co mógłby zobaczyć każdy) ma przekazać swe wrażenie człowiekowi, który, zaślepiony własnym pomysłem, właśnie zajada filet mignon? Aby się nie zdradzić, że widzę, pytam kelnera, czy mają filet mignon... Podczas następnej próby, kiedy znowu zjawia się moja lady i stawia przy rampie świecznik, myjąc ręce nie przed lekarzem i piastunką, których Szekspir wymyślił jako ukrytych świadków, lecz sama przed publicznością, zamykam oczy, aby sprawdzić moje wrażenie. Słyszę różnicę. Kiedy Lila uczyła się

oli w domu nie wiedząc o tym, że Gantenbein, ukryty jak lekarz i piastunka, słyszy ją, była człowiekiem miotającym się w samotności swego strachu i wstrząsnęła mną. Teraz nie. Teraz żuje fiastaszki. Ten sam tekst, ten sam głos, a mimo to nie to samo. Dlatego, że stoi przed rampą, nie podsłuchiwana przez lekarza i przez piastunkę, których w swym obłędzie nie widzi, lecz sama przy rampie: podsłuchiwana przez krytykę i publiczność. Muszę jej to powiedzieć. — Recytujesz jak dama z amatorskiej grupy oksfordzkiej, która swe kłopoty duchowe prezentuje jako numer w programie towarzyskim — mówię do niej podczas przerwy — trudno nie ziewać. — Kiedy podchodzi reżyser, aby pocieszyć Lilę, zapytuję go, czy i on nie uważa, że Lila recytuje jak dama z amatorskiej grupy oksfordzkiej, ekshibicjonistka, jakby stała tuż przy rampie —

Czasami zmieniają jeszcze. Nic. nie mówią Gantenbeinowi: aby wystawić na próbę jego słuch... Po próbie czekam- zawsze przy wyjściu zza kulis, oparty na czarnej laseczce, udaję, że nie znam głośnych aktorów, z początku przechodzili też zawsze bez skinienia głową, ale z uprzejmym wyrazem twarzy; co jednak ślepcowi po skinieniu głową! Co najwyżej jeden z nich mówił: — Pańska żona zaraz wyjdzie! — kiedy mnie mijał. O czym ma mówić aktor z kimś, kto go nigdy nie oglądał? Z czasem zaczęli mi się kłaniać, na co, niestety, aby nie wypaść z roli, w żadnym razie nie mogę reagować; gapię się więc jak strach na wróble, nie kłaniam się, widząc

..^Leśnie, że ich szacunek dla mnie rośnie. Szacunek dla mego słuchu. Raz jeden z nich zwraca się do mnie; chciałby wiedzieć, czy sprzyśiężenie w trzecim akcie, teraz, kiedy już nie stoją w odległości siedmiu metrów od siebie, brzmi bardziej jak sprzyśiężenie. Widocznie Lila wygadała się. Przedstawia się:

— Jestem Macduff.

— Tak — mówię — dziś brzmiało to inaczej.

— A widzisz — mówi Macduff.

— Czy i pan nie uważa — mówi inny i widzę, że zwraca się wyłącznie do niewidomego Gantenbeina — że wychodzi to teraz lepiej, o wiele lepiej, że jest po prostu słusniejsze, jeżeli on — wskazuje przy tym na kogoś — nie spogląda na czarownice, bo są przecież, że tak powiem — tylko moją wizją? — Odebrało mi mowę. — A może nie jest pan tego zdania? — zapytuje i przypomina sobie, że nie mogę go przecież zobaczyć. — Jestem Makbet.

Przedstawiam się również:

— Gantenbein.

Ujmują moją rękę ślepeca.

— Jestem Banko — przedstawia się trzeci aktor.

— Bardzo mi przyjemnie — mówię.

Lila zjawia się zawsze na ostatku.

Wyobrażam sobie:

Od czasu do czasu mam dość grania roli Gantenbeina i udaję się na łono natury. Popołudnie w Grunewald. Zbieram sosnowe szyszki, rzucam

je, jak mogę najdalej, do Krumme Lanke i Klaps, nasz pies, wskakuje za nimi do brunatnej, cichej, pokrytej pęcherzami wody. Widzę płynącą szyszkę, pies zaś, ślepy z wielkiego zapachu, szamoczący się, nie dostrzega jej. Rzucam drugą szyszkę. Pokazuję mu ją wyciągniętą ręką, żeby nie płynął na próżno; chwycił ją, zawraca. Para uszu, pysk z szyszką, dwoje oczu ponad wodą... Bardzo lubię te jeziora hawelskie, wspomnienia, a tego, jak w Berlinie wygląda naprawdę, Gantenbein nie potrzebuje widzieć; w mieście panuje ożywiony ruch, słyszę go... Para oczu ponad wodą, niewidoczne cztery łapy wymachujące pod wodą, oto Klaps. Nic jest psem wytresowanym na użytek niewidomych, muszę go dopiero wychowywać i jest to oczywiście możliwe tylko wówczas, kiedy dookoła nie ma żywej duszy, na przykład przed południem w Grunewald, podczas próby Liii w teatrze. Dużo roboty i tam, i tutaj. Scena znajdowania przez Klapsa czarnej laseczki jego ślepego pana ciągle jeszcze nie wychodzi. Czy jest za mądry, czy za głupi? Teraz wypłynął na brzeg z szyszką w pysku. Ugania po nadbrzeżnych zaroślach, wymachuje ogonem, dyszy, zatrzymał się przed leżącą na piasku szyszką, otrząsa się z wody. — Grzeczny Klaps, grzeczny! — Jeszcze nie doszedłem do tego, żeby prowadzić z moim psem długie rozmowy. Idąc dalej — dookoła nie ma żywej duszy! — używam mojej czarnej laski, aby bawić się szyszkami w coś w rodzaju baseballu. Odbywa się to tak: trzymam szyszkę w lewej ręce, czarną laseczkę w prawej, rzucam szyszkę w powietrze, podbijam

laską. Siedem trafień na dziesięć uderzeń, to coś znaczy, Klaps pędzi przez marchijski piasek w poszukiwaniu szyszek. Odprężająca zabawa. Potrzebuję tego od czasu do czasu. Katolik ma dla wytchnienia od swej tajemnicy wspaniałą instytucję : klęka i przełamuje swe milczenie, nie wydając się na pastwę ludzi, a potem podnosi się, znowu wraca do swej roli wśród ludzi, oswobodzony od fatalnego pragnienia, aby go ludzie poznali. Ja mam tylko psa, który milczy jak ksiądz; kiedy podchodzimy do pierwszych ludzkich domostw, głaszczę go. — Grzeczny Klaps, grzeczny! — I obaj nawzajem bierzemy się na smycz. Koniec z zabawą w szyszki! Klaps to rozumie; pakuję książkę formatu kieszonkowego (czytam, aby poznać ludzi z ich sądów) do kosza na papiery, idziemy dalej, jak należy, niewidomy i jego pies. Przy „Chacie Wuja Toma” wsiadamy do kolei podziemnej.

Kawiarnia na Kurfurstendamm:
' Dziennikarze, aktorzy, filmowcy, jakiś doktor, wielbiciel wszelkiego rodzaju intelektu, czasami ogarnia mnie zniecierpliwienie, niemal wściekłość, że mnie uważają za ślepego tylko dlatego, że jestem jej mężem; kiedy słyszę, że uznają za konieczne poinformować mnie:

— Lila to cudowna kobieta!

Głaszczę psa.

—Pan nawet nie wie — mówi ktoś ■— jaką cudowną ma pan żonę.

Pauza.

Co ma na to powiedzieć Lila?

Co ja mam powiedzieć?

Lila poprawia mi krawat.

Widzę:

Lila adorowana przez wszystkich, którzy mają oczy w głowie, oczy ich stają się przy tym bardziej szkliste niż ich okulary w rogowej oprawie, Lila jest bezbronna, więc trzymają ją za rękę lub pod ramię, tymczasem wiem, że ona tego nie lubi. Jak mam to powiedzieć tym panom? Mógłbym teraz, nie zwracając tym uwagi, czytać gazetę; tacy są mnie pewni. Dlaczego mężczyźni zakochani wyglądają raczej głupio? Podnoszę się. — Co się stało? — pyta oblegana Lila, a oblegający zwracają ku mnie głowy. — Nic! — Płaszcz jej zsunął się z krzesła, nikt tego nie dostrzegł, mówię: — Pan wybaczy, doktorze, ciągle następuje pan na płaszcz pani. — ■ Ach — powiada doktor i natychmiast cofa nogę, nie wyciąga jednak żadnych wniosków. Przeprasza Lilę. Proste założenie, że mąż jest ślepy, jest niewzruszone.

Czasami uważam, że wszystko to nie jest łatwe.

Ale korzyści, mówię sobie wtedy, korzyści, nie wolno ci zapomnieć o korzyściach z twojej roli, zarówno wielkich, jak małych; nie można ślepcowi mydlić oczu... Ktoś inny gra rolę pisarza, którego nazwisko w miesięcznej liście najpoczytniejszych książek zwyknie, właściwie utrzymuje się na szczycie, ponieważ, mówiąc między nami, innych tytułów nie można brać poważnie; nazwisko jego lawiruje tam, gdzie właściwie nie można jeszcze mówić o bestselleryzmie, dokładnie obok górnej granicy wydarzenia literackiego. On jednak nie

może wiedzieć, że widziałem listę najpoczytniejszych książek, i jest jedyną osobą przy stoliku, zwracającą się do ślepego Gantenbeina, ja zaś jestem jedynym człowiekiem, który nie jest obowiązyany znać jego dzieła. Każdego, kto tego potrzebuje, traktuję jak sławną osobistość.

— Widzi pan — mówi sławny człowiek —

Widzę, trzymając na smyczy Klapsa, który zawsze ma ochotę dać drapaka przed sprawami zbyt ogólnoludzkimi, widzę, jak oczy tamtego, kiedy rozmawia o sobie ze ślepym Gantenbeinem, rozglądają się raz po raz, czy naprawdę nikt go poza tym nie słucha. Widzę: człowiek ten bierze mnie poważnie, gdyż Gantenbein nie może zaprzeczać; a ponieważ tamten, będąc obecnie sławny, bierze mnie poważnie, nagle zaczynają robić to samo i pozostali. Gantenbein ma powiedzieć, jak widzi przyszłość Niemiec, nikt inny, właśnie Gantenbein. Ogarnia mnie strach. Nie chciałbym, żeby mnie brano poważnie, ale właśnie ślepcy są tak traktowani.

— Jak pan się zapatruje na ogólną sytuację? Udaję, że nigdy nie widziałem Zachodu, jeżeli zaś chodzi o Wschód, to wiadomo... Potem, w sa^mochodzie, kiedy Lila znowu szuka kluczyka, wręczam jej torebkę, którą, widziałem to, została na krześle, i możemy jechać, aby u olśnionego nią doktora wypić kieliszek szampana, rozumiem, można powiedzieć w cztery oczy: Lila, doktor i ja. Olśniony siedzi z tyłu i gada bez przerwy, jakbym był nie tylko ślepy, ale i niemy. Siedzę obok Lili i widzę na jej ramieniu rękę, która wy-

sunęła się od tyłu, pełna zrozumienia dla Liii, pociesza ją w związku z pewną głupią recenzją w prasie. Byłbym bez serca, gdybym zachował w tej sprawie całkowite milczenie. Recenzja była dowcipna, ale naprawdę bardzo niesprawiedliwa. Kładę moją rękę, ślepa, na tamtą, która już od chwili, kiedy minęliśmy Gedachtniskirche, leży na jej słabym ramieniu, i powiadam: — Nic sobie z tego nie rób! — Jedziemy w milczeniu dalej. Itd.

Nauczyłem się tego w teatrze:

Aktor, który ma grać człowieka kulawego, nie musi kuleć przy każdym kroku. Wystarczy kuleć w chwili właściwej. Im bardziej to oszczędne, tym prawdopodobniejsze. Chodzi jednak o właściwą chwilę. Jeżeli kuleje tylko wtedy, kiedy mu się zdaje, że go obserwują, sprawia wrażenie obłudnika. Jeżeli kuleje stale, zapominamy, że jest kulawy. Jeżeli natomiast od czasu do czasu w ogóle nie kuleje, kuleje zaś, kiedy jest sam, wierzymy mu. To tylko pouczenie. Drewniana noga w rzeczywistości kuleje bezustannie, ale nie zauważamy tego bezustannie i to właśnie powinna oddawać sztuka udawania: jedynie i wyłącznie momenty zaskakujące. Kiedy nam się nagle przypomni, że przecież ten człowiek kuleje, jesteśmy zawstydzeni, żeśmy zapomnieli o jego ułomności, i dzięki zawstydzeniu przekonani, udający więc nie musi przez jakiś czas kuleć, może się teraz odprężyć.

Stara namiętność Gantenbeina, tak mi się wydaje, to szachy. I to może uprawiać bez trudu.

— Zrobiłeś ruch? — zapytuję.

— Chwileczkę — mówi mój partner — chwileczkę.

Widzę i czekam...

— Tak — mówi partner — zrobiłem.

— No?

— BI x A3 — melduje partner.

— A więc skoczkiem — mówię.

Partnerzy, którzy jeszcze nie przyzwyczaili się do tego, że mam szachownicę w głowie, są prawie zawsze zaskoczeni; kiedy napełniając fajkę tytoniem mówię: a więc skoczkiem! Najbardziej zaskakuje ich to, że wiem, gdzie stoją moje figury, których naturalnie nigdy nie dotykam. Zapalając fajkę mówię:

— F8xB3.

Partner miał nadzieję, że zapomniałem o moim skoczku i teraz mu wstyd; traci za to nie tylko swego skoczka, ale i czyste sumienie. Widzę to, zaczyna fuszerować.

— I cóż — pyta Lila — kto wygrywa?

— Gantenbein! — mówi tamten, możliwie pogodnie, ale zdenerwowany, widzę jego palce, po kryjomu liczy figury, nie może pojąć, co się stało, dawniej bił mnie zawsze, a niczego się nie nauczyłem, niczego, co pozostaje w związku z szachami. Dziwi się. Zamiast myśleć.

— Zrobiłeś ruch? — zapytuję.

Wygląda, jakby nic już nie widział.

— A więc dobrze — powiada — B2 x A3!

Mój partner naprawdę uważa mnie za ślepego.

— B5 x A1 — proszę.

Mój partner musi własnoręcznie wyrzucić swą wieżę, aby moją królową postawić na linii swojego króla — potrząsa głową i na wypadek, gdyby Gantenbein nie orientował się, sam woła:

— Szach!

Mówię do Liii, żeby nam teraz nie przeszkadzała, ale za późno; mój partner kładzie swego króla na brzuchu, czego nie wolno mi widzieć. Czekam ssąc fajkę.

— Mat! — melduje.

— Jak to?

— Mat! — melduje.

Staję się fenomenem.

Doszło do tego, że Lila zostawia już na wierzchu swoje listy, listy obcego pana, które rozsadziłyby nasze małżeństwo, gdyby Gantenbein je przeczytał. Nie robi tego. Co najwyżej stawia na nich popielniczkę lub szklanekę do whisky, aby wiatr nie przewracał kartek.

Miejmy nadzieję, że nigdy nie wypadnę z roli. Co pomaga wzrok! Może się zdarzyć, że Gantenbein, nie dorosły do swej wielkiej miłości, przy jakiejś okazji zedrze z twarzy okulary — aby natychmiast położyć rękę na oczach, jakby go bolały.

— Co ci jest?

— Nic, kochanie.

■— Ból głowy?

Gdyby Lila wiedziała, że widzę, zwątpiłaby w moją miłość, powstałoby piekło, mężczyzna i kobieta, ale nie para małżeńska; dopiero tajemnica,, której mężczyzna i kobieta strzegą nawzajem przed sobą, czyni z nich parę.

Jestem szczęśliwy, jak nigdy jeszcze z żadną kobietą.

Kiedy Lila nagle, jakby spłoszona i zagnana, bo wyraźnie się spóźnia — mówi na odchodnym, że musi dziś pójść do fryzjera, gdyż ma włosy jak czarownica, kiedy później wraca od fryzjera, o którym wiadomo, że każe na siebie czekać, kiedy widzę na pierwszy rzut oka, że włosy jej nie były u fryzjera, kiedy, nie podkreślając wyraźnie, że doszło to do jej uszu podczas suszenia włosów pod aparatem, opowiada o jakimś lokalnym wydarzeniu, nigdy nie mówię: Lilusiu, dlaczego kłamiesz? Gdybym to powiedział nie wiadomo jak czule, że tak powiem z humorem, czułaby się dotknięta; zapytałaby Gantenbeina, na czym opiera to niesłychane twierdzenie, że nie była u fryzjera, on, który przecież nie może zobaczyć jej włosów. Widzę to, ale nie znajduję, żeby Lila wyglądała jak czarownica. A więc nie mówię nic, nawet nic z humorem. Czy muszę wiedzieć, gdzie Lila była od czwartej? Najwyżej mówię, oczywiście nie dotykając jej ukochanych włosów, mimochodem: — Cudownie wyglądasz! — Nie pyta, skąd Ganten-

bein może to wiedzieć; takie słowa uszczęśliwiają ją bez względu na to, kto je wypowiada. Zresztą mówię to zupełnie szczerze; Lila wygląda cudownie, właśnie wtedy, kiedy nie była u fryzjera. Również i Lila jest szczęśliwa jak nigdy. O kwiatach, które nagle znajdują się w naszym mieszkaniu, rozmawiam tylko wtedy, kiedy wiem, kto je przysłał; kiedy wiem o tym od Lihi. Mogę wtedy spokojnie powiedzieć: — Myślę, że te orchidee od twojej dyrekcji można już wyrzucić do kubła. — Lila wyraża zgodę. Od czasu do czasu bywają jednak kwiaty, o których wolę nie wspominać, róże, o których również Lila nie mówi, trzydzieści róż na długich łodygach; nie mówię ani słowa, choć mieszkanie jest przesycone ich zapachem. Kiedy jakiś gość wyskoczy z powiedzeniem: — Jakie cudowne róże! — nie słyszę tego; Lila niepotrzebnie mówi teraz, kto je przysłał. Kiedy słyszę, kto je przysłał, nie rozumiem, dlaczego o tych różach, które oglądani od trzech dni, nie powiedziała dotąd ani słowa. Niewinny wielbiciel jej sztuki. Jego nazwisko nie wprowadza Lihi w zakłopotanie; jest wielu wielbicieli jej sztuki, którzy nie tylko ubolewają nad ślepotą Gantenbeina, ale i nad Lilą; podziwiają tę kobietę nie tylko za jej sztukę, ale z powodów czysto ludzkich, — za to, że kocha męża, który nie widzi jej sztuki. Stąd róże. Albo i co innego. Nigdy nie pytam, kto jej darował tę uroczą bransoletkę. Co widzę i czego nie widzę, to sprawa taktu. Może małżeństwo to w ogóle sprawa taktu.

Jak każda kobieta, żyjąca w sferze intelektu, Lila miewa załamania. Zaczyna się od depresji, którą od razu zauważam; każdy mężczyzna nie udający ślepego zapytałby po chwili, co się stało, najprzód czule, potem szorstko, gdyż milczy, milczy coraz głośniejsze, aby nie wyjść z kręgu swej depresji, i wreszcie zapytuje z poczuciem winy, choć się do niej nie poczuwa:

— Sprawilem ci przykrość?

— No, powiedz wreszcie!

, —Co się stało?

Itd.

Wszystkie te pytania, czule czy szorstkie, albo raz czule, raz niechętnie, ponieważ po dręczącym milczeniu odpowiada półgłosem, już bliska płaczu, że to nic ważnego, nie prowadzi do odprężenia,, wiem o tym, tylko do bezsennej nocy; wreszcie, zgodnie z życzeniem Liii, abym zostawił ją w spokoju, biorę bez słowa moją poduszkę i układam się do snu na podłodze w bawialni, ale po chwili słyszę jej głośne szlochanie i po upływie pół godziny wracam do niej. Teraz już w ogóle nie jest w stanie mówić; mój apel do rozsądku nie pomaga, krzyczę i wskutek tego przestaję mieć rację; trwa to do świtu. Następnego dnia będę ją prosił o przebaczenie, nie dowiedziawszy się nigdy, co było przyczyną depresji, i Lila przebaczy mi...

Wszystko to jest oszczędzone Gantenbeinowi.

Po prostu nie widzę jej depresji, która każdego, kto ją widzi, czyni bezsilnym; rozmawiam na ślepo albo na ślepo przemilczam jej nagłe zamilknięcie — chyba że Lila, zmuszona do tego moją ślepotą,

wyzna bez ogródek, co ją rym razem rozstroilo;
a o tym można rozmawiać.

Sytuacja życiowa, w której Gantenbein zdejmuje !
ciemne okulary, nie wypadając przez to z roli
kochanka: uścisk.
Mężczyzna, kobieta.

Lila zna przypuszczalnie wielu mężczyzn¹;
takich i innych, również i takich, którzy zawiedli,
ponieważ uważali się za obowiązanych do czegoś,
czego kobieta nie oczekuje, przede wszystkim
gwałcicieli nie z uniesienia, lecz z woli, typy kie-
rujące się ambicją, nudziarzy, prostytutki są wyjąt-
kiem, może poznała kiedyś jakiegoś rybaka włos-
kiego, przeważnie jednak intelektualistów, neura-
styków, przykrych i trudnych; kiedy widzą
oczy Lili, całują ją z zamkniętymi oczami, by być
ślepymi z zachwyty, ale nie są ślepi, boją się,
są głusi, nie mają rąk niewidomego, oddanie ich
nie jest bezwarunkowe, niezachwiane, tkliwość
ich nie jest tkliwością ślepcy, wyzwalającą od wszyst-
kiego, co wywołuje lęk, kiedy się wie, że ten drugi
także to widzi. Ślepy nie przychodzi z zewnątrz,
ślepy, zespolony ze swym marzeniem, ani przez
moment nie porównuje jej z innymi kobietami,
wierzy swojej skórze —

Mężczyzna, kobieta.

Dopiero następnego ranka, kiedy Lila śpi jeszcze
albo udaje, że śpi, żeby go nie budzić ze snu,
Gantenbein, aby ochronić Lilę przed cieniem choćby
wątpliwości, bez słowa bierze z nocnego stolika;

swoje okulary; dopiero tajemnica, której przed sobą strzegą, czyni z nich parę.

Wyobrażam sobie:

Gantenbein stoi w kuchni, Lila jest zrozpaczona, nie może patrzeć na to, że Gantenbein, jej mąż, ciągle coś robi w kuchni. Lila jest wzruszająca. Nie może po prostu uwierzyć, że nie ma już w domu ani jednej czystej filiżanki. — Wyjdźmy! — powiada, by dać okazję krasnoludkom... Więc wychodzimy... Lila nie znosi widoku brudu, widok ten ją zabija. — Gdybyś mógł zobaczyć, jak w tej kuchni znowu wygląda! — powiada". Czasami wchodzi, aby zmyć jedną czy dwie filiżanki, jedną czy dwie łyżki, Gantenbein zaś, jak większość mężczyzn wszystko lepiej wiedzący, uważa, że seryjnie idzie to zwawiej. W ciągu godziny, pogwizdując lub nie, zmywa wszystkie łyżki, wszystkie filiżanki i szklanki, aby na jakiś czas uwolnić się od tej pracy. Wie, że zawsze będzie potrzebna łyżka albo szklanka, przeważnie szklanka, możliwie nie lepka. Kiedy Lila idzie do kuchni, Gantenbein nie jest również zwojniony od pracy; wie, jaka jest niepraktyczna. Wie jeszcze więcej: że nie należy udzielać kobiecie praktycznych rad, to ją tylko obraża i nic nie zmienia. Co robić? Mężczyzna, który w kochanej przez niego kobiecie stwierdza brak pewnej zaradności, sprawia wrażenie, że jej nie kocha. Istnieje jedyne wyjście: żeby widział w tym istotny niezwykle wdzięk, choć nie jest to wcale takie niezwykle. Ale co robić? Dopóki z nieba nie spadnie

jakaś gospodyni, nic nie pomoże, że Lila zamartwia się widząc Gantenbeina stojącego w kuchni, przepasanego fartuchem, wynoszącego co dzień kubek z odpadkami, wyrzucającego puste butelki, zmięte gazety, druki, sznurki od paczek, obrzydliwe skórki pomarańczy, zanieczyszczone niedopałkami papierosów, noszącymi ślady pomadki do ust —

Mam wrażenie, że znalazłem rozwiązanie!

Ponieważ Lila naprawdę nie chce, żeby jej ślepy Gantenbein zmywał naczynie tylko dlatego, że samo się nie zmyje, a nawet samo się nie zaniesie do kuchni, i ponieważ za każdym razem, ilekroć kuchnia lśni od czystości jak w sklepie z przyborami kuchennymi, Lila zasępia się jakby pod ciężarem tajemnego wyrzutu, Gantenbein postanowił nigdy już nie doprowadzać kuchni do wzorowego porządku. Istotnie, przyznaję to, wysprzątana na wysoki połysk kuchnia dawała mu drobną, czysto męską satysfakcję i pierwotne zadowolenie z męskiego współczucia dla siebie samego. To się już nie powtórzy! Teraz Gantenbein nie zmywa już ani jednego talerza, ani jednej łyżki, kiedy Lila jest w domu, czyni to po kryjomu i zmywa tylko tyle, żeby to nie zwróciło jej uwagi. Kuchnia wygląda, jakby się nikt o nią nie troszczył, a mimo to, ciekawe, zawsze można jeszcze znaleźć parę szklanek, kilka czystych noży, akurat tyle, ile właśnie potrzeba, popielniczki nie są tak lśniące, żeby wyglądały jak wyrzut, tyle że popiół nie piętrzy się w nich zbyt wysoko, obrzydliwe pestki daktyli ulotniły się z nich, tak samo jak lepkie

ślady kieliszków od wina z marmurowego stolika. Druki, ilustrowane czasopisma z poprzedniego tygodnia znikły, jakby uświadomiły sobie wreszcie swoją żółkła nieaktualność — a Gantenbein siedzi w bujającym fotelu, pali cygaro, kiedy Lila wraca do domu i odczuwa ulgę, że może nie troszczyć się już o czystość kuchni.

— Widzisz — powiada — i tak jakoś to idzie.

Codziennność jest do zniesienia tylko dzięki cudom.

Lubię poranki wrześnieowe, wilgotne od rosy, szaroniebieskie, słońce jak za zasłoną dymną, wiejskie domy wyglądają jak owinięte w bibułkę, jezioro łśni, przeciwległy brzeg paruje, jesień, stoję między szklanymi inspektami, z Klapsem na smyczy, wśród grządek wiejskiego zakładu ogrodniczego. Jestem bez okularów, aby widzieć prawdziwe barwy kwiatów, żółtą opaskę schowałem do kieszeni, żeby uprzejmy ogrodnik nie pomyślał, że może mi sprzedać zwiędłe kwiaty. Jego nóż łśni jak jezioro. Ostróżka, dobrze, czy jak to się tam nazywa, kiwam głową, każda łodyga, którą witam skinieniem głowy, idzie pod nóż i pada z cichym trzaskiem, kwiaty dla Liii, trzask, trzask, cała naręcz niebieskich ostróżek w objęciach ogrodnika, trzask, aż mówię: — Dostyc! Chciałbym do tego coś żółtego, nie bledszego, nie za wiele, poza tym parę czerwonych roślin baldaszkowatych, astrów, owszem, i dalii, tak, czerwonych jak burgund, tak, dużo czerwieni burgunda, dużo...

Lila wraca dziś z występów gościnnych.

Gdyby wiedziała, jak Gantenbein rozkoszuje się płonącymi lub żarzącymi się barwami tego świata, kiedy jej nie ma, jak ją oszukuje każdym kwiatem, który widzi!
Samolot ląduje o 15.40.

Teraz, w domu, układam w wazonie kwiaty, rozluźniam je, cofam się z przekrzywioną głową, bez okularów, aby sprawdzić grę barw, znowu je układam, przecież mam czas, dni tęsknoty są długie, godziny jeszcze dłuższe, robię to chętnie, układam, czekam, układam na nowo, i choć wiem, że Lila nigdy nie wraca wcześniej, niż obiecała, czasami później, ale nigdy wcześniej, jestem jednak zdenerwowany. Precz z tą chmurą bibułki, precz z łodygami, precz! Kiedy jestem wreszcie gotów, bije jedenasta. Ostatnie spojrzenie bez okularów: jestem zachwycony, nie powinno się chwalić samego siebie, ale jestem zachwycony swoim smakiem; próżnuję, ponieważ nie ma już nic do układania, może pogwizduję, zbyt niespokojny, żeby usiąść i przeczytać gazetę, a więc stoję, pochylam się jeszcze dwa czy trzy razy, aby podnieść z dywanu płatek, który opadł, potem i to jest zrobione. Wiem, że Lila nawet jeszcze nie siedzi w samolocie, schylam się jeszcze po raz czwarty i piąty, gdyż znowu opadł niebieski płatek niecierplivej ostróżki! Zapewne Lila nawet leży jeszcze w łóżku. Myślę sobie: Miejmy nadzieję, że nie spóźni się na samolot! Stoję z papierosem, którego zapominam zapalić, spoglądam to na zegarek, to na kwiaty, ciągle jeszcze jakaś gałązka, jakiś baldaszek, jakaś barwa przeszkadza mi, nie wygląda to na ślepy przy-

padek, a bezwarunkowo powinno tak wyglądać, uważam, że bezwarunkowo, chciałbym, żeby Lila później, nie zaraz po powrocie,* ale później, kiedy ten pokój będzie już pełen torebek, magazynów ilustrowanych i rękawiczek, mogła się cieszyć, nie będąc zmuszona do chwalenia Gantenbeina, przeciwnie, niech mi opowiada, jak pięknie wygląda przypadek, tak, często potrzebuję całych godzin, dopóki do tego dojdzie — znowU układam kwiaty, raz po raz sfruwa jakiś płatek, ładnie to wygląda na dywanie, płatki żółte i niebieskie, jeszcze lśni na nich rosa, oczywiście mam stale pod ręką ciemne okulary, na wypadek gdyby Lila zjawiła się wcześniej, chwilami trzymam je w zębach, kiedy do układania bukietu potrzebne mi są obie ręce, nasłuchuję jak dziecko, które coś lasuje, drzę w głębi duszy...

Myślę, że naprawdę ją kocham.

Następnego dnia, kiedy telegram (WRACAM DOPIERO PIĄTEK 10.45) interpretuję w ten sposób, że prawdopodobnie z powodu jesiennej mgły trzeba było przesunąć ostatnie zdjęcia filmowe, mój bukiet utracił, niestety, świeżość; jeszcze raz zmiotam z dywanu płatki, które opadły w ciągu nocy; przede wszystkim dalie o ciężkich główkach zgięły się podejrzenie. Raz jeszcze rozluźniam resztę — daremnie... Widzę: mój bukiet, po którym można poznać, że jest wczorajszy, stoi teraz w wazonie jak wyrzut, Lila będzie niezadowolona, choć nic nie powiem, o nic nie zapytam. Widać wyraźnie, że nie jest to już bukiet spontaniczny. Wyrzucam go więc przed'wyjazdem na lotnisko:

oczywiście nie do kubła, gdzie Lila mogłaby go zobaczyć* lecz do piwnicy, gdzie może sobie niewidocznie wędznąć* pod starymi numerami pism ilustrowanych. Niechaj wygląda na to, że po prostu nie pomyślałem o kwiatach. To znaczy, że przed wyjazdem na lotnisko muszę jeszcze umyć wazon—

Lila już wylądowała.

Gantenbein omal się nie spóźnił (trzeba było w ostatniej chwili sprzątnąć z klatki schodowej żółte i niebieskie płatki), zdążyłem jeszcze zobaczyć: wciąż ten sam pan niesie jej rzeczy do komory celnej. Klaps skamle, kiedy Lila i obcy pan żegnają się ze sobą w odległości pięciu metrów od jego ślepego pana; muszę go z całej siły trzymać na smyczy. Głupie psisko!

Miejmy nadzieję, że nigdy nie będę zazdrosny!

Pewien piekarz w miejscowości O., mężczyzna czterdziestoletni, znany we wsi jako człowiek dobroduszny i solidny, postąpił pod wpływem zazdrości następująco: najpierw strzelił z karabinu — w Szwajcarii wszyscy mężczyźni zdolni do służby wojskowej mają w szafie swoją broń — do kochanka swej żony, dwudziestojednoletniego Tyrolczyka, nie na ślepo, lecz celując dokładnie w łędźwie; potem wziął nierdzewny nóż żołnierski, należący również do przechowywanego w szafie uzbrojenia, i pokiereszował nim twarz żony, matki dwojga dzieci, będącej wówczas w ciąży. Po czym załadował obie ofiary, jak bochenki chleba, na

wóz piekarski i dostarczył je osobiście do najbliższego szpitala. Wedle relacji gazet, życiu pary kochanków nie zagraża niebezpieczeństwo... W tydzień później mój lekarz, Burri, opowiada, dlaczego ostatnim razem nie przyszedł na szachy. Owego wieczora zadzwoniła do niego jakaś kobieta z zapytaniem, czy to niebezpieczne, kiedy ktoś zażyje dziesięć tabletek na sen. Na pytanie lekarza, kto mówi, .odwieszono słuchawkę. Wkrótce potem znowu dzwonek, przy telefonie ta sama kobieta, prosi, aby pan doktor zjawił się natychmiast, tym razem podaje nazwisko, adres, zapewnia, że nie ma ani chwili do stracenia. (Było to w nasz czwartek, ustawiłem już figury na szachownicy i czekałem). W pokoju lekarz znajduje żonę piekarza, która jest w ciąży, oraz młodego czeladnika piekarskiego. Kochają się i już. Dlatego piekarz z O. nie może spać, oto wszystko; leży na górze. Lekarz wchodzi na górę, zastaje pokój pusty. Następuje dłuższa rozmowa między lekarzem i kobietą w pokoju na dole. Tyrolczyk, w koszuli, bez marynarki, zapytany przez Burriego, czy chce poślubić brzemenną piekarszową, stoi na rozstawionych nogach i odpowiada: — Dajże pan spokój, przecież nie mam zapewnionej egzystencji! — Zdaje się, że piekarz naprawdę stracił głowę. Dziesięć tabletek nasennych? W tejsze chwili — Burri nie wierzy własnym oczom — otwiera się i szafa, jak w-farsie wychodzi z niej dobroduszny, solidny piekarz, przepasany białym fartuchem. — Nareszcie! — powiada — nareszcie wiem, jak sprawa wygląda! A więc jednak! — mówi. Jest w tej

chwili najbardziej ze wszystkich opanowany, do-
stojny mimo komicznej sytuacji, rozsądny, zado-
wolony, że jego długotrwała zazdrość nie była
bezpodstawna. — Nareszcie się przyznała! — po-
wiada. Mimo długiej rozmowy z lekarzem, który
nie potrzebuje otwierać walizeczki, nie dochodzą
do zgody, kto tu ma rację, trzeźwa propozycja
lekarza, aby czeladnik opuścił dom i gdzie indziej
poszukał sobie pracy, nie przekonuje czeladnika,
kobieta zaś, stojąca między dwoma ojcami, uważa,
że przede wszystkim piekarz powinien się wstydić,
co znowu nie przekonuje piekarza. W każdym razie
wszyscy są opanowani, kiedy wreszcie Burri opusz-
cza dom (za późno na naszą partię szachów).
W drodze powrotnej uśmiecha się, ilekroć przy-
pomni sobie umąconego piekarza, wychodzącego
z szafy... W kilka dni później, kiedy lekarz znowu
przejeżdża przez O., widząc w pokoju przytulne
światło uważa za swój obowiązek zajrzeć do środka,
żeby się dowiedzieć, jak sprawa została rozwiązana.
Tym razem jest tylko piekarz. Jak mu się wiedzie?
Piekarz ma wyraz twarzy spokojny i trzeźwy.
Czyżby pan doktor nie czytywał gazet? Wypijają
po kieliszku śliwowicy. Wiele więcej, niż było
wydrukowane w gazecie, piekarz nie wie. Tylko
tyle: — kiedy tamtego dnia pan doktor sobie po-
szedł, piekarz poprosił swoją Anusię na górę, do
sypialni małżeńskiej, aby od razu zacząć nowe
życie, jak to pan doktor radził na odchodnym. Nie
zawiodła jego nadziei. Po raz pierwszy zasnęła
znowu bez środka nasennego, a więc nie tak gę-
boko, jak zazwyczaj, obudziła go pustka w łóżku,

chlód obok niego. Było to mniej więcej o pierwszej, w godzinę po odejściu Burriego. Piekarza ogarnęła wściekłość. Tylko, aby im pogrozić, wyciągnął z szafy karabin i nóż kieszonkowy, zszedł do pokoju na dole. Zrobili mu tę uprzejmość, tak, tu na tej kanapie nakrył ich razem. Świecił księżyc, białe koszule, cztery nogi lśniły w ciemnym pomieszczeniu. Kiedy zapalił światło, było już po wszystkim: czeladnik, który nie chciał poszukać innego miejsca, wił się z bólu i wrzeszczał, litując się też nad twarzą swojej Anusi, wykrwawiającą wszystkie kłamstwa. Choć jako sprawca, sam to widział, nikt poza nim nie wchodził w rachubę, piekarz zachował się jak ktoś, kto zjawia się z zewnątrz i jest całkowicie przy zdrowych zmysłach. Natychmiast zadzwonił do lekarza, którego jednak nie zastał, potem, zgodnie z relacją gazety, odwiózł parę kochanków wozem piekarskim do najbliższego szpitala, gdzie był znany jako solidny piekarz, i oddał się w ręce policji, u której miał taką samą opinię.

Stanie oczywiście przed sądem.

Zastanawiam się, dlaczego strzelił czeladnikowi w łędźwie, dlaczego natomiast nie okaleczył ciała żony, tylko pokiereszował jej twarz: ciało jest niewinne, ciało to pleć, osobowością jest twarz... Kiedy niedawno pojechałem do O., żeby zobaczyć tego piekarza, nie było go w piekarni. Kupiłem bochenek chleba, którym później nakarmiłem czyjeś kury. Drugim bochenkiem, który mi znowu sprzedała dziewczyna z piekarni, nakarmiłem łąbędzie na jeziorze. Nie wiem, dlaczego uznałem,

że muszę zobaczyć tego piekarza. Kiedy zaryzykowałem pójść tam jeszcze raz tuż przed zamknięciem, znałem już dźwięk dzwonka u drzwi, przepojone zapachem chleba powietrze w tym wiejskim sklepie, ciszę, zanim ktoś nadejdzie; dostrzegłem, że na półkach nie ma już chlebów ani rogal, były jeszcze tylko ciastka i słodycze. Kiedy się zastanawiałem, co mógłbym kupić dla łabędzi, może sucharki, przeraziłem się, gdy nagle spełniła się moja nadzieja i piekarz w umączonych pantoflach osobiście przyczłapał do sklepu. Sprawca owego czynu, niezaangażowany jak żandarm, widzący takie czyny zawsze tylko od zewnątrz, człowiek starej daty, prawdopodobnie uprawiający gimnastykę, choć bladej od stałego przebywania w piekarni, tubylec, któremu się zdaje, że zbrodnie popełniają tylko cudzoziemcy, którego się po prostu nie podejrzewa, jak większość sprawców — zapytał mnie, czego sobie życzę. Zobaczyłem, że jego czyn w ogóle do niego nie przystaje. To się zdarza: nagle ktoś dokonuje mojego czynu, który go prowadzi do więzienia, a ja zostaję' przerażony sobą. Kupiłem tabliczkę czekolady, jak gdyby nigdy nic, nieco zmieszany zapłaciłem i poszedłem swoją drogą, odprowadzony jego nieufnymi spojrzzeniami.

Camillo M. K. ...
dziwę historii, szaleje za nimi, wszystko, o czym jest przeświadczona, że się zdarzyło, fascynuje ją, nawet historie tak blade jak te, które opowiadam jej podczas manicure; ale muszą być prawdziwe...

Oczywiście nie przychodzę nigdy bez zamówienia się, potem zjawiam się z uprzejmym opóźnieniem, zaopatrzony w czarną laseczkę i żółtą opaskę, w ciemnych okularach. Nigdy nie zastaję Camilli Huber w negliżu, każe mi czekać w korytarzu, dopóki się nie uczesze, ubierze i doprowadzi do porządku pokój. Nie chce widzieć ze swego życia więcej niż ja. Kiedy Gantenbein może już wejść, nie widzę ani biustonoszy, ani pończoch, czasami może stufrankowy banknot obok butelki koniaku, raz męski zegarek na rękę. Miejmy nadzieję, że roz-targniony właściciel nie wróci! Gantenbein jest widocznie jedynym klientem, który istotnie przy-chodzi na manicure. Camilla, jak mi się wydaje, cieszy się mną, jakbym był jej alibi, naprawdę robi mi manicure przy pomocy licznych przyborów, które posiada ze względu na policję; jesteśmy oboje pełni wzruszającej cierpliwości, czuję bowiem, że zacna Camilla nie ma ani odrobiny wprawy.

i Częściej kazałbym sobie obcinać paznokcie, gdyby Camilla za każdym razem nie oczekiwała jakiejś historii, jeżeli to możliwe z dalszym ciągiem; już przy pierwszym palcu, który jej podaje, najpóź-

l niej przy drugim, pyta obcesowo:

— No i co było dalej?

I — Rozmawiałem z nim.

— Ach!

— Tak.

Camilla Huber, w białym kitlu, siedzi na niskim stołku, Gantenbein położył rękę na aksamitnej poduszeczce, poddaje się opiłowywaniu paznokci, j w drugiej ręce trzyma fajkę.

— Naprawdę rozmawiał z nim?
— Tak — mówię. — To wytworny mężczyzna.
— Widzi pan — mówi Camilla i śmieje się, nie odrywając wzroku od moich palców — a już chciał mu pan strzelić w łędźwie.

Milczę zawstydzony.

— Widzi pan! — mówi, piłuje i nie może powstrzymać się od pytania: — Cóż on na **to**?

— Powiedział, że uwielbia moją żonę!

— No i? .

— Mogę go zrozumieć — opowiadam — rozmawialiśmy o mitologii, ma dużo wiadomości, zaproszono go do Harvardu, ale wydaje mi się, że, nie pojedzie tam ze względu na moją żonę. Tęga głowa — mówię i palę. — Naprawdę.

Camilla jest zdziwiona.

— Nie zażądał pan od niego wytłumaczenia? — zapytuje piłując zawzięcie; jako kobieta jest całkowicie po stronie swego niewidomego klienta — trudno mi uwierzyć, że to wytworny facet!

— Dlaczegoż to?

— Gdyby nim był, nie zrobiłby tego.

— **Czego?** — pytam. — Czego by nie zrobił?

— Właśnie tego, co pan sobie wyobraża.

Opowiadam:

— Mówiliśmy prawie godzinę o mitologii, nic innego nie przyszło nam do głowy, było to interesujące. Dopiero po wypiciu trzeciego campari powiedział, że ubóstwia moją żonę. Właśnie płaciłem—

Camilla piłuje.

— Na pożegnanie podarował mi swą pracę, ^s

rozprawę o Hermesie — mówię owym niewzruszenie powściągliwym tonem, który bynajmniej nie podkreśla przepaści między ludźmi Stosunkowo wykształconymi i stosunkowo niewykształconymi ale jej też nie ukrywa. — To naprawdę tęga głowa.

— A pańska żona?

Nie rozumiem pytania.

— Jak ona wyobraża sobie przyszłość?

Gantenbein musi teraz podać drugą rękę. Gamilla przesunęła stołek na drugą stronę, jak w lustrze, fajka przesunęła się teraz także do drugiego kącika ust.

— Kocha go?

— Tak sędzę.

■— Jak on wygląda?

Zapomina, że Gantenbein jest ślepy.

— I jest pan pewny — pyta po chwili bolesnego obrabiania moich palców — że to on?

— Wcale¹ nie jestem pewny.

| — Dziwny z pana człowiek! Cały czas opowiada pan o mężczyźnie, który ma stosunek z pańską żoną, i nie ma pan pojęcia, kto to taki?

iv— Jestem ślepy.

Widzę, jak pochyla głowę, widzę jej udeńione włosy. Gantenbein korzysta z okazji i ogląda swoje opiłowane paznokcie,¹ Camilla prosi czasem o wybaczenie, kiedy zauważa, że Gantenbein drgnął, rozmawiają potem o czymś innym, o manicure; ale tamto nie daje jej spokoju.

Ale może pan sobie wyobrazić — zapytuje zajęta piłowaniem — że to on, ten pan Enderling, czy jak tam się nazywa?

Kiwam głową.

— Dlaczego właśnie on?

— I ja siebie o. to pytam.

Camilla nie dopuszcza do^v zmiany tematu.

— Taka niepewność — powiada i spogląda na Gantenbeina, jak gdybym ja był jedynym człowiekiem w tej sytuacji. — to przecież musi być okropne!

— Tak, jest okropne.

Później, po skończonym manicure, który uczczony zostaje koniakiem, i kiedy wziętem już laseczkę, wraca do przerwane go wątku.

— Ale pan jest pewien — pyta z niedyskrecją człowieka współczującego — pan jest pewien, że pańska żona ma z kimś stosunek?

— Bynajmniej.

Camilla jest rozczarowana, jakby to już nie była prawdziwa historia, wyraźnie zadaje sobie pytanie, po co jej to wszystko opowiadałem.

— Mogę to sobie tylko wyobrazić.

To jest prawdziwe w tej historii.

P.S.

Pewnego razu zjawia się policjant. Nikczemność ich polega na tym, że przychodzą pp cywilnemu. Wchodzi do pokoju nieproszony, ledwie ta Huber otworzyła drzwi. Nie zdejmuje kapelusza. Zamiast tego pokazuje jedynie swój dowód, przede wszystkim Gantenbeinowi: policja kantonalna! Na to Gantenbein prezentuje swoją legitymację niewidomego i jest to jedyna rzecz, w którą mały grubas w kapeluszu na głowie naprawdę wierzy. Wszystko inne tutaj wydaje się mu wątpliwe, nawet przyrządy

do manicure oraz biały kitelek, który panna Huber nosi przy pracy. Zauważył, że odbywa się tu jakaś gra. Ale jaka? Wreszcie mówi: — No tak! — Trzeciego dowodu, który tymczasem Camilla wygrzebała, jej karty pracy, jak Camilla hardo wyjaśnia — nie chce obejrzeć, jakby mu było wstyd przed ślepym. Mruczy: — Już dobrze, w porządku. — Czują się nieswojo wobec człowieka niewidomego, często się z tym spotykam. Na przykład żaden z nich nie miał naprawdę odwagi przyjrzeć się dowodowi okazywanemu przez Gantenbeina. Wreszcie policjant odchodzi bez sporządzenia raportu, nie jest zbyt uprzejmy, tylko zakłopotany, wydając się sobie samemu w jakimś stopniu wielkoduszny. Nie chciał skompromitować Camilli przed ślepym.

Enderlin, zapytywany przez znajomych, kiedy zamierza udać się do Harvardu, wzrusza ramionami i zaraz zaczyna mówić o czymś innym.

Dlaczego nie jedzie?

Wkrótce zaczyna wyglądać na to, że zaproszenie do Harvardu było szwindlem, trzywierszową kaczką dziennikarską, której mu wieszowano. Ci, którzy do Enderlina odnoszą się przyjaźniej już z nim tego tematu nie poruszają. Odpowiada mu to. Sam w to nie wierzy, więc nie pomoże żaden dokument, który nosi w portfelu i mógłby pokazać — jak Gantenbein swój dowód, że jest ślepy... Nie może. Od dawna powinien był napisać, kiedy przy* będzie, na semestr letni, zimowy, czy jak oni to

;w Harvardzie nazywają. Nie może. Mijają tygodnie. Po prostu Enderlin nie jest człowiekiem, do którego się to zaproszenie do Harvardu odnosi, ilekroć musi pomyśleć o ustaleniu terminów, ogarnia go strach, jak gdyby musiał wspiąć się na cokół i nie potrafił tego dokonać. Skromność? Tak nie jest. To zaproszenie do Harvardu (Enderlin riie może już tego słowa słyszeć!) odpowiada mniej więcej temu, czego już sobie od dawna życzył. Może dlatego taki zamęt wywołała w nim notatka w pismach: osobiste pragnienie nagle tak opublikowane! I nie jest to żadna kaczka. Mimo to wydaje się sobie oszustem. I to oczywiście ludzie wywęszyli, dlatego nikt już właściwie nie wierzy w to zaproszenie z wyjątkiem dziekana z Harvard University, nikt ze znajomych Enderlina. Znamy przy tym jego osiągnięcia; niewątpliwie zasługują na uznanie. Otóż to ! Kto, jak Enderlin, tak się ustawił, że musi" legitymować się osiągnięciami, ten nigdy nie wzbudza całkowitego zaufania. No tak, gratulujemy mu jego sukcesu. Tylko że mu to nie pomoże. Prelekcja którą ma wygłosić w Harvardzie, jest gotowa. Wystarczy włożyć ją do walizy. Ale nie może tego zrobić. Nie osiągnięcia są przekonywające, lecz: rola, jaką człowiek odgrywa. To właśnie Enderlin czuje i to go przeraża. Najprościej byłoby zachorować i nie móc pojechać do Harvardu. Enderlin nie potrafi grać żadnej roli —
Znam wypadek odwrotny:

Pewien ambasador wielkiego mocarstwa, przebywając na letnim wypoczynku, zaniemógł. Jak się okazało, nie był to zawał serca. Powaliła go sama

;

świadomość; na to nie pomoże ani urlop, ani nowy order. Uświadomił sobie bowiem, że wcale nie jest ekscelesem, jak pozornie uważa świat, oglądając go w blasku żyrandoli. Ze względu na stanowisko, jakie zajmuje, trzeba go brać poważnie, przynajmniej dopóki to stanowisko zajmuje, dopóki w imieniu swego mocarstwa i w związku ze swą godnością sam musi brać siebie poważnie. Jak to musi? Pismo do rządu, własnoręcznie wystukane na maszynie, żeby żaden sekretarz nie dowiedział się, iż od wielu lat pozostawał na służbie niewłaściwego człowieka, prośba o dymisję, leży gotowe... Ale ambasador nie ustępuje ze stanowiska. Wybiera coś większego: rolę. Samo uświadomienie pozostaje jego tajemnicą. Pełni swój urząd. Zostaje nawet awansowany i bez zmrużenia oka pełni swój urząd. To, co sam o sobie myśli, świata nie obchodzi. Przenoszony do Waszyngtonu, Pekinu czy Moskwy, w dalszym ciągu gra rolę ambasadora, wiedząc, że gra; otaczającym go ludziom, którzy wierzą, że jest właściwym człowiekiem, na właściwym miejscu, nie odbiera ich wiary,- jest ona bowiem pożyteczna. Wystarczy, że on sam nie wierzy. Jest pogodny i dostojny, ci, którzy w niego wątpią, nie ranią go; nie potrzebuje się ich obawiać ani ich nienawidzić, wystarczy, że ich zwalcza. I dzieje się coś, co wygląda na cud: choć tylko gra, ma rezultaty nie, jak było dotychczas, przeciętne, ale wręcz niezwykle. Jego nazwisko ukazuje się na czołowych miejscach prasy światowej; i to nie zbija go z tropu.-Panuje całkowicie nad swoją rolą, rolą hochsztaplera, dzięki tajemnicy, której

nie zdradza, nawet w cztery oczy, nigdy. Wie: każde samopoznanie, które nie potrafi milczeć, coraz bardziej pomniejsza. Wie: ten, kto nie umie milczeć, chce być oceniany miarą swego samopoznania, które jest niczym, jeżeli nie potrafi milczeć. Kiedy człowiek chce być przez ludzi oceniony, staje się wrażliwy, czuje się zdradzony, ośmiesza się, staje się ambitny w stopniu odwrotnie proporcjonalnym do swego samopoznania. To ważne: nawet w cztery oczy. Co się raz powie, pozostaje wypowiedziane na zawsze. Uda się więc, że wierzy we własną ekscelencję, rnie dopuszcza do spoufalenia się z ludźmi, zwłaszcza z przyjaciółmi, którzy oceniają go tak, jak on ocenia siebie. Żadne wyznanie nie nakłada na niego więzów. Dzięki osobowości, którą odgrywa, pewne miasto zostaje uratowane od zbombardowania, nazwisko jego wejdzie do historii, wie o tym i nie uśmiecha się z tego powodu, kiedy umrze, jego nazwisko zostanie wyryte w marmurze jako nazwa ulicy lub placu. Pewnego dnia umiera. Nie znajdują pomnika ani listu, ani choćby kartki, która by zdradziła, co on w ciągu tych wszystkich lat wiedział: że był hochsztaplerem, szarlatanem. Zabiera swą tajemnicę do grobu, któremu nie brak szarf z pełnymi czci napisami, ogromnych wieńców i długich praemówień, pokryją one na zawsze jego samopoznanie. Nie zezuje sponad swego grobu. W obliczu jego maski pośmiertnej, która, jak często maski tego rodzaju, robi wrażenie uśmiechniętej, ogarnia nas zdziwienie: maska ta ma niezaprzeczenie piętno wielkości. I nawet

my, którzy nigdy go wysoko nie ceniliśmy, po cichu zmieniamy w obliczu jego maski pośmiertnej nasz sąd o nim, ponieważ nigdy nas o niego nie pytał.

Wczoraj na przyjęciu u Burriego rozmawiano znowu o komunizmie i imperializmie, o Kubie, ktoś poruszył sprawę muru berlińskiego. Różne poglądy, kontrpoglądy, namiętna dyskusja, jak w szachach, ruch w przód, ruch wstecz, gra towarzyska, aż wreszcie ktoś, dotychczas milczący, zaczął opowiadać o swojej ucieczce. Bez wypowiedzenia poglądu. Po prostu. Wszyscyśmy zamilkli — ssąc wystygłą fajkę, pytam później siebie samego, jak wobec każdej historii prawdziwej, co właściwie robię: — projekty jakiegoś „ja”!...

— znowu się obudziłem, jeszcze jestem nie uczesany, ale umyty i ubrany, chociaż jeszcze bez marynarki i bez krawata, tak przypuszczam, pierwsze odruchy są bowiem mechaniczne, płyną z nieuświadomionego przyzwyczajenia, wiem tylko, że znowu siedzę na brzegu łóżka, znowu obudzony, ale jeszcze osaczony snami, które, lękam się tego, wcale nie są snami, lecz wspomnieniami, ale nie wspomnieniami z tej nocy, lecz wspomnieniami w ogóle, osadem doświadczenia; nie śpię przy tym, jak mówiłem, jestem nawet umyty i wolny od uczuć, może nawet pogwizduję, nie wiem tego dokładnie, to nieważne, jeżeli w tym momencie cicho pogwizduję, to tylko po to, aby nie być

zmuszony do rozmowy, nawet ze sobą samym;
nic nie mam teraz sobie do powiedzenia, muszę,
na Boga, muszę jechać na lotnisko, najwyższy
czas, tak przypuszczam, a jednak nie śpieszę się,
jak gdyby to działo się już dawno, bardzo dawno
temu, dziwi mnie, że nie terkocze świder pneu-
matyczny, nasłuchuję, cisza, nie gdaczą też kury,
nie słychać żadnego gwaru, wspomnień, para,
sapanie parowozów na dworcu towarowym w nocy,
to było kiedyś, gwizdki i echo gwizdków, wstrzymuję
oddech, cisza, siedzę przez chwilę bez ruchu jak
rzeźba, w pozie chłopca wyciągającego cierni,;
ale nie wyciągam ciernia, tylko wkładam bucik,
nawiasem mówiąc już drugi, od czasu do czasu
słychać szmer windy, nie jestem jednak pewien,
czy ten szmer również nie wypływa tylko ze wspo-
mnienia, wspomnienia nocy, innej, to mi nie prze-
szkadza, widzę tylko, że mój krawat jednak wisi;
jeszcze na tamtym fotelu, natomiast zegarek mam
na ręce, tak, myślę sobie, już czas, czas, jak zawsze,;
czas wyruszyć w przyszłość. Jestem zdecydowany;
i ogolony, właściwie, nie okazując tego, rzeński,
znowu obudzony, uwolniony od tęsknoty, wolny,
widocznie zapaliłem papierosa,, w każdym razie!
z powodu dymu muszę przymrużać oczy, jeżeli:
nie ja palę, to nie wiem, kto to robi, wiem tylko, i
kiedy odlatuje mój samolot, mam nadzieję, że,
caravelle, jaka pogoda, dowiem się po opuszcze-
niu tego pokoju, tylko teraz niczego nie zapo-
mnieć, nie pozostawić żadnych słów, żadnych
myśli, siedzę na brzegu łóżka, sznuruję prawy
bucik, wydaje mi się, że minęła wieczność... na:

chwile, nim postawiłem nogę na dywanie, zatrzymuję się : — wciąż to samo, choć już o tym wiem, niemchomieję z przerażenia, wciąż jestem Enderlinem i jako Enderlin umrę.

Jadę więc na lotnisko.

Z taksówki, z ręką w wytartej pętli, widzę świat, fasady, reklamy, pomniki, autobusy —

Déjà vu!

Próbuję o czymś myśleć.

Na przykład:

O tym, co w naszej rozmowie o komunizmie i kapitalizmie, o Chinach i Kubie, o śmierci atomowej i o sytuacji żywnościowej ludzkości, kiedy wzrośnie dziesięciokrotnie, mógłbym być powiedzieć, zwłaszcza o Kubie, byłem tam raz. Ale teraz jestem tutaj, pytają mnie o ilość waliz, po okazaniu paszportu Enderlina dostaję zieloną kartę, flight number seven-o-five, samolot jest spóźniony, jak słyszę, z powodu mgły w Hamburgu, kiedy tu świeci słońce.

Czy wyzna to mężowi?

Enderlin nie czeka tu sam, próbuję go rozerwać rozmową, ale nie jest to łatwe, ponieważ w skrytości ducha myśli o nocy, a na ten temat nic mi nie przychodzi do głowy —

, Wzorowe lotnisko !

Kupuję gazety :

Znowu próba z bombami atomowymi ! -

— na ten temat Enderlinowi; nic nie przychodzi do głowy.

▼ Czy wyzna to komuś?

Próbuję o czymś myśleć — szczerze mówiąc to

wewnętrzne życie miłosne nudzi mnie, zbyt dobrze je znam — na przykład: jak jest- skonstruowana ta hala, żelazobeton, forma przekonująca, pełna polotu, lekka, powiewna. Piękna. Co się tyczy konstrukcji: wydaje mi się, że w języku fachowym nazywa się to trzyczłonowy łuk... ale widzę, że Enderlin nie interesuje się tym, chciałby już lecieć. Im prędzej, tym lepiej. Czas, który pozostał mu na ziemi, wypełnia kawą, później koniakiem. Jego bagaż został nadany, jestem więc bez rzeczy z wyjątkiem teczki, którą stawiam na ladzie; rozglądam się: jedni lecą do Lizbony, inni do Londynu, jeszcze inni przybywają z Zurychu, głośniki grzmią: This is our last cali, ale nie pod adresem Enderlina. Uspokajam go, wyraźnie słyszałem. Enderlin jest zdenerwowany, ja tylko znudzony, ponieważ trudno prowadzić rozmowę z Enderlinem. Uważam, żeby nie zapomniał teczki. Enderlin kupuje perfumy, aby się nie zjawić z pustymi rękami, Chanel 5, znam je. Czy Enderlin naprawdę myśli o domu? A więc Chanel 5. Wzywają lecących do Rzymu — Aten — Kairu — Nairobi; wydaje się, że w Hamburgu ciągle jeszcze panuje mgła, tak, to nudne... Wyobrażam sobie piekło:

Przypuśćmy, że jestem Enderlinem, którego teczkę trzymam, ale nieśmiertelnym, tak że jego; życie lub choćby część jego życia, rok, niechby nawet szczęśliwy rok, na przykład ten, który_ się rozpoczyna, miałbym przeżyć raz jeszcze, z pełną świadomością tego, co przyjdzie, bez oczekiwania, które jedynie może uczynić życie znośnym, bez niewiadomego, niepewności, na którą składają,

się lęk i nadzieja. Wyobrażam to sobie jako piekło. Jeszcze raz: wasza rozmowa w barze, gest po geście, jego ręka na jej ramieniu, jej spojrzenie, jego ręka, którą po raz pierwszy przesuwam po jej czole, później po raz drugi, wasza rozmowa o wierności, O Peru, które on określa jako kraj nadziei, wszystko słowo po słowie, wasze pierwsze „ty”, przedtem rozmowa o operze, na którą później nie idziecie, gwizdki z dworca towarowego w nocy, gwizdki i echo gwizdków. Niczego nie można przeskoczyć, żadnego szmeru ani pocałunku, ani uczucia, ani milczenia, ani przerażenia, ani papierosa, ani pójścia do kuchni po wodę, która nie ugasi waszego pragnienia, ani wstydu, ani rozmowy zamiejscowej prowadzonej z łóżka, wszystko raz jeszcze, minuta po minucie, i wiemy, co nastąpi, wiemy i musimy przeżyć to raz jeszcze, w przeciwnym razie śmierć, życie bez nadziei, że może zdarzyć się inaczej, historia z kluczem w skrzynce na listy, wiecie, że wszystko będzie w porządku, potem publiczne mycie się pod pompą, bar w dzielnicy robotniczej, trociny na kamiennej podłodze, ani jedna minuta nie jest inna, aniżeli wiem, że będzie, ani jednej minuty nie można opuścić, ani jednego kroku ani espressa i czterech bułeczek, ani mokrej chustki do nosa w kieszeni. Enderlin daje znak ręką, to ta sama taksówka, ale wiem, że później z niej wysiądzie, aby karmić gołębie, wszystko to jeszcze raz, również przerażenie z powodu kartki, pomyłka, melancholia, sen wśród terkotania świrdrów pneumatycznych, które zrywają zalaną słońcem powierzchnię ulicy, (później czekanie na

lotnisku flight number seven-o-five, mgła w Hamburgu i tó, co dopiero nastąpi: pożeganie, w nadziei że nie będzie z tego historii, powtórne spotkanie, koniec i padnięcie sobie w ramiona, pożegnanie, listy, spotkanie w Strasburgu, ze wszystkich stron trudności, namiętność, oczarowanie bez przyszłości, tak, bez przyszłości — ale ja znam przyszłość: szczęście w Kolmarze (po obejrzeniu ołtarza w Isenheim i w drodze do Ronchamp) nie jest waszym ostatnim, jak się tego obawiacie, ani największym; mimo to musi być przeżyte raz jeszcze, dokładnie tak samo, łącznie z pożegnaniem w Bazylei, pożegnaniem na zawsze, dokładnie tak samo, tak, ale ze świadomością, co nastąpi. Wszystkie wasze podarunki muszą być ofiarowane jeszcze raz, raz jeszcze zapakowane i związane na kordkę, raz jeszcze odwiązane i podziwiane, pokwitowane zachwytem. Muszą być również powtórzone nieporozumienia, które wam zatruwają połowę podróży, klótnie, z których można się śmiać dopiero później, wszystko musi być raz jeszcze pomyślane i odczute, każda rozmowa musi odbyć się jeszcze raz, choć wiem, jak często się jeszcze powtórzy, jeszcze raz trzeba wyjąć ze skrzynki te same listy, rozerwać koperty z bijącym sercem i raz jeszcze trzeba będzie układać wszystkie plany, wiedząc, że wszystko ułoży się inaczej; tygodniami szukacie placu, pertraktujecie, kupujecie, stwarzacie sobie zbyteczne kłopoty, nadzieje, którymi się entuzjasmujecie, wiem, że nigdy nie będziecie budowali domu, mimo to trzeba wymierzyć plac, wszystko nie wiadomo po co, ale losu nie można

zmienić, choć go znacie. I raz jeszcze podchodzę do drzwi, aby serdecznie powitać mężczyznę, który przychodzi, raz jeszcze zapytuję, czego się napije, whisky czy ginu, raz jeszcze moje dowcipy, nieufność, wielkoduszność, nieprzeczuwane zwycięstwo, raz jeszcze wasza jazda, podczas której zepsuł się samochód, moja noc pełna troski, raz jeszcze przesyłam mu pozdrowienia na widokówce, owe podyktowane kaprysem pozdrowienia, które piszę w tajemnicy, raz jeszcze parzy się kawa, aby po twoim wyznaniu wystygnać, wiem o tym, wiem, mimo to muszę raz jeszcze kłać, biegać po pokoju i kłać dokładnie tak samo, raz jeszcze tłukę kieliszek b ścianę, skorupy, które usuwam, tak samo, tak, ale wszystko ze świadomością, jaki będzie dalszy przebieg, bez ciekawości, jaki będzie, bez ślepego oczekiwania, bez niepewności, która pozwala wszystko znieść...
To byłoby piekło.

Enderlin, który przerzuca gazety, udaje, że nie słucha; sytuacja jest napięta; rozkoszuje się tym, że nie wie, co jutro będzie w gazecie, że nie wie o tym z pewnością —

To byłoby piekło.

Doświadczenie daje przedsmak tego piekła, ale tylko przedsmak; moje doświadczenie nie mówi przecież, co nadejdzie, zmniejsza tylko oczekiwanie, ciekawość —

Fligth number seven-o-five.

Jak słyszę, samolot właśnie wylądował, dalszy lot za pół godziny, teraz jestem jednak ciekaw, eo Enderlin zrobi; czy naprawdę poleci nie telefonu-

jąc do niej raz jeszcze, bez zobaczenia się z nią.

Nie chcecie żadnej historii.

Ani przeszłości.

Ani powtórzenia.

Widzę, że Enderlin płaci 'za koniak, wypił trzy kieliszki, barman pamięta, Enderlin zachowuje się tak, jakby, mu się śpieszyło, tymczasem mija jeszcze pół godziny, zanim można będzie wsiąść, śpieszyć się może również człowiek niezdecydowany... Widzę maszynę typu caravelle, właśnie tankuje. Ładna maszyna. Jeżeli Enderlin naprawdę polecą, będzie w domu za dwie godziny. Co to znaczy: w domu? W każdym razie samolot tankuje, jest dosyć czasu, aby usiąść raz jeszcze, założyć nogę na nogę, nawet otworzyć teczkę i wyciągnąć z niej książkę. Dobrą książkę, w każdym razie uważam, że początek jest dobry. Książka fachowa, którą Enderlin musi i tak, i tak przeczytać, przeczyta ją też niewątpliwie, może w samolocie, jeżeli naprawdę polecą, a w domu czeka na niego na pewno poczta, może nawet bardzo przyjemna...

Miejmy nadzieję, że ona nigdy nie napisze!

Teraz, tak sobie wyobrażam, i ona nie leży już w łóżku, ubrała się, włożyła suknię, której Enderlin nigdy nie widział, może spodnie; jest przeświadczona, że Enderlin szybuje już wysoko ponad chmurami, i spada z chmur, kiedy w telefonie słyszy jego głos.

— Gdzie jesteś?

— Tutaj — mówi — na lotnisku.

Szum i huk odrzutowców, w dodatku ryczą głośniki, ale nie wzywają Enderlina, jest czas na

rozmowę, za dużo czasu; tylko że nie mają o czym mówić...

Wiedziałem, że tak będzie.

Kiedy Enderlin, zdecydowany na lot, opuszcza szklaną kabinę, widzę, że nasza caravelle ciągle jeszcze tankuje; biali mechanicy ciągle jeszcze znajdują się na samolocie, lalka w niebieskim krzewie, z malinowymi wargami, w niebieskiej czapce na srebrzystoblond włosach, stewardessa, u której Enderlin zasięga języka, nie może nic, poradzić, że istotnie (wiedziałem o tym) nasza caravelle ciągle jeszcze tankuje. Właśnie ładują bagaż za pomocą ruchomej taśmy. Bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany, że nie zobaczy już kobiety, którą ciągle czuje, Enderlin staje pierwszy przed gate number three, sam, spogląda na zegarek, porównuje czas z zegarami w hali, jak gdyby pół minuty miało jakieś znaczenie — jak podczas ucieczki...

Rozumiem jego ucieczkę przed przyszłością.

Strzeżcie się przed nazwiskami !

Prędzej czy później nadejdzie czas, kiedy będziecie wiedzieli, co mówić, choćbyście tylko opowiadali, kogo spotkaliście wczoraj, znajomego, którego nazwisko wymieniacie, ponieważ nie gra to żadnej roli. Jeszcze jak okiem sięgnąć jesteście jedyną rzeczywistością, pozostali ludzie to marionetki waszego kaprysu ; jeszcze macie nici w rękę i jeśliby wam ktoś przeszkadzał, to po prostu nie występuje w waszej rozmowie albo tak, że wam nie przeszkadza. Jeszcze jesteście skrupulatni i mówicie: Polak, uchodźca, który swego czasu mieszkał

u nas i był przyjacielem mojej siostry. Albo: mój pierwszy mąż. Albo: mój kolega; moja ciotka; młoda dziewczyna, którą spotkałem kiedyś na Via Appia. Wszystko bez nazwisk. Można to robić jakiś czas, później staje się zbyt kłopotliwe; a więc lekarz będący moim przyjacielem nazywa się Burri. Dlaczego miałbym przemilczeć jego nazwisko? To ten, który zawsze przychodzi na szachy. I tak dalej, nazwiska są jak chwasty, nasiona roznosi wiatr we wszystkie strony, dżungla rośnie, jeszcze tego nie widzicie. Mówcie dalej, aż nagle okazuje się, że ten Burri miał kiedyś żonę. Anitę? Śmiejecie się: jaki mały jest ten świat! Leżycie na wznak, rozmawiacie o Anicie, która jest teraz kochanką Scholia, a Scholl to pierwszy człowiek, którego oboje znacie, Hannes Scholl, który wyjechał do Bagdadu. Leżycie na wznak i palicie. Jak się tam w Bagdadzie powodzi Schollowi? Nigdy was to nie interesowało, ale stwarza okazję do mówienia i jest rzeczą szczególną, że niespodziewanie na świecie, choć daleko stąd, gdzie leżycie obok siebie, istnieje człowiek, który zna was oboje, nie mając najmniejszego pojęcia, że stanowicie parę. Co Scholl by na to powiedział! Aż dziwne, jak odtąd często rozmawiacie o tym Schollu, aż pewnego dnia pisze on z Bagdadu, że niebawem przyjedzie do Europy. Pisze do was obojga, do każdego z was, gdyż zna was oboje i chciałby was oboje zobaczyć. Czy musi tak być? Sprawa rozwija się dalej, okrążenia nie da się uniknąć; najlepiej byłoby, żebyście leżeli w łóżku i milczeli, ale to przecież nie da się zrobić. Od czasu do czasu wy-

chodźcie na ulicę i pewnego razu kłania się wam niejaki pan Hagen. Skąd znasz tego Hagen? To przyjaciel jej brata. Masz brata? Należałoby uciec. Dokąd? Ibiza również nie jest taka, jaka była kiedyś. Kiedyś byłeś w Ibizie? Trzeba by pojechać do Afryki. Śmiejecie się! Znam człowieka, który ma w pobliżu Nairobi farmę i drży przed Mau-Mau, nazywa się Ramsegger, zgadłeś, James Ramssegger. Skąd znasz to nazwisko? Jego żona nie chciała jechać do Nairobi, co możecie zrozumieć, żyje teraz w Londynie z pewnym Polakiem, który zjawiał się już także w waszych rozmowach; ma na imię Włodzimierz, a ponieważ inscenizuje również balety, może to być tylko ten sam Włodzimierz, którego znam przez panią Lówbeer. Czy to nie zabawne? Nie wspominam o pani Lówbeer; ale pewna krawcowa, aby się pochwalić, opowiada wam, że szyje również dla pani Lówbeer. Czy musi tak być? Niepostrzeżenie wszystko splata się ze sobą i przyszłość okazuje się przeszłością; leżycie na wznak i palicie, aby nie wymieniać żadnych nazwisk. Na próżno! W Wiedniu odbywa się prywatny koncert; pierwsze skrzypce gra jej brat, zostaje mu przedstawiony. Czy tak musi być? W Strasburgu, gdzie spotykacie się potajemnie na koniec tygodnia, wychodzi z windy, która was ma zawieźć do pokoju, pani Lówbeer. Nic was nie omija. Nawet dyskretny Burri wstępuje teraz na służbę demonów; nagle spotyka w towarzystwie kobietę, którą Enderlin kocha, i opowiada jej o swoim przyjacielu, Enderlinie. Dlaczego tak musi być? Leżycie na wznak, palicie, opowiadacie sobie

waszą przeszłość tylko po to, aby świat, nie mający o was pojęcia, nie wiedział o niej więcej niż wy sami; wydobywa to na światło dzienne dalsze nazwiska. Szkoda! Po upływie zaledwie tygodnia., demony'chwytają was w swoją sieć: Scholl, który wrócił z Bagdadu, zmusza was do wspólnego obiadu we trójkę. Dalej: profesor, który właśnie otrzymał połowę nagrody Nobla i spogląda ze wszystkich gazet, jest jej ojcem. Dalej: z okazji pewnego wernisażu, którego nie możecie uniknąć, nareszcie zostajecie sobie oficjalnie przedstawieni; jej mąż, nie mający o niczym pojęcia, jest również obecny; później zjawia się zawsze rześka pani Lówbeer —
itd.

Kiedy jest się parą, wydaje się, że ludzkość to rodzina; wszyscy znają się .nawzajem w ten czy inny sposób, tylko para, która wychodzi z objęć, nie zna się jeszcze z zewnątrz, jeszcze się uśmiechacie, nikt bowiem z tych, którzy was znają, nie ma o niczym pojęcia; jeszcze chodzicie nie dotykając ziemi. Jak długo? Co trzeci człowiek przyłącza się do okrążenia; każde marzenie zostaje zniszczone!

Flight seven-o-five.

Enderlin (widzę go, jak spogląda przez szybę, widzę jego twarz w niebieskim refleksie szyby) nie czeka już sam; cała chmara z zielonymi lub czerwonymi biletami w ręku tłoczy się przed lalkowatą twarzą stewardessy, której jeszcze nie wolno otworzyć drzwi; Enderlin nie jest już na przodzie —

Jeszcze ma możliwość wyboru.

Jestem za tym, aby leciał.

Nareszcie drzwi się otwierają, ciżba porusza się, jedni śpieszą, inni wymachują rękami do żegnających, lalkowata twarz powtarza:

Flight seven-o-five.

Mogę wyobrazić sobie jedno i drugie:

Enderlin leci.

Enderlin zostaje.

Powoli zaczynam mieć dosyć tej zabawy, którą już znam: działać albo zaniechać działania, w każdym razie, wiem o tym, jest to tylko część mego życia, drugą muszę sobie wyobrazić; działanie i zaniechanie są wymienne, Czasami działam tylko dlatego, że równie możliwe jest zaniechanie i także nie zmienia tego, że czas upływa, że się starzeję.

A więc Enderlin zostaje.

Ja nie...

Dlaczego on, a nie ja?

Albo na odwrót:

: Dlaczego ja?

Tak albo tak:

Jeden poleciał^

Jeden pozostanie —

To wszystko jedno:

Ten mianowicie, który pozostaje, wyobraża sobie, że poleciał, ten zaś, który leci, wyobraża sobie, że został, a to, co istotnie tak czy inaczej przeżywa, jest rysą przechodzącą przez jego osobowość, rysą między mną i nim, cokolwiek bym zrobił, tak czy tak : — chyba że caravelle, która ma

teraz wolny pas startowy i rusza, z niewiadomych przyczyn eksploduje i zwłoki zostaną rozpoznane; widzę jednak, że nasza caravelle wznosi się coraz wyżej...

Wyobrażam sobie:

W taksówce Enderlin, trzymając się pętli, jest pełen dumy, że nie wybrał zaniechania, a równocześnie jest zaskoczony; jego ciało siedzi w taksówce, ale opuściło go pożądanie — pozostało przy mnie lecącym wysoko nad chmurami, Enderlin nie wie, po co właściwie jedzie do tej kobiety, która nagle utraciła terażniejszość; terażniejsza jest jedynie nieskończenie długa jazda do miasta, ruch w porze szczytu, Enderlin siedzi tak, jakby mu się śpieszyło, kierowca patrzy przed siebie, jakby przyszłość była zawsze przed nami, robi wszystko, aby pozostawić za sobą inne pojazdy, tymczasem Enderlina, który zapalił papirosa, raduje w skrytości ducha każde czerwone światło, nowa kolumna samochodów, każde opóźnienie. Przeszłość się nie śpieszy...

Wyobrażam sobie :

jak po raz pierwszy palce moje dotykają jej czoła; jej zdziwiona twarz, której już nie ma, takiej już nie ma...

Wyobrażam sobie:

Po zapłaceniu taksówki Enderlin stoi przez chwilę zmieszany, jest bowiem bez bagażu, przerażony, jakby mu ten bagaż, który teraz szybuje wysoko nad chmurami, skradziono, potem uspokojony a nawet zachwycony, że jest bez bagażu, ale bezradny; ale obiema nogami na ziemi, nawet na chodniku, więc nic złego mu się właściwie nie

może przytrafić. Enderlin nie wie dokładnie, gdzie się w tym obcym mieście znajduje, ale orientuje się mniej więcej, przypomina sobie kiosk, jeżeli to ten sam, i jeżeli teraz nie pójdzie w złym kierunku, jej dom musi być gdzieś tu blisko. Enderlin wymyśla sobie od osłów, przecież mógł podjechać taksówką, nie, nagle poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał, widocznie w przekonaniu, że mógłby jeszcze wybrać zaniechanie. Po co potrzebne mu jest znalezienie jej domu, tak, właściwie po co? Enderlin przy kiosku. Pyta o jej ulicę, aby nie iść tam, ale sprzedawca nie wie, a więc może to jednak inny kiosk, teraz Enderlin stoi naprawdę bezradny. Dlaczego nie poleciał! Znajduje jednak dobrą stronę w tym, że nie musi (jak ja) jeść w samolocie, szkoda, że nie jest taki głodny jak ja. Enderlin może wybrać kuchnię francuską, włoską, nawet chińską, ma czas, ma przed sobą cały wieczór w obcym mieście, nikt nie wie, gdzie się Enderlin w tej chwili znajduje, ona również nie wie, bo się u niej nie zgłosi, i on sam także nie wie, kiosk jest ten sam, ale nie widać baru obok. Dlaczego idzie dalej? Równie dobrze mógłby usiąść na chodniku. Dlaczego nie wchodzi po prostu do restauracji? Nagle wszystko staje się takie bezsensowne, również i jedzenie, kiedy się nie jest głodnym, rozumiem; Enderlin idzie od niechcienia, nie po to, aby szukać jej domu, lecz po to, aby go przypadkiem znaleźć. Przedtem nie może usiąść sam w restauracji, studiować jadłospis, kartę win, aby uczcić fakt, że raz jeszcze zobaczył jej dom — i nie zadzwonił.

Wyobrażam sobie:

Jej dom od zewnątrz...

Enderlin nie widział go przecież jeszcze nigdy od zewnątrz, wczoraj nie, kiedy przyszedł, żeby jej towarzyszyć do Opery, był to jakiś dom, jeszcze nie pomnik, a dziś rano, kiedy go Enderlin opuścił, zobaczył wprawdzie mosiężne drzwi, ale się nie obejrzał; właściwie Enderlin pamięta jedynie drzwi wejściowe.

Wyobrażam sobie:

Fasada otynkowana, cztery piętra, krzyżaki z piaskowca, budowla z osiemnastego lub siedemnastego stulecia, odnowiona (wiem, że jest winda) w duchu ochrony zabytków i pomników, wysokość kondygnacji arystokratyczna z wyjątkiem czwartego piętra — rynna zewnętrzna, dach z karpówki; czwarte piętro ma skąpe oświetlenie —

Albo:

Fasada z okładziną trawestynową, wysokość kondygnacji demokratyczna, nowe budownictwo, ale dachówki, w celu dostosowania charakteru do starego miasta, na parterze cukiernia, co mnie zaskakuje; krzyżaki z piaskowca są w sąsiednim domu, podobnie jak rynna zewnętrzna; drzwi wejściowe ostrołukowe, prawdopodobnie budowa z lat pięćdziesiątych naszego stulecia, żelbeton, ale bez linii nowoczesnej architektury; czwarte piętro ma skąpe oświetlenie —

Albo:

Dom w ogóle nie ma od tej strony czwartego piętra (jestem pewien, że było to na czwartym piętrze), a nie można go obejść; fasada, niegdys

wielkopańska, teraz zniszczona, biedermeier, później zdewaluowałyby wskutek bliskości dworca towarowego z jego gwizdkami i sykami, szyldy firmowe na pierwszym i drugim piętrze, okna podzielone listewkami; trzecie piętro ma skąpe oświetlenie —
Możliwe:

Listonosz, który właśnie wychodzi, zapytuje Enderlina, kogo szuka, a Enderlin, który nie może nic z siebie wykrztusić, udaje zabłąkanego, idzie dalej, nawet nie podziękowawszy...

(Możliwe, ale nieprawdopodobne).

Pewne:

Pamiętam chwiejny blask ulicznej latarni łukowej na wietrze, latarnia kołysze się całą noc, odbłask na firankach i na suficie, pamiętam dokładnie: kiedy latarnia się nie kołysała, światło jej nie sięgało poza parapet okna, tylko przy wietrze światło jej wdzierало się do naszego pokoju jak piana fal do barki, w jego odbłasku z sufitu leżała kobieta, to znaczy: jakkolwiek wygląda od zewnątrz to, co ta latarnia oświeda, muszą to być okna bezpośrednio ponad nią, na trzecim lub czwartym piętrze...

Wyobrażam sobie:

Enderlin zadzwonił.

(— podczas gdy ja w samolocie, wtłoczony między obce łokcie, mając przed sobą tacę, właśnie wydobywam z celofanu nożyk, widelec i łyżeczkę, równocześnie spoglądam na zupę z ogonów wołowych, zimną kurę i sałatkę z owoców).

Wyobrażam sobie:

Wieczór bez objęć, nawet bez pocałunku, spoty-

kacie się na zewnątrz, co zmusza do rozmów, aż
nie ma już prawie między wami nieporozumień,
tak, to zaskakujące...

Zamawiam wino.

Zgodnie z pisemnym komunikatem naszego
kapitana, lecimy na wysokości 9000 metrów ponad
morzem, z przeciętną szybkością 800 kilometrów
na godzinę

Wino jest za zimne.

Wyobrażam sobie:

Wasze wino jest cieplejsze...

Mimo to wypijam swoje.

Wyobrażam sobie:

Wy, na ziemi, żyjecie...

Stewardessa zabiera wreszcie moją tacę, uśmiecha
się. Dlaczego? No cóż, wiadomo, one zawsze się
uśmiechają, zawsze są młode, nawet kiedy między
właśnie wypalonym papierosem i następnym,
którego zapalam od tamtego, upłynęło dziesięć
lat.

Wyobrażam sobie:


Dziesięć lat —

Wyobrażam sobie:

Spoczywacie więc noc w noc we wspólnym
pokoju, z wyjątkiem krótkich podróży jak obecnie;
w ciałach waszych skonała miłość. A więc tutaj
mieszkanie. Czy to mieszkanie, czy dom, urządzony
tak lub inaczej, prawdopodobnie antykami i nowo-
cześnie zarazem, z nieodłączną lampą fabrycznego
wyrobu japońskiego, w każdym razie jest tam
wspólna łazienka, codziennie wzrok pada na
utensylia służące różnym potrzebom pielęgnacji

dwojga ciał, kobiecego i męskiego. Czasami tęsknicie. Żadne z was nie ma bardziej zaufanego człowieka, nawet we wspomnieniu; nawet w nadziei. Czy można być bliżej ze sobą związanymi niż wy? Nie można. A jednak czasami tęsknicie. Za czym? Wtedy przejmujecie was dreszcz. Co to właściwie jest? Przeżywacie szybko nieskończone lata, pełni czułości, typowa para, czuła, nie demonstrująca tego przed gośćmi, jesteście bowiem prawdziwą parą dwojga ciał, w których umarła miłość, rzadko już szukających się nawzajem. Tylko czasami po podróży, po rozstaniu się na czas trwania jakiegoś kongresu, zdarza się, że w jasny dzień, zaraz po powrocie, zanim jeszcze zostały rozpakowane walizy i opowiedzieliście to, co należy opowiedzieć, padacie sobie w ramiona. Co to ma wspólnego z innymi! Odświeża, ale nie jest warte wyznania. Macie wtedy, jak kiedyś, dzień bez godzin, w szlafrokach, przy muzyce z płyt. Potem znowu łagodne obustronne ulotnienie się wszelkiej ciekawości, nie wypowiedziane, ledwie okazane; ukryte pod maską wymagań dnia codziennego. Tak sobie żyjecie. Listy wasze, kiedy od czasu do czasu nie jesteście razem, niemal was przerażają, przyprowadzają o uniesienie, używacie bowiem z polotem słów zapomnianych, języka, któregoście się oduczyli. Z pokoju hotelowego o pustym łóżu małżeńskim, nie licząc się z kosztami, telefonujecie do siebie z Londynu, Hamburga czy Sils, ponoszeni miłością, gawędzicie ze sobą wśród nocy. Raz jeszcze słyszycie wtedy wasze minione głosy i ogarnia was drżenie. Do chwili zobaczenia się w domu.

Pozostaje jedynie skłonność, cicha, głęboka, niemal niewzruszona. Czy to może jest niczym? Przetrzyłiście już prawie wszystko z wyjątkiem końca, nie jest dla was nowością, że jedno z was ucieka w ciemność nocy, że zjawia się gniew, że nie pomaga dwudniowe milczenie, jesteście parą, w każdej chwili wolną, ale parą. Niewiele tu można zrobić. Czasami myśl: dlaczego właśnie ty? Rozglądacie się za innymi mężczyznami, innymi kobietami. Niewiele tu wchodzi w rachubę albo wszystko. Nic nie będzie bardziej szalone od waszej ówczesnej miłości, najwyżej takie samo. Czy była szalona? O tym nie mówicie. Z tłdowego szacunku dla terażniejszości. A jeżeli mówicie, to z wyrzutem, który jest niesłuszny, jak każdy wyrzut pod adresem życia. Kogóż można winić za przyzwyczajenia? O tym, jak było kiedyś, wie tylko lustro w niemożliwym pokoju hotelowym, zardzewiałe, srebrzyste, zadymione lustro, które nie przestaje ukazywać pary miłosnej, wieloramiennej, mężczyzny i kobiety, bezmiennych, pijanych miłością ciał. Które z dwojga je widziało, pozostaje tajemnicą. Oboje? To nie byliście właśnie wy. Dlaczego prześladowe was to, co owo lustro ukazuje? Mógłby to być również inny mężczyzna, mogłaby być inna kobieta, wiecie o tym i spoglądacie na siebie właśnie wy, starając się zdobyć na wielkoduszność przy pomocy daremnej ironii. Jak macie to znieść, że rozumiecie się tak dobrze, coraz lepiej, tak bezplciowo, jak gdybyście fizycznie, biorąc nie byli wciąż jeszcze mężczyzną i kobietą? Nagle szukacie powodu do



zazdrości. Bez niej, o Boże, wasze śmiertelne koleżeństwo byłoby doskonałe. Głupie wydarzenie na plaży, naturalny, lekki uścisk wśród pinii, które pozostanie czymś niezapomnianym, zdradą, od dawna przedawnioną, przeklętą w bólu, potem oczywiście zrozumianą, imię jej lub jego przechowywane w milczeniu, strzeżone jak skarb koronny, wymieniane tylko w rozmowach ostatecznych, a więc rzadko, raz lub dwa razy w ciągu roku; aby się nie zużyło jak miłość waszych ciał. Ach, I to imię! Tylko ono daje raz jeszcze szalone, słodkie, gorące, bezgraniczne uczucie dla drugiego, a przynajmniej jego odwrotną stronę. Reszta to skłonność, właściwie wielkie szczęście; tylko obłęd ośmiela się zachwiać nią nagłym podejrzeniem podczas bezsennej nocy. Co się stało? Udajecie wtedy zmęczonych, gasicie światło, cóż bowiem mogło się stać. Kiedy drugie z was już zasnęło, powstają plany podobne do tych, jakie snują więźniowie, wtedy, w ciemnościach nocy, jesteście zdecydowani na każdy zwrot, na wyłamanie się, pełni odwagi, dziecinni, nie jest to pożądanie, lecz tęsknota za pożądaniem; pakujecie walizki. Raz ona, raz on. To się wyrównuje. Nie prowadzi daleko, tylko do zdrady małżeńskiej, ale pozostajecie małżeństwem. Jesteście parą, z gruntu rzeczy przeświadczoną, że się nigdy nie utracicie, parą, w której ciałach umarła miłość, nie pomoże tu żadne pakowanie waliz; dźwięk ukochanego głosu w telefonie wystarcza, wracacie, aby przyznać się lub nie, wracacie do dnia powszedniego, który jest prawdą; z piżamą i szczoteczką do zębów w ustach pełnych

piany z pasty, z muzealną nagością w kąpieli, nagością, która was nie podnieca, gawędzicie w łazience o gościach, którzy przed chwilą wyszli, o życiu intelektualnym, które was łączy. Rozumiecie się, co nie znaczy, abyście we wszystkim musieli się ze sobą zgadzać. Jesteście ożywieni, rozwijacie swoje poglądy, ale znacie swoje ciała, jak się zna swoje meble; idziecie do łóżka, bo znowu zrobiła się druga, a jutro będzie męczący dzień. Teraz nie jest „teraz”, ale „zawsze”. Bywają przypiływy czułości; ale jedno z was jest zmęczone albo zatopione w rozmyślaniach, chwilowych, podczas gdy wasze ciała istnieją zawsze. Jesteście w domu sami, we dwoje, zdarza się to często, bardzo często. Nie ma w tym nic niezwykłego. Małżeństwo zagarnęło was znowu, całujecie się, pocałunek ten jest jak kropka. Tęsknicie: nie za sobą, bo przecież jesteście razem, tęsknicie poza sobą, ale wspólnie. Mówicie o wspólnej podróży jesienią, nagle rodzi się w was tęsknota za krajem, który zresztą istnieje, możecie pojechać tam jesienią. Nikt wam w tym nie przeszkodzi. Aby się pocałować, nie będziecie musieli wdrapywać się po drabinie sznurowej, nie potrzebna wam będzie kryjówka,- nie będzie słowika ani skowronka, który by wzywał do teraźniejszości i rozejścia się, nikt nie będzie was szpiegował ani czegoś zakazywał, nie będziecie odczuwali strachu przed zdemaskowaniem waszej grzesznej przygody miłosnej. Spotykacie się z aprobatą. Jedno wam tylko przeszkadza: wasze ciała. Teraz każde z was wypala jeszcze papierosa, rozmawiacie, czytacie w łóżku gazetę. Nie pytacie siebie o waszą

historię, jest, można powiedzieć, znana. Kalendarz waszej prehistorii dawno już został oczyszczony. Pierwszy, w swej niedokładności śmiały, później starannie uzupełniony wybór nazwisk, dat, miejscowości został przed laty zamknięty. Dlaczego teraz, o drugiej w nocy, przed pracowitym dniem powszednim, mielibyście raz jeszcze grzebać się w waszej przeszłości? Kajanie się z jego rozkoszami zużyło się, zaufanie jest całkowite, ciekawość strwoniona. Dawne życie drugiego z was to księga; ma się wrażenie, że się ją zna jak klasykę, jest już nieco zapyłona, tylko przy przeprowadzkach, w pustych pokojach, w których rozbrzmiewa echo, raz jeszcze bierze się takie książki do ręki, aby się zdumieć, z kim się to w ciągu tych wszystkich lat żyło. Nie można być całe lata zdumionym. Gasicie papierosy. Przeszłość nie stanowi już tajemnicy, terażniejszość jest cienka, z dnia na dzień coraz bardziej znoszona, a przyszłość to starzenie się...
Lecę.

Please fasten your seatbelt, znowu mamy lądować, stop smoking, thank you, przestaję nie tylko palić, lecz oddawać się grze wyobraźni, „teraz” to „teraz”, czekam na wstrząs towarzyszący zetknięciu się samolotu z ziemią, to terażniejszość, we hope you have enjoyed your flight and we see you again, już się właśnie skończyła, thank you.

Jestem jednak pełen napięcia:

kto oczekuje mnie teraz na lotnisku.

Patrzę:

jeżeli ma czarne włosy, szare, duże oczy i pełne wargi, które jednak nigdy nie zasłaniają górnego

rzędu zębów, jeżeli za lewym uchem jest maleńkie znamię, to ja byłem tym, który wówczas nie przeleciał.

Starzeję się...

Via Appia antka.

Mogłaby być moją córką, nie ma sensu, abyśmy się widywali. Pragnąłbym tego, ale nie ma sensu. Stoimy na rzymskim kopcu nagrobnym, popołudnie, właściwie czekają na nas w mieście. Przez cały czas widzę tylko jej oczy, to dziecko, w pewnej chwili zapytuję, o czym myśli, spogląda na mnie swymi oczami i wiem, że nie jest już dzieckiem. Nie mamy odwagi usiąść na rozgrzanej ziemi, aby nie stać się parą. Nie całuję jej. Nie ma sensu, wiemy o tym oboje, to niekonieczne. Aby się czymś zająć, szuka koniczyny, czterolistnej, jak to się robi w chwilach szczęścia; ale na próżno. W powietrzu huczy samolot; nasze spojrzenia nie wybiegają poza gałęzie pinii. Z przewieszoną przez ramię skórzaną torbą, z trójlistną koniczyną w rękę, stoi i obraca się na wietrze, który mierzwi jej włosy, spogląda na brunatną Campagnę z jej rozrastającymi się przedmieściami, które mogłyby być tematem do rozmowy o rozbudowie miast; ale ona milczy. Ofiarowuję jej szyszkę pinii, ociekającą żywicą. Naprawdę nie potrafię odgadnąć, o czym myśli, i powtarzam pytanie. Odpowiada: — O tym samym, co pan! — Tymczasem ja nie myślę o niczym. Jej oczy: lśnią od terażniejszości, której nie wolno dotknąć. Gdzie teraz rzucimy szyszkę, ocieka-

jącą żywicą? W pewnej chwili żartem przytulałam jej głowę do swojej, nie całuję jej, śmiejemy się oboje. Z czego? Dla naszej szyszki po prostu nie ma celu; więc ją zabieramy. Na pewno widać nas z daleka, stojących na wzgórku nagrobnym; mężczyzna i dziewczyna, wyprostowani, ramię w ramię. Zabawne? Aby cokolwiek powiedzieć, pytam: — Idziemy? — ■ Chcąc jej ulżyć przy schodzeniu, biorę torbę, ona podaje mi rękę lepka od żywicy, w pewnej chwili ujmuję jej stopę, ponieważ wśród wysuszonych zarośli nie może znaleźć oparcia, jesteśmy wreszcie na dole, dłużej, niż to konieczne otrzepujemy z rąk wyschniętą ziemię. Po chwili jazdy otwartym wozem—: wiatr rozwiewa jej rudawe włosy — pytam o jej adres, mimochodem, właśnie zmieniając bieg. Zapisuje go na liście, który wyjęła z mojej kieszeni. Ze względu na stan starego bruku rzymskiego jadę wolno. Mógłbym teraz, kiedy w milczeniu spogląda na mnie z boku, powiedzieć coś o bruku: legiony, które maszerowały po tym bruku, tak, tysiąclecia itd. Nie robię tego, bo nieraz już to mówiłem. Natomiast zapytuję: co się robi ze snem, który przyśnił się w dzień? Czerwone światło, trzymam rękę na dygocącej kierownicy, ona odpowiada: — Bierze się go ze sobą! ■— Włączyłem bieg, jedziemy dalej —

Basta!

Wyrzuciłem dziś szyszkę, która ciągle jeszcze leżała w wozie, bo nie pachniała już żywicą. Wyrzuciłem również adres. Pewnego dnia zobaczę ją, wiem o tym, przypadkowo na ulicy, młodą

kobietę, gawędzącą z ożywieniem o tym i owym, o swoim małżeństwie itd.

Lekarz Burri opowiada czasami o różnych wypadkach, kiedy ja wolałbym grać w szachy; po pewnym czasie to, co Burri, obcinając powoli cygaro, opowiada o życiu codziennym kliniki, przykuwa moją uwagę; równie wolno jak on, trzymając pudełko na kolanach, w milczeniu ustawił na szachownicy figury z kości słoniowej...

Gdyby nie istniały w nowoczesnej medycynie leki, które, stosowane bez zastrzeżeń, prowadzą do tego, że większość nas, można powiedzieć, przeżywa siebie samych, wiem, że i ja już dwukrotnie byłbym umarł śmiercią naturalną, a pytanie, jak przetrzymam starość, zostałoby mi oszczędzone, to prawda... Wyciągnąłem teraz zaciśnięte pięści, aby Burri wybrał: czarne czy białe; choć słucham, mogę przecież wyciągnąć pięści. Rzecz jasna, że Burri, jako gość, wybiera. To nasz czwartek. Jak zazwyczaj, Burri zjawiał się, aby grać w szachy. Czekam. Ale Burri, rozparty w fotelu, najprzód zapala cygaro; widocznie myślami jest ciągle jeszcze w klinice. Widzę płonącą zapałkę, która za chwile, jeżeli jej nie rzuci, sparzy mu palce. Co robi człowiek w moim wieku, który wie albo sądzi, że wie, iż wedle opinii lekarzy w najlepszym wypadku żyć będzie jeszcze rok?... Znowu wysuwam pięści i Burri wybiera: a więc gram czarnymi. Później, po kilku godzinach myślenia jedynie o skoczkach, gońcach i wieżach wracam do tego, co opowiadał

Burri; z pudłem od szachów na kolanach, znowu sam, ponieważ Burri poszedł jeszcze do chorego, "nie wiem, co bym w takim wypadku zrobił.

— Życ...

Ale jak?

Wyobrażam sobie:

Enderlin Feliks, dr fil., lat 41, 11 miesięcy, 17 dni, z perspektywą życia jeszcze tylko rok. Enderlin sam, za otwartym oknem właśnie wiosna, woń bzu zmieszana z zapachem kliniki, która unosi się zawsze i wszędzie, nawet kiedy człowiek patrzy na dalekie góry lub spogląda w przyszłość; jest przedpołudnie, godzina odwagi, ogrodowy wiatraczek do rozpylania wody w słońcu, tęczowe wachlarze wody, na trawie lśnią krople, od czasu do czasu biały lub żółty motyl, zygzak, życie parku. Enderlin jeszcze nie przeczytał owej kartki, wierzy jeszcze, że wyzdrowiał. Wprawdzie czuje się osłabiony, ale bądź co bądź zdrowy. Miałeś szczęście, powiedział mu Burri. Dlaczego nie miałby mieć szczęścia? Słowa Burriego przestraszyły go nieco. Jak to szczęście? Przecież niczego innego nie oczekiwał. Powietrze płynące przez okno przyprawia go o zimny dreszczyk, choć dzień jest ciepły, prawie gorący, wieje föhn, wydaje się, że góry są na odległość wyciągniętej ręki. Właściwie poci się; osłabienie jest po siedmiu tygodniach leżenia w łóżku zrozumiałe. Góry jeszcze w śniegu, skiby ziemi ciemne, prawie czarne, tłuste, lśniący klin jeziora, na nim żeglarze. Na pierwszym planie kwitnie magnolia. Ogrodnik w zielonym fartuchu, z polewaczką — nie brakuje niczego.

Skądś dochodzi „Alleluja”; śpiewają pielęgniarki wolne od służby.-Na rusztowaniach tynkują robotnicy: klinika musi być powiększona, podobnie jak wszystko inne; robotnicy, Włosi, opaleni, pobrzękują wielokrażkami, słysząc ich głosy. A więc lekarz Burri odszedł na chwilę, obwieściwszy Enderlinowi całkowite wyzdrowienie i rychle wypuszczenie z kliniki. Enderlin w fotelu przy biurku, blady, w niebieskim szlafroku, trzyma w ręku wilgotną jeszcze taśmę, swój kardiogram, pokazany mu przez uprzejmego lekarza. Wygląda to jak pismo arabskie, pięknie, ale zagadkowo, przypomina mu drogowskaz na pustyni między Damaszkiem i Jerozolimą, nieczytelny, ale piękny; ta kaligrafia serca wprawia Enderlina w zachwyt, o jaki siebie nie posądzał, nie może napatrzeć się do syta, dopiero kiedy wiatr wpada przez otwarte okno, zauważa na biurku kartkę, podnosi się, aby na niej postawić popielniczkę, teraz wiatr jej nie porwie; nie po to się podniósł, aby ją przeczytać. Ale już to zrobił. Nieprzyjemnie mu. Kartka nie była przeznaczona dla niego. Na razie jest mu tylko nieprzyjemnie. Kiedy spogląda raz jeszcze, nie widać spod popielniczki jego nazwiska; natomiast czytelny jest termin fachowy, który śmierć sobie wyszukała, wypisany długopisem, Enderlin nie zna tego słowa; na marginesie notatka, wyraźnie dodana później: przewidywany okres życia ok. 1 rok.

Enderlin sam w pokoju—

O, nie tak łatwo uwierzyć we własną śmierć. Może ta karteczka wcale nie jego dotyczy? Kiedy lekarz wraca do pokoju, Enderlin siedzi znowu tam,

gdzie należy, w fotelu, 'oparł obie ręce na poręczach; dwa rękawy szlafroka ze zwisającymi białymi dłońmi. Lekarz powiada:

— Przepraszam cię!

Enderlin, bardziej zakłopotany niż przerażony, patrzy w okno, udaje, że nic nie zaszło.

— ■ Przepraszam! — powtarza Burri.

— Ależ proszę — mówi Enderlin.

Potem, zamknawszy okno, Burri, ten kolos i uosobienie dobroci męskiej, znowu siada przy biurku, wkłada do ust cygaro, które przed chwilą, położył na popielniczce ze srebrnymi jaszczurkami, cygaro żarzy się jeszcze, a więc nie kazał czekać Enderlinowi zbyt długo.

— Rozumiem — mówi Burri z roztargnieniem, wydaje się, że czegoś szuka, trzyma między wargami dopalające się cygaro, kilka razy musi mocno pociągnąć, żeby się rozpało — rozumiem — powtarza, kiedy cygaro wreszcie dymi jak należy, wydaje się, że zapomniał, co chciał powiedzieć. Po chwili bierze kartkę i nie patrząc na nią, mcwi: — Jesteś ciekaw rezultatu ostatniego badania, co?

Enderlin odpowiada z uśmiechem:

— Jakże ono wypadło?

Jest zdziwiony swoim spokojem, lekarz zaś odczuwa widocznie gwałtowną potrzebę udokumentowania dokładnymi liczbami, dlaczego Enderlin może się uważać za uzdrowionego.

— Rozumiem — powtarza Burri po raz trzeci, przypomniał sobie, co chciał powiedzieć. — Nie masz już cierpliwości, ale nie wypuszczę cię przed sobotą — oświadcza z koleżeńskim, nieco szorstkim

uśmiechem, ta szorstkość ma *oznaczać*, że naprawdę uważa Enderlina za zdrowego, koniec z oszczędzaniem go. — Najwcześniej w sobotę — mówi z groźną domieszką autorytetu. Następują dane co do ilości białych ciałek w procentach, bilirubiny w procentach, liczby, o których Enderlin nieraz słyszał i które również przytaczał, więc choć nie wie, co te liczby oznaczają, może sam osądzić, jak się rzeczywiście poprawiły ku zadowoleniu Burriego, który je odczytuje z odwrotnej strony kartki.

— Tak — mówi Enderlin — to świetnie! — Mówiąc to spogląda na zdrowych robotników pracujących na dworze.

— Mój drogi — powiada zadowolony Burri — przebieg mógł być zupełnie inny.

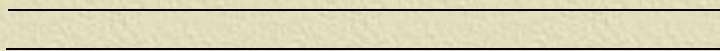
Enderlin przytakuje skinieniem głowy.

W duchu, podczas gdy obaj udają, że patrzą sobie w oczy, sporządza sobie terminarz: rok, a więc jeszcze rok, a teraz jest kwiecień —

Enderlin przytakuje.

— Proszę! — mówi Burri, jak gdyby wyczuwając jego nieufność, i wskazuje cyfry, czarno na białym, ściślej mówiąc czerwono na białym. — Masz! — i wręcza Enderlinowi kartkę, potem czeka, rozparła szy się w fotelu, z cygarem w ustach. — Przed sześcioma tygodniami mieliśmy jeszcze 27% —
N mówi.

Enderlin czyta: bilirubina 2,3%, ale nie ma odwagi odwrócić kartki, zażądać od Burriego wyjaśnienia, milczy. Jako lekarz, Burri wie, że do obrazu choroby należy pewna apatia, ale trochę zadowolenia ze s wego szczęścia ten pocziwy ;



Enderlin mógł okazać, Burri nie jest łasy na uznanie, jednak Enderlin z kartką w ręku wydaje mu się zbyt apatyczny.

— Mój drogi —powiada — mieliśmy szczęście. Enderlin zwraca kartkę.

— 27%! — mówi lekarz. — Wtedy przemilczeliśmy to przed tobą, ale to była prawda.

Zaterkotał telefon, Burri, niezadowolony, że mu przerywają, podnosi słuchawkę. Nie jest to sprawa służbowa, chodzi o regaty, które mają się odbyć za dwa tygodnie w niedzielę, Burri przeprasza Enderlina wzrokiem, przewraca kartki kalendarza, rozmowa nie będzie długa, ale wystarcza, aby, skoro ją raz przerwano, nie mówić już o bilirubinie, lecz o przyszłości, najprzód o czerwcowych regatach, przede wszystkim jednak o przyszłości Enderlina, o jego podróży do Harvardu, odłożonej z powodu jego choroby, a więc o jego karierze, przy czym Enderlin stara się usilnie mówić o niej jako o czymś realnym, jest to wysiłek spiskowca, który to, co wie o przyszłości, musi trzymać w tajemnicy.

— Dwa miesiące — powiada Burri — dwa, trzy miesiące w Tarasp albo w Chianciano, oczywiście musisz się oszczędzać, to jasne. — Przerzuca kartki kalendarza, tego samego, w którym zanotował termin regat. — Mergentheim też byłoby dobre. — Sam widzi, że się powtarza, nie ma na ogół tego zwyczaju, czuje się jakiś niepewny wobec Enderlina, właściwie nie mówi nic, czego/ by już nie powiedział. — Oczywiście musisz się szanować — powiada rozpinając biały kitel.

Enderlin stara się w dalszym ciągu.

— Wolałbym Chianciano — oświadcza.;

— Jak chcesz! — mówi Burri, ściągając biały kitel, właściwie w pośpiechu, ale nie ma odwagi okazać tego pacjentowi. — Dziś mamy wtorek, w piątek raz jeszcze przeprowadzimy kontrolne badanie. — I to już przedtem powiedział. — Harvard to przecież nie byle co! — Myje ręce, osusza je, Enderlin potakuje skinieniem głowy. — 2,3% — mówi Burri, jak gdyby musiał jeszcze raz powrócić do tego,, i zgnia kartkę w kulkę; zanim Enderlin zjawił się u niego, Burri dowiedział się o wynikach telefonicznie, zostały one już wciągnięte do historii choroby, wrzuca więc kartkę do kosza. I powiada: — Nie martw się niczym. — Wkłada marynarkę. — Wiem — mówi po chwili przerwy, spowodowanej wkładaniem marynarki — mówiłem zawsze o 1,5%, ostrzegałem, że cię przedtem nie wypuszczę, wiem, ale zobaczysz — ogląda się, czy wszystko zabrał — w piątek jeszcze raz to skontrolujemy.

Burri musi już iść i Enderlin, który nie ma siły wstać, byłby radj gdyby Burri sobie poszedł. Czuje się jak atapa wystawowa, ukrywająca jego załamanie się. Tymczasem uprzejmy Burri, nie chcąc dotknąć go pośpiechem, gada dalej — jeszcze raz o Harvardzie! — z serdecznością, a zarazem z roztargnieniem, zapytuje, ile właściwie' Enderlin ma lat.

— Czterdzieści dwa — mówi Burri — to żaden wiek, jestem starszy od ciebie. — Włożył płaszcz od deszczu i dodaje: — Mój drogi, mając czterdzieści

dwa lata, dopiero zacząłem żyć! — Uścisnęli sobie dłonie. — Nie wierzysz mi? — pyta jeszcze i nie może się powstrzymać od hymnu na cześć męskiego życia właśnie po czterdzieście, tak, nawet w dziedzinie miłości wtedy dopiero nadchodzi spełnienie, to kwestia doświadczenia, Enderlin musi być na to przygotowany. Burri śmiejąc się wychodzi...

Enderlin sam...

Ale drzwi są otwarte, nie ma odwagi sięgnąć do kosza, aby znaleźć kartkę. I przeczytać to czarno na białym. Po co? Enderlin podnosi się, udaje, że śnił lub coś w tym rodzaju. W korytarzu, po którym w ciągu ostatniego tygodnia spacerował dla nabrania sił, spotyka Elke i uśmiecha się, aby nie zachwiać jej pielęgniarским przeświadczeniem, że stan jego zdrowia polepsza się z dnia na dzień.

Wyobrażam sobie: , *■

. Wprawdzie Enderlin wierzy, że owa kartka dotyczy jego osoby, ale nie wierzy, że proroctwo się spełni: po prostu nie wierzy. Burri może się także mylić!... Sam w białym pokoju, który tymczasem został sprzątnięty, wylicza sobie, że Harvard, i tak pomyślany tylko jako odskocznia, stanie się zbędny. Co jednak robić, jeżeli do Harvardu nie pojedzie? Kiedy zjawia się siostra, by przynieść z korytarza wczorajsze kwiaty, Enderlin, pragnąc uniknąć rozmowy, otwiera powoli pocztę; czyta ją nawet — a więc to byłaby pierwsza jego czynność w ostatnim roku życia! — wie, co czyta, wie nawet, co należałoby odpowiedzieć. Czy jeszcze odpowie? Kiedy ta sama siostra znowu wchodzi do pokoju,

tym razem z sokiem owocowym na tacy, Enderlin już jej nie zauważa; nie siedzi już na łóżku (widocznie przeszedł tymczasem przez pokój), lecz w fotelu przy oknie, listy leżą na szlafroku, białe ręce na poręczach fotela, siedzi jak na tronie. Jest nieprzystępny. Jak na tronie króluje nad współczesnymi. Jeżeli wierzy w długopisową wyrocznię, pozostawałoby mu jedynie wielkość, to miałyby jeszcze sens: nie zdradzić się przed nikim, że wie o swej bliskiej śmierci, zachowywać się wobec przyjaciół, jak gdyby nigdy nic. I pojechać do Harvardu, jak gdyby nigdy nic. I snuć plany, jak gdyby nigdy nic —

Słyszał o takich, którzy to potrafili.

— i wygłosić swoją prelekcję:

Panie i panowie!

Zgodnie z rękopisem:

Hermes to postać wieloznaczna. Oslawiona jako bóg złodziei i filutów, sam filut, który już w dniu swego przyjścia na świat ukradł cielęta Apollina, głośny ze swej pogodnej, chytrej żwawości, dzięki której chętnie robi ze zwykłych śmiertelników durniów, we wszystkim macza palce, cała jego istota i sposób bycia pozostają pod znakiem kuglarstwa, jest przyjacielem pasterzy, bogiem trzód, które strzeże przed runięciem w przepaść, szafarzem płodności. Herma, jego pierwotne godło, ma kształt fallusa. Fakt, że Hermes uchodzi także za boga kupców, co mogłoby się wydawać sprzecznością, jest znany i zrozumiały, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że herma, składająca się z warstw kamieni, służyła kupcom wędrownym za drogowskaz. Plod-

ność trzód to tylko szczegół; chodzi tu o płodność w ogóle, błogosławieństwo we wszystkich ludzkich interesach. Hermes to mistrz chytryści. Pomaga, przynosi szczęście, ale również sprowadza na manowce. Rolę tę gra również w miłości; on to darowuje niespodziewane szczęście, korzystną sposobność. Hermes to bóg przychylny, bliższy ludziom niż inni bogowie, stąd jest wysłannikiem bogów, Homer zwie go również przewodnikiem w snach. Często też trafiamy na wzmianki, że zbliżając się do śmiertelnych lubi być niewidzialny i wszystko, co nagle, nieprawdopodobne, nieobliczalne, niespodziewane, a nawet chimeryczne, związane jest z Hermesem, z jego władaniem, cała jego wesołość ma w sobie coś niesamowitego, bo przecież Hermes jest również bogiem, który zabiera konających, cicho, znienacka; to wszechobecny wysłannik śmierci, prowadzący nas do Hadesu...

Itd.

W pewnej chwili dzwoni telefon, po krótkim ociąganiu się Enderlin podnosi słuchawkę, aby na zwięzłe zapytanie, jak się czuje (rozmówca chciałby właściwie dowiedzieć się czegoś innego), odpowiedzieć szczegółowo, że zbyt drobiazgową otuchą. Dlaczego miałby mieć inny głos, inny niż wczoraj? Zaprzecza temu, opowiada o wypuszczeniu go w najbliższą sobotę, o Chianciano, o bilirubinie, o Harvardzie; tamten milczy, ponieważ zna doskonale plany, którymi Enderlin szermuje jak autami. Nie koniec na tym. Aby dowieść, że ozdrowiał, Enderlin szczegółowo i upor-

czywie wypytuje o sprawy, pozostające poza jego przewidywanym okresem życia, chciałby wiedzieć dokładnie, jak wygląda sprawa finansowania, jakie wydawnictwo wchodzi w rachubę, czy gwarancja rozciąga się na dwa, czy na trzy lata, czy ma to być kwartalnik, czy miesięcznik. Chodzi znowu o założenie czasopisma, które Enderlin miałby podpisywać jako wydawca, o co go, już dawno pytano; gdyby pismo zaczęło wychodzić, Enderlin w najlepszym razie zobaczyłby jedynie odbitkę szcztokową pierwszego numeru. Enderlin zgadza się na rolę wydawcy.

— Dobrze — powiada — ma pan moje słowo; Zrobione.

— 'ale potem — rozmowa przedłużyła się wskutek **jego** z radością przyjętej zgody — Enderlin, jako wydawca, nie może po prostu odłożyć słuchawki, sprawa tytułu, ciągle sprawa tego tytułu, kwestia, kto wejdzie w skład redakcji, kto nie, Enderlin ma się na ten temat wypowiedzieć, ale wypowiada się coraz wstrzemięźliwiej, wreszcie raz jeszcze daje słowo, potem głowa jego opada' na wysoko ułożone poduszki, ledwie położył słuchawkę na widelki, czuje znużenie, jak niedawno po zbyt długim spacerze w parku. Próbuje myśleć o czasopiśmie, ale na próżno... sprawa tytułu,, tak, tytuł... kwestia, czy się Burri nie. myli... wiatrzątek do polewania trawników w słońcu... pytanie, czy naprawdę przywiązany jestem do tego wszystkiego, co się nazywa życiem — ale będę się oszczędzał nawet wtedy, kiedy ruina stanie się już widoczna; będę przywiązany; będę wierzył

w każde kłamstwo; w nocy będę wiedział wszystko, natomiast w dzień będę wierzył w coś odwrotnego, białe siostry będą mówiły: to ładnie, panie Enderlin, ładnie! I ci, którzy przyjdą, aby posiedzieć przy moim łóżku, będą to widzieli, a czego nikt mi nie powie, to wyrzeczczą mi bóle, najprzód sporadyczne, później coraz częstsze, nieustanne, ale każdy zastrzyk przynosi ulgę, którą przekuwam w nadzieję, zastrzyk po zastrzyku, aż do bydlęcego zdechnięcia z zastrzykniętą nadzieją — Enderlin może jeszcze myśleć. Dlaczego nie mówią mu prawdy? Jeszcze jest człowiekiem. Nie dowierzają jego wielkości? Ma przed sobą biały stolik, na nim tak zwany obiad, higieniczna kapusta włoska, twaróg, wszystko z myślą o oszczędzaniu zdrowia — tylko po to, żeby Enderlin dożył jeszcze do pierwszej odbitki szczotkowej owego czasopisma! Kosztuje. Twaróg! Próbuje smaku, myśli, że teraz, jeżeli się Burri nie myli, można by napisać wszystko, co się chce. Ale co właściwie? Wczoraj ryba, dziś twaróg, - jutro ryba, wszystko ma ten sam smak, białko, bez soli, nudne jak rozważanie, czy, jeżeli Burri się nie myli, w ogóle musi na ten rok zarobić jakieś pieniądze; najbardziej zdumiewa go nie ten bilans, lecz płaska codzienność jego sposobu myślenia. Uważa, że skazany na śmierć nie mógłby tak myśleć. Burri myli się! Aby się posilić, zjada trochę kapusty. Czemu to przypisać, że nikt, pewny swej śmierci, nigdy nie zaryzykował czegoś takiego? Na przykład zamachu? Moje życie

za jego! Ale moje nie jest już życiem, to tylko wegetacja z zastrzykami w ramię, z dziecinną papką w ustach, Alleluja, i jak ten bez za oknami znowu zakwitł... Kiedy zjawia się pielęgniarka, siostra Eufemia, i zapytuje z macierzyńską troską, dlaczego nie jadł, dokładniej mówiąc: dlaczego nic nie zjedliśmy (na krótko przed twoim zdechnięciem zaczynają posługiwać się w rozmowach pierwszą osobą liczby mnogiej: Nie mamy apetytu? Może byśmy się zdrzemnęli? Czyśmy już oddali mocz? itd.). Enderlin przełyka kilka łyżek, ale po chwili musi wszystko zwymiotować; ocierając twarz i podbródek, prosi siostrę usilnie, aby o tym nie powiedziała lekarzowi. Nagle ogarnia go strach przed Burrim, który był dotychczas jego przyjacielem. Enderlin pokaże mu, jaki jest zdrowy. Chce się stąd wydostać. Chce obalić orzeczenie, które przed nim zatajają. O nie, Enderlin nie pojedzie ani, do Chianciano, ani do Tarasp, będzie się śmiał w kułak, napisze kartkę z Paryża z dowcipnym dopiskiem na temat diety, a gdyby nawet pojechał do Tarasp, to najwyżej na tydzień, żeby zrobić Burriemu przyjemność, ale nie pociągiem, lecz własnym samochodem, i to tak, że aż będzie gwizdało na wirażach, i to już w piątek; a w Tarasp nie będzie pił wód mineralnych, cuchnących gnijącą siarką, lecz będzie grał w tenisa, pozna kobietę, bardzo młodą, z którą się natychmiast ożeni, już przy aperitifie, może blondynkę z któregoś z krajów nadbałtyckich, dla której zbuduje dom z basenem; dokładnie od dziś za rok odbędzie się poświęcenie domu, z prosięciem z różną, przedtem whisky,

potem whisky, tak, i z Burrim jako gościem. Opalony Enderlin, z hawańskim cygarem w ustach, szturchając doktora-proroka w bok, będzie się śmiał...

Dlaczego właśnie kobieta z któregoś z krajów nadbałtyckich?

Elke, siostra dyżurująca w nocy, pochodzi znad Bałtyku i to go przeraża; fantazja chorego, który nie ma już wyboru, bezsilnego, który już daleko nie zajdzie.

Za oknami ptald.

Kobiety —

Dużo kobiet!

Nie potrafi myśleć w liczbie pojedynczej.

Wszystkie kobiety!

Myśli tylko o ich łonach,, w ich łonach; nie myśli o żadnej, którą zna, lecz o wszystkich, których nie miał. Łona; usta, jego język w ich ustach; twarze tak podobne do siebie, że ich nie można rozróżnić; przy tym słowa, których nigdy nie wypowiadał, a których sprośność dziwnie go zaspokaja, ponieważ rodzi niezaspokojenie; łona, wargi, iida, włosy, piersi, oczy, które stają się przy tym zupełnie wąskie, łona, łona, wszystkie łona — poci się przy tym ze słabości, ldedy tak myśli siedząc na brzegu łóżka, z rozpostartymi rękami, na których się opiera, bezsilny, ze wzrokiem skierowanym ku otwartemu oknu: drzewa, dachy, samolot, niewidoczny na tle nieba, tylko pozostawiona przez niego biała smuga, wświdrowująca się w błękit, podobna do ogona, która się powoli rozplywa i ginie, kominy, które w przeciwnieństwie

do niej trwają, bielizna trzepocząca na wieżyczce, druty, góry za drutami, które obsiadły wróble, dużo dachów, kominy, wieżyczki, drzewa w alei, czerep lśniącego jeziora, tarcza zegara na wieży, wskazówki wędrujące niedostrzegalnie, nic poza tym, co ogląda co dzień od wielu tygodni... Włosi na rusztowaniu, od czasu do czasu wieszają na wielokrążku wiadro, które później podciągają w górę, mężczyźni obnażeni do pasa, muskularni. Spoglądanie gdzie indziej nie pomaga. Bliskość czy dal to wszystko jedno, jego łóżko, tarcza zegara, brzęczący wielokrążek; wszystko to przedmioty, które Enderlina przetrwają. Demonstracja trywialnej świadomości: bez wysłańców bogów. Nadzieja na wielkość okazuje się kiczem: tylko litość dla siebie samego objawia się nie ukrywana i bez wstydną. Nie, Enderlin nie płacze! Poci się tylko. Pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — mówi Enderlin, kładąc się na łóżku i okrywając kołdrą. Kiedy pukanie do drzwi wewnętrznych powtarza się, woła pełnym głosem:

— Proszę wejść!

To ja.

— Usiądź — powiada.

— Jak się czujesz? — pytam i żeby znowu nie zapomnieć, nie czekając na jego odpowiedź, kładę zeszyt na białym stole, założonym lekarstwami i instrumentami; widzę ampułki, strzykawkę, igły w alkoholu. — Twoja rozprawa—powiadam. — Przeczytałem ją, uważam, że jest świetna.

Enderlin milczy.

— Słuchaj — mówię wychodząc na balkonik — masz stąd naprawdę ładny widok! — Zachowuję się tak, jakbym go odwiedzał po raz pierwszy. Jestem nie wiadomo dlaczego zakłopotany, zacieram ręce.

— Tak — mówi Enderlin. — A ty jak się czujesz?

Mówię, że dzień jest cudowny. Może Enderjin oczekuje, że powiem o jego rozprawie nieco więcej; ale kiedy próbuję to uczynić, Enderlin odwraca ode mnie wzrok i rozmowa na ten temat się nie klei.

— Uważam, że nadzwyczajne jest to... — mówię i widzę, że mnie nie słucha. — Dziękuję — powiadam wracając z balkonu do pokoju — pracuję.

Nabijam fajkę, człowiek stojący oboma nogami na ziemi, siadam trzymając fajkę w woreczku na tytoń. Nie będę palił, pokój szpitalny to pokój szpitalny, nawet jeśli okno otwarte, jestem gościem dobrze ułożonym, ale zdrowym; nie bezwzględny, ale zdrowym, jednym z tych, którzy bezosobowo, rzeczowo mówią o sprawach światowych, trzymam nabitą fajkę w ustach, nie zapalam jej nie z troski o Enderlina, który ma przecież swoją opiekę, swoje kwiaty i swój sok owocowy, lecz z troski o Europę, o ludzkość w ogóle, tym razem zwłaszcza o problem rozbudowy miast, rozbudowa miast jako problem polityczny, mam na ten temat coś niecoś do powiedzenia, nawiasem mówiąc Enderlin nie słyszy tego po raz pierwszy. Nie powstaje z tego rozmowa, raczej wykład, gdyż Enderlin milczy. Fajkę zapaliłem chyba z zakłopotania.

—Co słyhać z waszym czasopismem? — zapytuje, aby wyrwać Enderlina z apatii. Przecież nie mogę wiedzieć, że Enderlin uważa się od dzisiejszego przedpołudnia za skazanego na śmierć; jego litość nad samym sobą, niema, ale wyczuwalna, zaczyna mnie denerwować, robię się aż brutalny. Przystaję wprawdzie palić, ale padają zdania, które mają świadczyć, że wyzdrowiał! — Wy z waszym czasopismem! — bezlitośnie: — Wierzyłeś kiedykolwiek w to czasopismo? — Wiem, stoję się teraz brutalny. — Znamy to — powiadam — każdy przyrzeka współpracę, żeby figurowało jego nazwisko, a ledwie początek zrobiony, mają coś innego do roboty i ty, jako wydawca, zostajesz, mój drogi, wystrychnięty na dudka. — Nie wiem, co się dzieje z Enderlinem, coraz mniej utrafiam w ton, ale tym więcej mówię. — Tak — powiadam — musimy kiedyś znowu powędrować razem do Etzel! — Enderlin śmieje się. — Jak tylko będziesz w porządku — mówię i właściwie powinien bym się już pożegnać. Ale jak? Najlepiej będzie, jeżeli powiem: — Ach, muszę już iść! — Enderlin popija sok owocowy, ja podniosłem się, obydwoma rękami trzymam poręcz jego łóżka jak wózek dziecienny, spojrzenie w przyszłość, którą należy planować, rozbudowa miast jako problem polityczny. Pytam Enderlina, jak mają mieszkać nasi potomkowie, jak sobie na przykład wyobraża ruch uliczny za dziesięć lat, za trzydzieści, za pięćdziesiąt, to sprawa istotna — nie dla Enderlina, lecz dla świata, zwłaszcza dla świata zachodniego, tymczasem Enderlin (ale nie widzę tego po nim) może myśleć

jedynie o tym, ile życia ma przed sobą: rok, w najlepszym razie rok... Kiedy zjawia się pielęgniarka, aby Enderlinowi zrobić codzienny zastrzyk w ramię, milczę przed chwilę, jak należy, ukrywam fajkę przed pielęgniarką, która drugi raz musi ukłuć Enderlina. Biedny Enderlin! Rozumiem, że nie słucha mnie uważnie, mam wrażenie, że rozumiem; to codzienne klucie, raz w lewe ramię, raz w prawe, denerwuje, zwłaszcza kiedy pielęgniarka nie trafia w żyłę. Rozumiem. Kiedy Enderlin bez słowa opuszcza podwinięty rękaw podzamy, aby odwrócić jego uwagę, zapytuję, co sądzi o książce leżącej na nocnym stoliku. Mówi, że mogę spokojnie palić. Widocznie chciałby jednak, żebym został, ale teraz naprawdę muszę już iść, co mi przychodzi ciężko, ponieważ Enderlin nie mówi ani słowa. Myśli przy tym, widzę to, myśli bez przerwy. Z zakłopotania mówię o ludziach. Plotki. Kto z kim ma ostatnio stosunek. Enderlin słyszy, ale puszcza to mimo uszu. Robotnicy naprzeciw na rusztowaniu, patrzę na nich, Włosi; to także problem: jeśli tak dalej pójdzie, zaleją nasz kraj. I na ten temat Enderlin się nie wypowiada. Kiedy próbuję z innej beczki, na przykład pytam, ile ma wygłosić prelekcji w Harvardzie, odpowiada wprawdzie, ale tak, jakby go to nic a nic nie obchodziło, jak gdybym plótł trzy po trzy. Cóż więc jeszcze pozostaje? Raz tylko pyta, jaki to dzień tygodnia, jaka data, i poza tym nic...

Wreszcie wyszedłem.

Pierwszego człowieka, na którym musiał wyprć-

bować siłę swej tajemnicy, ma Enderlin za sobą.

Zegar na wieży wybija czwartą.

Rok jest długi —

Gdyby mógł krzyknąć!

Burri ma rację:

42 lata to żaden wiek.

Później, wieczorem, kiedy Enderlin, senny po zastrzyku, próbuje myśleć z otwartymi oczami, jego spojrzenie pada na ową higieniczną szubienicę w zmroku... Dlaczego człowiek się nie wie-sza? — o tym zapewne myśli spoglądając na biały uchwyt szpitalnego łóżka; w pokoju robi się z kwadransa na kwadrans ciemniej. Co tu jest do myślenia. Śmierci nie można pomyśleć... Jego twarz po zapaleniu światła, twarz w lustrze szafy, w której od tygodni wisi jego ubranie, jego twarz, naga szyja i skóra potrzebują słońca, niczego więcej, słońca w Engadin albo nad morzem. Albo w Peru! Niechący pomyślał tak, bez ironii: Peru jako kraj jego nadziei! Może Enderlin wyobraża sobie siebie na rżącym koniu, rok w Peru, człowiek, który oddał się na koniu — nie wiem... Oto, o czym można myśleć: jeżeli Burri się nie myli, oszczędzone mu zostanie starzenie się, jeżeli Burri się myli, nie zostanie mu to oszczędzone... Senny po zastrzyku, ale przytomny ze strachu, przy czym to, co go przestraszyło, wydaje mu się snem, leży z otwartymi oczyma, z rozpostartymi ramionami, ręce zwisają mu z brzegu łóżka. Właściwie nie chce mu się żyć, aby się nie starzeć — kiedy mu jednak przynoszą dietetyczną kolację, kiedy siostra jak zwykle poprawia poduszki, aby Enderlin

mógł siedzieć, karmi swe ciało. Siostra po upływie pół godziny wraca po tacę i mówi:

— Pięknie, panie Enderlin, bardzo pięknie!

Nie powiesi się —

Rozumiem, że dla Burriego to wypadek drażliwy. Wie tylko, że kartka leżała na stole, podejrzenie, że Enderlin mógł ją przeczytać, pochłania go tak bardzo, że gra nędznie. W każdym razie zachowanie naszego poczciwego Enderlina, kiedy mu przed południem obwieścił całkowite wyzdrowienie i rychłe zwolnienie ze szpitala, było dość niezwykle. Nawiasem mówiąc, Burri nabrał podejrzenia dopiero w ciągu popołudnia, kiedy nie mógł odnaleźć kartki, która była napisana nie dla Enderlina, lecz dla innego pacjenta, który ma być wkrótce przeniesiony do sanatorium, i kiedy w koszu na papiery znalazł kartkę z wypisanym na odwrocie, pomyślnym dla Enderlina orzeczeniem. Idiotyczne niedopatrzzenie! Moja rada, aby po prostu pomówił z Enderlinem, wydaje mu się całkowicie chybiona. To umocniłoby tylko Enderlina w przeświadczeniu, że zatajono przed nim prawdę. Przyznaję Burriemu rację. Burri nie widzi żadnej innej możliwości: po prostu wypuści Enderlina i będzie go obserwować. Jego zdaniem, jeżeli ktoś sądzi, że ma przed sobą tylko rok życia, w najlepszym razie rok, to nie będzie żył tak, jak dotychczas. Nie dyskutuję z nim, żebyśmy mogli rozegrać drugą partię, miejmy nadzieję, lepszą. Gram teraz białymi. Burriemu tamta sprawa nie daje spokoju; dlatego tak wolno ustawia figury, jak gdyby musiał się zastanawiać, gdzie powinny stać gońce, a gdzie

skoczki. Kiedy otworzyłem grę pionem królewskim, zapytuje, czy żyłbym jak dotychczas, gdybym wiedział, że umrę najpóźniej za rok. Nie wiem. Słowo honoru, że nie wiem. Nie mogę sobie tego wyobra-¹zić. Dla odmiany gram gambit.

Mogę sobie wyobrazić:

(bo się o tym dowiedziałem)

Jego obudzenie się następnego ranka, świt za otwartym oknem (pada deszcz), szary, bez szczelin, jak granit; z granitu tego, jak krzyk, ale bezgłośny, nagle łeb koński z czerwoną grzywą, rżący, ale bezgłośnie, piana na pysku, ale korpus pozostaje wewnątrz, tylko łeb się wy dostał, oczy wielkie i błędne, żebrzące o zlitowanie — przez chwilę — potem terakota, artystycznie pomalowa-- | na, czarne nozdrza, białe jak kreda użębienie, wszystko tylko pomalowane, sztywna czerwona grzywa, powoli cofa się do wnętrza skały, zamykającej się bezgłośnie, bez szczelin, jak świt za oknem, szarej jak granit na Gothardzie; głęboko w dolinie odległa szosa, zakręty pełne barwnych samochodzików, które toczą się do Jerozolimy...

Pewnego razu jestem w Jerozolimie.

Jeszcze na godzinę przedtem, nim przekroczyłem podobny do rynsztoka Jordan, i potem, po przejechaniu wiraży w martwej dolinie z wielbłą- .i darni, nagle ujrzałem w słońcu poranka dalekie, żółtobursztynowe mury, unoszące się wysoko ponad pustynią, była to Jerozolima — taka, jaką sobie wyobrażałem... Teraz stoję tutaj, wysiadłem

z wozu, jestem turystą. Nie jedynym, ale samotnym. Brama Damasceńska. Kiedy zamykam wóz, przychodzi mi do głowy: Góra Oliwna, minąłem ją nie z obojętności, lecz z oczekiwania, to musiała być Góra Oliwna. Kiedy się nie jedzie, jest gorąco. Jechałem siedemnaście dni, aby stać teraz tutaj, aby raz jeszcze otworzyć wóz, napić się herbaty z termosu, raz jeszcze zamknąć wóz; i to już zostało zrobione. Brama Damasceńska: potężna, piękna, znana budowla rzymska. Po co ta cała podróż? Pytam o to siebie, ale jestem tu teraz. I to nieprawda, że jestem tutaj. Brama Damasceńska w słońcu poranka, Arabowie, ryk osła. To fakt, że tu jestem; nie ma mnie gdzie indziej. Widzę numer mego samochodu w Jerozolimie, drut kolczasty na murze, karabiny maszynowe za workami z piaskiem. Aby się przedostać poza granicę krajów arabskich, zużyłem nie mniej niż sześć świadectw chrztu, ale to na marginesie; tylko po to, aby, powiedzieć, że istotnie odbyłem tę podróż. Kilka tysięcy kilometrów. I wiem już teraz, że również po upływie wielu godzin, kiedy zwiedzę wszystko do granic wyczerpania, nie będzie to prawda. Widzę: dom Piłata, przynajmniej miejsce, na którym stał, jest piątek, dziedziniec, cień, więc chwilę tam zostaję, gałęzie obwieszane cytrynami wśród liści, widok przez arkady na meczet arabski zamiast na świątynię Salomona, kopuła jego Iłni jak bańka mydlana. Nie wiem, czy to się odbywa co piątek: widzę na dziedzińcu Piłata kłęczących mnichów, franciszkanów, wszyscy w brązowych habitach, niektórzy mają na głowie białe lub żółta-

we helmy tropikalne. Twarze z binoklami na nosie, tu i ówdzie szumi kamera filmująca ich nabożeństwo, pielgrzymi w i szortach, ludzie z północy, dla których południe to letni wypoczynek, robią znak krzyża i klękają, aż wreszcie franciszkanie podnoszą się, aby przejść świętą drogę. Idę za pomrukującą gromadą. Za' pochodem przez strefę arabską, pochodem mniejszości, urzędowo dozwolonym, policjanci arabscy pilnują, by go przepuszczono, skwar, w wąskich uliczkach jest częściowo słońce, częściowo cień, tam, gdzie świeci słońce, opary, trudno je przeniknąć wzrokiem, w ciemnościach słychać kucie miedzi, osły ryczą i tutaj. Arabowie siedzą w milczeniu przed swoimi budami, palą długie nargile, rynek, widzę mięso, rozplą? taną owcę, mięso lśni krwawo w słońcu, cuchnie, muchy je obsiadły, franciszkanie przyklękają i modlą się przy każdej stacji, turyści również, chusta Weroniki, zawsze kilku pielgrzymów robi znak krzyża wcześniej, aby się prędko podnieść i filmować pozostałych, są wśród nich również mnisi filmujący swoich braci. Przyglądam się tylko. Lękam się Golgoty. Nasi malarze, Breughel i inni, wprowadzili mnie w błąd; Golgota nie znajduje się poza murami. Jesteśmy na Golgocie. (Oczekiwałem skały lub kamienistej ziemi, bez cienia od tysiącleci, może kilka ostów, trochę trawy w gorącym wietrze pustynnym). Tutaj Chrystus upadł z krzyżem, widzę to miejsce, wetknięto tam krzyż w ziemię, do grobu schodzi się po marmurowych schodach, skąpe światło świec, Golgota jako wnętrze, architektura, którą, patrząc na

nie, trzeba wyelininować, pielgrzymi szurający nogami po marmurze, trzeba teraz zdjąć okulary słoneczne, aby coś dojrzeć. Coraz mniej prawdziwie staje się, że tutaj jestem. Marmur, kraty, marmur, świece, marmur, kadzidło, pompatyczne i stęchłe. Nie mogę przywyknąć do kadzidła, ale, jako turysta, zostaję, dopóki modlący się nie odejdą. Widzę: miejsce, na którym stał krzyż, marmur rozdarty jak odzienie, naga ściana jak mięso, dziura w skale, dziura na krzyż... Zwiedzam dalej, również Gethsemani, jest południe, za gorąco, aby coś zjeść, dookoła nic, tylko pustynia, doliny i góry z żółtego piasku, żadnej wsi, zagrody, Jerozolima jest jedynym miastem pod niebem, słońce krąży wokół Jerozolimy, idę pieszo, Gethsemani to błogo cienisty ogródek, ale nie przysiadam tutaj. Widzę: oto drzewo oliwne, pod którym Jezus się modlił, suchy karłowaty pień, srebrnoszary. Strażnik w mundurze, Arab-chrześcijanin, wskazuje mi legendarne ślady stóp w skale, zgodnie z jego oczekiwaniem daję mu monetę. Architektura i tutaj, marmur i kadzidło, i tu marmurowa powłoka rozłupana, aby widać było świętą skalę — Wszystko to pozory.

Pod wieczór, kiedy jadę w dół i na jednym z zakrętów przystaję, aby raz jeszcze, spojrzeć na Jerozolimę, na jej mury w innym teraz oświedzeniu, wiem tylko to, co już wiedziałem w chwili przybycia, i kiedy jadę dalej, jestem zdecydowany nigdy o tym nie opowiadać. Jednak później czynię to.

Pewnego razu wielka zabawa:

Nikt, nie wyłączając Burriego, nie wie, z jakiej okazji, Burri spóźnił się jak zawsze („właśnie miałem jeszcze poród”), jednak przyszedł. Rozpasana zabawa, panie w strojach wieczorowych kładą się na posadzce, dowcipnie skonstruowany kogut w koszu z rozcapierzonymi łapami, w ogrodzie tańce, jadownie zielona murawa w świetle lamp stojących, Burri w smokingu, dał się wziąć na kawał, choć jako lekarz-prorok on jeden mógłby odgadnąć powód urządzenia zabawy —

Rok minął.

Enderlin, gospodarz, kupił sobie dom z ogrodem i sztucznie oświetlonym basenem, właśnie wrzucano do niego jakąś młodą kobietę, krzyczy, bo woda jest zimna, zabawa kolosalna; tylko Burri, akuszer w smokingu, stoi i rozgląda się, jest głodny; muzyka z płyt, „Rien de rietfj non, je ne regrette rien”, Burri posila się resztkami i ciągle jeszcze nie rozumie, co to wszystko ma znaczyć, przyjaciele o szklistych oczach, z przekrzywionymi krawatami, jakaś spleciona uściskiem para na'kanapie, Enderlin na dworze w hamaku, Enderlin, który liczy sobie dokładnie 42 lata, 11 miesięcy, 17 dni; jego nieprzyjemne poczucie, że pozostał taki, jakim był —

A więc starzenie się!

Świt —

ale bez łba końskiego —

Przerażenie —

ale bez krzyku —

— Nonsens — mówi Burri — przeziębisz się.

Lekarz-prorok!
— Nonsens. — powiada Enderlin — dożyję siedemdziesiątki.

Goście poszli —
— Chodź już — mówi Burri.

Ptaki świergocą —
Burri poszedł sobie—

A więc starzenie się!

Enderlin nie pił. Już źle znosi alkohol. Pewne ograniczenie następuje bez zalecenia lekarza, można powiedzieć, dobrowolnie; nie oplaca się być następnego ranka wykończonym. Do tego już doszedł. Jeszcze czuje się względnie młody. Musi się tylko oszczędzać. Pochlebia mu, kiedy go uważają za młodszego, niż jest. Do tego już doszedł. Kiedy kocha, ofiarowuje biżuterię. Dawniej nie przyszłoby mu to do głowy. Kiedy u jubilera podnosi wzrok sponad pierścionków i pereł, ogarnia go przerażenie: biżuterię ofiarowują tylko starsi panowie. W tramwaju nikt jeszcze nie wstaje, aby mu ustąpić miejsca. I to z czasem przyjdzie. Jeszcze nie może być mowy o starości. Ogarnia go tylko zdumienie, kiedy przypadkowo widzi swoją dawną fotografię, twarz, której już nie ma. Jeszcze ciągle może iść w zawody z młodszymi od siebie. Ale doszedł już do tego, że na każdego patrzy z myślą, czy tamten jest młodszy; kiedy mówi o starzeniu się, słusznie mu zaprzeczają. Jeszcze, jeśli tak można powiedzieć, nie ma żadnych oznak zewnętrznych. A tego, że rocznik, do którego należy, nie może już żyć na rachunek oczekiwań, nikt nie zauważa, oczywiście z wyjątkiem niego. Obwisła skóra i worki pod oczami, kiedy przy goleniu

siłą rzeczy musi spoglądać w lustro, wydają się jeszcze tylko? oznakami przemijającego zmęczenia. Nie chce wpadać z tego powodu w popłoch. Tylko zęby, które czasami wypadają mu we śnie — wiadomo, co to znaczy — przerażają go, podobnie jak oczy; białka ich stają się spopielale i żółtawe. Do tego już doszedł. Włosy mu nie wypadają, ale układają się bardziej płasko, natomiast rośnie czoło; jeszcze nie można tego nazywać łysiną. Ale i to przyjdzie. Wargi robią się węższe, można powiedzieć bardziej wyraziste, ale bezbarwne. Burri ma rację, spełnienie dopiero nastąpi. Kobiety ofiarowują mu się jak nigdy przedtem. Włosy na piersi stają się srebrzyste, ale widać to, tylko w kąpielu. Dieta i odrobina sportu, uprawianego w miarę i z energią, nie dopuszczają do tworzenia się gąbczastego tłuszczu; nie wpływa to jednak na odmłodzenie mięśni. Chodzi jeszcze bez trudu, ale widać po jego cieniu, że jest człowiekiem pod pięćdziesiątkę; chód staje się oszczędniejszy, ruchy już nie przenikają całego ciała. Twarz staje się żywsza niż ciało, z roku na rok bardziej indywidualna, można by powiedzieć więcej znacząca, kiedy nie jest zmęczona, ale zmęczona bywa często. Kiedy jest zmęczony, ukrywa to w miarę sił, w razie potrzeby przy pomocy pigulek. Jeszcze nie musi kłaść się po obiedzie. Ale wszystko to przyjdzie. Jeszcze pracuje pełną parą. Owszem. Nawet daje z siebie więcej niż dawniej, ponieważ dzięki doświadczeniu łatwiej mu orientować się, co się nie może udać; pod względem zawodowym przychodzi teraz okres najlepszy. Niewątpliwie. I nadejdzie

to, czego się lęka: będą go traktowali z respektem. Z respektem dla jego wieku. Będą mu pozwalali mówić, ponieważ jest starszy, nie pomoże tu żadne koleżeństwo, żaden flirt z młodymi. Oni będą się stawiali coraz młodszy. Będą go słuchali przez grzeczność i coraz rzadziej mówili, co myślą. Wszystko to przyjdzie. Będzie o nich zabiegał, wzdragając się równocześnie, kiedy mu ktoś zechce pomóc przy wkładaniu płaszcza, i będzie przystawał na ich brak doświadczenia i przesadne oczekiwania. Będą go uważali za wzruszającego, ale nieco uciążliwego, a on nie będzie tego zauważał. Będzie podziwiał innych, aby nie uchodzić za zawistnego, ale będzie zazdrosny o wszystko, co sam już miał, zazdrosny, ponieważ to mu się, już nie będzie wydawało warte zachodu. Wszystko' to przyjdzie. Przyzwyczajony do naturalnego przyrostu wypadków śmiertelnych w jego roczniku, przywykły do honorów okazywanych jego przeszłości, jako sześćdziesięcioletni pan, którego zaczyna się zapewniać o jego świeżości umysłowej, i to coraz szczerzej, nie będzie się użalał na swój wiek, przeciwnie, zrobi z niego coś dostojnego, będzie dotknięty, że dostojność to nie wydaje się wcale śmieszne, lecz wręcz stosowne. To wszystko jest nie do powstrzymania. Może dzięki środkom współczesnej medycyny dożyje siedemdziesiątki. Jeszcze nie doszedł do tego, żeby trzeba się nim było opiekować na każdym kroku. Oczywiście potrzebna mu jest pomoc. Oczywiście musi się oszczędzać. Po co? Jego pamięć, choć już nie wystarczająca dla nauczenia się języka obcego, będzie podziwia-

na. Będzie sobie przypominał najodleglejsze sprawy, które go kiedyś zajmowały. Młodszy (czterdziestoletni) będą prowadzili ze sobą spory, podczas gdy on będzie siedział jak w rezerwacie. Jego poglądy będą już nie do zmienienia. Co dzień będzie odbywał spacer, może o lasce, w każdym razie w kapeluszu, co dzień będzie czytał gazetę, aby nie odbywać spacerów po przeszłości. Teraźniejszość? Wie, jak do niej doszło. Czasami będzie opowiadał o osobistych spotkaniach z ludźmi, którzy do tej teraźniejszości doprowadzili, o swojej epoce, która stała się historią, za każdym razem to samo... Dlaczego się nie powiesił?

Camilla Huber, zapytana, co by zrobiła, a czego by zaniechała, gdyby jej pozostał tylko rok życia, wie od razu:

— nie pracowałabym już —

Oczywiście Gantenbein nie pyta, co rozumie przez pracę, udaje, że chodzi o manicure.

— Tak — pytam — a co zamiast tego?

Wprawdzie Camilla nie odpowiada, co by robiła, ale można to odgadnąć poprzez jej utlenione włosy¹, kiedy wkrótce potem telefonuje jakiś klient:

— Żałuję! — powiada — ale nakreślił pan zły numer. — A kiedy po minucie dzwonek znowu się rozlega: — Mówiłam, że jest pan mylnie połączony. Ale manicure robi dalej *

Po raz pierwszy Camilla nie potrzebuje historii; zdaje się, że sama ją sobie wymyśla, nic nie mówiąc — ostami jej rok na ziemi, zapewne historia

z przemianą, historia, którą w myśli rozwiązuje, pocieszająca.

Porzuciłem Enderlina.

(Są inni, których nie mogę porzucić, nawet jeżeli ich spotykam rzadko albo wcale już nie spotykam. Nie chcę powiedzieć, że mnie w wyobraźni prześladowają, to ja ich prześladowuję, jestem nadal ciekawy, jak by się ci ludzie w tej lub innej sytuacji zachowali, zarazem niepewny, jak się naprawdę zachowują. Ich prawdziwe zachowanie może rozczarować, ale to nic; pozostaje im przestrzeń mego oczekiwania. Z takich ludzi nie mogę zrezygnować. Potrzebuję ich, nawet jeżeli mnie źle potraktowali. Mogą to zresztą być umarli. Skuwają mnie na całe życie przez moje wyobrażenie sobie, że postawieni w mojej sytuacji inaczej by odczuwali, inaczej postępowali, inaczej by z tego wyszli niż ja, który siebie samego nie może porzucić. Ale Enderlina mogę porzucić).

Historia dla Camilli:
(pocieszająca)

Jak już mówi samo imię, Ali był Arabem, młodym pasterzem owiec nad górnym Eufratem; przyszedł czas, kiedy postanowił sobie wziąć kobietę. Ale był biedny. Przywoita dziewczyna kosztowała w tych stronach 15 funtów, to dużo pieniędzy dla pasterza owiec. Ali miał tylko 10 funtów. Kiedy doszło do jego uszu, że na południu żony są tańsze,

nie ociąga! się długo, wziął osła, nappełnił bukłaki wodą i długie tygodnie wędrował na grzbiecie osła na południe. Nadeszła po prostu pora, w której musiał wziąć sobie kobietę, był zdrow i młody. Jechał więc pełen nadziei, z 10 funtami w kieszeni, wzdłuż Eufratu, jak już mówiliśmy, długie tygodnie, żywiąc się daktylami. Kiedy przybył wreszcie do swej ziemi obiecanej, nie brakowało tam córek, które mu się podobały, ani ojców, którzy chcieli je sprzedać. Ale i na południu cena młódek tymczasem poszła w górę, nie można było ożenić się za 10 funtów nawet z brzydactwem, kurs dnia wynosił 12 funtów, 11 funtów było niepowtarzalną okazją. Ali targował się całymi dniami, ale bez powodzenia, 10 funtów nie było ofertą, lecz obrazą. Kiedy Ali się zorientował, że nic nie wskóra, wsiadł znów na osła, nappełnił bukłaki i ruszył na północ, śmiertelnie smutny, z 10 funtami w kieszeni. Nie tknął tej sumy, jakby ciągle jeszcze wierzył w cud. I oczywiście cud się zdarzył. Ali zaś zasłużył nań, gdy go napotkał. W połowie drogi między południem i północą, przy studni, gdzie poił swego smutnego osła i samego siebie, ujrzał dziewczynę, jakiej nigdy dotąd nie zdarzyło mu się widzieć, piękniejszą od wszystkich, których za swoje 10 funtów nie mógł zdobyć; dziewczyna była ślepa. Szkoda. Była jednak nie tylko piękniejsza od innych, ale i miłsza, gdyż będąc ślepą nigdy nie przeglądała się w studni i nie wiedziała, jak jest urodziwa. Kiedy Ali opowiedział jej, jak jest piękna — wszystkimi słowami dostępnymi arabskiemu pasterzowi owiec, zakochała się w nim z miejsca

i zaczęła prosić ojca, aby ją Alemu sprzedał. Była tania, ze względu na ślepotę ojciec chciał się jej pozbyć za cenę przerażająco niską: 6 funtów. Nikt bowiem nad całym Eufratem nie chciał mieć niewidomej żony. Ali zabrał ją, wsadził na osła, którego napoił, i nazwał ją Alil; sam szedł pieszo. We wsiach, w których Ali zjawiał się ze swą Alil, nie wierzono własnym oczom; nikt nigdy nie widział piękniejszej dziewczyny ani nawet o takiej nie śnił; niestety była ślepa. Ali miał jeszcze w kieszeni 4 funty, więc po powrocie do domu udał się do znachora-cudotwórcy i powiedział: masz tu 4 funty, zrób, aby Alil zobaczyła swego Alego. Cudotwórcy udało się to osiągnąć; kiedy Alil zobaczyła, że jej Ali w porównaniu z innymi pasterzami wcale nie jest piękny, nie przestała go kochać, gdyż dzięki swej miłości ofiarował jej wszystkie barwy świata. Była szczęśliwa, Ali i Alil byli najszczęśliwszą parą na skraju pustym...

Camilla jest rozzarowana.

— No tak — mówi nie podnosząc wzroku i nie przerywając manicure — ale to przecież bajka.

Camilla nie chce dalej słuchać.

— Niech pani zaczeka! — mówię. — Niech pani zaczeka!

Camilla opiłowuje mi paznokcie.

...Sielanka trwała rok, potem się skończyła; wskutek obcowania z Alil Ali zaraził się, zaczął powoli, ale nieuchronnie ślepnąć; przyszedł nie-dobry czas, ledwie bowiem Ali oślepl, przestał wierzyć, że go Alil kocha, i ilekroć wychodziła

z namiotu, ogarniała go zazdrość. Nie pomagały żadne jej przysięgi. Alil może naprawdę chodziła do innych pasterzy, nie wiadomo. Ali nic nie widział, a ponieważ takiej niepewności nie mógł wytrzymać, zaczął ją bić. To było źle. Poza tym nie tykał już swojej Alil. Trwało to przez długi czas, wreszcie Ali zemścił się, biorąc w objęcia inną dziewczynę, która coraz częściej wkradała się do jego namiotu. Ale i to go nie uzdrowiło, przeciwnie, czuł się coraz gorzej. Kiedy wiedział, że w namiocie leży jego Alil, bił ją, a ona płakała tak głośno, że słycać ją było daleko od namiotu. Ali i Alil stali się najniezwyklejszą parą na skraju pustyni. Było to powszechnie wiadome. Kiedy znachor-cudotwórca usłyszał o tym, zdjęła go litość i przybył, aby wyleczyć Alego, choć ten nie mógł już zapłacić mu ani funta. Ali odzyskał wzrok, ale nie powiedział o tym Alil, pragnął ją bowiem szpiegować i uczynił to, I cóż ujrzał? Ujrzał Alil płaczącą, ponieważ zbił ją w namiocie, i ujrzał, jak myje sobie twarz, aby wśliznąć się do namiotu jako inna dziewczyna i aby ślepy Ali wziął ją w ramiona —

— Nie — mówi Camilla — naprawdę?

Manicure skończony.

— Naprawdę? — powtarza zbierając nożyczki i pilniki — to prawdziwa historia?

— Tak, moim zdaniem prawdziwa.

Zabawa z okularami dla niewidomych, z czarną laseczką, wymacującą krawężnik, z opaską, która,

ilekroć Gantenbein wychodzi, znajduje się akurat na rękawie innego ubrania, wskutek czego musi wracać, jest również i moim zdaniem nudna; zrozumiałbym, gdyby Gantenbein nagle zrezygnował ze swej roli, pytam zwłaszcza siebie samego, jak by Lila zareagowała, gdyby Gantenbein wyznał jej pewnego wieczora, że widzi.

Pokusa staje się coraz większa.

Po co to udawanie?

Siedzę przy kominku, północ, trzymam w ręku szklankę, lód podzwania, kiedy nią poruszam. Może już za wiele wypilem. Nasi goście poszli sobie wreszcie; odgrywanie Gantenbeina, niemówienie ludziom, co się widzi, było znowu uciążliwe. Przed chwilą włożyłem do kominka polano, tymczasem Lila czyta gazetę, patrzę, jak polano zaczyna powoli dymić w kominku, na warstwie popiołu z dzisiejszego wieczora. Nagle wyskakuje pierwszy płomień, mały, przełomy, sinawy kaprys, gubi się, ale po krótkiej zadymionej chwili zjawia się znowu, teraz już płonie jasno, trzaska. Poza tym nic się nie dzieje. Lila znowu, jak zazwyczaj z powodzeniem, opowiadała naszym gościom anegdotę ó ślepy Gantenbeinie w jej garderobie. Jak mówiłem, goście poszli sobie; chyba i my pójdziemy wkrótce spać. Ze szklanką w ręku, lód pobrażkuje cichutko i radośnie, widzę nasze szczęście. Czy Lila naprawdę jeszcze wierzy w moją ślepotę? Widzę jej nogi, założyła lewą na prawą, jej kolano, potem opiętą spódnice, widzę jej ręce, w których trzyma rozłożoną gazetę z olbrzymim tytułem: morderstwo.

— Słuchaj no—mówi — czytałeś to?

Stawiając takie pytanie, nic sobie przy tym nie myśli. Czyni to często, wcale nie zamierzając wystawiać Gantenbeina na próbę.

■ — Tak — mówię — czytałem.

Pauza.

— Nie — powiada — to nie do wiary! —■ Ma na myśli morderstwo. — Coś okropnego!

Piję, dopóki jeszcze jest lód w szklance, nie odstawiając jej, czekam z napięciem, czy Lila nagle nie pojmie, co przed chwilą powiedziałem. Czekam daremnie, a ponieważ nic nie następuje, powtarzam:

— Tak, czytałem.

Po prostu tego nie słyszy.

— Słuchaj no — pyta — jest jeszcze whisky? Jest.

— Dziękuję — mówi po chwili — dziękuję. Milczenie.

— Lilu, powiedziałem ci coś.

— Wybacz! — Odłożyła wreszcie gazetę, ale na twarzy jej nie ma ani odrobiny zdziwienia, widzę to, sięga tylko po whisky, by posłuchać i zapytać: — Coś ty powiedział?

Ociągam się.

— Powiedziałem — uśmiecham się, raz jeszcze wolno podnoszę szklankę do ust, lód się roztopił w ciepłąwą lurę, odehciewa mi się uśmiechu — powiedziałem ci, że czytałem.

— I nie uważasz również, że to potworne?

Ciągle ma na myśli morderstwo.

— Tak —

Widzę, że wystarczy, aby Gantenbein milczał teraz, palił, a wszystko zostanie po staremu. Ale może chwyci go szal — mógłbym to sobie wyobrazić — szal, który się dobrze nie skończy, wiem o tym i trzymam obiema rękami pustą szklankę, aby Gantenbein nie grzmotnął nią o ścianę. Co mu po tym! Widzę płonące w kominku polano, widzę, jak Lila, wypiwszy whisky, znowu zagłębia się w opis morderstwa.

Tak tylko sobie wyobrażam:

Na pozór nie znajdując odpowiednich słów, na pozór opanowany, po grzmotnięciu o ścianę pustą szklanką, błądy z podniecenia, nie wiedząc, czego właściwie chce, wie tylko, że lepiej byłoby milczeć, ale skorupy są skorupami, tego się już nie da zmienić, nawet jeżeli będzie milczał, Gantenbein znajduje się w stanie, który biedną Lilę naprawdę przeraża; bez okularów (jak zwykle tylko przy uścisku i przy pływaniu), drży ze skruchy, że teraz (właściwie, dlaczego?) porzuca swą tajemnicę, trzymając okulary w rękę, chodząc po pokoju powiada, że nie jest ślepy, o nie, nie jest ślepy, śmieje się nie patrząc na Lilę, jest ślepy z wściekłości, wrzeszczy do ochrypnięcia, wylicza, co rok za rokiem, dzień za dniem widział, tak, widział, czy Lila wierzy w to, czy nie, o nie, nie jest ślepy, krzyczy tak głośno, że go słyszą wszyscy sąsiedzi, pieniać się z furii, że Lila wobec jego wyznania nie zapada się pod ziemię, lecz jedynie zmiata skorupy, podczas gdy Gantenbein, by dowieść, że nie jest ślepy, przewraca kopnięciem fotele, nie mówiąc ani słowa. Potem powtarza raz jeszcze, że

widział wszystko, wszystko, milczenie jej nie uspokaja go, wali w stół, który oglądał dzień w dzień, zachowuje się tak, jakby w ciągu tych lat nie ort udawał, lecz Lila, chwytą ją za ramiona, potrząsa nią, dopóki Lila nie wybuchnie płaczem; postradał zmysły, tak, sam to widzi, że postradał zmysły, fotele wywrócone na podłodze, tak, widzi je i nic nie pomoże, że Gantenbein sam je znowu ustawia, co się rzekło, to się rzekło, Lila łka, jakby ją oszukał, jej naszyjnik z pereł także pękł, o nie, nie jest ślepy, powiada, chce się uspokoić papierosem, ale nie trwa to długo, ledwo wypalił połowę, potem znowu go ponosi, prawda, że tylko w słowach, z obłędem w oczach, jak koń, który się pośliznął i jest samym sobą
przeżony —

I co dalej?

Podczas gdy dla Liii, kiedy się uspokoił i przeprosił ją za rozerwanie naszyjnika z pereł, nic się właściwie nie zmieniło — bo dla niej nie stał się wskutek swego wyznania ani bardziej, ani mniej ślepy, niż był — dla Gantenbeina, nie udającego już ślepca, istotnie zaczyna się inne życie...

Wyobrażam sobie:

Kiedyś (wkrótce potem) Lila wraca do domu jakaś dziwna. Nie zdarza się to po raz pierwszy, ale po raz pierwszy wie, że widzę to już na peronie. Wołam taksówkę, Lila mówi: — Pozdrowienia od Henry'ego! — Dziękuję. Poza tym nic nowego? Od kilku dni była paskudna pogoda, pracowałam. Pytam: — Co ci się wydarzyło? — To nie obchodzi taksówkarza. O tym później! A więc przedwczoraj była u Henry'ego i jego żony, która również kazała mi

się kłaniać. Lila opowiada więcej niż kiedykolwiek po podróży. Nigdy nie oglądałem rosyjskiego baletu, wierzę jednak od razu, że jest wspaniała. Go dalej? Snuję tylko domysły, obawiam się, że Lila znowu zgodziła się wystąpić w niemieckim filmie. — Poj wiedzze, czy tak? — Jestem pełen napięcia. Dlaczego jej nie całuję? Bo palę. Ojciec czuje się lepiej, dziękuję, a co do pogody, to trudno po prostu uwierzyć, jak różna potrafi być pogoda w różnych krajach. Na przykład w Hamburgu świeciło słońce, tak, właśnie w Hamburgu. — A tu — mówię — pada od trzech dni. — Dowiaduję się mimochodem, że Lila spotkała swego pierwszego męża. Jak to się stało? Był nudny, mówi szczerze. Dlaczego tak szczerze? A więc Svoboda był nudny. Kto by się tego spodziewał! Po raz pierwszy, odkąd słyszę o Svobodzie, dowiaduję się, że był nudny. Co poza tym? Svóboda kazał mi się kłaniać; cały świat każe mi się kłaniać. Muszę jej teraz także coś wyznać: wypadek z powodu gołoledzi! Po prostu zakręciło mną młynka. Gołoledź! Teraz pada, ale przedwczoraj była gołoledź, nasz taksówkarz może to potwierdzić. W domu pomagam jej zdjąć płaszcz, umieszczam go na wieszaku i pytam: — A więc, Liluś, co się stało? — Przynoszę dwie szklanki, Lila jest rada, że tylko wóz doznał szwanku, ja nie. Powtarzam raz jeszcze: jechałem z szybkością 50, najwyżej 60, ale na gołoledź nie ma rady. A więc, na zdrowie! Myśli Liii ciągle krążą dokoła jej pierwszego męża, który znowu każe mi się kłaniać. Jak pierwszy mąż może stać się taki nudny.

•Idę po lód. Pytanie, dlaczego Lila spóźniła się na samolot, pozostaje bez odpowiedzi, bo właśnie, jak mówiłem, poszedłem po lód, podczas gdy Lila zastanawia się nad tym, kto jeszcze kazał mi się kłaniać. Zdaje się, że jest jeszcze paru takich. Jedyne, który tego nie zrobił, jest bez nazwiska, nie znam go przecież, dlatego nie kazał mi się kłaniać. Rozumiem. Jak słyszę, stało się to po balecie rosyjskim. Grupa studentów. Żle ją zrozumiałem. Oczywiście nie cała grupa wyraziła chęć poślubienia Liii, lecz jeden z nich. Jak on to sobie wyobraża? Słyszę, że i Lila uważa to za obłąd, ale liczy na moje zrozumienie. Jak można rozumieć coś, czego się nie zna? Domagam się szczegółów, staję się małosłowny, jakim Gantenbein nie był — jest to dla Liii bolesne rozczarowanie. Milczy, by je zademonstrować. Czy mamy się stać parą jak wszystkie inne? A więc było to w poniedziałek, może w niedzielę, nie, zresztą to wszystko jedno, w każdym razie po przedstawieniu, które spotkało się z wielkim aplauzem. Co? Lila mówi przecież: grupa studentów, ale również i tancerzy. Próbuję wyobrazić to sobie: i ja byłem kiedyś studentem, ale nie tak odważnym jak ten, którego Lila nazywa lakonicznie obrzydliwcem. Przeczuję cechy genialności, kiedy słucham Liii, opowiadającej z wyraźną niechęcią, napelniam szklankę. Rozumiem, o tak, i uważam, że może to zrobić, kiedy student, liczący sobie dwadzieścia jeden lat czy coś koło tego, kobiecie, której pomaga przy włożeniu płaszcza, z którą nie miał okazji rozmawiać, oświadcza bez ceregieli, że chciałby

polecieć z nią do Urugwaju, aby z nią tam zamieszkać, i że kobieta ta, w tym wypadku Lila, jest bądź co bądź tą deklaracją zmieszana. Dlaczego wszystko źle rozumiem? A więc nie student, lecz tancerz, nie, to również nie; po prostu obrzydliwiec. Nazwisko tego obrzydliwca naprawdę nie gra roli. A więc odprowadził ją do domu, to znaczy do hotelu. Co dalej? Znowu źle ją zrozumiałem. Nic dalej! Zadowolam się więc studentem albo tancerzem, który jest przypuszczalnie geniuszem, ponieważ wszystko, co ma wyrobioną markę, uważa za stare rupiecie, a więc również i balet[^] rosyjski, a który chce poślubić Lilę, i to natychmiast. Przeznaczenie! Pytam tylko, czy on wie, że Lila jest zamężna. Dlaczego jestem niemożliwy? Przecież nie pytam, czy on ma pieniądze; piję i milczę; wszystko, co mi przychodzi do głowy, jest banalne. Gdzie jest miłość, tam jest również i samolot do Urugwaju. A więc Lila uspokaja mnie, choć jestem spokojniejszy od niej: to nie tancerz, nie, i nie student, nie, Lila nawet nie wie, co on robi. I to właśnie jest w nim wspaniałe. Nie chodzi także o małżeństwo w sensie mieszczańskim, rozumiem, lecz o coś innego, ale Lila nie chce tego nazwać, więc ją wyřęczam i mówię: o coś absolutnego. Lila przyznaje, że to właśnie miała na myśli. Wyobrazenie, że teraz mógłbym wymierzyć jej policzek, oczywiście pierwszy, zaskakuje mnie. Kiedy wreszcie informuję się rzeczowo, jak sobie Lila, tak czuła na zmiany atmosferyczne, wyobraża klimat w Urugwaju, wychodzi na jaw, że tamten wcale nie mówił ó Urugwaju, lecz o Paragwaju. Lila po prostu się

przejęczyła. Zbiłem ją zupełnie z tropu. W ogóle robię tamtemu krzywdę; tego, że się z nią chce ożenić, wcale nie powiedział pierwszego wieczora, przekręcam wszystko, lecz na lotnisku tuż przed jej odlotem. Jestem zawstydzony. Zamiast wyznania, które by otworzyło śluzę mego męskiego współczucia dla samego siebie, słyszę tylko o jakimś przeżyciu, które w ogóle nie daje się ująć słowami. A więc dajmy spokój słowom! Lila jest po prostu zaskoczona. Widzę to. Niewątpliwie nie jest nim zachwycona, poza tym jest piękny, niemożliwy, ale piękny, obrzydliwiec, przecież, u licha, sama to twierdzi, a to, jak mówi, co mówi, wszystko budzi w niej odrazę, jego arogancja ma być wręcz dziecinna, Lila uważa, że jest natrętny, ale kiedy na nią spoglądał, nie mogła zapanować nad sobą. Świnka morska i wąż! Lila tego nie mówi, ale ja rozumiem. Nie znam Paragwaju, ale rozumiem, że on ze swej strony nie potrafi pojąć, dlaczego taka kobieta jak Lila wraca do Gantenbeina. Może puścimy jakąś płytę? Nie, to nie. Gdybyśmy chociaż byli głodni! Nie uważam mego pytania, co będzie dalej, za tak podchwytliwe, żeby Lila aż musiała na mnie krzyczeć. Nic, u diabła, nie będzie, w ogóle nic ! I nic nie było. Cóż Lila winna temu, że spotkała szaleńca? To jej słowa. Nakładam płytę, przytykam igłę, nie dygocę, nic się przecież nie stało, Lila uważa, że jestem niemożliwy, przecież mówiła, że nie może go znieść, tak, nie może. Niestety, nie mogła tego powiedzieć jemu, więc mówi mnie. To właśnie było przeżyciem: jak można uważać, że obrzydliwiec jest tak piękny? Płyta kręci się,

ale my jej nie słyszymy. Słyszę: kiedy ten łotr patrzył w jej oczy, mógł mówić, co chciał. Powtarza : ten łotr. Nie odczuwam potrzeby przejęcia od niej tego określenia, nie do twarzy mi z nim; poza tym nie wiem, czy jest łotrem. To się jeszcze pokaże. Może w tych dniach zjawi się tutaj, pytam, zapalając wreszcie fajkę. Lila uważa, że jestem niesmaczny. Dlaczego miałby się tu zjawić? Myślę sobie: aby zabrać Lilę. Lila uważa, że zarty tu nie są na miejscu. Słyszymy teraz Koncert Brandenburski, mam wrażenie, że piąty, chciałbym wiedzieć: jak się dziś w południe pożegnali, nie chodzi mi o to, czy się na peronie w słonecznym Hamburgu pocałowali; chodzi mi o to, co sobie powiedzieli. Lila nie odpowiada na moje pytanie, powtarza tylko: szalenie! Chciałbym wiedzieć jedno: czy Lila dała mu w jakiś sposób do zrozumienia, że istnieje Gantenbein. Lila woli słuchać Brahmsa. Oczywiście tamten mógł się domyślić, że Lila nie żyje bez mężczyzny. Szukam płyty z Brahmem. Lila ma rację, moje pytanie było głupie. Dlaczego miałyby jakiemś nieznanemu, tylko dlatego, że chce ją poślubić, zwierzać się ze spraw intymnych? Lila ma rację, co tego łotra obchodzi, że Lila i Gantenbein, jak mi wiadomo, są szczęśliwi? Nakładam płytę, Lila ma rację, przytykam igłę do kręcącej się płyty... No, więc tak.

Depesza następnego ranka nie wywołuje we mnie zdziwienia. Nic nie przeczuwający urząd pocztowy nadaje ją przez telefon. Zapisuję:
PRZYBYWAM JUTRO EINHORN.

Dziękuję urzędowi pocztowemu za depeszę, Lila śpi, jeżeli jeszcze dziś chce polecieć do Urugwaju, to najwyższy czas, żeby pakowała rzeczy, to znaczy, że powinienem ją obudzić. A może powinienem zaczekać, aż poczuję się bardziej odprężony; może nigdy nie będę już tak odprężony, jak teraz. Zostaję jeszcze chwilę przy śniadaniu, potem ubieram się, nie zapominając o krawacie. Depesza mogła być nadana wczoraj, kiedyśmy słuchali Brahmsa, a to oznaczałoby, że jutro to dzisiaj. Lila uważa, że zwariowałem, całkowicie zwariowałem: jest oburzona, jakbym to ja nadał tę depeszę. To nie wchodzi w rachubę, powiada, ale łatwo mówić. Przynoszę jej szlafrok. A może Lila oczekuje, że stanę przed Einhornem i powiem, że ona nie życzy sobie z nim mówić? Lila istotnie oczekuje tego. Czy to Einhorna nie rozśmieszy? Lila ma za złe, że nie mówię lotr, lecz Einhorn. Mowy nie ma o tym, powiada, żeby cokolwiek między sobą ułożyli. Lila jest bardziej zdziwiona niż ja, że wyciągnął wnioski z jej spojrzeń, oświadcza mi krótko i dobitnie to, czego nie zdążyła powiedzieć Einhornowi: że nie odczuwa najmniejszej chęci zobaczenia się z nim. Jeżeli jednak jest już w drodze? Lila zachodzi w głowę, skąd on w ogóle zna jej adres. Nasz adres. Oczywiście pytam siebie w duchu, jak się zachowam wobec tego Einhorna; teraz ja jestem szaleńcem, ponieważ Lila miała tylko przeżycie wzrokowe, które on bierze serio. Ciągle jeszcze trzymam jej szlafrok. Ale przecież Lila nie chciałaby, żeby się tu zjawił, nie ma o tym mowy! Nie rozumiem, dlaczego mnie teraz stro-

I fuje. Chce w tej chwili wysłać depezę. —Masz
| jego adres? — pytam rzeczowo, podczas gdy Lila
1 grzebie w torebce. Ma. Dzięki Bogu. Pierwsza
jej myśl: WYJECHAŁAM. Skoro już jestem
pytany, czy tak będzie dobrze, muszę wyznać,
że gdybym był Einhornem, nie przekonałoby mnie
to. Nie mam nic przeciw kłamstwom! Ale jestem
zdmiony, zaskoczony tym, że sądząc z pozorów
między Lilą i Einhornem istnieje już jakaś więź
zmuszająca ich do kłamstwa. Wersja druga: NIE-
f STETY WIZYTA NIEMOŻLIWA- I z tego
C także nie wynika, czy Einhorn i Lila są ze sobą
na ty; skoro już jestem pytany, odpowiadam,
że wizyty jego nie uważam za niemożliwą, prze-
(ciwnie, zdaniem moim jest ona logiczną konsekwen-
cją. Ale przecież Lila nie chce go widzieć! Tego
, chyba nie odgadnie, mówię, kiedy przeczyta:
NIESTETY WIZYTA NIEMOŻLIWA. Dla-
czego niestety? Wyczyta z tego, że Lila ma mało-
dusznego męża. A więc: WIZYTA NIEMOŻLI-
WA. Lila naprawdę nie chce go widzieć, to już
ustalone, natomiast ja chciałbym go zobaczyć:
Wersja trzecia: JESTEM ZAMEŻŃNA. To go
nie zaskoczy. Dlaczego Liii tak utrudniam? Może
byłoby dobrze, żeby tych dwoje raz wzięło się
w objęcia, zanim wyruszą do swojego Urugwaju
czy Paragwaju. Nie powiedziałem tego, o nie,
wstydzę się, że tak pomyślałem. Jeżeli Lila wreszcie
nie włoży szlafroka, myślę sobie, przeziębę się.
| A więc: PROSZE NIE, PROSZE. To wyraźne,
j Czy jestem teraz zadowolony? Jakby o to cho-
| dziło! To on będzie zadowolony. Cóż za okrzyk!

Dziękuję urzędowi pocztowemu za depeszę, Lila śpi, jeżeli jeszcze dziś chce polecieć do Urugwaju, to najwyższy czas, żeby pakowała rzeczy, to znaczy, że powinienem ją obudzić. A może powinienem poczekać, aż poczuję się bardziej odprężony; może nigdy nie będę już tak odprężony, jak teraz. Zostaję jeszcze chwilę przy śniadaniu, potem ubieram się, nie zapominając o kravacie. Depesza mogła być nadana wczoraj, kiedyśmy słuchali Brahmsa, a to oznaczałoby, że jutro to dzisiaj. Lila uważa, że zwariowałem, całkowicie zwariowałem: jest oburzona, jakbym to ja nadał tę depeszę. To nie wchodzi w rachubę, powiada, ale łatwo mówić. Przynoszę jej szlafrok. A może Lila oczekuje, że stanę przed Einhornem i powiem, że ona nie życzy sobie z nim mówić? Lila istotnie oczekuje tego. Czy to Einhorna nie rozśmieszy? Lila ma za złe, że nie mówię łotr, lecz Einhorn. Mowy nie ma o tym, powiada, żeby cokolwiek między sobą ułożyli. Lila jest bardziej zdziwiona niż ja, że wyciągnął wnioski z jej spojrzeń, oświadcza mi krótko i dobitnie to, czego nie zdążyła powiedzieć Einhornowi: że nie odczuwa najmniejszej chęci zobaczenia się z nim. Jeżeli jednak jest już w drodze? Lila zachodzi w głowę, skąd on w ogóle zna jej adres. Nasz adres. Oczywiście pytam siebie w duchu, jak się zachowam wobec tego Einhorna; teraz ja jestem szaleńcem, ponieważ Lila miała , tylko przeżycie wzrokowe, które on bierze serio. Ciągle jeszcze trzymam jej szlafrok. Ale przecież Lila nie chciałaby, żeby się tu zjawił, nie ma o tym mowy! Nie rozumiem, dlaczego mnie teraz stro-

fuje. Chce w tej chwili wysłać depesę. — Masz i jego adres? — pytam rzeczowo, podczas gdy Lila i grzebie w torebce. Ma. Dzięki Bogu. Pierwsza jej myśl: WYJECHAŁAM. Skoro już jestem pytany, czy tak będzie dobrze, muszę wyznać, I że gdybym był Einhomem, nie przekonałoby mnie to. Nie mam nic przeciw kłamstwom! Ale jestem i zdumiony, zaskoczony tym, że sądząc z pozorów między Lilą i Einhomem istnieje już jakaś więź i. zmuszająca ich do kłamstwa. Wersja druga: NIESTETY WIZYTA NIEMOŻLIWA. I z tego także nie wynika, czy Einhorn i Lila są ze sobą - na ty; skoro już jestem pytany, odpowiadam, że wizyty jego nie uważam za niemożliwą, przeciwnie, zdaniem moim jest ona logiczną konsekwencją. Ale przecież Lila nie chce go widzieć! Tego P', chyba nie odgadnie, mówię, kiedy przeczyta: NIESTETY WIZYTA NIEMOŻLIWA. Dlaczego niestety? Wyczyta z tego, że Lila ma mało-dusznego męża. A więc: WIZYTA NIEMOŻLIWA. Lila naprawdę nie chce go widzieć, to już ustalone, natomiast ja chciałbym go zobaczyć: Wersja trzecia: JESTEM ZAMĘŻNA. To go nie zaskoczy. Dlaczego Liii tak utrudniam? Może byłoby dobrze, żeby tych dwoje raz wzięło się w objęcia, zanim wyruszą do swojego Urugwaju I czy Paragwaju. Nie powiedziałem tego, o nie, ! wstydzę się, że tak pomyślałem. Jeżeli Lila wreszcie ! nie włoży szlafroka, myślę sobie, przeziębę się. [A więc: PROSZĘ NIE, PROSZĘ. To wyraźne. | Czy jestem teraz zadowolony? Jakby o to cho- | dziło! To on będzie zadowolony. Cóż za okrzyk!

Aprobuję, o tak, ani słowa przeciw patosowi, jeżeli płynie z uczucia. Taką depezę nie każdy dwudziestolatek może wetknąć za lustro. Skoro już jestem pytany, myślę o donnie Proezie, którą Lila kiedyś grała, przede wszystkim jednak o tym, jak się mam zachować, na wypadek gdyby mimo wszystko Einhorn się zjawił. W ogóle on się wcale nie nazywa Einhorn! Lila uważa, że robię jej scenę. A przecież chciałbym tylko wiedzieć, na co mam być przygotowany. Może i ja będę się nad znalezieniem właściwych słów. Przecież nie wiem, co się dzieje. Widzę tylko zmieszanie dojrzałej kobiety. Snuję przypuszczenia. Błahostka czy los? Wydaje mi się, że muszę być przygotowany na wszystko, i dlatego jestem w napięciu, kiedy Lila podnosi się i bez słowa (zła na mnie!) idzie do telefonu, żeby nadać depezę. Która Kr będzie wersja? Ale Lila zamyka drzwi; nic nie słyszę, stoję, palę...

Taki przebieg ma scena.

Odkąd Gantenbein nie gra już roli ślepego, jest niemożliwy. Martwi mnie to... W czwartek wieczorem rozmawiają rozsądnie i szczerze, jak o sprawie przestarzałej, o której właściwie mówić nie warto, nawet z humorem, który nie rani. Piją przy tym wino, nie za wiele, ale ze specjalnie przechowywanej butelki, nie puszczają żadnej płyty, nagle zaczynają mówić otwarcie również o przeszłości, to, czego jeszcze nigdy nie wypowiedzieli. Gantenbein i Lila są sobie tak bliscy, jak nie byli od dawna.

Na razie więc wszystko cudownie.

.astępnego ranka, w piątek, depesza, którą w moich oczach, widzę, natychmiast drze na strzępy. Odbywa się to podczas śniadania. Strzępy wkłada do kieszeni szlafroka. — Chcesz jeszcze grzanek? — pyta. Mówię o wydarzeniach światowych, nagle Lila podnosi się, aby sobie przynieść chustkę do nosa; potrzebna jej chustka, chce ją wetknąć w kieszeń, aby strzępy depeszy nie wyleciały. Wypytyuję ją o próby. Później strzępy depeszy nie wędrują do kosza na papiery, lecz znikają w muszli, wraz z obfitym strumieniem wody. Muszę iść, tak, stoję już w płaszczu, nagle Lila prosi mnie, abyśmy gdzieś wyjechali, i to dziś. Orientuję się: a więc przyjeżdża! W przyszłym tygodniu Lila ma tylko jedną próbę, którą odwoła; nie chce widzieć tego szaleńca. Wyjechać? Pytam, dlaczego nie chce jechać sama. Boi się może, że pierwszego lepszego mężczyznę, który zadzwoni do naszych drzwi, pobije? Nie mam takiego zamiaru, ale człowiek nigdy siebie nie zna. Widząc, jak Lila drży, potrafiłbym wprawdzie wyperswadować jej tę nagłą podróż, która mi nie odpowiada, i doprowadzić ją do płaczu, ale wydaje mi się, że właśnie w tych dniach nie powinienem odmówić jej prośbie, którą przeciwstawia memu rozsądkowi. A więc jedziemy! Wprawdzie pada deszcz, ale gdzieś na świecie musi świecić słońce, na Elbie albo w Engadinie, albo na Majorce... Wyobrażam sobie:

Gantenbain i Lila na bezludnej niemal plaży, słońce, ale wietrzeń, Lila ma na sobie nie, jak zwykle, bikini, lecz model, którego Gantenbain

jeszcze nigdy nie widział, a który robi wrażenie nie tylko na Gantenbeinie, lecz i na opalonych, bosych chłopakach, wynajmujących parasole od słońca, ale przede wszystkim na plażowiczach, którzy pod pozorem szukania muszel snują się tam i z powrotem, a zwłaszcza na paniach, którym się ich kostiumy bikini wydają w porównaniu z kostiumem Liii pozbawione wdzięku, zdaniem Gantenbeina słusznie; Lila ma na sobie coś, co można by określić jako antybikini: tylko uda są obnażone, no i oczywiście nogi, natomiast reszta przykryta ściśle przylegającym trykotem, którego biel przypomina mewi puch; jest to kostium kąpielowy o długich rękawach, sięgających aż do przegubów rąk, a przy tym dekolt jak przy sukni wieczorowej, a więc plecy całkowicie obnażone, do tego jej kruczne włosy, wilgotne, gdyż Lila nie używa czepka kąpielowego, wijące się kosmyki przypominające antyczne rzeźby... Tak ubrana leży na piasku z ręką na moim kolanie, Gantenbein siedzi obok, ani słowa o Einhornie; od czasu do czasu Lila kładzie się na brzuchu, pali, czyta, tymczasem uszczęśliwiony Gantenbein manipuluje harpunem, teraz wolno mu to czynić, odkąd odrzucił rolę ślepeca, nie musi przemilczać, jakie dojrzał polipy, jeże, meduzy. Widzi, że i Lila ani przez chwilę nie myśli o Einhornie. Poznaje to po niej. Doskonale! Gantenbein i Lila godzinami bawią się kolorową piłką, przeskakują przez fale podczas przyływu, nie mają pojęcia, który to dzień tygodnia. Nikt nie zna ich adresu (Hotel Formentor, Majorka), nikt na świecie i nikt w/te-

atrze, nikt nie może tutaj nawet zatelefonować. Lila marzy o domu nad morzem, o życiu bez ról, z dala od filmu i telewizji, niekoniecznie w hotelu Formentor, lecz gdziekolwiek, po prostu o domu nad morzem, przecież coś takiego musi istnieć, to problem czysto finansowy, problem nakręcania filmów. Kreślą szkice zmywane przez fale, nic sobie z tego nie robią, kreślą nowe szkice. Dokąd idziesz? Gantenbein wraca z gałązkami oleandru, aby na piasku zamarkować ogród. Mężczyźni są tacy pomysłowi i zręczni! Tymczasem Lila, ubrana w swoją plażowo-wieczorową suknię, białą jak puch mewy, paląc papierosa po papierosie zachwyca się szkicem; nie potrafi go wprowadzić ódcyfrować, ale wie: ma to być dom o wielu pokojach, z własnymi drzewami oliwnymi, oczywiście z własną winnicą, przy tym bardzo skromny, o tak, ale oczywiście z łazienkami i podłogami wyłożonymi dywanem, to konieczne, i jak już, to już. Gantenbein i Lila mówią o wszystkim jak najpoważniej, nawet o starości, o wspólnym starzeniu się. Filemon i Baucyda...

Wyobrażam sobie:

Już nigdy nie będzie wrzasków!

Wyobrażam sobie:

Kiedy Filemon i Baucyda wracają po tygodniu do domu, czekają na nich stosy listów, ale Filemon interesuje się tylko swoimi, jest znowu intelektualistą...

A Baucyda?

Ma szufladę z antycznym zamkiem, która jest zawsze zamknięta. Skąd o tym wiem? Nigdy nie

próbowałem jej otworzyć. Skądże znowu! Widzę tylko, że Baucyda za każdym razem otwiera szufladę kluczykiem, kiedy chce z niej coś wyjąć, i za każdym razem mówię Filemonowi, że go to po prostu nie obchodzi. Zgadza się co do tego. Tylko troskliwość, z jaką Baucyda chowa kluczyk, bawi go coraz bardziej, a pewnego razu przypadek chce, że szuflada jest otwarta — wyraźnie przez przeoczenie. A może Baucyda chce go wystawić na próbę? Bóg świadkiem, że Filemon ma co innego do roboty. Czy powinien podejść, zasunąć szufladę, żeby Baucyda później się nie przejęła? Uważam, że to również nie wypada, jestem za tym, żeby Filemon zasiadł do wypełnienia tej przekłetej deklaracji podatkowej albo zajął się jakąś inną nie cierpiącą zwłoki pracą codzienną. Przed chwilą Baucyda dzwoniła, że jest u fryzjera i wróci później. Wzdrygam się przed myślą, że to wybieg. Nie jest wskazane, aby Filemon zadzwonił do fryzjera dla upewnienia się, że Baucyda przed upływem dwóch godzin nie wróci. Nie byłoby to w ramach stylu obowiązującego Filemona i Baucydę. Jeżeli mimo to później jednak telefonuje, to tylko dlatego, że naprawdę potrzebne mu są do deklaracji podatkowej dane, których oczywiście Lila, poddająca się trwałej ondulacji, spod hełmu aparatu do suszenia włosów udzielić nie może. W każdym razie Baucyda jest naprawdę u fryzjera. Czy Filemon miał co do tego wątpliwości? Nie może przejść, żeby nie zobaczyć: szuflada pełna listów! Przeczytanie ich pochłonęłoby ze dwie godziny. Listy od Ein-horna? Są dwa wyjścia: albo to zrobi, albo się

opanjuje. Oczywiście nie robi tego. Ale czuje żal do Baucydy, że się musi opanowywać. Właściwie, jak już wspomniano, ma co innego do roboty. Tak czy inaczej, nie robi tego.

'Doznaję uczucia ulgi. .

Ńic w tym dziwnego, że aktorka, oglądana przez miliony na ekranie telewizyjnym, otrzymuje listy. To jest jasne; nie tak jasne jest natomiast, dlaczego na tyłu listach są znaczki duńskie. Wygląda na to, że Duńczycy to naród wyjątkowo pasjonujący się telewizją, używający przy tym jednego jedyne go typu maszyny do pisania. I nie tak jasne jest: dlaczego wśród wszystkich listów, które Baucyda często tygodniami zostawia na wierzchu, nigdy nie ma listów ze znaczkami duńskimi. Mogę tylko poradzić pocziwemu Filemonowi, żeby na to nie zwracał uwagi. Czy otrzymał jakąś niemiłą wiadomość, zapytuje Baucyda przy śniadaniu, wsadzając list z duńskim znaczkiem (Filemon poznaje teraz znaczki duńskie na odległość trzech czy czterech metrów) do kieszeni szlafroka; nie czyta listu, żeby się grzanki nie przypaliły. Jego pytanie: — Co nowego? — odnosi się wyłącznie do listów bez duńskich znaczków i tak mu też Baucyda odpowiada. Przeciętnie przychodzą dwa lub trzy duńskie listy tygodniowo, wszystkie bez nadawcy. Oczywiście Filemonowi wstyd przed samym sobą, że je liczy, i nie potrzebuję mu mówić, że, łagodnie się wyrażając, jest głupcem.

Zatroszczmy się lepiej o co innego!

Na przykład:

podzielone Niemcy, przy czym. narzuca się

pytanie, w jakich warunkach naprawdę albo pozornie postulowane zjednoczenie nie stanowiłoby dla Europy niebezpieczeństwa, nie zagrażałoby pokojowi; dlaczego nie czynimy wszystkiego, by te warunki stworzyć —

Albo:

stosunki w Hiszpanii —

Albo:

zamulenie naszych jezior —

Zatroszczmy się lepiej o to!

Co się tyczy Filemona i Baucydy, to wiadomo, że zazdrość, uzasadniona czy nieuzasadniona, rzadko daje się unicestwić dostojnością cichego opanowania, raczej już własną niewiernością, nawet jeżeli klasyczna opowieść o Filemonie i Baucydzie to przemilcza, "i słusznie; wystarczy, że Filemon wie o tym. Nie widział natomiast, że z taką swobodą potrafi kłamać; jest tym zdumiony. Za długo nie kłamał, stąd jego wrażliwość. Jedyne w pierwszej chwili, kiedy widzi swoją Baucydę, jest zakłopotany; sądzi, że wargi jej powinny to zauważyć. Ale Baucyda nie zauważa tego, co zauważyły jej wargi, jest szczęśliwa, a Filemon znów pełen ożywienia; kiedy mówi, że ją kocha, mówi prawdę, choć trzy godziny temu kochał inną kobietę; zdumiewa go, jakie to prawdziwe, o tak, prawdziwe jak jego tajemnica.

No, więc tak.

To czysta mistyfikacja, kiedy Filemon raz przez tydzień po prostu nie doręcza listów duńskich, które mimo wszystko przychodzą w dalszym ciągu. Nie wiem, co sobie po tym obiecuje. Czysta misty-

fikacja. Może chce mi tylko pokazać, jak lekceważąco odnosi się teraz do tej sprawy. Zapytuje: Co nowego? — A Baucyda, tłukąc jajko lub nalewając herbatę, nawet nie pyta: nie było dla mnie poczty? Po tygodniu niepokój ogarnia nie ja, lecz Filemona; nosi już bowiem w kieszeni trzy listy z duńskimi znaczkami. Na szczęście Baucyda nie zajmuje się jego ubraniami. Inaczej ładnie by wyglądał! Wystarczyłoby jedno jej słowo, jedna mina zdradzająca niepokój, a Filemon od razu sięgnąłby do kieszeni, przeprosił za roztargnienie i wręczył Baucydzie duńskie listy. Nie naruszone! Zamiast tego nadchodzi list ekspres, polecony, listonosz doręcza go Baucydzie osobiście. Baucyda czyta, nie zapominając przy tym o grzankach, nie pyta ani jednym słowem, czy Filemon nie przywłaszczył sobie listów, co najmniej trzech. Ani jednym słowem. Filemon smaruje grzankę masłem. Rzut oka na poranną gazetę. Pytam siebie: co będzie teraz z tymi trzema listami? Przez chwilę, kiedy Filemon już zajął miejsce w wozie i nacisnął starter, rozważa, czy nie powinien wrócić do domu, ażeby Baucydę, to kobiecie wcielenie aktorstwa, zmusić do otwartej rozmowy. — Filemonie! — powiadam i nie zdejmuję ręki ze startera. Czyż to nie zaszczytne dla niego, że owe listy przychodzą do domu tak otwarcie? Próbuję go uspokoić. Czyż to nie dowód, że oni przynajmniej nie uważają go za małostkowego? Powiadam: — Ruszajże! — Silnik już dawno zapuszczony, odczuwam ulgę, kiedy wreszcie Filemon nakłada rękawiczki; tylko jego twarz, którą widzę w tylnym lustrze, napawa

mnie jeszcze troską. Dlaczego jest taki wściekły? Nie mówi, o czym myśli, zapewne o niczym. Myślę sobie: Filemon trzymał się dotychczas bez zarzutu. Dotychczas! Kiedy przyszły dwa duńskie listy naraz, położył je po prostu obok serwetki, nie uśmiechając się, Baucyda zaś, tak zazwyczaj naturalna, zaczęła udawać znudzoną, niechętną, nagabywaną. Czego można chcieć więcej? Rozumiem : Filemon chce się pozbyć tych trzech listów. Nie czytając ich! Miejmy nadzieję, że tak jest. Ale dlaczego zdumiewa go, że jego Baucyda, jak można wnosić z duńskiego alarmu, niewątpliwie pisuje również co najmniej dwa razy na tydzień? Naprawdę go to zdumiewa. Czy sądził, że Duńczyk mógłby grać w ping-ponga piłeczkami, które nie powracają? Raz jeszcze muszę przypomnieć, że ^ Filemon zachowywał się dotychczas bez zarzutu! nigdy, co byłoby nietaktem, nie kładł listów duńskich na wierzchu. Irytuje go tylko ów ekspres polecony i jej wyniosłe milczenie wobec faktu, że listy giną. Czy może ma iść na górę i prosić ją o przebaczenie? Wreszcie jego pierwsza myśl: pojedę na główną pocztę i raz jeszcze wrzucę do skrzynki te trzy listy. Koniec, kropka. Obawiam się jednak, że skrupulatna poczta jeszcze raz te listy opieczętuje, i to stemplem z datą. Co wtedy? Pozostaje tylko jedno: niechaj Filemon, choć naprawdę ma wiele innych spraw do załatwienia, pojedzie do lasu, aby te trzy listy spalić. Więc Filemon jedzie.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego tak daleko? Filemon nie chce być widziany, choćby przez

robotników pracujących w lesie. Pada deszcz, przedpołudnie, w lesie ani żywej duszy. Szkoda, że człowiek częściej nie chodzi do lasu, kiedy pada deszcz, że nie poświęca trochę czasu na przedzieranie się przez zielone paprocie, na brodenie po kolana w ich wilgotnych pióropuszcach albo na stanie pod bukiem, gdzie jest sucho jak w namiocie i dochodzą dźwięki zielonej harfy deszczowej: mrowisko w deszczu, kopczyk igieł jodłowych, brunatny i wilgotny, albo mech, czarniawy i gąbczasty, grzyby zależnie od pory roku, pnie, kapie z drzew, człowiek lęka się zarośli, każda gałąź to natrysk, nie porusza się żaden ptak, cisza pod zielonymi parasolami, bezruch, pajęczyny, ale bez pajaków, korzenie czarne od wilgoci, gdzieniędzie ślisko, to znów gładko jak na dywanie, gdzieś w górze pada, szum, który tu nie dochodzi, na ścieżkach brunatne kałuże, do nich deszcz dochodzi, widać na powierzchni pryśnięcia, po gałęziach powoli spływają grube krople, drzewo w sagach, żyją tam chrząszcze, do których krople nie docierają, drzewo jest wysuszone, kora obrosła mchem, okrągłe przekroje pni lśnią jak żółtka jaj sadzonych, poza tym świat jak szarawa para wśród wilgotnych kolumn z zielonymi filigranami, nad nimi dżdżyste niebo, liliowe... Jaka szkoda, że Filemon wszystkiego tego nie widzi, w strachu przed robotnikami pracującymi w lesie, których przed chwilą zobaczył; mają na sobie wysokie buty, siedzą skuleni jak krasnoludki pod płachtą; ale to dwa, trzy kilometry stąd, tak, dokładnie tam, gdzie chciał spalić listy. Filemon zastanawia się tymczasem, co by było, gdyby po-

jechał do banku i złożył listy w skrytce. Korzyść: gdyby kiedyś miała być o nich mowa, można by je w każdej chwili wydostać. Strona ujemna : można by je, z wyjątkiem niedziel i świąt, w każdej chwili przeczytać. Jestem za spaleniem, i to szybko. Chciałbym przystąpić do roboty. Dlaczego nie w tej jamie po zwirze? Ogarnia mnie zniecierpliwienie, Filemon jest roztargniony. Przy wysiadaniu zapomina wyłączyć wycieraczkę. Kałuże w jamie może i przypominają watty u wybrzeży Danii. Zabierzmy się więc do listów! Miejsce jest odpowiednie, naga, opuszczona jama, nad nią zardzewiała tablica: *Wstęp wzbroniony pod karą policyjną*, nad lasem przelatuje z hukiem samolot, vampire, leci nisko, może akurat nad jamą, ale jest w deszczu niewidoczny, potem znowu kapiąca cisza; czarny wóz Filemona, obryzgan błotem z licznych kałuż, stoi skośnie przy drodze, z poruszającymi się wycieraczkami; teraz z poszycia lasu podrywa się i unosi w powietrzu krzykliwa sójka, ale Filemon ociąga się nie z jej powodu. Listy, przeznaczone nie dla deszczu, lecz dla szuflady, wyglądają, jakby były zapłakane. Czy będą się paliły? Należy przewidywać, że nie otwarte listy tylko się nadpalą, pozostanie w najlepszym razie papier z brązowymi obwódkami, które zadą się i spopieleją, a Filemon będzie musiał uklęknąć, aby rozdmuchać ogień, i na klęczkach odczytać kilka nie zwęglonych słów, które go nic a nic nie obchodzą, resztkę zdania, tak złośliwie nic nie mówiącego, że zacznie odcyfrowywać jeszcze spopieliałe słowa, które niezapomnianie płoną dalej w jego mózgu, ponieważ

■

sam musi skonstruować sobie ich związek. Będzie żałował, że listew tych naprawdę nie przeczytał, a kiedy je przeczyta, będzie tego również żałował. Czy nie byłoby lepiej po prostu wykopać dziurę i pogrzebać w niej listy? Widzę, jak szuka gałęzi, aby nią wygrzebać dziurę. Ale gałąź się łamie; glina to glina. Ten sam los spotyka drugą: żwir to żwir. Widzę, jak mu z gniewu krew uderza do twarzy, tak, z gniewu na was. Zaczyna teraz łać, Filemon czuje, że naśmiewacie się z niego. Wy! Tó, że myślę: wy, para, wy! — jest wstępem do zazdrości. Teraz naprawdę rozdziera koperty wszystkich listów, nie gorączkowo, widzę to, ale zdecydowany. Nie mogę temu przeszkodzić. Myślę tylko, że po to nie trzeba było jechać aż do mokrego lasu. Jak ten Filemon teraz wygląda, te spodnie, te zabłocone buty! Kiedy zawraca do wozu, aby przynajmniej przeczytać listy nie na deszczu, mówię jeszcze raz: ■ — Filemonie? — Koperty z duńskimi znaczkami są rozdarte, widzę to, ale listy jeszcze nie przeczytane. Co w nich może być? Ociąga się —! Mogę mu to powiedzieć:

— Kopenhaga wiosną, Paryż północy, ale (sądząc z tych listów) bezludny jak księżyc, nie ma ani jednej Dunki, życie w Kopenhadze musi być nie do zniesienia, nie do zniesienia bez Baucydy, najważniejsze jednak, że znowu przyszła do siebie, w Kopenhadze także ślota, ani słowa o Filemonie, natomiast dużo serdecznych słów o Liii, podróż do Hamburga przesunięta ze zrozumiałych względów, wykrzyknik, nadzieja na występy gościnne w Monachium, znak zapytania, hotel „Cztery

Pory Roku", czasami przez Kopenhagę z tych listów "przemyka jednak i gubi się jakaś osoba, jakieś widmo, które chce odebrać sobie życie, stąd umówiony adres, czas przyniesie radę, tymczasem sukcesy zawodowe, oczywiście wspomniane mimochodem, właściwie nie warto o nich mówić, dużo mądrych uwag o filmie, porozumienie poprzez tysiące mil, Kopenhaga to milionowe miasto, ale jedyne go człowieka, który rozumie, nie ma w Kopenhadze i zdaje się, że drogi prowadzącej na pocztę główną, gdzie od szeregu dni nic nie przychodzi, nie otaczają żadne domy, tylko wspomnienia

O Jungfernstieg, przy tym w Kopenhadze są bardzo ładne mieszkania właśnie dla kobiet, chcących żyć samodzielnie, podziękowanie za fotografię, właśnie przelatuje nad domem samolot, tak mija czas, czas, jeszcze raz dzięki za fotografię, tęsknota za zimną ' whisky w gorącej kąpieli itd.

A więc:

Filemon nie przeczytał listów, włącza pierwszy bieg, zwalnia hamulec, tylko tego brakuje, aby z waszego powodu nie wy dostał się teraz z rowu: koła kręcą się w glinie, po chwili udaje się jednak wy dostać wóz z rowu, ale Filemon ciągle jeszcze tkwi w glinie swych uczuć, jego myśli kręcą się i kręcą, nie mogą ruszyć z miejsca.

I tak przez cały dzień!

Naturalna, zwykła serdeczność Baucydy, jej proste, nie zaprawione wyrzutem pytanie, skąd wraca tak późno, zadowolenie, że, wreszcie kupił sobie nowe buty, że samochód został wreszcie umyty, ta całkowicie naturalna, prawdziwa, nie

udawana swobodaj z jaką Baucyda wita swego Filemona, woła o pomstę do nieba, przyznając to, zakładając, że trzy listy duńskie zawierają mniej więcej to, co przypuszczam; ale nie mogę na to przysiąc!... Wóz jest umyty, tak, ale ma guza na karoserii, musiał gdzieś zawadzić o pień, zapewne kiedy wyjeżdżał ze śliskiego rowu; guz jest bardzo wyraźny. Ale to na marginesie. Filemon kłamie: ■ . .

— Ach — powiada — to już bardzo stare.

Tego jeszcze brakowało, żeby Filemon musiał mieć nieczyste sumienie, żeby to on nie mógł komuś spojrzeć w oczy —

Filemon pija za dużo whisky.

Baucyda nie mówi, że nie jest już taki młody, że człowiek w jego wieku musi się zacząć oszczędzać. Ani słowa o tym! Ale on to słyszy —

Filemon pracuje zbyt wiele.

— Tak — mówi — chodźmy do kina.

— Wyświetlają teraz film — powiada Baucyda — podobno wyjątkowy pod względem stylu, tak mówią —

— Kto tak mówi?

— Nie masz ochoty?

— Co to znaczy: pod względem stylu?

— Film — mówi Baucyda — w którym w ogóle nie ma fabuły, rozumiesz, jedynym wydarzeniem jest sama kamera, rozumiesz, nic, się w ogóle nie dzieje, tylko ruch kamery, rozumiesz, kamera : stwarza sytuacje...

— Kto tak mówi?

Przez chwilę wydaje się, że chciałby zażądać

od niej wytłumaczenia, skąd o filmie, który w kraju wyświetlają po raz pierwszy, wie nie tylko, że mu brak fabuły, ale i to, jaki jest pod względem stylu —

— Czytałam o tym!

Czytała!

— Tak — powtarza — wczoraj w gazecie.
A więc dalej:

Trzy listy, które otworzył, wrzuca w obecności Baucydy do ścieku ulicznego; Baucyda nie zwraca na to uwagi, choć przy wrzucaniu każdego listu, a więc trzykrotnie, Filemon musi pomagać sobie czubkiem buta; Baucyda widzi, że to listy, ale nie interesuje się jego pocztą.

No, więc tak.

O tęsknocie za zimną whisky w ciepłej kąpieli nie powinienem był oczywiście mówić, przecież, nie znam treści tych listów, to tylko przypuszczenie, i to widzę, jak Filemon, trzymając w ręku zimną whisky, stoi przy zasłonach w oknie i gapi się.

Pytam, o czym Filemon myśli.

Nie dostaję odpowiedzi.

— Jesteś zazdrosny?

— Dlaczego?

— Pytam tylko.

— To zależy od tego — odpowiada — co się rozumie przez zazdrość. Na przykład myśl, że kobieta, którą kocham, pije zimną whisky w ciepłej kąpieli z innym mężczyzną — moja wina, że to sobie wyobrażam, wiem o tym! — powiada.

Ale?

— Wyznam szczerze — powiada — że to wyobrażenie jest mi niemiłe —

Śmieję się. j

On się gapi.

Pytam Filemona, dlaczego wyobraża sobie rzeczy, które, zapewniam go o tym, wzięte są z powietrza, stanowią tylko domysły, nic więcej. A może nagle przyszło mi do głowy, że jestem jasnowidzem, który potrafi przeniknąć wzrokiem listy nie czytając ich? Niezależnie od tego, że takie sprawy nas w ogóle nie obchodzą —

— Filemonie — mówię — idź pracować!

To dobrze, że listy są teraz w ścieku ulicznym, sądzę, że teraz byłby je naprawdę przeczytał tylko po to, aby obalić moje domniemania...

— Filemonie — mówię —

Wchodzi Baucyda.

Pytam, czego Filemon właściwie chce.

Baucyda nuci.

Zimna whisky w ciepłej kąpieli, muszę raz jeszcze powiedzieć, że chodzi o ślepe przypuszczenie, o nic więcej, bez jakichkolwiek istotnych poszlak, o domysł, wzięty z arsenału moich własnych tajemnic, o nic więcej.

Baucyda nuci.

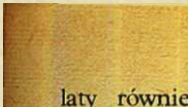
Dlaczego nie żąda od niej wytłumaczenia?

Nie ma odpowiedzi.

Ze strachu?

Wyobrażam sobie: Filemon żąda od niej wytłumaczenia, Baucyda ma coś do wyznania — Filemon nie będzie wrzeszczał. Znam go. Będzie udawał, że to nie ma żadnego znaczenia, później

zapali na nowo fajkę, która zgasła. A więc jednak! Tylko tyle przyjdzie mu do głowy: a więc jednak! Jest to jak zastrzyk, który jeszcze nie działa, może się nawet uśmiecham, a Baucydzie wydaje się niemądre, że nie powiedziała tego już w styczniu. — W styczniu? — pyta Filemona — w styczniu? — Ona uważa, że daty są zbyteczne; wystarczy teraz ulga, jaką jej sprawia mój spokój. Dlaczego Filemon chce teraz wiedzieć, jak się tamten nazywa? Może upiera się przy tym tylko dlatego, że nic innego nie przychodzi mu do głowy. Co to mnie obchodzi, czy tamten ma na imię Nils czy Olaf? Ale Filemon chce wiedzieć. Wolałby, żebym nie był przy tym obecny. Już wiem, że to przeżyje. Czy naprawdę kocha tamtego i jak sobie wyobraża przyszłość, pytania, które i ja już zadawałem, nie mogę jednak zapobiec, aby ich Filemon mimo to nie stawiał; ale bez mego udziału. Dlaczego zawsze muszę być przy tym? Nie słucham jej odpowiedzi, nalewam sobie kolejną filiżankę kawy, rozumiem, że Baucyda, starając się panować nad sobą, nie częstuje mnie cukrem; bolesny takt wzbrania jej teraz tego gestu; nie chciałaby stwarzać idyllicznego nastroju. — Teraz już wiesz — mówi. Biorę cukier, znam ten smak na języku. Godzina druga, właściwie czas, aby się zabrać do pracy. Baucyda zabiera filiżanki. Dlaczego on jej nie policzkuje? Umiejętność rozróżniania między tymi uczuciami, jakie się ma, i tymi, jakie się miało, nabiera subtelności. Nie ma to nic wspólnego z dojrzałością. Odczuwam tę chwilę jak wspomnienie. To wszystko. Przypominam sobie, że przed



laty równie

ż- nie krzychałem, ponieważ również nie było to po raz pierwszy, kiedy zaś po raz pierwszy usłyszałem to od kobiety, która była u innego, krzychałem tylko dlatego, ponieważ pokrywało się to tak całkowicie z moimi przeczuciami, jak się odtąd pokrywa z moim wspomnieniem chwili, w której zdarzyło się to po raz pierwszy...

A więc:

Filemon nie żąda od niej wytłumaczenia.

Zabieram się do pracy.

W tydzień później Baucyda dostaje niespodziewanie własny samochód, tak, małego sportowego austina, o jakim zawsze marzyła. Jak to ma zrozumieć, kiedy nie może mieć pojęcia o scenie przy czarnej kawie, która się nie odbyła? Widzę ją w szykownym sportowym austinie, słucha wyjaśnień, dotyczących zmiany biegów, jest uszczęśliwiona podarunkiem, nie związanym z żadną okazją, ale i nieco zbity z tropu, nie ma pojęcia, jak to wszystko funkcjonuje —

No, więc tak.

Odczuwam ulgę, że Filemon nie zażądał od niej wyjaśnień — przyjmując, że gdyby to uczynił, wiem: w ciągu dziesięciu dni wprawdzie nie zapomniałby o tym, co mu Baucyda wyznała, ale byłby to przeboleł, jak wypada, albo myślałby przynajmniej, że tak jest, wobec tego, że poprosił Baucydę o przebaczenie. Nie znałem jeszcze kobiety, która by nie czekała na prośbę o przebaczenie, kiedy była u innego mężczyzny, i jeżeli o mnie chodzi, nie osiągnęła tego, że prosiłem o przebaczenie, aby nic nie stało na drodze przy-

szości. Jakiej przyszłości? Przyszłości, Filemona i Baucydy. A kogóż by innego? No więc. Dlaczego by nie szampan? Raz się tylko żyje. Po co oszczędzać? Baucyda ledwie poznaje swego Filemona, wpada z jednego nastroju w drugi, to po prostu niesamowite, do tego tak szczęśliwie dobiera słowa, że Baucyda naprawdę musi się śmiać, Filemon ma urok zdobywcy, sam to zauważył, Baucyda patrzy teraz, kiedy on mówi, jak dziewczyna zagubiona w bliskiej wspaniałości tego jedynego mężczyzny. On może pozwolić sobie na to, aby w rozmowie postawić wszystko na jedną kartę, miażdżąc szczypce homara. Tylko chwilami strach go oblatuje, kiedy widzi, jak Baucyda bez obłudy zapomina o swoim Duńczyku, któremu tyle zawdzięczają. Kelnerzy we frakach istne diabły, jeśli ktoś siedzi skłócony z samym sobą, zginają się w pas przed humorami gościa, mkną, aby przynieść mu jeszcze jedną cytrynę. Również księżyc zjawia się jak na zamówienie, nie byle jaki, ale księżyc w pełni. Baucyda jest uszczęśliwiona, czuje się bezpieczna. Filemon po raz pierwszy odważa się zamiast zaakceptować odkofkowaną butelkę niewyraźnym skinięciem, odesłać ją, i to bez kłopotliwego uzasadnienia, które do niczego nie prowadzi i jak wiadomo wywołuje tylko nieprzyjemne zamieszanie; scena taka kończy się zwykle tym, że po drugim lub trzecim łyku człowiek rezygnuje i z ironiczną wspaniałomyślnością kiwa głową; dziś po raz pierwszy wystarcza nieme spojrzenie, zmarszczenie czoła, krótki, lekceważący uśmiech, który ani na chwilę nie przerywa rozmowy

Filemona z Baucyda, i zakurzona butelka znika w ręce kelnera, obleczonej białą rękawiczką. Dlaczego kobieta, którą się kocha, nie miałaby mieć innych mężczyzn? To leży w naturze rzeczy. — Smakuje ci? — pyta Filemon, nie przywiązując zresztą do jedzenia zbyt wielkiej wagi. — W pewnej chwili następuje gra słów, która dla niego samego jest jak pchnięcie nożem; ale Baucyda na szczęście nie zrozumiała aluzji, a bażant z plasterami pomarańczy ma smak cudowny, do tego, jak już wspomniano, księżyc w pełni i radosna wizja Filemona, że żyje sam. Jak on to rozumie, pyta Baucyda; Filemon musi teraz skosztować innego wina. Jak to sam? Filemon kiwa głową, akceptuje wino milczeniem, kelner z wdziękiem wywołanym ulgą powoli napełnia kieliszki do burgunda. Rozkoszują się ciszą tego obrzędu. Baucyda mówi znowu o parcelach budowlanych, tymczasem Filemon widzi siebie jako kawalera w Nowym Jorku. Szkoda, że Baucyda nie ma apetytu. A czegoż to on chce szukać w Nowym Jorku, pyta; ale jemu potrzebne jest teraz cygaro: Romeo y Julieta. Kwestia, co by było, gdyby Baucyda teraz zaszła w ciążę, a zwłaszcza pytanie, czyje byłoby to dziecko, zdaje się nie interesować Filemona; w każdym razie pali swoje cygaro i patrząc ku drzemiącemu w ciemnościach nocy jezioru mówi o zamuleniu naszych jezior, co jest poważnym problemem. Dawno już Filemon tyle nie mówił. Przy koniaku, wskutek trawienia naturalnie, nieco mniej wymowny, niepojawia, dlaczego Baucyda płacze; po zapłaceniu rachunku — musi tylko jeszcze zaczekać na resztę

jest rzeczą jasną, że Filemon i Baucyda pójdą
razem do domu...

Wyobrażam sobie:

Pewnego dnia, upłynęło odtąd sporo czasu, jadę do Monachium po Lilę i czekam w hallu na jej bagaż, hotel „Cztery Pory Roku”, widzę młodego mężczyznę, który właśnie reguluje rachunek, nie słyszę, czy za pokój pojedynczy, czy za podwójny; oczywiście to śmieszne, że od razu myślę o Duńczyku, niezależnie od tego, że ów młody mężczyzna nie jest blondynem. Czekam i czytam gazetę, aby trzymać się rzeczywistości. Jestem świadom tego, że przecież nie znam treści owych duńskich listów; tylko po to, by powstrzymać Filemona od ich przeczytania, opisałem mu, o czym na przykład w owych listach, które później wrzucił do ścieku ulicznego, mogła być mowa: Kopenhaga wiosną, sukcesy zawodowe, tęsknota za whisky w kąpielni, opinia o filmach, nadzieja na Monachium, hotel „Cztery Pory Roku”. Czysta błąka. Faktem jest, że siedzę teraz w tym hallu, w hotelu „Cztery Pory Roku”, że ten młody fircyk (dlaczego fircyk?) właśnie wyrównał swój rachunek. Na pewno trafiają się i wśród Duńczyków bruneci, nawet nie wiem, czy Kierkegaard był blondynem; nie wiem również, czy ten młody fircyk (tak, sądząc po ubraniu, musi to być fircyk!) jest Duńczykiem. To, że wymachuje niemiecką gazetą, również niczego nie dowodzi, wszyscy Duńczycy czytają również po niemiecku, a gazet duńskich tutaj w ogóle nie ma. Poza tym, o ile mi wiadomo, Lila nie zna duńskiego, a więc on

musi mówić po niemiecku. Z drugiej strony, mówię sobie, nie każdy piękniś musi być kochankiem Liii tylko dlatego, że zna niemiecki. W dodatku nie uważam, żeby tak zasługiwał na uwagę, jak mu się wydaje. Sposób, w jaki wymachuje gazetą i uderza się nią po udzie, świadczy tylko o tym, że jest nerwowy. Dlatego, że się tu zjawiłem? Może mieć również inne powody do zdenerwowania. Dlaczego miałby mnie poznać? To, że spogląda na mnie już po raz drugi, może mieć także inne powody; każdy człowiek, którego się obserwuje, odwzajemnia się czasem spojrzeniem...

— A więc jesteś tu! — mówi Lila stojąc obok mnie, gotowa do podróży. Widzę, że filmowanie zmęczyło ją, jak zwykle. Moje pytanie, czy już uregulowała rachunek, puszcza mimo uszu, na razie jest zajęta swymi bagażami; składam gazetę i stwierdzam, że fircyk ulotnił się. Chętnie ujrzałbym teraz jego twarz, ale wyszedł już przed nami przez szklane drzwi, aby na chodniku uderzać się gazetą po udzie. Kiedy rozsiedliśmy się już w samochodzie, Lila opowiada, że film będzie znowu okropny; wkładam rękawiczki, spoglądam w tylne lustro, nic nie mówię. Niestety widzę tylko buciki i dwie nogawki. Nic więcej. Część górna, że tak powiem bardziej osobista, jest odcięta, a nie mam odwagi przestawić lusterka. Zapuszczam silnik i czekam, jakby był zimny. Dlaczego, zanim ruszymy, nie miałbym zapalić papierosa? Teraz nie wiem już nawet, czy ten młody człowiek ma zarost; może, ale nie mam pewności. Lila zwraca uwagę, że nie ruszając z miejsca, hamujemy ruch;

ale ja nie widzę ruchu, tylko dolną połowę mężczyzny, który nosi kamizelkę, a teraz włożył prawą rękę do kieszeni spodni, aby nią nie pomachać, * rozumiem, to człowiek taktowny. Co też on może myśleć o moim karku? Manipuluję przy popielniczce, która się znowu zacięła. Dlaczego by ów młody człowiek nie miał nosić kamizelki? Po chwili raz jeszcze pytam Lile, czy naprawdę wyrównała rachunek. Przecież mężczyzna musi myśleć o wszystkim. No dobrze: włączam pierwszy bieg, zwalniam hamulec, zapalam światło kierunkowe, wszystko jak należy, spoglądam w lusterko, by zobaczyć, czy nie grozi jakieś niebezpieczeństwo z tyłu, ale lusterko naprawdę się przekreśliło, pokazuje tylko jezdnię, muszę je poprawić, słowo honoru, \ wyłącznie z przyczyn rzeczowych. Tymczasem domniemany Duńczyk wysunął się w bok z mojego lusterka. Co to mnie obchodzi, czy ma zarost, czy nie! Kiedy, wyjeżdżając na jezdnię, jak zawsze spoglądam mimo woli przez boczną szybę, aby upewnić się raz jeszcze, że nie grozi niebezpieczeństwo, mężczyzna jest odwrócony. A więc sprawa zarostu pozostaje nie rozstrzygnięta. Lila prosi, abym nie pędził jak szalony. — Jak się czujesz? — pytam spokojnie, aby dać do zrozumienia, że o żadnym nadmiernym tempie nie może być mowy. Kiedy jeszcze raz pytam o rachunek, Lila, bliska gniewu, odpowiada: — Ależ tak! —• Uchylenie się od zapłacenia rachunku, opiewającego na moje nazwisko, byłoby dla mnie straszne. Kiedy Lila przy szybkości 160 na godzinę grozi, że wysiądzie, natychmiast schodzę do 100, aby ułatwić jej opu-

szczenie wozu; kiedy znowu mnie napomina,
zatrzymuję nawet wóz i mówię: — Proszę! —
Wiem, że robię się nieznośny...
Co się właściwie stało"?

Baucyda ma teraz własnego sportowego austina,
wszystko inne nie miało miejsca, nie było rozmowy
przy czarnej kawie ani jedzenia homara przy pełni
księżycy nad jeziorem, ani głupiego zachowania
się na ulicy. Nic podobnego! Pozostaje jedynie
fakt: Baucyda ma teraz własnego białego, sporto-
wego austina, którym jest zachwycona i który
doskonale się spisuje.
No, więc tak. ,

A Filemon jest człowiekiem, który znowu może
się pokazać, mężczyzną jak każdy inny, żyjącym
współcześnie między Wschodem i Zachodem,
obywatelem wypowiadającym się przeciw broni
atomowej, choć to nie na wiele się zdaje, czytelnik-
kiem, przyjacielem okazującym pomoc, szachistą,
otwartą głową, członkiem społeczeństwa, którego
przemiana wydaje się nieodzowna, człowiekiem
pracującym od rana do nocy, czynnym uczestni-
kiem i przeciwnikiem, kimś, kogo zajmują proble-
my światowe, nędza ludów, ich nadzieje, kłamstwa
władców, ideologie, technika, historia i przyszłość,
loty kosmiczne—człowiekiem...

Fascynuje go myśl, że kiedy za miliony lat
nasza Ziemia wystygnie, kiedy oziębnie również
Wenus i za miliony lat będzie miała własną atmo-
sferę, życie ludzkie można będzie przenieść w kos-
mos (Science and Future).

Doznają ulgi.

Co się tyczy listów z duńskimi znaczkami, nie widzę powodu, żebym dlatego, że nagle przestały przychodzić, znowu miał zgłupieć. Każda korespondencja miłosna z czasem się kończy. Tylko niewyraźne sumienie Filemona zmusza go do rozmyślania nad tym najnaturalniejszym stanem rzeczy. Jego ' podejrzenie, wyrosłe z własnego doświadczenia, jest całkiem proste: zauważyli, że trzy listy zostały przejęte, więc piszą do siebie pod innym adresem. I cóż z tego! — Nie uważam, żeby to miało być powodem do wylamania szuflady. Jest trzecia nad ranem. Mówię: — Jesteś pijany! — Musiało to przyjść bardzo nagle; nie mógł zasnąć, podczas gdy Baucyda spała, szukał środka nasennego. Co ma z tym wspólnego ta szuflada? Tak czy tak^x jest otwarta. A teraz? Wiemy już, że w niej pełno listów. Co dalej? Prawie chciałby, żeby Baucyda się obudziła, weszła do pokoju i złapała go przy swoim biurku. Co wtedy? Ale Baucyda śpi, trzy uderzenia zegara na wieży katedralnej nie budzą jej, pozostawia go samego z jego wstydem. Nienawidzi jej. Filemon, w pidżamie, bosy, trzęsie się, ale jest rad, że nienawidzi. To coś tak gorącego i jednoznacznego jak pierwsze uczucie. Nienawidzi jej. Do tego go doprowadziła. Właściwie czym? Nienawidzi jej i to daje mu coraz większe prawo do włamania się do jej szuflady, co się przecież już stało — nie mogę już Filemona powstrzymać... „Kochanie”, nie można mieć nic przeciw temu, to nie jest zbyt oryginalne, „Kochanie moje”, właściwie Filemon chce tylko wiedzieć, jak się do siebie zwracacie, „Kochanie

ty moje", aby to powiedzieć, nie musi zjawiać się duch z Danii, moja Liluniu, i to już bywało, i Filemon nazywał ją tak w listach, w ogóle zdaje się, że mężczyźni są do siebie podobni, poza charakterem pisma. To niesłychane, na co sobie ten pan pozwala, jeśli chodzi o jego pismo, w pośpiechu, wynikającym z włamania, Filemon wielu słów nie może w ogóle odczytać; dołącza się do tego bicie serca, a tam, gdzie spojrzenie nagle zaczepia się, zaczepia się jak ciągnięta kotwica, niewiele właściwie można się dowiedzieć, to szyfr miłosny, nietrudny do odgadnięcia, ale niewydajny, kiedy się go odcyfruje i czyta; to nie do wiary, jak mało zawiera prawdziwy list miłosny, prawie nic, jeżeli nie liczyć wykrzykników jego uczucia. Jedyna konkretna wypowiedź: „Będę czekał przy kiosku”; w górnym prawym rogu napisane: „czwartek po południu, po twojej wizycie”, daty nie ma, tak, wiem, rozkosz zawsze pragnie wieczności, głębokiej, głębokiej wieczności, ale na tym koniec. Może stempel pocztowy wie, kiedy to było? Ale kopert nie ma, w tym sęk, szuflada jest pełna ogołoconych listów, a na to, żeby usiąść, uporządkować materiał, popracować jak historyk, Filemon jest zbyt pijany. Na stojąco, tak tylko, trzęsąc się, zamknąwszy nawet drzwi od pokoju, tak jakby nie było w tym żadnego określonego zamiaru, tylko tak, pozwala sobie na niedozwolone grzebanie w listach, nieczytelnych od namiętności, choć nic nie mówiących, tak czułych, że ich nie poznaje jako własnych. Jeden tkwi jeszcze w kopercie, jedyny w całej szufladzie; ale jak się okazuje, jest

to list od jej pierwszego męża, „Twój stary Svob”, właściwie ładny list, rzeczowy. Widnieje też na nim data. Tylko ten list Filemon, przysiadłszy na poręczu fotela, czyta od początku do końca, zdumiewa go on i równocześnie uspokaja. Tkliwość, która nie bierze za temat siebie samej, która zawarta jest jedynie w sposobie, w jaki się o czymś pisze, i w tym, jak piszący naprawdę się odnosi do adresatki, w niczym więcej, taka tkliwość konserwuje się lepiej niż pełne ekstazy depesze: WKRÓTCE STOP POJUTRZE WIECZOREM STOP WKRÓTCE STOP TYLKO JESZCZE **DWA** DNI STOP WKRÓTCE WKRÓTCE. No tak. Dlaczego Filemon, skoro już myszkuje, nie chce spojrzeć na datę depeszy? Nie ma spokoju, łaknie jakiejś potworności, ale co znajduje: „Twój głos, twój głos wczoraj w telefonie, twój daleki głos, ale twój, nagle twój głos”, uważam, że to jest po prostu nudne, kiczowate, ale z chwilą kiedy w listach dochodzi do głosu prawdziwa indywidualność, nie tylko samiec, tokujący przy pomocy długopisu lub maszyny do pisania, indywidualność, przewyższająca go inteligencją, przynajmniej kiedy jest podpity, nie, tego nie czyta, uwielbienia dla jego śpiącej żony, do którego mógłby się przyłączyć, nie, tego nie czyta. Szuka takich słów jak: „Napisz mi, pod jakim adresem mam do ciebie pisać, abyś nie miała trudności”. To już niemal uraża jego ranę. „Abyś nie miała trudności”. Dalszy ciąg na następnej stronie: „Jeżeli Svoboda nie | chce, żebyśmy do siebie pisywali...” Jak to Svoboda? W takim razie byłyby to jego własne li-



sty. — No tak — mówię — zauważyłeś to dopiero teraz? — Dziwne, jak czasami własne pismo wydaje się nam obce, szczególnie kiedy nie jesteśmy na to przygotowani, kiedy człowiek włamuje się do szuflady, aby zastawić sidła na śpiącą kobietę, a wpada sam w sidła.

— Filemonie — mówię — idź spać!

Zamek zepsuty —

To jedno.

Filemon nie potrafi uchylić się od wyznania, które będzie dla Baucydy ostrzeżeniem po wszystkie czasy, on zaś wie tylko, że gdzieś w mieszkaniu musi być jeszcze inna skrytka.

To drugie.

— Filemonie — powiadam — daj temu spokój!

Widzę śpiącą:

Rozrzucone krucze włosy, przed chwilą odwróciła się na drugi bok, ucho koralowe, ręka z rozczepionymi palcami na poduszce przy twarzy, oddycha powoli, regularnie, jak ktoś, kto śpi naprawdę, nie porusza wargami, wargi ma nieco uchylone i dziecinne, lewe ramię i nasada piersi obnażone, przykryta tylko prześcieradłem, jej ciało pod prześcieradłem jest widoczne jak Nike pod zdradzieckimi fałdami z marmuru, ale ciepłe, nawet gorące od snu, suche, płonące, ucho koralowe pod kruczymi włosami, mógłbym go dotknąć i nie poczułaby tego, w pewnej chwili zadrgały jej rzęsy, ale śpi, zamknięte powieki są sinawe, lśnią chłodno i woskowo, jak blade płatki zimowitu ha śpiących oczach, nieruchome, tylko włosy nie śpią, również koniuszki palców obok twarzy mogły-

by nie być uśpione, ale ona śpi, sen tkwi w jej;;
karku, głęboko, bez widziadeł, wilgotny, tkwi
głębiej niż w twarzy, która jakby pływała po ciem-
nym śnie jak odbicie.

Lilunia.

— Filemonie — mówię — ty ją kochasz!

Wszystko inne to nonsens.

Podobno w Afryce (tak opowiada któryś z gości),
w jednym z dzikich szczepów, los rozstrzyg
o tym, który mężczyzna ma należeć do której ko-
biety, mianowicie w ten sposób, że musi się on
troszyć o tę kobietę, kiedy jest młoda i zdrów
kiedy choruje, kiedy rodzi, kiedy się starzeje
poza tym jednak wszyscy spółkują ze wszystl
Gość ów utrzymuje, że jest to najbardziej pokojo-
wy lud czarnego kontynentu. Eros jako dobra
publiczne, zgodnie z naturą, pleć i osoba
podlegająca temu samemu prawu; stąd nie zdarza
się u owych Tohulów, czy jak tam ich nazywają,
aby mężczyźni strzelali do siebie z powodu kobie-
ty. Potrzebują do polowania swej siły ducha,
podobnie jak strzał; spory powstają jedynie z po-
wodu łupu. Kradzież jest tam karana śmiercią;;
o rodzaju śmierci decyduje wartość skradzionego";
przedmiotu. Prosta śmierć, przecięcie arterii w szyi;;
oczekuje tego, kto się dopuścił kradzieży sprzętu';
domowego. Natomiast złodzieja ozdób, powiedzmy!
koleżyków kobiety, uwiązuje się między dwiema
palmami i czeka, aby najbliższy wichur uginający
obie palmy i kołyszący nimi rozdarł jego złodziej-
skie ciało. Złodzieja strzał, które są wyraźnie naj-
cenniejszym dobrem, pozbawia się męskości, po

ebie się go żywcem. Złodziejki zostają spalone przez mężów. Ale poza kradzieżami nie ma u tych ludzi nic, co by uchodziło za godne wzgardy, i karalne albo choćby sprawiało kłopot... Baucyda jest zachwycona! Poza tym zachwytem, który nawiasem mówiąc dzieli z nią inne panie z jej towarzystwa, i poza owymi listami z Danii, które również niczego nie dowodzą, dopóki nie znamy ich treści, i które w dodatku, jak już wspomniano, ostatnio nie przychodzą, nie zaszło nic właściwie, nic istotnego, co by Filemona, na rozum biorąc, upoważniało do przypuszczenia, że Baucyda żyje w związku małżeńskim Tohułów, absolutnie nic —

— Filemonie — powiadam — chciałbym pracować!

A ten fircyk w kamizelce w lusterku samochodowym?

— Filemonie— powiadam — to niedopuszczalne, abyś każde podejrzenie, które mi przemknie przez głowę, brał ślepo za stan faktyczny.

Ale on nie umie tego zaprzestać:

Aby przywrócić zaufanie, sięga po środek szcerości; bez żadnej przyczyny, nie pytany, nagle opowiada o swoim stosunku z pewną małą stenotypistką i patrzcie tylko, Baucyda wprawdzie o niej nie wiedziała, ale i nie chciałaby wiedzieć, nie, nie chce też wiedzieć o takich sprawach na przyszłość...

Niewypa! •

Nie przywiązuję wielkiej wagi do szcerości, znam mojego Filemona, wiem, że wyznania bar-

dziej maskują niż milczenie, można wszystko powiedzieć, a tajemnica wemknie się jednak pod osłonę naszych słów, bezwstyd nie jest jeszcze prawdą, niezależnie od tego, że nigdy nie mówi się wszystkiego, na przykład nie opowiada się historii z szufladą; jeśli zjawi się kiedyś nasza szczerłość, bywa ona przeważnie paskarską transakcją, na którą składają się kłamstwa i asekuracja innych zatajeń.

Jej milczenie jest bardziej higieniczne.

Przyznanie się do wylamania zamka szuflady, pewnego dnia niestety nieodzowne, żeby fałszywe podejrzenie nie padło na sprzątaczkę, którą trzeba by zwolnić, następuje przy czarnej kawie, tak, właśnie w tych dwóch fotelach i tak, jak sobie wyobrażałem wyznanie Baucydy, tylko z zamienionymi rolami, czego znowu ona nie może wiedzieć; teraz ona milczy, blednie, nerwowo gasi papierosa w popielniczce, on zaś nalewa kawę, ale nie ma odwagi poczęstować jej cukrem; Baucyda nie jest w stanie spojrzeć na niego, mimo że on bardzo na to czeka. Tylko miłość odczuwa taką cichą żalobę. Baucydzie nie udaje się uśmiechnąć, kiedy on przeprasza ją za to, że pewnego wieczora przeczytał swoje własne listy; ona nie uważa tego nawet za zabawne.

— No tak — mówi. — A co teraz?

Filemon ujmuje jej rękę.

— Nie — mówi Baucyda — proszę!

Baucyda nie chce, aby ją całował człowiek, który czyta własne listy; nie spodziewała się tego po nim; myślała, że go zna; siedzi przed kimś obcym...

Co dalej?

Baucyda jest chora, nie groźnego, gorączka, ból głowy, w każdym razie leży w łóżku. Zaparzam herbatę, stoję w kuchni i myślę o mojej pracy, dopóki woda nie zakipi, siedzę na brzegu jej łóżka, Filemon i Baucyda, zupełnie jak w książce. Wierzę w aspirynę, ale nie mogę jej znaleźć. Baucyda czuje się źle; prosi, żebym poszukał w jej torebce. Nie tylko na to pozwala, ale prosi, tak się marnie czuje. Ale torebki nie ma w pokoju, przykro mi, leży w bawialni. Od dawna zdumiewał mnie dziki nieład w jej torebkach; znalezienie aspiryny na chybił trafił, jak tego biedaczka oczekuje, byłoby cudem; próbuję, ale cud nie następuje. Natomiast znajduję: klucze, banknoty, pomadkę do ust, chusteczkę do nosa, paszport, perfumy, monety, jeszcze jedną pomadkę do ust, rękawiczki, bilet lotniczy, etui z pincetkami, drobne monety różnych krajów, dwa bilety wejścia do muzeum w Monachium, długopis, prawo jazdy, grzebień, papierosy, pudemiczkę, rachunek z hotelu „Cztery Pory Roku” za pokój jednoosobowy z łazienką, kluczyki do samochodu, wycinek z gazety, kolczyki, list z duńskimi znaczkami z datą przedwczorajszą, na poste-restante, list jest rozcięty...

— Filemonie — mówię — zostaw to!

Byłoby to zbyt łatwe. i

— Mam — wołam — mam!

Znowu siedzę na brzegu jej łóżka z pustą szklanką w ręku, drugą rękę trzymam na jej gorącym, spoconym czole...

Filemon jest nieobliczalny.

W przeddzień jej wyjazdu do Hamburga Filemon uznaje za rozsądniejsze, żeby jechała sama, nagle nawiedziło go olśnienie, pogodne olśnienie, namyślił się: szczerze mówiąc jazda do Hamburga wcale mu teraz nie odpowiada.

— Jeżeli tak — mówi ona — to i ja nie pojedę.

— Jak to?

— Nie — powiada — a w każdym razie nie pojedę do Kampen.

— Przecież to nonsens — mówi Filemon. — Wierz mi, tydzień w Kampen dobrze ci zrobi.

— Bez ciebie? — pyta Baucyda.

Mimo jej gorących próśb Filemon obstaje przy swoim. Czy ma nadzieję, że ona nie będzie miała odwagi? Byłoby to niemądre. Dlaczego mu na tym nie zależy? Nie zależy mu. Podstęp? Szyderstwo? Nic podobnego. Co ma zamiar robić? Pracować. — Co miałbym robić w Hamburgu? — powiada i zostaje już przy tym; następnego dnia odwozi ją na lotnisko, jest naprawdę w pogodnym nastroju, nie udaje. Kampen dobrze jej na pewno zrobi, wszystko jest jasne i słuszne, nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym —

Nie ma innego rozwiązania.

Po prostu: swoboda ruchów...

Aż pewnego pięknego dnia rozlega się dzwonek; Lila śpi jeszcze, więc idę otworzyć, za drzwiami stoi młody człowiek, mam wrażenie, że go poznaję, choć jeszcze nigdy w życiu go nie widziałem. Proszę, by wszedł. Jestem rad, że już się ubrałem, nie mam tylko krawata. Wchodzi bez wahania, bierze do ręki fajkę. Ponieważ się nie przedstawia,

i ja chyba nie potrzebuję tego robić. Stoi więc przede mną, uśmiechnięty, w porównaniu z nami młody, o ruchach niedbalych, wygląda ze swą stojącą czupryną na studenta albo na tancerza, jest bez zarostu i bez kamizelki. Nie potrafię osądzić, czy jest piękny; w każdym razie nie wygląda na obrzydliwca. Spojrzenie jego nie ma na mnie żadnego wpływu, ale przecież on nie przychodzi do mnie. Pytam, czy ma jakieś rzeczy. Odpowiada zawiłe. Nie chciałby przeszkadzać, powiada, mógłby przyjść jeszcze raz o jedenastej. Może zostawił swoje rzeczy na lotnisku, aby mieć wolne ręce do niesienia rzeczy Liii; będzie tego niemało, jeżeli lecą do Urugwaju. Nie zdejmuję płaszcza. Jest trochę zakłopotany, ale to zapewne tylko ze względu na mnie; może mu piśała, że urządzam sceny. Będę panował nad sobą, zaskoczę go, ale nic tym nie zmienię; jak mi się wydaje, on wie o tym, że kiedy Lila zobaczy jego spojrzenie, nie będzie mogła powiedzieć „nie”. A więc jeżeli, to już! Mówię tylko:

— Chciałby pan widzieć Lilę? — Konwencjonalna forma zapytania wywołuje jego uśmiech. Dodaję: — Lila jest tutaj! — Prowadzę go do sypialni i mówię: — Proszę!

Zabrzmiało to nieco szorstko, młodzieniec nie wie, co robić. Czyżby go przychylny los opuścił? Ale idzie za mną z fajką w rękę, którą, kiedy zapukałem, wkłada do kieszeni, zapewne po to, aby mieć obie ręce wolne. W tej chwili nie wiem, dlaczego to robię, nie mam pojęcia, jest to jedyna możliwość, serce mi nie kołacze. Raz jeszcze pukam

dó drzwi, może, żeby mojej Lili nie przestraszyć, może dlatego, żeby się nie ośmieszać manierami posiadacza przed młodym człowiekiem, który wie, że w miłości nie ma oczywiście tego, co nazywamy własnością. A więc pukam. Nie ma odpowiedzi. Naciskam cichutko klamkę, aby Lili nie obudzić hałasem; nie znosi tego. Powinien to sobie zapamiętać. Dlaczego przystanął teraz na progu? Zasłony jeszcze zaciągnięte, więc zapalam światło. Czy nie wiedział, że mamy wspólną sypialnię? Widzę, że jest naprawdę zbity z tropu, inaczej nie włożyłby znowu fajki do ust. Jak zawsze, kiedy nie chce, by ją budzić, Lila obraca się na drugi bok; ujmuję ją za ramię. Czas na rzeczywistość, moi drodzy, najwyższy czas! Dopiero po chwili Lila zaczyna się rozkosznie przeciągać. Mówię: — Lilusiu! — Jeszcze nie otworzyła oczu, więc '!' zwracam się do niej jak do dziecka: — Einhorn jest tutaj! — Kto taki? — pyta ziewając, a student w rozpiętym płaszczu, student albo tancerz, który, jak się zdaje, oczekiwał czegoś innego, udaje, że o niczym nie wie; wziął znowu fajkę do ręki. Natomiast Lila wydaje okrzyk, jakby w sypialni nagle stanął kominiarz. Okrzyk ten składa się z jednego słowa: z mego imienia, które moim zdaniem niewiele ma wspólnego z sytuacją. Śmieję się, ale od razu odzyskuję panowanie nad sobą. — Wybaczcie! — mówię, wychodzę, zamykam drzwi od zewnątrz, wkładam klucz do kieszeni, trochę przerażony, że to naprawdę zrobiłem, a nie tylko pomyślałem, tak, zrobiłem; biorę krawat, wiszący na drzwiach łazienki, wiążę go, wkładam mary-

, stoję, upewniam się, czy mam w kieszeni kluczyk od wozu, stoję, a ponieważ nic się nie dzieje, idę do samochodu, zapuszczam silnik bez pośpiechu, jadę. Jest słoneczny poranek, więc nie zaciągam dachu, wiatr buszuje w moich włosach, trzymam kierownicę tylko prawą ręką, pogwizduję, lewa ręka zwisa z okna wozu, który cicho, wolno sunie drogą; mam czas. Coś dręczącego, co się nie da zagłuszyć -gwizdaniem, wątpliwość, która mnie opada, kiedy jadę prędeż, nagle wątpliwość, czy nieznamy, którego zamknąłem z Lilą, jest tym domniemanym — zmusza mnie do tego, abym ostrożnie, wolno, jak żandarm, który wyprzedził inny wóz, zahamował na szosie; chcę się wylegitymować przed własnym podejrzeniem. A jeżeli to nie on? Nie mam na to dowodów, naprawdę nie mam. Skąd mam wiedzieć, jak taki Einhorn rzeczywiście wygląda? Sięgam do kieszeni spodni: fakt faktem, że klucz od jej pokoju mam przy sobie. To nie sen. Udaję przez chwilę, że się namyślam. Nad czym właściwie? Rzucam papierosa, który miał mnie uspokoić, zanim go zapaliłem, włączam tylny bieg, kręcę obiema rękami kierownicą, daję gaz, jakby tempo mogło tę historię wymazać...

Drzwi wylamane, sypialnia pusta, siedzą w pokoju na dole, Lila ma na sobie niebieski szlafrok, on zdjął płaszcz; zwinął go, trzyma na kolanach; młodzieniec ten studiuje medycynę, ale pociąga go teatr, wiec chciał zasięgnąć u Liii rady, jest w dalszym ciągu trochę zaskoczony obyczajami panującymi w naszym domu, ale nie daje tego

po sobie poznać. Rozmowa prowadzona przez Lilę tak rzeczowo, że można zapomnieć o jej neglizżu, trwa jeszcze pół godziny... Kiedy młodzieniec wyszedł, Lila mówi:

— Odchodzę.

W tydzień później (niestety, zbyt liczne rozmowy nie dadzą się z życia wykreślić) Lila odeszła; nie może żyć z obłąkanym, rozumiem ją.

Co pomaga wzrok!

Siedzę na poręczy wyściełanego fotela i bawię się korkociągiem. Wszystkie meble okryte białymi pokrowcami, popielniczki opróżnione, tak samo jak wazon, aby uniknąć zapachu zgnilizny; siedzę w płaszczu i w czapce, bo na dworze pada. Dywany zwinięte, okiennice pozamykane. Nie ulega wątpliwości, że z osób, które tu mieszkały, jedna była płci męskiej, dniga żeńskiej. Widzę bluzki w szafie, trochę bielizny damskiej, która nie zmieściła się > w walizie, z drugiej strony krawaty, moje marynarki; na dole w szafie moje obuwie, częściowo na prawidłach, ustawione w szeregu, jak na apelu. Wszystkie drzwi pootwierane; w kuchni kapie z kranu, poza tym cisza jak w Pompei. Ciągle jeszcze tkwię w płaszczu i w czapce, obie ręce wsunąłem do kieszeni, próbuję sobie wyobrazić, jak oni tu żyli, zanim gorący popiół ich zasypał. Wszystko jeszcze tak, jak było, tylko życia już nie ma. Nie mogło to być dawno temu. W łazience wisi jeszcze jej niebieski szlafrok. Nie wiem, co się naprawdę stało...

Ciągle jeszcze siedzimy przy kominku, minęła pomoc, długo nic nie mówiłem. Lila ukryta za rozpostartą gazetą, którą trzyma w obu rękach. Jestem szczęśliwy, że trzymam jeszcze w ręku szklanekę, choć nie ma w niej już whisky. Lila ziewa, polano na popielisku znowu przestało płonąć. Czas iść spać. Pamiętam dokładnie, o czym mówiliśmy ostatnio:

— Czytałeś?

— Owszem. Czytałem.

Pauza.

— Nie — powiedziała. — To nie do wiary!

Miała na myśli mord.

;— Czy potrafisz sobie wyobrazić — zapytała — dlaczego człowiek się tego dopuszcza? Uważam, że to potworne.

— Tak — powiedziałem — czytałem.

— Słuchaj no — zapytała — jest jeszcze whisky?

— Lilo — rzekłem — ja powiedziałem ci coś.

— Wybacz! — rzekła; widziałem jej twarz, kiedy zapytała: — Coś ty powiedział?

— Powiedziałem, że czytałem.

— I nie uważasz również, że to potworne?

— Tak —

Od tej chwili milczeliśmy.

— No — mówi Lila teraz — chodźmy spać!

Pozostaję Gantenbeinem.

Zapytuję siebie, jakie zawody wchodziły w rachubę dla Gantenbeina, tak aby ze względu na zawód nie musiał rezygnować z roli niewidomego.

Wydaje mi się, że istnieje wiele możliwości, na przykład zawód przewodnika. Gantenbein, uzbrojony w ciemne okulary, z czarną laseczką, która postukuje o marmurowe stopnie Akropolu, otoczony grupą zwiedzających, Gantenbein jako jedyny człowiek naszych czasów, który nie wszystko widzi, działa, co widzą turyści, nie, nawet na filmach albo na zdjęciach — nie mówi ludziom, co teraz widzą pó prawej i po lewej stronie, lecz pyta ich o to, przynaglani jego pytaniami, muszą mu opisywać, co sami widzą. Od czasu do czasu siada i ociera pot z czoła; Gantenbein nie daje im do poznania, jak wielu rzeczy nie widzą. Pstrykają zdjęcia. Gantenbein nie uważa, żeby tu było tyle do pstrykania, nabija fajkę, czeka, aż się wypstrykają. Jego pytania są wzruszające. Czy wszystkie kolumny Partenonu są tej samej wysokości? Nie chce w to wierzyć, ma powody, które każą turystom nastawić uszu. Czy odległość między tymi kolumnami jest wszędzie taka sama? Ktoś robi mu tę uprzejmość i mierzy. Nie! Gantenbein nie jest zdziwiony, starzy Grecy nie byli przecież ślepi. Chwilami nie mogą się ruszyć z miejsca, Gantenbein ma tyle pytań, na które przy pomocy kamery nie da się odpowiedzieć; nie widzi autobusu, który czeka, by zawieźć grupę do Sunion. Zachowuje się tak, jakby na niego nie czekano, znowu nabija fajkę i zachowuje się tak, jakby to on czekał na ludzi, którzy nie mogą się dość napatrzeć tego Akropolu. Przede wszystkim uderza jego brak zachwytu, to zwraca ogólną uwagę. Prawdziwa rozpacz, jak wielu rzeczy Gantenbein nie może ujrzeć! Siedzi

na odłamku kolumny, jak gdyby nie znajdował się na Akropolu, zajęty wyłącznie swoją fajką, znużony i nawet nie ożywiony nadzieją, że kolorowe filmy pokażą mu później, gdzie dzisiaj był. Prowadzą go pod rękę, by mu pokazać Erechtejon, małą świątynię Nike, w oddali fioletową zatokę Salamina, teatr Dionizosa, wystarczy, że Gantenbein odwraca się raz po raz w przeciwnym kierunku, aby uprzytomnić im, co jest godne widzenia. Niektórzy odczuwają dlań tyle litości, że chcąc mu dać wyobrażenie o świętości tego miejsca, sami zaczynają widzieć. Ich słowa są bezsilne, ale oczy ożywają. Gantenbein kiwa głową, słucha, kiwa głową, fajka mu gaśnie, dopiero jego smutek, że umrze nie zobaczywszy Akropolu, wywołuje u pozostałych wdzięczność, że przedsięwzięli tę podróż bez względu na poniesione koszty. Ze ślepym przewodnikiem jest kłopot nie lada, ale to się oplaca: wewnątrz turystomj materialnie Gantenbeinowi, to bowiem, co oszczędzają na kolorowych filmach, składa się na przyzwoitą pensję —

Dam ogłoszenie:

„Podrózujcie z niewidomym! To będzie wasze największe przeżycie! Otworzę wam oczy! Podróże do Hiszpanii, Maroka, Grecji, Egiptu itd.”

Pozostają Gaatenbeinem:

Lila jest dzięki temu szczęśliwa...

Skąd wiem o tym?

Oczywiście ten Gantenbein nie jest taki subtelny, jakim go opisuję, wydaje mi się, że raz jednak

przeczytał któryś list z Danii i pozostały mu w pamięci dwa, trzy zdania z niego.

„Będę zawsze dla Ciebie”.

(Niestety, bez daty).

„Tak jest dobrze. Dlaczego płaczesz? Rozumiem wszystko. Dlaczego mam się gniewać, jeżeli tam, jak piszesz, jesteś szczęśliwa? Tak jest dobrze”.

A więc Lila jest szczęśliwa.

Czego Gantenbein chce więcej?

„Kiedy pojedziemy do siódmego nieba? Twój Nils”.

Gantenbein jako przewodnik —

Gantenbein przy jedzeniu pstrągów —

Gantenbein jako szachista —

Gantenbein nad Krumme Lanke —

Gantenbein w roli gospodarza —

Gantenbein u lekarza miejskiego —

Gantenbein podczas krótkiego snu w domu —

Gantenbein w salonie Diora —

Gantenbein przy układaniu bukietu —

Gantenbein na lotnisku —

Gantenbein jako niewidomy małżonek —

Wszystko to potrafię sobie wyobrazić.

— ale Gantenbein jako przyjaciel?

Spotykamy się na ulicy, Gantenbein z żółtą opaską ślepego, żal mi go, gawędzimy o świecie, którego nie widzi. Wprawdzie za każdym razem zapytuje, jak mi się powodzi, ale nie mam odwagi powiedzieć mu tego. Znamy się z dawnych czasów.

Nie mówi się o własnej karierze, kiedy ten drugi jej nie widzi. Nie jestem bufonem. Gantenbein zna moje dawne poglądy, a ponieważ jestem przekonany, że nie widzi, jak mój styl życia zmienia się z roku na rok, udaję, jak gdyby wszystko było po staremu, Gantenbein robi to samo, ściskamy sobie serdecznie dłonie.

Ale kiedyś Gantenbein mnie odwiedzi.

Zapomniałem, jak bardzo zmienił się mój styl życia, przyzwyczailem się do tego, wracam do domu pogwizdując, zdumienie ogarnia mnie dopiero, gdy wieszam czapkę na wieszaku: nie ulega wątpliwości, że to moja czapka, ale jakaś nowa. Baskijski beret bez przepoconej wkładki ze sztucznej skóry. Ledwie znowu odzyskałem swój pogwizdujący humor, widzę, że również moja kurtka jest nowa; zamszowa, ale bez przepoconego kołnierzyka. Widocznie mam' więcej takich kurtek, które bez mej wiedzy oddawane są do czyszczenia; ostatecznie człowiek poci się, a o ile pamiętam, jasny zamsz jest bardzo wrażliwy. Tak czy inaczej, rzucam moją kurtkę gdziekolwiek, niedbale, jakby to była kurtka z dawnych czasów i jakbym wracał do mojej dawnej studenckiej budy. Z dworu dochodzi ujadanie. Widzę siebie ze smyczą w ręku, smycz ze świńskiej skóry, również nowa. Ujadanie zdumiewa mnie. Może mamy teraz doga? Miejmy nadzieję, że nie gryzie. Kiedy sięgam po niedbale ciśniętą w kącie zamszową kurtkę, ponieważ szczerkanie każe mi przypuszczać, że ktoś nadchodzi, widzę mimo roztargnienia: kurtka wisi już na ramiączku. A więc jest jakaś służba. Nie' rozglą-

dając się już, pytam, dlaczego dog tak szczeka, jakiś pan czeka w hallu. To także coś nowego, że mamy hall. A służąca w czepeozku na głowie mówi: — Jakiś pan Gantenbein. — Jej ton daje do zrozumienia, że gdyby mój pies i jego nie znosiły się, byłaby całkowicie po mojej stronie, co dowodzi, że przyzwicie płacimy tej osobie, która mi teraz podaje zamszową kurtkę. Jestem tym szczeniem nieco zbity z tropu, a Gantenbein, zapewne wprowadzony do hallu przez drugą służącą, musi mi wybaczyć; najprzód muszę dogą, czy nie dogą, wziąć na smycz. — Wybacz mi! — mówię do niewidomego, który po raz pierwszy przyszedł do naszego nowego domu, i widzę nie jednego, ale trzy dogi, które na widok swego pana natychmiast się uspokajają. — Leżeć! — wołam i smycz ze świńskiej skóry staje się zbyt ciężka, więc rzucam ją na skrzynię, która nie jest nowa, przeciwnie, jest zdecydowanie antyczna. — Wybacz mi! — powtarzam, a Gantenbein zachowuje się tak, jakby to nie służąca zdjęła z niego płaszcz i powiesiła na ramiączku, lecz ja, który go teraz witam uściskiem dłoni. Jak dawniej. Radość moja jest szczera. Tylko dogi zbiły mnie z tropu. Ponieważ nic nie mówi na temat wiszącego na ścianie Matisse'a, wolno mi przypuszczać, że jest naprawdę ślepy, i to powoli przywraca mi równowagę; przeszkadza mi jeszcze tylko zamszowa kurtka., — Rozgość się! — mówię, a ponieważ nie widzi fotela, prowadzę go do niego z uczuciem ulgi, że Gantenbein nie widzi naszej bawialni; tylko ja ją widzę po raz pierwszy. — Co nowego — pytam,

jakby tu było wszystko po staremu. — Jak się miewa twoja Lila? --Mówiąc to, bacznie przyglądam się Gantenbeinowi, memu przyjacielowi z dawnych czasów. Czy się naprawdę nie rozgląda? W każdym razie czuje chyba, że na stoliku barowym są różne gatunki trunków, i kiedy proponuję mu kieliszek campari, powiada, że wolałby koniak. — Nie mam! — mówię z pewną ulgą, co jest zresztą prawdą. Mam natomiast armagnac, dziewięćdziesięcioletni, czego mówić nie potrzebuję. Ale on się na nim poznał. — Tam do licha! — woła, jak gdyby zobaczył również butelkę, specjalną, siedmiolitrową, która może wygląda trochę pyszałkowato; ale kiedy się kupuje w hurcie, cena jest niższa —

Widzę tylko dywan —

Gantenbein, uszczęśliwiony armagnakiem, mówi o Liii, dzięki Bogu, jak zawsze z czułością, która przejawia się w uwielbieniu dla jej sztuki (aby nie naprzykrzać się intymnością) i która unicestwia płotki o tej kobiecie, oczywiście znane mi jak wszystkim. Miejmy nadzieję, że się nie myli! Chciałbym, żeby tak było. Nie ulega wątpliwości, że to wielka aktorka.

Mówimy więc o sztuce —

Widzę:

Dywan barwy borówek, na nim mój lewy bucik, również nowy, od czasu do czasu inaczej zakładam nogę na nogę, ale to nie pomaga, prawy bucik jest również nowy, solidny, mysiego koloru, z dobrze dobraną skarpetką; tylko skóra i owłosienie moich goleni nie są nowe. Nie są również nowe

nasze dzieci, które niespodzianie wpadają, a potem, nieco zaskoczone, ponieważ gość tak świetnie gra rolę ślepcy, witają pana Gantenbeina; wyglądają tylko na nowe, gdyż wszystko, co mają na sobie, jest nowe jak z wystawy sklepowej i najprzedniejszego gatunku, nawet pantofle. — Wynoście się! — mówię, ale to również nie zmienia faktu, że spinki tkwiące w moich mankietach są szczerozłote; niepostrzeżenie naciągam na jedwabne mankiety rękawy mego kaszmirowego pulovera. O czym to mówiliśmy? Ach, tak, o dzieciach, jak rosną, mógłbym teraz powtórzyć zabawne, powiedzonko dzieciinne, ponieważ jednak dowcip nie byłby zrozumiały bez nadmienienia, że byliśmy na Wyspach Kanaryjskich, rezygnuję z tego i pytam Gantenbeina o jego kłopoty, które, miejmy nadzieję, nie mają nic wspólnego z pieniędzmi; w przeciwnym razie mógłbym mu pomóc bez trudu i byłoby jasne, że stałem się człowiekiem bogatym. Milczenie.

W sprawach dotyczących polityki jesteśmy ze sobą zgodni w dalszym ciągu, różnimy się tylko stopniem naszej powagi; obaj mamy poglądy lewicowe, ale ja stałem się poważniejszy; Gantehbein dowcipkuje na temat lewicy, na co ja nie mogę sobie pozwolić —

W pewnej chwili: zegar wahadłowy.

— Odziedziczony! — powiadam.

Gantenbein nie rozgląda się, słucha tylko, dopóki odziedziczony zegar nie zamilknie, potem prosi o drugi kieliszek armagnaku.

— Nie uważasz, że tu bardzo ciepło? — pytam,

po czym zdejmuję zamszową kurtkę i krawat. Nie mogę natomiast zdjąć ani firanek, ani tapet, ani dywanów. Gantenbein nie uważa, żeby było zbyt ciepło, przeciwnie, jego zdaniem jest raczej chłodno, zastanawiam się więc, czy nie zapalić w kominku. Aby 'odwieść jego uwagę od kominka, który pochodzi z jakiegoś pałacu tokańskiego, ponieważ mój wzrok pada akurat na półki z książkami, mówię teraz o pierwszym wydaniu dzieł Balzaka, które niedawno znalazłem. — Za bezcen! — mówię i wymieniam cenę, żeby Gantenbein nie wyobrażał sobie zbyt wysokiej; stojąc, częstuję go cygarami. — Jakie masz? — pyta i nagle przestaje rozumieć, dlaczego miałbym go wyprowadzać w pole. Mam wszystkie gatunki. Nawet coś niezwykłego, czego Gantenbein jeszcze nie zna: cygaro hawańskie, ale plecione jak warkocz, tak, istnieją i takie; mój sprzedawca rozpieszcza mnie. — Spróbuj! — mówię, nie przerywając naszej rozmowy. Rozmowy o czym? W każdym razie odgryzam koniec cygara, jakbym nie widział srebrnych obciążków, i znowu siadam. Jest i popielniczka, chińska porcelana, również klejnocik, którego Gantenbein nie widzi; ja natomiast widzę wszystko. Zdaje się, że mówimy o muzyce, o elektronikach. Mam tylko nadzieję, że nie zjawi się moja małżonka; wcześniej czy później, ilekroć jest mowa o muzyce, pokazuje każdemu gościowi swoją harfę, którą niedawno dla niej znalazłem. Także nie była droga. Potem gra ha niej; a skrzynia, w której przechowuje nuty, jest również cenną zdobyczą, średniowiecze, zdaje się z południowej Francji. Kiedy Gantenbein

nie mówi, panuje cisza, choć właściwie niezupełna; nagle ma się wrażenie, że mówi kanapa obita białą jelenią skórą, gdzie spojrzę, stwierdzam dobry smak, nie ma nic nadętego, ale też nic nie jest takie, żeby mogło być jeszcze piękniejsze albo chociażby bardziej przydatne. Jestem niemal rad, że Gantenbein, chcąc grać ślepego, wypala dziurę w naszej białej jeleniej skórze; nie mówię ani słowa. A gdyby tak kieliszek burgunda? Gantenbein, nie pochwalisz choćby zdawkowo hawany splecionej w warokcz, ciągle jeszcze mówi o sztuce, nie protestuję przeciw temu, że sztuka powinna być wolna od treści, pozbawiona przesłanek, to jasne, że zamienianie świata nie jest zadaniem sztuki. Na szczęście w pokoju stoi butelka, nie muszę więc wzywać służącej, która by nam przerwała rozmowę. Odkorkowuję butelkę, gotów uznać absurd. Nie wiem, za kogo rennie Gantenbein uważa. Nie dzieli nas poglądy i sposób pojmowania, dzieli tylko ta popielniczka, której on nie widzi, i wszystko inne. Czy bogactwo mnie zmieniło? Nie jest nowością, że mam smak; tylko że dawniej nie mogłem go urzeczywistniać. Więc co? Dołączył się do niego smak mojej małżonki... Ale przecież Gantenbein, nic nie mówi, chwali tylko burgunda. To mnie cieszy. Dlaczego nie miałbym mu posłać całej skrzynki? Sprawiłoby mi to przyjemność, byleby, mnie źle nie zrozumiał. To tylko nawiasem. I ja uważam, że jest chłodno, że czas zapalić w kominiku. Dziwię się, że zapalki, które wyjmuję z niefrytowej szkatułki, są w dalszym ciągu z drzewa; również jodłowe polana i bukowe szczapy, które

układam warstwami w palacowym kominku, są ze zwyczajnego drzewa i śmiesznie tanie; w ogóle taniść poszczególnych przedmiotów wciąż mi przypomina o pieniądzach —

Potem zjawia się moja małżonka.

Wygląda na to, że niezupełnie wierzy w ślepotę Gantenbeina, co stwarza między nami pewne napięcie; jeżeli o mnie chodzi, to wierzę, że Gantenbein nie widzi jej biżuterii; w każdym razie nie daje tego po sobie poznać, jak gdyby był już do tego przyzwyczajony, tak samo jak ja.

Mówię o swojej pracy.

Pracuję dużo: nie po to, żeby stać się bogatszym. Ale to nieuniknione. Wszystko, czego teraz tknę, wzbogaca mnie. Wydaję przy tym tyle, ile tylko potrafię wydać w ramach rozsądku. Kupuję wzgórze w Ticino, zatokę koło Malagi, las w Austrii. Zatrudniam adwokata, który się na mnie wzbogaca, chce więc czegoś dokonać, tak że i mnie wzbogaca, i nie jest jedyny, wszyscy pragną mnie wzbogacić. Pieniądze, nie mogę tego zmienić, w innym kierunku się toczą; płyną do mnie. Po co mi wzgórze w Ticino, które raz tylko obejrzałem? Trawę podarowałem pewnemu staremu wieśniakowi, aby ją sobie skosił, to samo zrobiłem z kasztanami, których nie potrzebuję, i z borówkami. Co jednak czyni to wzgórze? Potraja swoją wartość. Nie może na to poradzić nawet najskromniejszy tryb życia; mógłbym chodzić w worku i posypać głowę popiołem, kiedy jestem sam, jadłem parówki i sałatkę z kartofli, pracuję nie tylko pięć dni w tygodniu, jak moi pracownicy, ale sześć, tak, nawet w nie-

dzielę i, często do późnej nocy; nie zmienia to faktu, że staję się coraz bogatszy. A może mam grać w golfa? — Oczywiście nie mówię tego głośno, myślę tylko, kiedy opowiadam o pracy, co nudzi moją małżonkę, ponieważ to zna. — Za dużo pracujesz.

Ale przecież mówię do Gantenbeina, żeby mnie zrozumiał. Dlaczego milczy? Zmusza mnie tylko do tego, żebym sam wiedział wszystko, co przemilczam. Dlaczego nie powie, że to wszystko, od Matisse'a w hallu począwszy, a na platynowym zegarku mojej żony skończywszy, przyprawia go o mdłości?

Przestaliśmy być przyjaciółmi.

Napełnia mnie to smutkiem.

Choć gra rolę ślepego, wieczór nie będzie przyjemny, a potem, kiedy odwożę go na dworzec, biorę naszego volkswagena, nie nowego jaguara, żeby nie słyszał zmiany w naszym życiu, na wypadek gdyby naprawdę był ślepy.

Gantenbein odbiera mi pewność siebie.

Pytam samego siebie, czy go lubię...

Rozmowa z Burrim po partii szachów, którą przegrałem, o kobietach, pozornie o kobietach, a właściwie o mężczyznach, którzy sprawiają wiele zła, biorąc kobietę za poważnie —

Burri (o ile go zrozumiałem):

Mężczyzna, który cierpi z powodu kobiety, jest sam sobie winien... Co czyni mężczyzn niewolnikami : ich pogarda w stosunku do kobiety, do czego

się nie przyznają; muszą ją więc gloryfikować i udają ślepych; kiedy ich rzeczywistość pouczy, biegną do następnej, jak gdyby ta następna nie byk także kobietą; nie są w stanie oderwać się od swego marzenia... Pogardzają ich biernością, ich kokieterią, jeszcze i wtedy, kiedy chodzi o zupełnie inne sprawy, nieustannością ustalania swojej pozycji w układzie kobieta-mężczyzna — wszystkie inne' zainteresowania okazują się pretekstami, maskowaniem się, interludiami; pogardzają ich nienasyconą potrzebą miłości, ich przyzwyczajaniem się do tego, że się je obsługuje (zapalki), że mają zawsze pierwszeństwo, jeżeli chodzi o rozczarowanie, w ogóle ich pociągami do wyrzutów, przy czym muszą ten wyrzut odgadywać, ich umiejętnością milczenia — chcą i potrafią pozostawać nieprzeniknione, nawet dla siebie samych; mężczyźni gardzą kobiecym kunsztem znoszenia wszystkiego, ich sztuczką uchodzenia zawsze za ofiarę, ponadto ich okropną umiejętnością pocieszenia się w każdej chwili, ich napadami flirtu, nawet kiedy są jeszcze szczęśliwe, ich gotowością i przebiegłością w pozostawianiu mężczyźnie tego, co się stało, a kiedy mężczyzna, aby działać, chce wiedzieć, jaka jest jego rola, pozostawianiem mu decyzji, a przez to przesądzaniem z góry jego winy; pogardzają obraźliwością kobiet w ogóle, ich potrzebą opieki i bezpieczeństwa, a przy tym upiorną chwiejnością, krótko mówiąc: ich czarem... Mężczyzna zachowuje się tym bardziej po rycersku, im więcej pogardy ma do ukrywania... Różnica biologiczna: kobieta może obcować w ciągłej jednej

nocy z dziesięcioma mężczyznami, mężczyzna nie dokona tego z dziesięcioma kobietami; on musi odczuwać pożądanie, jej to nie jest potrzebne; dlatego ' możliwe jest istnienie dziwki, niemożliwe — jej męskiego odpowiednika. Kobieta, zmuszona próżnością męską do komedianctwa, odgrywa swoje rozplywanie się w rozkoszy, nawet jeżeli jej nie odczuwa, mężczyzna nigdy nie jest pewny, co kobieta wtedy przeżywa; mężczyzna wydaje się na łup, nie kobieta, i to czyni go podejrzliwym... Kobieta jest człowiekiem, zanim się ją pokocha, czasami również potem; jeśli się ją pokocha, staje się cudem, a więc czymś, czego nie można zachować —

— Tak — mówię. — Grajmy dalej.

— Mam rację? — Zgadzasz się ze mną?

— Niezupełnie — odpowiadam. — Twój ruch.

Burri po zrobieniu ruchu:

— Co się tyczy twojej Liii...

— Mojej?

Mój ruch.

— Aha — mówi Burri — aha!...

Zmieniam zawód Liii.

(Teatr mi obrzydł).

Lila nie jest z zawodu aktorką, lecz pracownicą naukową, lekarką. Lila w białym kitlu roboczym, asystentka w instytucie rentgenologicznym uniwersytetu, wszystko wygląda zupełnie inaczej, Lila jest powabna, ale nie jest brunetką, ma włosy jasne, jej inny sposób wystawiania się chwilami przeraża Gantenbeina, przynajmniej z początku

ledwie ją może poznać: wypowiada to, eo aktorka przemilcza, milknie tam, gdzie aktorka się wypowiada, przesunięte poczucie wstydu, inne zainteresowania, inny krąg przyjaciół, przede wszystkim jednak jej słownictwo, tak różne, że wszystkie rozmowy między Lilą i Gantenbeinem trzeba przeprowadzać raz jeszcze, zaczynając od pierwszego pocałunku. Tylko jej utensylia w łazience, które Gantenbein widzi, pozostają te same — Albo:

Lila jest contessą, katoliczką, wenecką contessą, morfinistką, jada śniadanie w łóżku, obsługuje ją lokaj w niebieskiej bluzie. Ma oczy barwy wilczych jagód. Jej słownictwo jest znowu inne, podobnie jak krąg przyjaciół, uważających Gantenbeina za niewidomego; scenerią jest palazzo. Jej utensylia w łazience, które Gantenbein widzi, pozostają te same.

Notabene:

Gantenbein pozostaje ten sam.

Nowe czasopismo ukazało się, jako wydawca figuruje Enderlin, pierwszy numer nie jest zły, stał się nawet sensacją, ale pozostaje przy tym, że porzuciłem Enderlina.

Lila jako contessą:

(dlaczego nie mogłoby być i tak)

Jest naprawdę contessą, od-stuleci nieprzyzwyczajona do tego, aby na nią krzyczano; nigdy

zresztą nie wpadłbym na pomysł podniesienia na nią głosu, gdyby ciągle nie mówiła, żebym na nią nie krzyczał — a spytałem ją tylko, czy nie słyszała gongu. Było to na początku naszego szczęścia; odkąd wiem, jaka jest wrażliwa, jak łatwo ją przestraszyć, jaki ma wyostrzony słuch na podton takiego pytania, nigdy już nie pytam, czy słyszała gong. Po prostu czekam, aż się zjawi przy stole. No cóż, nie ma poczucia czasu, natomiast ma poczucie i zrozumienie wielu innych rzeczy, naprawdę ważniejszych; na przykład poczucie stylu. Nie tylko weneckie meble, nie tylko jej słownictwo, które obywa się bez jednego jedyne go wulgarnego słowa, a przy tym potrafi wyrazić wszystko, czego nie chce zataić, nawet jej milczenie ma styl; jest nie do pomyślenia, żeby ktoś mógł ją traktować nie jak contesse. Nawet ci, którzy się z nią stykają, nabierają stylu. Widzę to raz po raz. Zauważam nawet u Gantenbeina; nie jest conte, ale zachowuje się tak, jakby nim był: nawiasem mówiąc, nigdy jeszcze nie widziałem prawdziwego conte, który by się zachowywał jak hrabia. A więc czekam.

Nie czekam na obiad. Czekam tylko dlatego, że jest pora obiadowa. Czekam na contesse, która ze względu na porę obiadową może zjawić się w każdej chwili. Kiedy czekam, nie mogę pracować. Czekam więc: nie na contesse, lecz na moment, w którym się zjawi od strony loggi albo zejdzie po schodach... Może śpi jeszcze i nie słyszała gongu. Dla zabicia czasu mógłbym opisać już teraz, jak się zjawi od strony loggi albo zejdzie po schodach: w szlafroku, ale uczesana, w szlafro- >

ku albo w spodniach, dziecinnie zdziwiona, że jest już znowu pora obiadowa na świecie, żadna przyjęcia dodającego otuchy, blada, ale piękna, nieszczęśliwa ze swoimi oczami barwy wilczych jagód, będzie trzymała w ustach długą fajeczkę (bursztynową) z wetkniętym papierosem, czekającym na ogień... Czekam więc... Może właśnie się czesze... Czekam więc, nie patrząc na zegarek, próbuję zgadnąć, co robi z czasem, moim i swoim; ma inny czas, więc nic nie pomoże spoglądanie na zegarek; zegarki drażnią ją, zawsze bowiem zachowują się tak, jakby istniał jeden jedyny czas, że tak powiem: czas powszechny... Może czyta właśnie książkę, która w tym momencie stała się pełna napięcia, albo bawi się z psem, albo jest już w drodze — byłaby szkoda, gdybym teraz (wedle mojej rachuby po upływie trzech kwadransów), w ostatniej półminucie wpadł w zniecierpliwienie. Każde zniecierpliwienie, nawet opanowane, Lila odczuwa jako wymówkę, a każdą wymówkę jako krzyczenie na nią. Czekam więc i czekam, nie spoglądając na zegarek; aby nie wpaść w zniecierpliwienie, rozkoszuję się widokiem...

I tak jest co dzień.

Jeżeli jeszcze raz na nią krzyknę, powiada, spakuje walizy i zapewne nigdy już nie wróci — A przecież jesteśmy tacy szczęśliwi.

Nasz lokaj Antonio, w białych rękawiczkach, otwiera lustrzane drzwi do jadalni, małżeńska ucztą przygotowana, ponieważ jest lato, zapewne zimne potrawy, w każdym razie Gantenbein nie okazuje pośpiechu, a ponieważ wzorowy lokaj (mamy go

dopiero od miesiąca) jest oczywiście przekonany, J że Gantenbein go nie widzi, nie mówi „pronto!”, i lecz po cichu rozgląda się, czy contessa już jest, J Contessa śpi. I choć Antonio już po miesiącu i wie, że czasem trzeba na nią czekać i do trzeciej, j ciągle jeszcze nie mówi „prorito!”, lecz spogląda | na zegarek. Jest wzruszający, nie wie, że Gan- | tenbein widzi go w lustrze, wycofuje się na palcach, • zachowuje się tak, jakby była może dopiero dwunasta. Gantenbein robi to samo. Niestety, w pokoju jest barokowy zegar, który nie zataja nawet przed niewidomym, że jest już druga. Coś się musi stać. Gantenbein nie jest wprawdzie głodny, ale chciałby pracować, Antonio, który korzysta dziś z wolnego popołudnia, miał być o czwartej na boisku albo u swojej dziewczyny, to jego słuszne prawo.

— Antonio! — wołam.

Nie tylko udaje, że przychodzi z odległej kuchni, j aby wreszcie powiedzieć „pronto!”, lecz stwarza pozory, że mówi do contessy; wie, że pan się martwi, | kiedy contessa przesypia cały dzień, choć, jak się | rzekło, poczciwy chłopak jest dopiero od miesiąca | w tym domu, będącym, rzecz oczywista, renesan- j sowym palazzo.

— Lilu!—mówię—chodź-!

I robi się wszystko, żeby Gantenbein się nie | martwił, żeby nie zauważył, że znowu siada sam | do stołu; Gantenbein zdobywa się na beztroski I wyraz twarzy, w milczeniu szuka obok nakrycia | serwetki, lokaj w białych rękawiczkach, również I o beztroskim wyrazie twarzy, ponieważ uratował § swoje wolne popołudnie, nie zaniedbuje niczego, |

■ ■) - MjSJBs

aby uczynić obecność contessy, której Gantenbein nie widzi, przynajmniej dosłyszalną. Widzę, jak kolaniem przesuwają jej krzesło. Wiadomo, że ludzie ślepi mają niesłuchanie wyczulony słuch. Robi to znakomicie; łamie nawet grzankę, grissini, zanim pójdzie po zimny bulion; widzę, jak się spieszy, by nie przeciągać naszego małżeńskiego milczenia, zanim znajdzie ono usprawiedliwienie w jedzeniu. Mimo wszystko trwa ono chwilę.

— Jeździłaś konno? — pytam.

Lila milczy; śpi, zapewne, nieszczęsna, znowu zażyła wczoraj narkotyki, a ponieważ jest przekonana, że Gantenbein nie widzi jej nałogu, nie potrafi sama sobie wytłumaczyć jego skutków.

— Byłaś u lekarza? — pytam.

Antonio stoi w drzwiach, widzę go w lustrze, nieco niepewnie czeka* aby wejść; jadalnia jest pełna uroku, wszędzie gobeliny i lustra, można nawet rozmawiać z własnym karkiem; nie wiem, dlaczego Antonio skubie swoje białe rękawiczki i ociąga się.

— Cóż powiedział lekarz?—zapytuję.

Teraz Antonio wnoszą filiżanki, rzecz jasna, że contessa, nawet gdyby była obecna, nie opowiadałaby w obecności lokaja o rezultacie badania lekarskiego; milczenie stało się więc znowu naturalne. Dodaje to również pewności siebie Antonio. Pierwszą filiżankę, stawia, jak należy, na talerzu śpiącej contessy, dostatecznie głośno, aby Gantenbein usłyszał. Ten syn biednego rybaka, przybrany w białą kurtkę ze złotymi galonami, robi to naprawdę wspaniale; podczas gdy Ganten-

bein siorbie zupę, Antonio pozostaje w jadalni. W obecności lokaja niechętnie się rozmawia. Brakuje tylko, żeby łyżeczką uderzał o jej filiżankę. Nie robi tego, słycać tylko, jak Gantenbein łyka zimny bulion; contessy nie przetykają głośno... Ale co dalej?

Mam nadzieję, że Lila nie zjawi się teraz, po-pędzam Antonia, ale przychodzi kolej na rybę i Gantenbeinowi nie pozostaje nic innego, jak rozebrać wspaniały okaz; aby uwolnić Antonia od wątpliwości, czy Ganteinbein jest naprawdę ślepy, pytam go o nazwę ryby, o ich ilość w wodach weneckich, w ogóle o wszystko, co ma związek z rybołówstwem, o sposób zarzucania sieci, o ceny, o nędzną egzystencję rybaków. Nie tylko to, co na ten temat wie Antonio, syn rybaka, jest zajmujące, ale i piękne jest, jak Antonio raz po raz udaje, że jego słów słyca także contessa, której nie tknięta ryba stygnie na porcelanowym talerzu. Oczywiście Gantenbein nie może rozmawiać tylko z lokajem, sprawiałoby to wrażenie małżeńskiego nieporozumienia, szczególnie teraz, kiedy lokaj wychodzi, Gantenbein musi rozmawiać, dopóki Antonio nie zjawi się z serami. O czym? Mówię o komunizmie i antykomunizmie, co, jakiegokolwiek by się zajmowało stanowisko, nie wywołuje kontrargumentów, gdyż są one znane i właśnie zostały odparte. Nie rozprawiam też nieprzerwanie, od czasu do czasu ułamuję kawałek grissini albo piję łyk wina; nie zachowuję się, jak opozycyjni mówcy, w Kongresie amerykańskim, natomiast mówię lapidarnie i z przekonaniem, tak by milczenie

contessa było zrozumiałe. Co o tym myśli Antonio, . **tory** zapewne słucha z pokoju kredensowego, niewiele mnie obchodzi; Gantenbein mówi do Liii, której brat jest zdecydowanym komunistą. Jeżeli Antonio słucha, musi zauważyć, że u ludzi, których obsługuje, mowy nie ma o pysznieniu się swoim stanem, w każdym razie nie wobec ubogiego syna rybaka; jesteśmy we Włoszech. Zapewne ten i ów conte jest faszystą i wskutek tego człowiekiem rozgoryczonym; ale wybitni członkowie rodzin nie są faszystami, wręcz przeciwnie. Arystokracja (we Włoszech), przejawia się raczej w tym, że nie podziela się mieszczańskiego strachu przed komunizmem, który, jak każdy lęk masowy, ma w sobie coś wulgarnego. Gantenbein mógłby zatem mówić zupełnie szczerze, nawet gdyby contessa była obecna, a więc nie uderza, że jej nie ma, kiedy on mówi i mówi. Co ten Antonio robi tak długo? Kiedy się mówi i mówi, nie słysząc sprzeciwu, człowiek zaczyna przeciwstawiać się sobie samemu; to niemal nieuniknione. Komu jednak Gantenbein ma się przeciwstawić, jeżeli contessa śpi? Przeciwstawia się jej bratu. Uważa za groteskowe, że Dino, ten młody właściciel wielkich posiadłości ziemskich, jest komunistą, i to nawet nie romantycznym, o nie, Dino to młodzieniec o bystrym umyśle, wygląda ze swoimi lokami jak bóg pogański, może, Hermes, który o nic się nie potyka, trzyma się swego katolickiego wychowania, a tego, że conte (tytułuje tak samego siebie jedynie przy starciach z policją) jest komunistą, nie zauważa nawet jego służba. Dino nie

należy do proletariatusy z podniesioną pięścią, |
Dino śmieje się dyskretnie z ludzi, którzy potę- j
piają strajk jego robotników rolnych, nie wygłasza |
kazań, nie jest ze swoim komunizmem natrętny, |
rozumie go tylko, jest jednym z niewielu, którzy I
mogli sobie pozwolić na studiowanie komunizmu, I
służy komunistom właśnie tym, że się zachowuje I
jak kapitalista. O nie, Dino nie jest marzycielem, I
wie, że świata nie da się zrewolucjonizować pry- i
watnie podejmowanymi akcjami — można by na I
ten temat wiele powiedzieć i Gantenbein naprawdę- a
nie widzi, że ser dawno już został podany; lokaj l
trzyma tacę rękami w białych rękawiczkach i ma i
taką minę, jakby nie słuchał rozmowy. Gorgonzola I
czy mozzarella? Gantenbein kiwa tylko głową,
nie przerywając rozmowy z contessa, która śpi,
Antonio znowu napełnia jego kieliszek.

— Tak — mówię. — Może nie mam racji?

Milczenie.

Gantenbein mówi dalej, widzę, jak Antonio
znowu ujmuje kieliszek śpiącej contessy, aby wypić
jego zawartość; inaczej nie mógłby znów nalać,
rozumiem, i kiedy potem napełnia kieliszek, czyni
to z pewnej wysokości, aby Gantenbein słyszał
bulgotanie.

Czy sądzi naprawdę, że Gantenbein nic nie
zauważa?

A może Gantenbein tylko wierzy, że lokaj w to
wierzy?

Później, przy czarnej kawie podanej w loggii,
cała ta gra właściwie nie byłaby już potrzebna;
Antonio ulotnił się, spełniwszy swój ostatni óbo-

wiązek, polegający na nalaniu kawy cd dwóch drogocennych filiżaneczek. Dokonując tego, nawet udzielił nieobecnej contessie krótkiej odpowiedzi; mogłoby się przecież zdarzyć, że Gantenbein nie dosłyszał jej pytania w związku z trzepotaniem się gołębi, ponieważ contessa zawsze mówi cicho.

— Come no, contessa, come no!

Zdolny chłopiec.

— Come mai — śmieje się — come mai!

Tej drugiej odpowiedzi udziela już z oddali, widzę, jak ściąga z rąk białe rękawiczki; nigdy by tego w obecności contessy nie zrobił. Potem ulatnia się, ale teraz Gantenbein naprawdę nie tylko ze względu na lokaja rozmawia z contessa, która wciąż jeszcze śpi, ponieważ zażyła narkotyku, a zażyła go, bo jest nieszczęśliwa.

— Lilu — pytam — dlaczego jesteś nieszczęśliwa?

Na szczęście Gantenbein nie słodzi kawy, contessa wie o tym, a więc nawet kiedy nie podaje mu cukru, nieobecność jej nie uderza.

— Czyż nie jestem mężczyzną? — pytam.

Gantenbein pali przy tym cygaro, spogląda na Canale Grande, który również może człowiekowi zbrzydnąć.

— Czy to ja cię unieszczęśliwiam?

Contessa milczy, więc przynajmniej na to pytanie udzielona została odpowiedź. Szczerść rodzi szczerść. Prawda jest bolesna, ale, rzecz jasna, chciałoby się teraz wiedzieć coś dokładniejszego. Jeżeli, to już. Sam na sam z cennymi filiżaneczkami, których zawartość, obu, Gantenbein, zanim zacznie

mówić dalej, wypija, pytam, czy i jak dalece uściski innych mężczyzn są inne; na pytanie to żadna kobieta o jakim takim smaku nigdy by nie odpowiedziała, a więc milczenie znowu nie oznacza, że contessa nie jest obecna. Weneckie gołębie gruchają.

— Lilu — mówię — tak dalej być nie może!

Nie pyta:

— Jak to? Co masz na myśli?

Nie jest obecna, ale to nie uderza; nawet gdyby tu była, zapytana, milczałaby zawzięcie. Pytam wreszcie bez ogródek:

. — Co jest właściwie z Nilssem?

Milczenie.

— A może to ktoś inny? — zapytuję. Po raz pierwszy mówimy tak szczerze, a przy tym zupełnie spokojnie; nie może powiedzieć, że na nią krzyczę, więc milczy, podczas gdy Gantenbein się uśmiecha. Delektuję się jego spokojem, męskością, jego ślepą gotowością spojrzenia w oczy każdemu faktowi, pytam raz jeszcze: — A może to ktoś inny?

Nie ma odpowiedzi.

— A więc kto to jest? — pytam.

Rozumiem jednak, że nie może na to odpowiedzieć; to Gantenbeina nie obchodzi. A może ciągle jeszcze boi się, żebym na nią nie krzyczał? Tylko żeby coś powiedzieć, a przy tym zademonstrować przed Gantenbeinem spokój, mówię po chwili, przy wtórze gruchania słynnych gołębi weneckich:

— Zawsze myślałem, że to Nils.

Wypowiadał jego imię po raz pierwszy, przygotowany na to, że contessa spakuje walizki, żeby prawdopodobnie nigdy już nie wrócić, i to jeszcze dziś, nawet jeżeli nie pójdzie do Nilsa, bo to już dawno minęło, co jest w pewnym stopniu zabawne, ale nie do śmiechu, w każdym razie contessa nie śmieje się, a ponieważ Gantenbein, sam w weneckiej loggii, wypowiedział już to imię, nie mogę nie wyznać: — Kiedyś przeczytałem list z Danii — Co ma contessa na tę potworność odpowiedzieć?— Contessa, która śpi...

Rozmowa z Burrim o naszej niedawnej rozmowie; byłbym przecież rad wiedzieć, jak on widzi „moją” Lilę. Mówi o niej z szacunkiem, który mi pochlebia. A równocześnie przestraszyłem się. Kiedy Burri odszedł, siedziałem jeszcze godzinami, jak wypchana kukła, z brodą opartą na złożonych rękach. Mówił o niej (nawiasem mówiąc, krótko) jak o prawdziwym człowieku, a jestem chyba jedynym człowiekiem, który jej nie widzi.

Lila jako aktorka:
(Dopisek).

Jej zachwycająca zabawa z fartuszkami, kiedy przychodzą goście, i jeszcze żaden z nich nigdy jej nie przejrzał, nawet trzeźwy spryciarz Burri, a Lila zapewne sama w to wierzy — na kwadrans j przed przyjściem gości wróciła do domu, śmiertel-

nie wyczerpana próbą z Makbeta, która odbyła się przed południem, teraz jest wieczór, opadła na fotel, by natychmiast, mimo śmiertelnego-wyczerpania, przeczytać nowe magazyny, nie zdjęła płaszcza, nie patrzy na stół, który tymczasem nakrywa Gantenbein; może się zdać na niego. Co najwyżej pytanie, rzucone w ostatniej chwili: — Pomyślałeś o majonezie? — Pomyślał. To szczęście, że goście przeważnie się spóźniają; ostatecznie Lila musi się jeszcze uczesać, Gantenbein pomyślał nie tylko o majonezie, ale nawet o chlebie, co nie zwraca uwagi, jeśli chleb jest. Lila zamówiła homara, którego już dostarczono, niczego zatem nie brakuje. Jest dumna z pięknego homara, jaka szkoda, że Gantenbein nie może go zobaczyć, jest taki piękny; zamówiła i wybrała go telefonicznie. Istne cudo, purpurowy homar, który myśli o wszystkim; nie tylko o majonezie, lecz i o odpowiednim do niego winie, o zimnych mięsach, gdyby go ktoś nie lubił, o owocach, które później, kiedy jego skorupa znajdzie się w kubie, powitane będą z radością. Na szczęście, jak już mówiliśmy, goście zawsze się spóźniają, więc Lila, czesząc się, może poinformować ślepego Gantenbeina, kto przyjdzie; przecież w każdym towarzystwie bywają zawsze ludzie, którzy nie dochodzą do głosu, i powstaje niemila sytuacja, kiedy Gantenbein uważa, że można mówić o tych osobach, jako o nieobecnych. Jest więc rzeczą nieodzowną, aby zapamiętał sobie listę nazwisk. Kiedy wreszcie rozlega się dzwonek. Lila, choć już najstaranniej uczesana, nie może otworzyć drzwi: jest to chwila,

w której na przyjęcie gości musi się przystroić w fartuszek. Gantenbein przydziela teraz każdemu nazwisko, które zapamiętał, i do każdego nazwiska fotel. Lila nie ma właściwie czasu na powitanie, goście nie mogą wyjść ze zdumienia: lady Makbet w kuchennym fartuszk! Są wzruszeni, wszyscy chcieliby pomóc z wyjątkiem Gantenbeina, który wie, że wszystko już jest zrobione.

— Ależ — mówi Lila — ja sobie poradzę!

Nie ma nawet czasu na wypicie aperitif.

— Zrobię sama wszystko! — powiada.

Zadanie Gantenbeina polega wtedy na podzieleniu zachwyty gości, a co najmniej nieprzeszkadzaniu mu, tymczasem Lila uwija się w fartuszk, wchodzi, wychodzi, wchodzi, Gantenbein czuje się jak pasza. Podczas gdy goście, popijając whisky, są pełni zachwyty, a zarazem wstydzą się, że sprawiają tyle kłopotu wielkiej artystce, Lila przygotowuje w kuchni sałatę, którą Gantenbein dla pewności już przedtem wyplukał. Gantenbein siedzi w bujającym fotelu, z założoną nogą na nogę, jak pasza. Miejmy nadzieję, że Lila niczego nie zapomni. Jest zaafierowana, ale jej z tym do twarzy. — Niestety, nie ma cytryn — powiada — wielka szkoda. — Cytryny są w kuchni, ale Lila ich" nie widzi i naprawdę szkoda. Później, aczkolwiek niechętnie, zdejmuje słynny fartuszek. Od tej chwili Gantenbein wie, że może robić wszystko, nie zacierając pierwszego wrażenia; przynosi cytryny itd.

Zmieniam raz jeszcze:

Lilia nie jest ani contessą, ani aktorką. Nie rozumiem, jak mogłem wpaść na ten pomysł. Lila jest po prostu kobietą, mężatką, żoną człowieka, z którym miałem się spotkać wtedy w barze. Ma trzydzieści lat. Nie zażywa morfiny, nie jest katoliczką; nie ma żadnego zawodu. Kobieta fascynująca; nie trzeba mi tego mówić, jak gdybym • sam nie wiedział. Dlaczego miałaby wykonywać jakiś zawód? Może jako młoda dziewczyna studiowała kiedyś medycynę, nawet zdała pierwsze egzaminy, potem przyszło małżeństwo, albo chodziła do szkoły teatralnej, nawet przez jedną zimę grała w otoczeniu wybitnych nazwisk; wszystko jest całkowicie możliwe i całkowicie nieważne. Może tego zaniechać, jest kobietą. Czuje się niezależna również bez własnych dochodów. W przeciwnym razie byłaby w każdej chwili gotowa do jakiegokolwiek pracy, nie musiałaby cierpieć biedy ani nosić własnoręcznie szytych sukni; przy swojej znajomości języków mogłaby w każdej chwili zacząć pracować jako sekretarka, na przykład w wydawnictwie, nie w handlu albo w instytucji opieki społecznej, w jednostajnym szeregu z innymi; najchętniej w wydawnictwie, mówi, jako redaktor. W każdej chwili byłaby gotowa. To jednak zbyt cenne, ponieważ jest mężatką. Czasami wręcz tęskni za pracą, za zawodem, który stał się zbyt cenny. Nie jest gospodynią. Woli czytać. Ma własny samochód, gdyby go nie miała, nie czułaby się niezależną, to dar męża, który dobrze zarabia. To dotychczas jej pierwsze małżeństwo. Jest zdrowa, nawet

mocna, a przy tym drobna, tak że człowiek chętnie odczuwa tkliwy lęk o nią; dziecięca gruźlica została wyleczona, Lila wspomina o niej rzadko, domagając się, by ją oszczędzano, tylko w razie koniecznej potrzeby. Nie jest niezaradna (jak contessa), ambitna (jak aktorka), ale i ona, jak już mówiliśmy, nie należy do dobrych gospodyń; jest na to zbyt uduchowiona i nie daje sobie wmówić przez mężczyzn, że kobieta musi mieć wrodzone zdolności właśnie do tych robót, które są dla mężczyzn zbyt trudne. Jest kobietą, ale nie poddaną, a więc kobietą całkowicie nowoczesną, kobietą moim zdaniem wspaniałą; jedną z pierwszych kobiet naszego stulecia, która bez ceregieli przyznaje się sama wobec siebie, że właściwie nic jej nie ciągnie do wykonywania
zawodu.

P.S.

Nie wiem, jak jej mąż się dowiedział, albo się dowie, że Lila mnie kocha, i nic mnie to nie obchodzi. Nie znam tego Svobody. Nie z mojej winy nie spotkaliśmy się wtedy w barze. Sądząc z nazwiska, Franciszek Svoboda jest Czechem. Nie wiem, jak zachowuje się Czech, kiedy kobieta, którą on kocha, kocha innego —

Wyobrażam sobie:

Są goście, pije się, gawędzi, Svoboda taki jak zawsze, opowiada o Londynie, Lila taka jak zawsze, goście ożywieni, Svoboda otwiera butelki, mówi się o pierwszeństwie Rosjan w kosmosie, Lila ma na sobie żółty kostium (minął dokładnie miesiąc od naszej pierwszej nocy) albo inny, którego jeszcze nie znam, goście uważają, że wygląda olśniewająco,

któs mówi właśnie o operze, na którą Lila niestety się spóźniła, i choć Lila niezupełnie zgadza się z zasadniczymi argumentami, które wypowiedziałem przeciw operze, uważa je w każdym razie za pogląd, który można wpleść w rozmowę, aby nie rozmawiać o tamtym wieczorze, lecz zasadniczo: nikt nie wie oczywiście, czyj to właściwie pogląd, ale poglądu tego Svoboda nie może po prostu zlekceważyć. (Rozumie się samo przez się, że opera w tym kształcie, jaki jej nadał Mozart, jest cudowna i nie do zaatakowania, ale nie mówiłem o Mozarcie, chodziło mi o dzisiejszą operę). Svoboda jest dziwny, wręcz rozdrażniony, Jakby mój pogląd obrażał go osobiście; aby ten pogląd obalić wobec wszystkich gości, nakłada płytę: „Don Giovanni”. Lila promienieje, zachwycona nie tylko Fischer-Dieskauem, choć jest wspaniały, ale przede wszystkim Zerliną, jedyną osobą w całej tej zwariowanej historii, mającą po prostu rację, tak, nie robiącą z tego tragedii, gdyż natura jest po jej stronie, jedyną prawdę wyzwoloną, co też znajduje wyraz w muzyce. Jeden z gości, wzbogacony interpretacją Lili, musi jej przyznać rację, kiedy ten fragment zostaje powtórzony. Później rozmowa na temat ludzi... O trzeciej nad ranem Svoboda, który już spał, budzi się, nie zapala światła, ma wrażenie, że padł strzał. Ale panuje cisza. Jak gdyby się ktoś włamywał. Ale nie ma nikogo, tylko Lila i Svoboda.

— Śpisz?

— Bo co?

— Nie wiem — mówi Svoboda — jestem zrozpaczony.

Lila milczy.

— Jestem zrozpaczony — powtarza. — Słyszysz? "Lila milczy.

— Mam wrażenie — powiada — że musisz mnie opuścić.

— Co też ty mówisz?

— Musisz mnie opuścić.

Trudno to powiedzieć, świadomość, której niczym nie można uzasadnić, nawet nie podejrzeniem, po prostu pewność, która nagle wtargnęła. Może za dużo wypił, no, na to są przecież pastylki, nie ma ich natomiast na jej promienność wobec gościa; to go obudziło. Jak jakiś sen.

— Jak to opuścić?

Uczucie, że Lila nosi maskę, ma właściwie już od paru tygodni. Od kiedy? Nie dopuści do tego, by do noszenia maski zmuszała Lilę jego obecność; to musi być jego wina; nie można żyć obok niego.

— Weź środek na sen — mówi Lila.

Kiedy zapala światło, Svoboda ma wrażenie, że to była mara; nie chce, żeby go Lila obsługiwała, sam przynosi sobie wodę i nic już nie mówi; istotnie pił zbyt wiele.

(Śpię).

Kiedy i Svoboda zapada już w sen, a w każdym razie już nie odpowiada, Lila mówi w ciemnościach, że napisała do niego list, tak, do Londynu, ale go nie wysłała, jutro, jeżeli zechce, będzie go mógł przeczytać, teraz powinien spać...

Wyobrażam sobie:

Następnego dnia Svoboda, pochłonięty sprawami zawodowymi, nie ma wewnętrznego spokoju, aby pomyśleć o rozmowie prowadzonej w półśnie, zapomniał o niej, wstydzi się, w każdym razie nie dopomina się o list, ale Lila nie wierzy, że o wszystkim zapomniał; jej pogodna i całkowicie wyzbyta przebiegłości otucha, że Svoboda nic nie podejrzewa, rozwiła się. Niestety. Choć Svoboda niczego nie żąda i zbyt sobie sprawę ułatwia, Lila czuje się zmuszona do tej rozmowy...

Wyobrażam sobie:

To błąd z jego strony, że wręczenie wymienionego listu następuje właśnie w restauracji, a więc w chwili, kiedy jest się z obu stron eskortowanym przez kelnerów i obserwowanym przez gości, którzy, nawet śmiejąc się i dłubiąc homara, mają uszy; to jego błąd, bo właściwie Lila nie chciała wyjść z domu, a może również jego szczęście, że nie otrzymał listu w Londynie i tam go nie przeczytał, lecz tu, w restauracji, gdzie Svobodę znają; ryba jest doskonała jak zawsze. Szkoda, że Lila nie ma apetytu, kelner także wyraża żal. Lila pali, Svoboda nie może po prostu odłożyć sztućców, mija więc chwila, nim zacznie czytać list nad talerzem, poważnie, ale bez szczególnego napięcia, nie zapominając przy tym o salacie; pierwszą stronę listu już zna: mniej więcej to samo co w innym liście, który wysłała, koleżeńskie zainteresowanie, życzenia dobrej podróży, troska o stan jego żołądka, informacje. Właściwie czuły list. Dlaczego go nie wysłała? Lila pali, Svoboda nie może oderwać się od ryby, bo miałby zaraz kelnerów na karku.

Czyta: „Jak zawsze, bardzo cię kocham, chciałabym tylko, żebyś odnosił się do mnie jak zawsze, nawet jeśli jest we mnie jeszcze inne uczucie”. Co to obchodzi kelnera? Svoboda zamawia jeszcze raz wino, aby się pozbyć kelnera, przeczytać kilka linijek i zrozumieć, dlaczego właściwie, jak to list mocno podkreśla, nie ma powodu do niepokoju. Zjawia się wino, kelner nalewa, przychodzi drugi, aby zabrać talerz Svobody, który nie może już czytać listu nad talerzem; mimo to trzyma go nadal tak, jak przedtem, zanim doczyta do końca, przerwawszy jeszcze lekturę, żeby zapalić papierosa. Zdaje się, że za wiele oczekuje. Nie ma powodu do niepokoju: „Powiedziałabym ci, gdyby się coś między nami zmieniło”. Tu list się urywa, a kelner zmiata ze stołu okruszyny. List jest właściwie miły. Co na deser? Wiśnie. Ale czyją własnością jest teraz ten list? Leży jeszcze obok popielniczki. Czy Svoboda ma go włożyć do kieszeni, czy też zwrócić Liii? Wiśnie mają tę zaletę, że pochłaniają uwagę jedzącego; wiśnie, do tego jeszcze papieros, jak tu można jeszcze mówić? Wygląda na to, że Svoboda naprawdę trzyma się treści listu, nie ma powodu do niepokoju, Lila ubolewa teraz, że w ogóle mu list pokazała, Svoboda płaci, kupuje gazetę, którą przegląda od razu na ulicy, jakby odczuwał potrzebę nowin, kawa w barze, Svoboda przechodzi do porządku dziennego, Lila odczuwa ulgę, nie dowierzała Svobodzie, że się zachowa właśnie tak, jak by chciała — stoi oto przed nią i popija kawę; spokojny, ale nie niemy, nie zamknięty w sobie, zamyślony, ale uprzejmy, od

czasu do czasu rozgląda się, nie obojętny, ale uważny wobec Liili, która patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

(Jakby mnie nigdy nie było).

Może pójść teraz do kina...

(Czekam na próżno na jej telefon).

A potem do domu...

Wyobrażam sobie:

Svoboda, wysoki Czech, ale o łagodnym głosie (nie miękkim, lecz łagodnym), coraz pewniejszy siebie po odpięciu górnego guzika koszuli i rozluźnieniu krawata, człowiek, który nigdy nie zrozumie, kiedy mu się powie, że jego dobroć (nie jest wyrazem jego woli, lecz wrodzona) tyranizuje, krótko mówiąc, Svoboda — nie wiem dlaczego, zanim uzyskam dowód, że jest przeciwnie, wyobrażam sobie, że ma oczy wodnistoszare i krzaczaste, plowe brwi — a więc Svoboda, wróciwszy z kuchni, skąd przyniósł lód, aby przyrządzić Liili whisky, mówi niemal żartobliwie, nie sarkastycznie, ale jak do dziecka, które zbiło szybę i przerażone milczy, jak gdyby tej szkody nigdy już nie można było powetować.

— A więc — powiada — jak sprawa stoi? A przecież wszystko zawarte jest w Uście.

— Nie ma już wody sodowej — mówi.

Przecież wszystko zawarte jest w liście, tak uważa

Lila, która, aby uniknąć jego drażliwych pytań, podnosi się i po bezładnym poszukiwaniu stwierdza, że istotnie nie ma wody sodowej, i nawet notuje sobie, że trzeba ją zamówić. Svoboda stoi ze szklanką w ręku, przez chwilę wygląda na to, że zajmuje go poczta, ale nie otwiera jej, spogląda tylko na

nadawców, trzyma listy w ręku, jakby chciał odejść do swego pokoju, pije.

— Mów wreszcie! — powiada.

Czego on chce? Co mu jest?

— Napisałaś — mówi — że jest w tobie inne uczucie —

Pauza.

— Bardzo kogoś kocham — mówi Lila.

Pauza.

Jej twarz nie jest ekstatyczna, tylko obca, głos rzeczowy. Bardzo kocham. Twarz jej świadczy o tym. Bardzo kocham. Jej szczerzy wyraz pokrywa się z prawdą; nie ma więc nic do dodania.

Dlaczego Svoboda kładzie pocztę na stole? Mija chwila, zanim, nabijając fajkę, powoli uświadamia sobie, można by powiedzieć z echa, które w nim pobrzmiewa, że niewinność jej wyrazu twarzy nie ma w sobie nic z chytrze oszczędzającego bagatelizowania sprawy, lecz jest odpowiednim określeniem stanu faktycznego, którego powaga nie pozwala na jakiegokolwiek przesadne słowa. Svoboda, ciągle jeszcze pochłonięty fajką, patrzy na Lilę, przez mgnienie oka ma nadzieję, że chodzi o przedwczesne błędne zrozumienie z jego strony; tylko obcość w twarzy Lili czyni tę nadzieję płonną. Bardzo kocham. To wszystko. Bardzo kocham. Echo nie milknie, kiedy Svoboda zapala wreszcie fajkę; wypuszcza dym: głos jego brzmi rzeczowo, kiedy pyta:

— ■ Kto to taki?

Pauza.

— Nie chcesz powiedzieć?

— Ależ owszem — odpowiada Lila meco krnąbrnie, ale czeka. Czy on- tego nie wie? Zwleka z odpowiedzią, jakby wołała, żeby ją sam odgadł, żeby musiała tylko potakująco skinąć głową. Dlaczego jej nie pomaga? Svoboda czeka nie bez domysłów, które mu się wydają szaleństwem, i w pierwszej chwili jest rad, kiedy wreszcie słyszy jej odpowiedź:

— Nie znasz go.

Svoboda pije.

Z trudem jej to przychodzi.

Svoboda szuka zapalek, potem przepychacza, fajka nie ciągnie. Aby wrócić do swobodnego, żartobliwie-zachęcającego tonu, musi teraz coś zrobić, czymś zająć ręce, dopiero może spytać mimochodem :

— Jak on się nazywa?

Pauza.

— Enderlin.

Lila, wdzięczna, że Svoboda nie powtarza nazwiska, lecz milczy z taką miną, jakby nic już nie było do powiedzenia, podnosi się; Svoboda w dalszym ciągu pochłonięty jest czyszczeniem fajki... Z chwilą kiedy nazwisko zostało wymienione, nie trzeba już mówić, gdzie i kiedy Lila mnie spotkała; Svoboda przypomina sobie nasze rendez-vous w barze, które nie odbyło się z jego winy; może żałuje teraz, że nigdy nie zetknął się twarzą w twarz z człowiekiem, którego Lila bardzo kocha. Czekalem wtedy na Svobode. Kiedyż to było? Oblicza. Kiedy był w Londynie? Wydaje mu się, że data jest ważna. W początku marca? Podczas

gdy wpatruje się w dywan, spadają mu luski z oczu, uświadamia sobie jej radość życia od marca. A więc to go tak w ostatnich czasach uszczęśliwiało? Lila nie odgaduje jego czeskich myśli, jest już pierwsza w nocy, a ponieważ nie chciałaby usłyszeć nie-dogodnych pytań, mówi nie pytana:

— Pojedzie do Ameryki, zaproszono go, do Harvardu, jest docentem. — Co jeszcze chciałby wiedzieć? — Jak wiesz, jest wydawcą czasopisma...

Svoboda milczy.

— No tak — ciągnie Lila — co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

Mówi to tak, jakby Svoboda ją zasypywał i zadreślał pytaniami; jej wyraz twarzy drażni go, ale przez chwilę Svoboda słucha z fajką w ustach, dopóki Lila nie umilknie; po wszystkim, co mu opowiedziała o mojej karierze naukowej, nie jest przygotowana na jego zbijające z tropu pytanie:

— Spaliście już zę sobą?

Pauza.

— Milczysz? — mówi Svoboda — a więc tak.

— Tak.

Oboje są spokojni.

— Tak — powtarza Lila - ^dlaczego?... ,

— Tak — mówi on, aby usłyszeć spokój własnego głosu, ale właściwie nie przychodzi mu do głowy nic, co mógłby tym głosem powiedzieć, więc milczy, po chwili siada. Ból działa jeszcze niemal jak cielesna rozkosz. Kiedy Lila, której oczu szuka spojrzaniem, opuszcza wzrok, nie robi tego oczywiście ze wstydu, lecz czuje się dotknięta, dotknięta przez Svobodę, który wymusił na niej to wyznanie;

w tym momencie słowa zawarte w jej liście, że bardzo kocha Svobodę, nie zgadzają się z rzeczywistością. Svoboda nie wyświadcza jej jeszcze uprzejmości jakąś obrazą; z rękami w kieszeniach siedzi, jeszcze zamknięty w sobie, ale bez grymasu na twarzy; jeszcze nie daje się sprowokować do tego, by zgłosić jakieś swoje prawo, choćby to było tylko prawo do szczerości. Jeszcze ma siłę przyznać rację życiu. Jak długo? Coś jednak musi Svoboda powiedzieć. Cokolwiek. Na przykład:

— Ile ma lat?

Lila jest zmęczona.

— Nie pytaj mnie teraz o nic — mówi. — To wszystko, co ci mogę powiedzieć, Svob.

— Że go bardzo kochasz.

Niestety, czas nie stoi w miejscu; niestety, nie zapada kurtyna, dopóki Svoboda, oparłszy teraz łokieć o kolana, ze szklanką letniej whisky w ręku, w milczeniu zachowuje godność przegrywającego, choćby tylko dlatego, że nic innego nie przychodzi mu do głowy. Nawet pytanie: co dalej? — jest przedwczesne; wie tylko, że kiedyś zostanie postawione... W ogóle wie. O, tak. Ale nie czuje nic oprócz mdłego smaku whisky, rozwodnionej topniejącym lodem; trzyma jej łyk w ustach, jakby chciał nim przeplukać gardło.

.. Svob — mówi Lila — jestem straszliwie zmęczona.

Gdyby Svob nie siedział z taką miną, Lila mogłaby być teraz tkliwa i koleżeńska; to jego wina, że ona jest lodowata. Opróżnia popielniczki. Widzi, że musiało się coś stać, że nastąpił jakiś

przełom; Lila nie tylko opróżnia popielniczki, ale w ogóle robi porządek w mieszkaniu; Lila, jako gospodyni, bierze jego marynarkę, wiesza ją na ramiączku. Przeraża go to. Nigdy tego nie robiła. Jest to dowodem stopnia jej zmieszania; wydaje się, że Lila już nie wie, jakie zwyczaje panują w jej małżeństwie. A więc tak daleko już od niego odeszła? Patrzy na nią z łokciami opartymi o kolana.

— Mówiłam ci już, że dzwoniли z garażu? — mówi Lila. — W sprawie ubezpieczenia.

— Tak, mówiłaś.

— Chodzi o rachunek. Trzeba go przesłać do Zakładu Ubezpieczeń —

Svoboda milczy.

— Żebyśmy tylko nie zapomnieli...

— O czym?

Lila myśli teraz o wszystkim, nawet o urodzinach jego ojca, o gościach, którzy zapewne przyjdą, o paczce, która ciągle jeszcze leży na cle, Lila odbierze ją, i tak musi jutro pojechać do miasta, tyle ma pilnych spraw do załatwienia. Lila myśli o wszystkim i gdyby nie to, że minęła już północ, zadzwoniłaby jeszcze teraz do specjalisty od lodówek, ale i tak musi być jutro w mieście, nie ma już w domu solonych migdałków, w piątek przyjdą Hinrichsenowie, w niedzielę jest koncert poświęcony Mahlerowi. Lila odbierze oba bilety, naprawdę myśli teraz o wszystkim, nie tylko o tajemniczej paczce, która wciąż jeszcze leży na cle, i o urodzinach jego ojca, nawet o podatku od psa... życie idzie dalej — Svoboda milczy.

Svoboda przy oknie —

Zastanawia się, kiedy mógł to zauważyć. Po co? Oczywiście mógł to zauważyć. Co dzień! Zabawne jest stwierdzenie, czego nie zauważył, poczynając od faktu, że Lila, kiedy wrócił z Londynu, wręcz wypiękniała i odmłodziła; potem ten wspaniały dar na jego urodziny; przedtem już ustąpienie jej migren, jej rozmach, promienna swawolność, przede wszystkim w towarzystwie, jej inicjatywa, jej cera. Wszystko to Svoboda zauważył. Jak jakiś cud. Potem jej list do Londynu, ten inny, który naprawdę wysłała: krótki, ale miłosny. Potem brak jakichkolwiek uwag na temat opery. Jej przelotne wymienienie owego mężczyzny, z którym będący w podróży Svoboda się nie spotkał — bez komentarzy. Potem zanik jej ciekawości wobec zwykłej poczty, zaniedbania w stosunku do własnej rodziny, wyraźne interesowanie się nowym czasopiśmem, milczenie na pytanie, co o tym czasopiśmie myśli. Jej potrzeba opowiadania, kogo poza tym spotkała. Nowa fryzura. Chwiejność co do wszystkich wspólnych planów. Brak ciekawości, kogo ze swej strony mógł spotkać Svoboda, natomiast iście siostrzana radość z jego sukcesów zawodowych. Raz zastał ją przy studio-waniu międzynarodowych rozkładów lotniczych. Jej nerwowa punktualność w określonych dniach tygodnia. Wszystko to przychodzi teraz na myśl Svobodzie, dołączają się do tego pewne żartobliwe wypowiedzi, szczerze uwagi na temat mężczyzny i kobiety w ogóle, ponadto jej entuzjazm dla dość odważnego filmu, zwłaszcza sceny, w której kobieta, całowana przez męża, nogą głaszcze innego; w ogóle

jej dobry humor,, połączone z ledwo ukrywaną troską o Svobodę, kiedy siedział pogrążony w rozmyślaniach; poza tym litość nad zwierzętami więzionymi w zoo, jej uwaga na temat labędzi, które zawsze tak cnotliwie pływają parami, i tak dalej... To nie jej wina, że Svoboda nie rozumiał; nie ukrywała radości życia, to jego wina, że brał ją do siebie albo uważał za cud, poza tym był to okres szczęśliwy i dla niego, tak, właśnie od powrotu z Londynu.

I — Słuchaj — mówi Lila — idę spać.

Dlaczego Svoboda potrząsa głową?

Enderlin—!

Jeszcze nie wypowiada tego nazwiska. To zabawne, jak jakieś nazwisko nagle wyskakuje spośród innych i wbija się w pamięć. A przecież mógłbym nazywać się inaczej.

— Nie wiem, dlaczego się śmiejesz — mówi Lila.

Aby nie brać tego tragicznie.

Svoboda, jak przypuszczam, należy do mężczyzn, których kobiety, szukając pieszczotliwego przyzwiska, nazywają miściem. Innego przyzwiska, zaczerpniętego z królestwa zwierząt, Svoboda nigdy nie miał. Kobiety bardzo różnego rodzaju nazywały go, niezależnie jedna od drugiej, swoim miściem. Coś w tym musi być. Miały zapewne na myśli miłą zuchwałość, ale również siłę, powolność, ociężałość, zapamiętywanie się w czułości, przekorną dobroduszość tej bestii o małych oczkach, która potrafi nagle stać się złośliwa, brutalna, nieobliczalna; raz wzruszająco służy na

dwóch łapach, dopominając się niezdarnie o kawałek cukru, tak że patrzący odczuwa dla niej litość i zachwyca się tym kudlatym uosobieniem niewinności, to znowu, bez dostrzegalnego powodu takiej przemiany, staje się bestią, której nie powstrzymają żadne szranki, nie poskromi żadna ilość cukru, nie znającą żartów, nie cofającą się przed rozdarciem ofiary na sztuki — Lila boi się go — następnego ranka, wytrzeźwiony z szaleństwa, w którym przegadał całą noc (aż zaczęły świergotać ptaki i zaświeciło słońce), wytrzeźwiony i zawstydzony niepewnością, co też on nagadał, następnego ranka więc przeprosza łapami pozbawionymi pazurów, jest cichy i pokorny. Potem znów prosi na dwóch łapach. Ale Lila wie, że znowu straci panowanie nad sobą, przeprosiny nie zmienia go; raz po raz nie będzie go można powstrzymać od rozszarpywania wszystkiego ostrymi słowami — Jeszcze do tego nie doszło.

— Tak — mówi — idź spać.

Jeszcze jest dosyć trzeźwy.

— Tak — mówi. — Dobranoc.

Sięga po whisky.

— Teraz rozumiem — powiada — teraz rozumiem, dlaczego telefonowałaś wtedy do mnie do Londynu...

Jaki to ma związek?

— Czy ten Enderlin jest przystojny? — pyta z uśmiechem.

Oczywiście Lila nie może na to odpowiedzieć. Ten Enderlin! Tym tonem nie należy o mnie mówić, Svoboda czuje to również.

Pije.

Dlaczego, tak, dlaczego nie zapada teraz kurty-
na?

Wiadomo przecież, co nastąpi —

Okolo piątej rano (śnie) dochodzi do tego, że nagle rozbija się w kominku szklanka od whisky. Dlaczego? Nie dlatego, że on rozumie, iż Lila chętnie obejmuje innego mężczyznę, lecz dlatego, że ona nie rozumie. Czego? Nie rozumie, co tu jest do rozumienia. A może Lila ma się wcielić w Svobodę, który każdym swoim słowem wyrządza jej krzywdę? Pozwoliła mu gadać i gadać, nie prawowała się z nim. Dlaczego rozbija nagle szklankę od whisky o jej, oszczędzające go milczenie? Lila naprawdę nie wie, czego chce. A on, czy wie?

— Wybacz! — mówi.

Za oknami dnieje —

Przy tym, Svoboda przypomina to sobie jak utraconą niewinność, sam dobrze wiedział, że tu nie ma o czym mówić. Od dziewiątej wieczór, kiedy w restauracji, pod eskortą kelnerów, przeczytał jej miły list, do drugiej w nocy trzymał się tego, że Lili nie interesują teraz jego uczucia i myśli natury zasadniczej, nawet jego plany, a co dopiero jego wielkoduszność. Zdaje się, że się od tego zaczęło, od jego wielkoduszności. Lila nie ziewa, choć od północy ślania się ze zmęczenia. Nie sądzą nawet, żeby, podczas gdy Svoboda chodzi tam i z powrotem po pokoju, potem znowu siada i mówi coraz wolniej, aby się nie gorączkować, Lila myślała właśnie o mnie; on chciałby tego, ale Lila nie może dopuścić, żebym ja („ten Ender-

lin") stal się przedmiotem ich rozmowy. Czy Svoboda, tak bardzo zabiegający o zrozumienie, nie może właśnie tego zrozumieć? Lila nie dlatego milczy, że nie słucha; słucha, ale tutaj jej nie ma. Nie ma jej również u mnie. Ani tutaj. Jest sama. Wydarzenie, które go porusza, które chciałby z jej pomocą wyjaśnić, nie jest ich wspólnym wydarzeniem. I to właśnie, że Lila jest sama, daje jej poczucie
wyzwolenia...
Milczenie.

Na dworze świergocą ptaki.

— Lilu — mówi Svoboda — powiedzże coś!

— Nie mogę ci nic powiedzieć — odpowiada

Lila — widzę przecież, że w całej tej sprawie patrzysz na mnie tylko jako na kobietę; słyszę to we wszystkim, co mówisz, wszystko widzisz z tego stanowiska.

— Z takiego stanowiska?

— Widzisz we mnie wyłącznie kobietę.

Svoboda zastanawia się.

— Wybacz! — powiada. Brzmi to szczerze, jak gdyby rzeczywiście uznał swój błąd; ale potem śmieje się:

— Masz rację. Wybacz. Masz rację.

Co on chce przez to powiedzieć?

— Widzę w tobie wyłącznie kobietę — mówi i przygwaźdza ją wzrokiem, tak że Lilę zdejmuje strach; w jego oczach pojawia się nagle złowrogi wyraz, choć mówi zupełnie spokojnie i powtarza, jak się zwykle powtarzać słowa kiepskiego dowcipu: — Widzę w tobie wyłącznie kobietę, podczas gdy pan Enderlin... — Potem dodaje: — Rozu-

| rniem! — raz jeszcze próbuję się uśmiechnąć, ale
już poskramia go jej spojrzenie. — Wybacz! —
mówi i podnosi się, aby przejść przez pokój, do
którego wtargnęły przed chwilą pierwsze promienie
| wschodzącego słońca. Zatrzymuje się i powtarza: —
Wybacz! — Ma się wrażenie, że przynajmniej
na chwilę uspokaja go jego własna trucizna, potem
butelka po whisky rozbija się w kominku. —
Wybacz—mówi drżąc — wybacz!

[Lila spogląda na niego.

Dlaczego wciąż jeszcze nie zapada kurtyna?

i Teraz Svoboda się rozrzewnia.'

— Czy nie uważasz za potworne tego, co mi

I mówisz? — pyta. — Powiedziałaś, że widzę w tobie
wyłącznie kobietę, mówisz to teraz, kiedy byłaś
u innego mężczyzny — widocznie nie jako kobie-
I ta — iiiie robię wam wyrzutów, ale ty stawiasz mi
zarzut, nie rozumiem, dlaczego, tak, robisz to, moja
droga, nawet kiedy milczysz, mówisz, że nie możesz
ze mną rozmawiać, że widzę w tobie jedynie ko-
bietę—

— W tej sprawie.

Lila ma po prostu rację.

,— Tak — mówi on — chodźmy spać.

Tymczasem zacząj się czwartek, tak, ale kurtyna
wciąż jeszcze nie zapada; życie to rzeczywiste,
nie dopuszcza do tego, by je przeskoczyć, nie
można przeskoczyć ani roku, ani miesiąca, ani
tygodnia, nawet jeżeli się mniej więcej wie, co
nastąpi...

(Ja także nie chciałbym być Svobodą!)

Historia dla Carnilli:

Pewien mężczyzna i pewna kobieta, kiedy ulotniło się pierwsze uniesienie nieosobistej miłości, uświadomili sobie, że są jak stworzeni dla siebie. Tak doskonale się zrozumieli. Ale pierwsze uniesienie ulotniło się. Żyli więc ze sobą, nie w uniesieniu, ale bez nieporozumień. Tylko czasem zdarzało się, że kiedy trzymał ją w objęciach, widział to od zewnątrz, jak gdyby siedział obok w fotelu albo stał właśnie przy oknie, przychodziły mu do głowy myśli, jakie się miewa przy wyglądaniu przez okno, nie złe, ale zawsze, potem znowu jednoczył się ze sobą i z nią, kiedy zaparzała herbatę, zwracając się do niej nazywał ją pieścizłotliwym przewiskiem, a kiedy nalewała herbatę, mówił, że ją kocha. Była to szczera prawda. Z nią działo się prawdopodobnie to samo. I ona kochała go, tylko jego, choć inaczej niż na początku, bardziej osobiście. Byli nierozdzielni, podróżowali razem. Pewnego razu w hotelu był zdumiony, kiedy trzymając ją w objęciach ujrzał to w lustrze, i był rad, że ciało, z którym go zdradzała, było jego ciałem; spoglądał w lustro, w którym i on ją również zdradzał. Dochodziło teraz do zadrażnień z błahych powodów. A przy tym kochali się. Kiedyś, późnym wieczorem, on siedział i czytał gazetę, ona zaś leżała już w łóżku; snuł myśli dobre mu znane, jakie pojawiały się w nim niekiedy, w czasie gdy ją trzymał w objęciach, ale w rzeczywistości siedział w fotelu. Ona spała, on zaś, pouczony przez owo lustro, mógł bez trudu wyobrazić sobie, jak obejmuje ją ktoś inny, siedział

obok, wcale nie przerażony, raczej rad z tego, że osoba jego została wyłączona, właściwie Wesoly: nie chciałby być tamtym. Czytając gazetę, kiedy ona spała i może śniło jej się to, co on sobie wyobrażał z zewnątrz, był jednym i tym samym ze swą wielką miłością. Nazywali się Filemon i Baucyda: para.

Przyjąwszy, że Svoboda wygląda mmej więcej tak, jak go sobie wyobrażam: drażal o szerokich, okrągłych barach, nieco za sążnisty dla wiotkiej Liii, która nawet na najwyższych obcasach ledwo dosięga mu do ramienia, a kiedy jest bosa, stanowi z nim parę niemal niestosowną, człowiek ciężki, a przy tym pozbawiony tłuszczu i nie ociężały, sportowiec, którego na pierwszy rzut oka można by określić jako blondyna, choć ma. całkowitą łysinę, która nie wygląda na spowodowaną' -wypadaniem włosów, lecz należy do jego męskiej twarzy, jak broda, czoło, dobra głowa, która mogłaby również należeć do Rosjanina, mocna, krągła, swoista, ale on niechętnie przegląda się w lustrze, ponieważ nie rozumie, co w nim kobiety widzą, Svoboda w smokingu jest porywający, wie o tym, przy tym dobry z niego tancerz, przeważnie się poci, ale nigdy nie marznie, może pić, nie robi się wtedy hulaśliwy, chyba że ma trzygodzinny napad szału, poza tym raczej oszczędny w słowach, palacz fajki, spokojny i chętnie śmiejący się w towarzystwie, bez okularów, na pewno świetny kucharz, melancholik, niedźwiedz, ciężki, ale ruchli-

wy, niezręczny, ale tylko dlatego, aby (zwłaszcza w obecności Liii) nie pysznić się siłą, Lila boi się go, choć nigdy jej jeszcze nie uderzył... Przyjąwszy więc, że Svoboda tak wygląda, można odgadnąć, jak on wyobraża sobie owego Enderlina: — wysmukły, delikatnej budowy, intelektualista, nie pokurcz, ale delikatnej budowy. Nie przypomina niedźwiedzia. Raczej ptaka. Nie jest Czechem. Raczej typ hiszpański albo francuski, może włoski, w każdym razie czarnowłosy (co nie zgadza się z rzeczywistością) z subtelnym orlim nosem (co się również nie zgadza) pod klasycznym czworokątnym, niskim czołem, jakie spotyka się właśnie u ludów śródziemnomorskich. Nazwisko ma wprowadzić brzmienie alemańskie, ale Svobody nie wprowadza to w błąd ani na chwilę; zna typ Liii. Nie ma mowy o kulistej głowie. Rozumie. Głowa wąska, pełna zdumiewającej wiedzy we wszystkich dziedzinach, a więc interesująca. Może jest w nim coś z homoseksualisty i Svoboda nigdy nie odgadłby na ulicy, że to on; może ma psa. Nie jest gogusiem, ale dba o wygląd zewnętrzny, na pewno nigdy nie ma brudnych paznokci. Ani piegów. Ciemnowłosy, typ nigdy nie lysiejący, to pewne. Nie ma nic wspólnego ze sportem, za to dowcipny. Być może pociąga kobiety właśnie dlatego, że mu to przychodzi z trudem. Tak, to bardzo możliwe. Ale bynajmniej nie pewne. W każdym razie to intelektualista. Wysoce uświadomiony. Kiedy idzie ramię w ramię z Lilą, ma młodzieńczy chód. Baskijski beret. Jest w każdym razie młodszy od Svobody, bardziej od niego wykształcony, to

pewne. Gotować nie umie. Jest bezradny, kiedy zepsuje się kontakt; żaden rzemieślnik z niego; Lila nie odczuwa przed nim strachu. Na pewno czyta w siedmiu językach, poczynając od greckiego. W kostiumie kąpielowym jest błady jak wosk, jednak typ męski, czarnowłosy. I w każdej sytuacji jest dowcipny. Nie umie opowiadać, ale jest dowcipny. W łóżku zachowuje się jak na francuskim filmie. Pod względem politycznym? Zapewne półlewicowiec. Kiedy Lila zdejmuje mu jego okulary a la Corbusier, wylania się twarz raczej miękka, ale szcuple. Nie lubi pić. Nie jest wyższy od niej, ale dźwiga jej walizę. Nie jest dobrym tancerzem. Oczywiście Lila nie wie, co ją w nim fascynuje — nie wypada pytać ją o to... Po prostu jej typ. Nie-ćzeski. Musiało to kiedyś przyjść. Coś czarnowłosego, romańskiego. Torero, wysmukły, o wielkich oczach, typ, jaki Svobodzie od dawna, choć tylko żartem, wydawał się niebezpieczny, czarnowłosy, o twarzy ptaka, o czarnym owłosieniu, również na
nogach —

Rozczaruję Svobodę!

Kiedy pytam Lilę, jak on się zachował, milczy. Tak czy inaczej, Svoboda utracił ją, odtąd jego zachowanie jest dla niej nieważne. Nie życzy sobie również, żebym się o to troszczył. Niech się odtąd zachowuje jak chce...

Widzę parę możliwości:

Svoboda wpada ze swym-wozem na drzewo.

Albo:

Svoboda staje się wielkoduszny. Pokłada nadzieję w potędze czasu, który pracuje zawsze przeciw

miłości, a więc przeciw nam. Czasami pije, podczas gdy my odbywamy niewielkie podróże w granicach' jego koleżeńskiej wielkoduszności. Kiedy jest trzeźwy, nie dopuszcza do siebie żadnych atawistycznych uczuć. Nie dla okazania urazy jest teraz większym domatorem niż kiedykolwiek: czasami, kiedy Lila wraca do domu, śpi już, albo udaje, że śpi. Potem znowu pije ni z tego, ni z owego, co źle wpływa na jego nerki; ale Lila nic na to nie może poradzić i on wie o tym. Troszczenie się o jego nerki to jedyna rzecz, którą sobie wyprasza. Nie nalega na decyzję. Rozumie życie. Czeką. Trwa to trzy miesiące, pół roku. Jest miły, tak jak Lila sobie tego życzy, i Lila będzie go szanowała. Niebezpieczeństwo, że stanie mu się obojętne, istnieje tylko okresowo; rzecz jasna, że jej szczęście ze mną ulega także wahaniom, które oczywiście Svoboda widzi, a ponieważ i dla niego to różnica, czy Lila uwija się po mieszkaniu nucąc pod nosem, czy też skamieniała jak głaz, Svoboda nie może się wyzbyć współczucia, które przypomina miłość. Trwa to rok. Wspierany świadomością, że nie ma człowieka, bez którego nie można by żyć, Svoboda wciąż okazuje Lili, że mógłby żyć bez niej: ale nie czyni tego. Przyzwyczaił się do swej wielkoduszności. Nie naprzykrza się jej wspólnymi planami, czeka. Na co? Lila jest szczęśliwa, więc nie śpieszy się do decyzji. Jak już wspomniano, szanuje Svobodę bardziej niż kiedykolwiek. Oczywiście i tak ją straci...

Albo:

Svoboda (po owej głupiej nocy, kiedy to

cisnął do kominka szklanę od whisky, i po tygodniu bezwzględnych rozmów, nie zmieniających stanu rzeczy) wybiera wolność w klubach nocnych. Tańczy. Nudzi się, ale tańczy. Idzie na basen pływacki, gdzie roi się od kobiet i dziewcząt, które mogłyby zastąpić Lilę, jeśli patrzeć na nią tylko jako na kobietę, gdyby ciągle nie myślał

0 niej. Pływa jak Tarzan, potem sążnisty, barczysty, z rękami opartymi o biodra, stoi i rozgląda się. Bawi się w piłkę z dzieckiem jakiejś pani w kostiumie bikini, żeby się do niej zbliżyć, ale wszystko kończy się na zabawie w piłkę z dzieckiem. Kupuje otwarty wóz, w każdej chwili przygotowany na autostop, jednak przeważnie korzystają z tego chłopcy, raz zabrał dwie dziewczyny, ale rozmawiały językiem, "którego Svoboda nie rozumiał, i skończyło się na wyjąkaniu - paru słów. Chodzi na wszystkie wernisaże, raz uparł się, aby odwiedzić do domu pewną młodą fotografkę. Próbuje zakochać się, by przywrócić równowagę, jeżeli nie równowagę szczęścia, to przynajmniej równowagę zazdrości. Jak gdyby Lila mogła teraz być zazdrosna! Widzi ich usta, ale nie może się zakochać; kobiety węszą to, Svoboda ma teraz zapach chorego zwierzęcia, natura jest przeciw niemu. Może sobie jednak powiedzieć, że teraz chodzi własnymi drogami, 1 pozwala domyślać się tego. Ale Lila nie jest ciekawa. Nie daje na to wyraźnej zgody, byłoby to niesmaczne, nie chce nic o tym wiedzieć. Naprawdę nic jej to nie obchodzi.-Tak czy inaczej utraci ją...

Albo: \

Svoboda nie bierze sprawy poważniej, niż to

bywa u innych mężczyzn, czynnych zawodowo; ma inne zmartwienia. Nigdy nie myśli o tym dłużej niż minutę. No, tak. To się zdarza. Zwykła sprawa. Pociąg płciowy. To, co robi tych dwoje, nie dotyka go; nie da się zapędzić w kozi róg. Pleć. Śmiesz go, że Lila widzi w tym coś więcej. Proszę bardzo. To jej sprawa. Tylko dla Liii, jako kobiety, sprawa jest poważniejsza i jeżeli nawet on ma rację co do mnie; utraci ją właśnie dlatego, że za prędko przetrzął jej zaślepienie...

Albo:

Svoboda siedzi w Salamance, na Plaża Mayor, gdzie każe oczyścić sobie buty; turysta, który istnieje na świecie tylko po to, aby zatrudnić pucybutów; znają go już od trzech dni, tkwi godzinami przy tym samym stoliku, spogląda na zegarek, na nikogo nie czeka, ale czeka, nie czyta gazety, nie patrzy na słynną architekturę, spogląda na zegarek, stuka monetą w stolik, płaci, podnosi się, idzie możliwie najwolniej do urzędu pocztowego, przed południem, w południe, wieczorem, wraca, siada, zamawia xeres, pali, każe sobie oczyścić buty, może to nie być Salamanka, i tak jej nie widzi, może to być także Arles lub Agrigento, skąd pisze listy, to obojętne, zawsze takie samo okienko, w którym okazuje paszport (co jest już zbędne; znają go już, wierzą, że nazywa się Svoboda) i daremnie pyta o list; ona wie, że on jest w Salamance albo w Sienie, albo gdzie indziej, to naprawdę nie gra żadnej roli, gdzie Svoboda-dla zabicia czasu każe sobie czyścić obuwie, zanim otworzą pocztę, może to być również Brindisi

(ale to jest okropne: przyjeżdża się do Brindisi, aby wsiąść na okręt, nikt dobrowolnie nie pozostaje w Brindisi) albo Kadyks...

Co Svoboda widzi:

Czarne, szare, białe, żółte szosy, asfaltowe lub betonowe, rozgrzany asfalt z pęcherzykami powietrza, janowiec, wiraże, które brało się już niekończenie wiele razy, kamienie milowe, aleje nakrapiane cieniami, wózki ciągnięte przez osiołki, beczki z dziegiem, przedmieścia, statki w porcie, lud, sygnały świetlne, bieda, nasypy kolejowe, pociąg towarowy, między kołami którego prześwieca morze, brzeg morski z zakrętami w lewo i w prawo, prosto, potem znowu w prawo i w lewo, w prawo, w lewo i dalej to samo, drugi bieg, trzeci, znowu drugi, z tyłu autobusy, z tyłu pył za ciężarówkami, przejazdy kolejowe, morze, kaktusy, morze, janowiec, morze, mosty, wsie, które zjawiają się raz po raz, miasteczka, place z pomnikami, błędne światelka w mroku, drzewa w świetle reflektorów, kamienie milowe w świetle reflektorów, nagle biały zaprzęg wdów, trzciny w świetle reflektorów, ciemności morza, tylne światła, trzody owiec — zielone mrowie oczu w blasku reflektorów — ręce na kierownicy, asfalt w świetle księżyca, księżyc nad morzem, kamienie milowe w świetle reflektora, szosa, ręce na kierownicy, szosa itd.

Czego Svoboda nie widzi:

— jej twarzy.

Pewnego razu (mógłbym to sobie wyobrazić) pęka na szosie opona; południe, zmiana koła w tym piekielnym skwarze, tego jeszcze brakowało; Svo-

bo da wie od razu, że Lila nie jest temu winna, ale jego wściekłość, kiedy wyciąga narzędzia i ustawia lewar, kieruje się jednak przeciw tej kobiecie, jakby to ona gubiła na szosie gwoździe, to śmieszne, tak, wie ó tym, cała ta podróż jest śmieszna... Wyjeżdżam na trzy tygodnie, aby wam dać czas! To się tak mówi. Dlaczego właśnie trzy tygodnie? Gest (rano po rozbiciu szklanki) nie był pozbawiony trzeźwej i przekonującej wspaniałości, ale trzy tygodnie to długo'. Aby wam dać czas! Nie wysyłała go, ale też nie zatrzymywała; była nieco zaskoczona, że traktuje sprawę tak poważnie, poważniej niż ona, i trochę rozniewana, że na wspólne spędzenie wakacji nigdy nie potrafił zdobyć tyle czasu. — Po trzech, czterech tygodniach — powiedział — będziemy widzieli jaśniej, tak czy tak— i pocałował ją w czoło, podczas gdy Lila, której podróż jego nie była potrzebna, szukała dla niej innego, rozsądniejszego uzasadnienia; była zadowolona, że Svoboda, taki przepracowany, podda się raz kuracji. Dlaczego Kadyks? Myślała raczej o Bolzanó albo o Engadinie. Dlaczego tak daleko? Ale słowo się rzekło, co mężczyzna, to mężczyzna — w odległości 110 kilometrów od Kadyksu (albo Brindisi), w skwarze południa,^s na nagiej szosie, Svoboda, spocony, umorusany, wrzuca narzędzia i koło z przedziurawioną oponą do bagażnika; nie ma powrotu, choć właśnie w tym miejscu, Svoboda widzi to, mógłby zawrócić bez manewrowania, może w Kadyksie (albo w Brindisi) leży na poczcie list...

Czego oczekuje Svoboda?

Traktuje sprawę poważniej niż ona. Jego podróż, a przede wszystkim jego listy, nie pozbawione godności, odwagi, nie zawierające zarzutów, orgie trzeźwego rozsądku, zmuszają Lilę do powagi, która wywołuje przekorę, do powzięcia decyzji, w każdym razie przedwczesnej.

Depesza:

LIST POTUTRZE STOP TWOJA LILA

^Svoboda każe sobie oczyścić obuwie.

Znam Kadyks, ale nie byłem tam wówczas sam; miasto, od strony lądu wyglądające jak białe marmury wzniesione z muszli, rozczarowuje, kiedy się do niego dociera, plaża pustylna, w dodatku żwir, kuchnia rozpaczliwa, kiedy" się jada samemu, dobry jest tylko xeres...

Nie chciałbym być Svoboda.

Svoboda uświadamia sobie że nie powinien uogólniać swego przypadku, oddaje się winu xeres, które, nie zdając sobie sprawy z uczuć, przyznaje im rację, a więc kacowi...

Dруга depesza:

**WYSYŁAM LIST DO BARCELONY STOP
JEDŹ OSTROŻNIE PO PRZECZYTANIU GO
STOP PROSZĘ DAJ WCZEŚNIEJ ZNAĆ KIE-
DY WRACASZ STOP LILA**

Svoboda pędzi jak Neapolitańczyk.

Przyjeżdża do Barcelony w niedzielę, list, który czeka nań na poste-restante, zostanie wydany dopiero w poniedziałek, również i jej list nie jest pozbawiony godności i odwagi zapatrywań, trzeźwy (zapewne Svoboda uważa za akt wrogości, kiedy kobieta również myśli trzeźwo), rozsądny, choć nie

zawiera decyzji. I to wystarczy, aby pod Svobodą ugięły się kolana i musiał usiąść: a więc to tak daleko zaszło! Pobieźnie rzucił wzrokiem na obszerny list, włożył go do kieszeni, ale napelniając fajkę tytoniem ciągle jeszcze siedzi w hali urzędu pocztowego. Czy wyruszając w podróż, a przede wszystkim prowokując swymi listami szybką decyzję, nie liczył się z tym, że wyzwanie zostanie podjęte? Pałac fajkę, jakby nie został rozbrojony i jakby niczego innego nie oczekiwał, siedzi i poci się nie mniej niż przy zmianie opony w samo południe: — a więc Lila zupełnie poważnie zastanawia się, czy ma żyć ze Svobodą, czy też z panem o nazwisku Enderlin. Czy też sama. Decyzja jej, jak się rzekło, jeszcze nie zapadła. Jak się zdaje, Lila czuje się zmuszona do zbytniego pośpiechu nie przez tamtego, lecz przez Svobodę; prosi go o cierpliwość, przy czym nie ma, zdaje się, wątpliwości, że ów pan nazwiskiem Enderlin (bez imienia; imię już Svoba nie obchodzi) nie zawahałby się zrezygnować ze wszystkiego, aby żyć z Lilą. Jej powody, dla których nie może żyć ze Svobodą, są rozsądne; nie pozbawione uczucia, ale tak rozsądne, że nie można ich obalić miłością, nienowę, ale wypowiedziane po raz pierwszy; z drugiej strony nie potrzebuje przytaczać powodów, dla których mogłaby żyć z Enderlinem, tak po prostu jest, Lila nawet nie potrzebuje chwalać tamtego, ani nawet go znać, ma o tym Enderlinie niewiele do powiedzenia, wiek, zawód, przynależność państwowa i fakt, że odpowiada na jej uczucia... Kiedy Svoboda, przeczytawszy list

po raz drugi, tak że umie już niektóre zdania na pamięć, usiadł wreszcie w swym zakurzonej wozie, wkłada do stacyjki kluczyk, naciska powoli sprzęgło, . potem zapuszcza silnik, zanim włączy pierwszy bieg, wszystko to robi jak ktoś zdający na prawo jazdy, kolejno, zapominając tylko, niestety, o ręcznym hamulcu, odczuwa ulgę, oszłomiony jak po upadku, ale zdrów, i odczuwa ulgę. Czy to nie podnosi na duchu, kiedy człowiekowi się zdaje, że życie toczy się dalej? W Nîmes zwiedza teatr antyczny, jedyny zabytek, jaki naprawdę obejrzał podczas tej długiej podróży. W Vienne (tuż przed Lyonem) zjada coś w lokalu oznaczonym w przewodniku trzema gwiazdkami. Jako ktoś stojący na zewnątrz, kogo nie hamują uczucia, sądzi po raz pierwszy, że zna przyszłość, dokładniej mówiąc nie przyszłość, lecz koniec przeszłości, która nie uchodzi już do teraźniejszości. Lila ma rację. Wystawił lewe, zwisające za okno ramię na działanie wiatru, prowadzi wóz jedną ręką, spokojnie. Lila ma rację. Jak ktoś stojący; na zewnątrz, kto nie chce udzielać rady, a jednak czyni to, wie, że dla tej pary istnieje już tylko rozwód, im prędzej, tym lepiej, a więc nie ociągajcie się. Pogwizduje. Wolny, gotów interesować się już tylko problemami dotyczącymi ludzkości, a więc z poczuciem ulgi, oswobodzony od wszystkiego, co się określa jako sprawy prywatne, jedzie do domu z przeciętną szybkością stu kilometrów na godzinę, nie pędzi, przeszłości nigdy nie spieszą...

Wyobrażam sobie:

Svob spalony od słońca po trzech tygodniach

jazdy w otwartym wozie, nieco szczuplejszy, z twarzą ściągniętą, a więc odmlodzony, tak że kiedy wszedł, Lila ledwie go poznała, jest mimowolnym zdobywcą, obcym, pogodnym, zyskującym sobie względy, ponieważ nie ma nic do stracenia: Lila zdradza mnie już po godzinie, wzniewzięta, dopóki on nie uzurpuje sobie jakichś praw, choćby prawa do melancholii. Spotyka się ze mną nazajutrz na chwilę, aby zawiadomić mnie o jego powrocie, prosi, żebym przestał telefonować; jest lakoniczna, roztargniona, tymczasem Svoboda w szlafroku otwiera w domu listy i pogwizduje. Następuje pół miodowego tygodnia, nie półszczęścia, pół pod względem czasu trwania, szczęścia; które w niczym nie zmienia rozbijającego rozsądku jej listu wysłanego do Barcelony; potem Svoboda po staremu chciałby wiedzieć, czego ma się trzymać:

Wyobrażam sobie:

Życie idzie dalej, ale nie naprzód, milcząco powstaje pytanie, kto jest temu winien, Svoboda ze swoim czatującym wyrazem twarzy, czy Lila, która ukryła się za szańcem życia towarzyskiego.

— Svob — mówi Lila z uśmiechem — jesteś skąpy?

— Dlaczego?

— Nikt nie ma wina.

— Przepraszam — mówi.

Lila ma rację, słuchał właśnie jej opowiadania o wężu greckim. Przypomina sobie: był to szczęśliwy dzień, dzień miłosny, co gości spragnionych wina nie obchodzi i Lila ma do pewnego stopnia rację,

przemilczając prawdę. Dlaczego jednak o rym opowiada? Opowiada tylko, że byli senni z gorąca, że mogli dostać tylko obrzydliwego wina i porażenia słonecznego, nie było nawet papierosów, w ogóle nic, a tu nagle, na środku pokrytej pyłem drogi ich podróży małżeńskiej, leży zwinięty w obarząnek, "przejechany wąż...

Svoboda odkorkowuje butelkę.

Jeden z jej przyjaciół zostaje poinformowany, że Lila nie ma jeszcze na lato żadnych plariów, wspomina od niechcenia, że może pojedzie do Kopenhagi. Svoboda słyszy o tym po raz pierwszy. Wydaje się, że inni są lepiej od niego poinformowani. Jednak, jak przyjacielowi wiadomo, nie jest jeszcze pewne, czy Lila pojedzie do Kopenhagi; być może, jak przyjacielowi wiadomo, Lila i Svoboda spędzą wakacje letnie nad morzem: family style (przyjaciel cytuje jej określenie, uważa je za zabawne).

Svoboda nalewa.

Ktoś mówi o Enderlinie, którego, jak wiadomo, zaproszono do Harvardu, jednak nie wyjeżdża . z nieznanых powodów.

I tak dalej!

Svoboda staje się coraz bardziej wrażliwy.

— Ten twój dym! — mówi Lila. — Dlaczego trzymasz zawsze fajkę tak, że cały dym idzie mi w oczy?

Albo:

— Czy nie możesz tak jechać, żeby nie umierała ze strachu? Czy to niemożliwe?

Albo:

— Svob — mówi Lila — nie jedz tak dużo.

Albo:

— Spójrz na swoje paznokcie. Jak to wygląda!
Proszę cię od sześciu lat...

Albo:

— Znowu wzięłeś mój klucz?

— Ja? — pyta Svoboda. — Skąd!

— Nie mogę go znaleźć.

On go znajduje.

— Przepraszam cię — mówi ona. — Zapomniałam, ale nie mogę przecież myśleć o wszystkim. Przepraszam!

Albo:

— Przepraszam, powiedziałam ci już dzień dobry, skoro jednak nie słyszysz —

'Albo:

— Svob, przecież robię wszystko^ czego chcesz.
Itd.

A przy tym to prawda, że Lila robi wszystko, czego Svoboda chce, nawet letni wyjazd nad morze dochodzi do skutku...

Co sobie Svoboda po tym obiecuje?

„Family style“:

Leżę na plaży, czytam obcą gazetę, sam wśród obcych ludzi, skwarne południe Fauna, parasole od słońca, na lewo dudni radio, na prawo leży para, która ze sobą nie rozmawia — oczywiście nie Svob i Lila, jakaś inna para!... On siedzi na rozgrzanym piasku i smaruje sobie ramiona oliwą; ona leży na brzuchu na rozłożonym kocu, twarz odwróciła w drugą stronę. Od czasu do czasu idę popływać, przy czym zresztą raz omal nie tonę. — Kiedy wracam na swoje miejsce, milczącej pary nie ma,

zostały tylko jej pstre laszki. Wygląda na to, że mężczyźnie udało się rozruszać tę kobietę; grają teraz w piłkę, ale jest za lekka, wiatr ją znosi, piłka potoczyła się ku mnie. Oddaję ją. Ona dziękuje (po włosku) z wyrazem twarzy tak uprzejmym i wesołym, że jest nie do poznania. Właściwie warto na nią popatrzeć. Przynajmniej w chwili, kiedy ją ktoś obserwuje, jest niemal dziewczęcą; potrząsa rozpuszczonymi włosami tak, żebym to zauważył, podskakuje, jej ruchy przerzucania piłki, dotychczas niezgrabnie znużone, stają się uroczo-niezgrabne. Nie jest wcale znużona, tylko nadąsana w innym kierunku. Właściwie zachwycająca kobieta, jak to się mówi, wcielenie wdzięku. Gdyby tak jego nie było! Rzuca wprawdzie piłkę Arlekina bardzo starannie, aby ją mogła złapać, tale jak ją złapała ode mnie, ale na próżno; ona nie uważa, potrząsa efektownie włosami, kiedy on rzuca, piłka toczy się do morza, co jest irytujące. Aby nie zakłócać spokoju pary przyglądaniem się jej, patrzę przed siebie; na horyzoncie dymi czarny frachtowiec, morze jak staniol, białe słońce sunie nad parującym wybrzeżem. Kiedy po chwili wracają w milczeniu na' swoje miejsce, kobieta kuleje; ruch jej, kiedy siada, mówi wyraźnie, że tylko on jest temu winien. Bo któż ją zmusił do gry w piłkę? Kładę się na plecach, zamykam oczy, ale słyszę:

— Pewnie, że boli!

Po chwili:

— Co ty wyprawiasz z tym parasolem?

— Chciałem, żebyś miała cień.

- ;— Zimno mi — mówi ona — przepraszam cię:

— Zdawało mi się, że masz spieczoną skórę.

Po chwili:

— Kochanie — mówi ona — bądź tak dobry, podaj mi olejek do opalania i bądź tak miły, kochanie, natrzyj mi nim plecy, ale tak, żeby nie bolało. Au! Ależ ty masz łapska!

Po chwili:

— Nie gniewaj się — mówi — ale dym idzie mi prosto w twarz, cały czas.

Po chwili:

— Słuchaj, czy nie mógłbyś uważać? — Ponieważ on nie wie, o co jej chodzi, mówi dalej: — Ciągle obsypujesz mnie piaskiem. — Kiedy jej dowiódł, że to tylko wina wiatru, kiedy chce zdmuchnąć brzydki piasek z jej ramienia, woła:— Daj spokój! Dlaczego nie pójdziesz popływać?

Tak jak wiedziałby ktoś stojący na zewnątrz, gdyby słyszał podobne strzępy rozmowy, Śvoboda wie również, że niewidoczny punkt, na który przypada pożegnanie, nie tylko został osiągnięty, lecz już przekroczony, the point of no return, chodzi już tylko o to, kto wystąpi z inicjatywą, aby mu jej nie narzucono, obie strony czatują już tylko na okazję do wielkiego gniewu, który człowieka uaktywnia; wiedzą o tym; miłość, którą mają pożegnać, nie wystarcza już, aby jedno mogło nie przejrzeć drugiego.

Nowość:

Svoboda chce się widzieć i pomówić z Enderlinem... Nie wiem, jak to sobie wyobraża, i kiedy, Lila mi o tym komunikuje, przeciągam ręką po

ustach. Pomówić? O czym? Svoboda proponuje: czwartek, piątek albo sobota. Oczywiście jestem gotów ze względu na Lilę, tylko nie w czwartek, w żadnym razie, ostatecznie mam swój zawód, Lila to rozumie. W ogóle Lila jest temu przeciwna, co znowu ja rozumiem: nie chce oglądać obok siebie Svobody i Enderlina. Czego on się w ogóle po tym spodziewa? Słyszę, że nie może żyć z upiorem. Przykro mi, że się śmieję. Nasze spotkanie we troje nie będzie nawet przykre, tylko kłopotliwe, a w każdym razie bezcelowe. Żał mi Svobody. Gdybym odpowiedział bezapelacyjnym „nie”, może Lila byłaby za to wdzięczna; ale to niemożliwe, wyglądałoby tak, jakbym się wykręcał. A więc dobrze! Tylko nagle przychodzi mi do głowy, że również w piątek nie mogę. To nie jest wymówka. Ale deklaruję swoją gotowość i jeżeliby Svóbody do tego czasu nadal miał nalegać, dobrze, przyjdę kiedyś na aperitif. Po co zaraz-cała kolacja? Niewiele będę miał do powiedzenia; kocham jego żonę. Dlaczego udaje, że o tym nie wie, i nastaje^ żebym mu to .powiedział? Mogę sobie wyobrazić, co on ma do powiedzenia, i nawet gdyby potrafił mówić spokojnie, z opanowaniem, z godnością, po koleżeńsku, nie zmieni to w niczym faktu, że żona jego kocha w tej chwili innego mężczyznę. Tak już jest. Naprawdę uważam, że aperitif wystarczy. Wolalbym w barze, ale rozumiem: mam zobaczyć domostwo Svobody-Lili, jakbym go nie Znał. A więc dobrze. A więc zjawię się w sobotę o szóstej. Svoboda przy barku na kółkach, który znam, przygotowuje dla każdego z nas whisky, whisky

on the rocks albo z wodą sodową, wedle życzenia, sam będzie pił wodę mineralną. Może Svoboda nie będzie mógł zrozumieć, co Lila we mnie widzi?

Przyływ nie był szczególnie burzliwy, dwa czy trzy balwany wysokości człowieka, nim się rozbiły w pianie i huku, a potem, kiedy się w nich zanurzyłem i loskot ich miałem za sobą, fale bez piany, wielkie i gładkie, rozkoszne płynięcie bez walki, za falą, w górę, w dół, znowu w górę, chwilami jakiś czub zaczyna się pnieć, ale się nie przelewa, pływa się lekko, fala za falą zielonkawe jak butelki od piwa, z syczącą riuszką blasku słonecznego, gdybym nie był sam, krzyczałbym z radości, wgłębienia po falach, gładkie, sinoczarne jak atrament, z białymi ornamentami z piany. Raz napiłem się wody. Byłem jedynym pływakiem, za mną głuchy ryk przepływu, na brzegu cisza, popołudnie, oślepiające słońce, ale jakby na fioletowym nocnym niebie. Od czasu do czasu, kiedy mnie podnosiła fala, widziałem frachtowiec na horyzoncie, z tyłu płaską plażę z pstrymi parasolami, niedaleko, ale po tamtej stronie przyływu, żółtą chorągiew lopocącą na maszcie nad falami, uciekającymi ku brzegom, w oddali łąd, wzgórze za mlecznymi oparami, różowe... Kiedy zacząłem płynąć z powrotem ku brzegowi, wcale nie zmęczony, miałem jeszcze przed sobą zaledwie trzydzieści metrów, byłem pewny, że będę mógł już stanąć, nagle nie mam gruntu pod nogami, lecz kupę brązowego i czarnego morszczyну, muszę płynąć,

^alewają mnie fale, nie niosą mnie dalej, jestem teraz pośród balwanów, nie mogę wymacać gruntu pod nogami, walczę ze wszystkich sił, nie jestem w stanie posuwać się przeciw wciąganiu cofającej się wody. Ze strachu straciłem oddech, ale jeszcze nie chciałem uwierzyć, wołać o pomoc z odległości trzydziestu metrów od plaży, upstrzonej parasolami. Nikt nie usłyszałby mnie. Ledwie zaczerpnąłem tchu, powalil mnie następny balwan. Jeszcze się bronilem, choć byłem pewien, że to koniec, właściwie nie zaskoczony, musiało to kiedyś przyjść, dlaczego tutaj, dlaczego tak, dlaczego teraz, świadomość, że to koniec, jako świadomość czegoś śmiesznego, bronilem się już tylko przed śmiešnością, dopóki mnie świadomość nie opuściła — i nagle piasek... Kiedy brodziłem ku brzegowi, ogarnął mnie wstyd. A przecież nikt mnie nie widział. Na brzegu, gdzie mógł mnie ktoś zobaczyć, zacząłem udawać, że szukam muszli. Aby nie okazać wyczerpania. Potem jednak musiałem usiąść. Naoliwiłem sobie ciało. Spojrzenie na morze, słońce, na horyzoncie dymiący frachtowiec, błękitne południe, jak każde inne. Próbuję myśleć: teraz być topielcem? — i nic nie przychodzi do głowy... Nasmarowałem starannie oliwą całe ciało, plecy, łydki, uda, potem piersi, czoło i ramiona, potem znowu łydki; z lewej strony dudniło radio, z prawej leżała włoska para z piłką Arlekina, nudziła się „farnily style”.

. i

8;

T>7

Historia dla Camilli:

o człowieku, który raz po raz decyduje się zmienić tryb życia i któremu się to oczywiście nigdy nie udaje... Raz, lecąc znowu do domu jako pasażer, który już nie patrzy przez okienko, kiedy maszyna stoi gotowa do odlotu i czeka na pozwolenie startu, i który już przed startem rozkłada gazetę, przeczytał w wydaniu porannym gazety ze swego miasta, kupionej w obcym porcie lotniczym, a więc oczywiście nieco przestarzałej, zawiadomienie o swojej śmierci. Nikt nie zakomunikował mu o jego zgonie, nikt, nawet jego żona, nie wiedział, gdzie znajdował się w tych dniach. Ledwo przeczytał swój nekrolog, wyjrzał jednak przez okrągłe okienko; ale o tym, żeby mógł wysiąść, nie było już mowy, pas startowy mignął obok i maszyna uniosła się prostopadle w górę. Zobaczył jeszcze z góry łąki, zagrody, las sosnowy, pocięty drogami, wóz konny na szosie, po chwili dworzec, szyny, ale już jak zabawka. Potem mgła. Szczęście, że nikt nie siedział obok niego; nie odważyłby się chyba raz jeszcze rozłożyć gazety. Widniało tam w czarnych obwódkach nie tylko jego nazwisko; zgadzały się również imiona tych, których osierocił. Widocznie pobrał, choć przecież wiedział, że to nieprawda. Stewardessa zapytała z uśmiechem, czy mogłaby mu czymś służyć, włączyła dopływ świeżego powietrza nad jego fotelem. Zamówił sok owocowy. Gazeta była przedwczorajsza, nekrolog figurował trzykrotnie, jakby chciano wykluczyć wszelkie wątpliwości; jeden w imieniu rodziny, drugi w imieniu rady nadzorczej, trzeci w imieniu sto-

warzyszenia zawodowego. Bóg był wspomniany tylko w zawiadomieniu rodziny, natomiast wszystkie trzy nekrologi były zgodne co do przyczyny śmierci: tragiczny wypadek. Szczegółów nie podawano, mimo że parokrotnie przeczytał gazetę, popijając sok owocowy. Może jakiś łobuz, jak się już raz zdarzyło, wziął jego wóz, tym razem najechał na samochód-cysternę i splonął, tak że nie rozpoznano zwłok. Pogrzeb dzisiaj. To znaczy, że o ile samolot nie będzie miał spóźnienia, zdąży jeszcze akurat na swój pogrzeb —

Nigdy jeszcze odrzutowiec nie leciał tak wolno.

Może, kiedy lecieli nad skapanymi w słońcu chmurami, próbował myśleć o życiu, które prowadził na ziemi; ale nie udało mu się i kiedy stewardessa ze swoim nieodłącznym uśmiechem zjawiła się niosąc tacę, potrząsnął tylko głową; nie mógł jeść, właściwie nie mógł również myśleć, mógł tylko bez przerwy spoglądać na swój zegarek — podczas gdy wdowa opuszczała teraz czarny welon na zaplakaną twarz...

Wreszcie zaskrzeczał głośnik:

NO SMOKING.

Maszyna, szarpana wichrem tak, że dygotały skrzydła, krążyła we mgle jeszcze najmniej dwadzieścia minut; po raz pierwszy ogarnął go strach.

Jak należało oczekiwać:

jego wozu po prostu nie było; dozorca, któremu okazał kwit na parkowanie, nie umiał na to poradzić i skierował go do policji —

Wsiadł do taksówki.

Nie odebrawszy bagażu.

Zjawił się na cmentarzu pierwszy; zaraz po wyładowaniu zadzwonił oczywiście do domu, ale na próżno, orszak żałobny był już w drodze. Oprócz ogrodnika, który grabiami zgarniał ze ścieżek zbutwiałe liście, na cmentarzu nie było nikogo. Odczytywał napisy na szarfach wieńców. Dzień był deszczowy. Może szarfy, których brak go uderzał, były wewnątrz, na trumnie; ale nie odważył się wejść do krematorium, żeby to sprawdzić, ponieważ miał na sobie jasny płaszcz deszczowy. Oczywiście chciał sprawę wyjaśnić, było to jego obowiązkiem. Dowiadując się u dozorczy o nazwisko zmarłego, wyjął z ust fajkę, nieco bezradny, potem coraz bardziej zakłopotany, kiedy po chwili zajęły pierwsze pojazdy. Jak gdyby był tu nie na miejscu, cofnął się za cyprys: trzeba przyznać, że był nieco wstrząśnięty: wszyscy w czerni, poruszali się wolno, w milczących grupkach albo w pojedynkę, przyszło dosyć dużo ludzi, niektórych w ogóle nie znał, byli to zapewne przedstawiciele jakichś cechów lub firm, nie brakowało również dzieci z sąsiedztwa, znaleźli się przyjaciele, których od dawna nie widział, wszyscy w czerni, podczas gdy on, jeden jedyny w jasnym płaszczu deszczowym, stał za cyprysem, trzymając fajkę w ręku. Moment, w którym mógł się ujawnić, właściwie już minął. Było tak wiele ludzi, niektórzy przyjechali z daleka. Zresztą nie musiał się nawet zbytnio ukrywać, wszyscy bowiem przechodząc po skrzyżującym żwirze, patrzyli w ziemię, i okryci żałobą, i ci, którzy żałobę udawali. Znajomi witali się dyskretnym skinieniem głowy. Oczywiście nikt nie

palil, wobec czego i on schował odruchowo do kieszeni swą fajkę. To było niedobre, tym samym bowiem uznał uroczystość żałobną, zanim jeszcze zjawila się osłonięta wdowa, i mógł się już tylko bezsilnie przyglądać dalszemu przebiegowi. Wzruszenie, które go ogarnęło przy odczytywaniu mokrych ód deszczu napisów na wstęgach żałobnych, minęło; odczuwał teraz to wszystko jako sprzysiężenie. Nadeszła wdowa, zgodnie z jego oczekiwaniem osłonięta czarnym welonem, podtrzymywana przez dwóch szwagrów, którzy szli wyprostowani i pełną godności przytomnością chronili ją przed ukłonami, oszczędnie kiwając

- l w jej zastępstwie głowami na prawo i lewo. Nie słychać było nic oprócz zgrzytu żwiru pod kołami
- 19 zajeżdżających samochodów, zatraskiwania drzwiczek, chwilami kapania wody z cyprysu. Kto by się odważył wystąpić teraz w jasnym płaszczu deszczowym? Zresztą wkrótce już rozległy się dźwięki organów. Właściwie nie pozostało mu nic innego, jak przyłączyć się jako ostatni do orszaku, skoro całej uroczystości nie można już było powstrzymać; tak, przyłączyć się jako ostatni, aby wysłuchać mowy pogrzebowej, to daloby się zrobić; w krematorium ludzie, kiedy już raz zasiądą w ławkach, nie odwracają się, a nieboszczyk, byleby się spokojnie zachowywał, może śmiało stać koło drzwi. Poczekał jeszcze tylko, aż się zjawią ostatni maruderzy. Wielka ilość samochodów, organy, wszystko to nie zrobiło na nim wrażenia: przede
- l' wszystkim organy. Napływało coraz więcej ludzi,
- t tak że zabrakło już miejsc siedzących; niektórzy

musieli stanąć przy drzwiach z kapeluszami w rękę, nawet za drzwiami. Było to więc niemożliwe; byliby go zauważyli, gdyby się zaczął przepychać przez drzwi, aby wysłuchać mowy pogrzebowej. Teraz organy zamilkły. Ale on z fajką w ustach, której nie zapalał, słyszał tylko krople spadające z gałęzi cyprysu i nie wiedział, co by teraz należało zrobić. Pójść do kina? Do domu? Zasięgnął języka u jednego z kierowców, dokąd uczestnicy pogrzebu zamierzają później pojechać, ruszył na piechotę, z rękami w kieszeniach, jak ktoś, kto nagle ma za dużo czasu, wolno i leniwie, podczas gdy duchowny, który go nigdy nie znał, odczytywał jego biografię; człowiek w jasnym płaszczu deszczowym. W pewnej chwili przystanął; jakiś czas przyglądał się chłopcom, grającym w piłkę nożną wśród ogródków działkowych, i czekał na piłkę, która przeleci, nad płotem. Gra w piłkę nożną pociągała go w dzień jego pogrzebu. Ale piłka nie nadleciała do niego. Wlokąc się dalej, kopnął nogą puszkę po konserwach, która uniosła się jak piłka nożna, potem z brzękiem potoczyła ze skarpy, podczas gdy żałobnicy, pochyliwszy głowy, znowu pocieszeni przez organy, wspominali go. Był na wpół rad, że nie musiał wysłuchać swojej biografii, na wpół niezadowolony, że sam nic nie mógł do niej dodać. Stał teraz w gospodzie, w której żałobnicy mieli się później zebrać, wypił kieliszek grappy, potem piwo, potem jeszcze kieliszek grappy, nie zdejmując płaszcza. Niemożliwy lokal, pomyślał, kawiarnia w stylu rodzimym. Na stypę zamówiona była sala na piętrze. Upłynęło wiele czasu, nim

pogrzebano pod jego nazwiskiem jakiegoś włóczęgę. Cokolwiek mu przychodziło do głowy, na przykład, że mógłby siedzieć na piętrze, kiedy zjawią się żałobnicy, było oczywiście niemożliwe ze względu na wdowę, która w ciągu trzech dni dużo przeszła. Poza tym, szczerze mówiąc, sam nie miał nastroju do kawałów. Był naprawdę bezradny. Przypuszczalnie robił sobie wyrzuty, że nikomu nie powiedział o swojej podróży lotniczej; zamówił jeszcze kieliszek grappy, przerzucił najświeższe gazety, nie znalazł nekrologu; ostatecznie gazety zmieniają się z dnia na dzień. Kiedy ludzie, nazywani jeszcze przed chwilą orszakiem żałobnym, zaczęli grupami zawodowymi lub rodzinnymi, lub przypadkowo utworzonymi, wchodzić teraz na górę, mówili już zwyczajnymi głosami, ale niewiele. Każdy chciał przytrzymywać otwarte drzwi dla innych. Na pewno było wśród nich dwóch czy trzech prawdziwych przyjaciół, którym byłby chętnie oszczędził tej stypy, tej przykrej ceremonii w czerni, do której czuli się zobowiązani nie ze względu na niego, lecz ze względu na jego rodzinę. Dlaczego nie zeszli na parter? Zasmuciło go to. Kiedy później, wyraźnie podpity, podszedł do szafy grającej, aby puścić jakiś hałaśliwy przebój, po krótkiej chwili zszedł na dół właściciel gospody, nawiasem mówiąc również w czerni, i, co było rzeczą zrozumiałą, przywołał go do porządku. Ale szafy grającej, raz puszczonej w ruch, nie można było zatrzymać; musieli więc wysłuchać do końca owego przeboju. Mógł sobie wyobrazić, co się dzieje na piętrze: dostojnie, stół w kształcie podkowy, wdowa, teraz

bez welonu, ale zaplakana, skromny posiłek, szynka, wino Clevner-Beerli, do tego wspomnienia natury osobistej. Niektórym będzie go brak, innym znowu mniej niż sądzą. Kobiety, która również we wspomnieniu nigdy się z nim nie pojedna, na pewno wśród nich nie było i to sprawiało mu ulgę, w ogóle towarzystwo na górze niewiele miało wspólnego z jego życiem, mogło mu być obojętne, obojętniejsze, niż wolno mu to było okazywać za życia. Kiedy musiał pójść do toalety, znajdującej się na piętrze, na szczęście na podeście schodów nie było nikogo. Musiał zwymiotować. Kiedy później ktoś przyszedł, zastał drzwi zaryglowane. Żalobnik odszedł. A człowiek za zaryglowanymi drzwiami nagle poczuł się bardzo kiepsko, obleciał go strach, że nie będzie mógł otworzyć drzwi, ale nie chciał wołać o pomoc. Goście na sali na pewno gawędzili już teraz zupełnie swobodnie, tylko wdowa milczała, co dla każdego było zrozumiałe, ale mąciło nastrój. W pewnej chwili usłyszał głosy z zewnątrz; dwaj mężczyźni, stojący obok siebie przy umywalce, rozmawiali o sprawach zawodowych, które interesowały również człowieka za drzwiami, myli starannie ręce, osuszali je nie mniej starannie, by móc dłużej rozmawiać na tematy zawodowe, wreszcie, na progu, padł dowcip — oczywiście nie na temat zmarłego, lecz w związku z czymś bardzo odległym... Znajdujący się za drzwiami, choć znał dowcip, ucieszył się nim. Teraz mógłby wejść na salę: życie toczy się dalej. Na sali panowałby teraz właściwy nastrój. Niestety, czuł się zbyt marnie i pozostawała mu tylko ulica, gdzie padał deszcz.

Jego rzeczy ciągle jeszcze znajdowały się w po lotniczym.

Czul się więc wolny.

Okolo północy, wypawszy się w poczekalni, wytrzeźwiony, znowu się zasmucił. Bez dachu nad głową w mieście rodzinnym, to denerwuje. Co prawda mógł pójść do hotelu, wziąć pokój z łazienką; bez bagażu, ale z pieniędzmi. I z paszportem. Ale lękał się tego, jak gdyby każdy portier wiedział, czyje zwłoki zostały dziś spalone. Kina były już nieczynne. Siedział więc na ławce publicznej, bez kapelusza, w deszcz, wyczerpany, przemarznięty, po trochu ubawiony tym, że żyje, nagle gotów do zabawy, tak, do jakiegoś szaleństwa. Ale z kim? Sam, bez kapelusza, odrzuciwszy w sposób uprzejmy zaproszenie jakiejś dziewczyny ulicznej, odkrył, że nielicznych, którzy po tym dniu mogliby wchodzić w rachubę jako przyjaciele, od wielu lat zaniedbywał i teraz nie wypadaloby, żeby tuż po północy nawiedził ich jak duch zza grobu. Może ten i ów ucieszyłby się. Pomyślał o nich ze skruczą. Ale skrucza to nie miejsce, w którym można by się podziać, i coś się musiało stać. Kiedy wreszcie wszedł do budki i zatelefonował do domu, nikt nie podniósł słuchawki: wdowa spała prawdopodobnie u szwagrów, to znaczy u swoich braci, którzy nigdy z tym szwagrem nie sympatyzowali. Nie można im tego brać za złe. Człowiek w jasnym płaszczu deszczowym, stojący teraz w budce telefonicznej, nigdy nie pasował do tej rodziny; sam o tym wiedział. Tamci nigdy nie mogli całkowicie zrozumieć tego małżeństwa. Wstrząśnięci

jej żalobą — właściwie załamanie przychodzi najczęściej dopiero po pogrzebie — i teraz zapewne nie mówili tego, co sobie myśleli od lat, lecz pocieszali nieszczęsną. Na szczęście nie pozostały dzieci. Pocieszali ją, rozumiejąc jej nieszczęście; nie przeciwstawiali się, kiedy lkała bez przerwy i mówiła jak portugalska zakonnica; nie o nim, lecz o swojej wielkiej miłości...

W każdym razie do telefonu nikt się nie zgłosił.

Człowiek w jasnym płaszczu deszczowym odwiesił wreszcie słuchawkę, włożył do kieszeni monetę, która wypadła z automatu, i upewniwszy się, że ma przy sobie klucze od mieszkania, wszedł do taksówki i pojechał do domu. Chciał się wyspać. W mieszkaniu było ciemno; zapalił światło, stanął w miejscu... jakie to. zabawne: — na stole siedem filiżanek po herbacie, jej ostami posiłek przed pogrzebem, wszędzie kwiaty, pudełko pełne biletów kondolencyjnych i listów z czarnymi obwódkami. Stojąc, przechyliwszy głowę, przeczytał niektóre. Ktoś zapomniał swego czarnego melonika. Poza tym wszystko jak zawsze, oprócz powyciąganych szuflad; rzecz zrozumiała, potrzebne były dokumenty, szukano testamentu i znaleziono go. Aby później, mimo to, pozwolić mówić duchownemu. No, dobrze. Zapalił światło w sypialni; na łóżku małżeńskim leżał jej czarny welon. Zgasił światło. Kot śpiący w koszyku był w domu jedyną żywą istotą. Zapalił światło w kuchni, wyjął z szafy szklankę, napelnił ją wodą, wypił, napelnił raz jeszcze. Wrócił do pokoju ze szklanką w ręku, raz jeszcze się odwrócił, nie zdejmując płaszcza,

z drugą ręką w kieszeni, aby nie sięgnąć po własne rzeczy, które zostały wyjęte z szuflady; paczka listów, kwity, stara odznaka sportowa, dowody opłacenia podatków, polisa na ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków, fotografie, dyplom honorowy. Same śmiecie. Był zdziwiony wszystkimi tymi dowodami wysilków nagle przedawnionych, napił się jeszcze wody; zdziwienie było przyjemne. Kiedy kot, który się tymczasem obudził, wśliznął się do pokoju, mężczyzna przeląkł się; potem się roześmiał, wziął ze stołu osieroczonej żony biskopt i dał go kotu. Nie pozostał długo w mieszkaniu, nie miał tu nic do załatwienia i, jak mu się wydawało, nic, czego chciałby tknąć. Dopiero kiedy ujrzał tkwiące w kubku cynowym siedem fajek, nie potrafił się opanować, wyszukał najlepszą, wsunął ją do kieszeni płaszcza, włożył zaś do kubka fajkę, której dotychczas używał. Na tym byłby właściwie koniec. Jeszcze jedno spojrzenie na wszystko, po czym zgasił światło. Na klatce schodowej wydało mu się, że coś usłyszał, schował się do wnęki, na chwilę wstrzymał oddech. Kroki na schodach w górę! Ale potem na dolnym piętrze zamknęły się drzwi i zapadła cisza. Jak kochanek, unikając skrzypnięcia stopni, dotarł na palcach, nie zauważony, do bramy i otworzył ją ostrożnie. Deszcz ustał. Podniósł kołnierz płaszcza, spojrział ku górze na fasadę, odszedł — pozostawił po sobie tylko jeden ślad: światło w kuchni, które zapomniał zgasić; szklanka z wodą na biurku nie zwróciła niczyjej uwagi; jego klucz od mieszkania leżał w skrzynce na listy, co pozostało nie wytłumaczone...

Svoboda zajmuje mnie jeszcze ciągle.

(—ponieważ zrobiłem mu krzywdę. Nie można przedstawiać człowieka tylko w jego stosunku do płci odmiennej, kiedy człowiekiem tym jest mężczyzna ; większą część naszego życia spędzamy przecież przy pracy).

Wyobrażam sobie:

Svoboda w białym kitlu roboczym. Dwaj rysownicy, których pracę sprawdza, nie zauważają w nim nic szczególnego. Svoboda, taki jak każdego ranka. Siedzi oparty owłosionymi rękami o stół kreślarski, zamyślony, obaj rysownicy, stojący obok niego z prawej i lewej strony, czekają w napięciu na wyrok. Wygląda na to, że mu się coś nie podoba; może jakaś proporcja, nie wie w pierwszej chwili, bierze linijkę, mierzy, milczy, patrzy, wie: tak nie może być. Szkoda. Svoboda nie jest zagniewany, tylko zamyślony: trzeba koniecznie mieć jakąś koncepcję. Inną. Jest więc zamyślony, a nie niezadowolony; ostatecznie to, co zostało tu precyzyjnie narysowane twardym ołówkiem we właściwej skali, jest jego pomysłem. A tak nie może być. W każdym razie dobrze, że to wie. A kiedy coś nie wychodzi, trzeba z tego zrezygnować; na tym polega praca i tak jest dobrze. Owłosione ręce Svobody w dalszym ciągu oparte są na krawędziach stołu kreślarskiego, a podczas kiedy zespół czeka na nowy pomysł, Svoboda spogląda w stronę okna i myśli o czymś innym: o wczorajszym wieczorze z Lilą. Ale niedługo... To tutaj, projekt na konkurs otwarty, jest pilniejsze; prosi o rolkę kalki, którą spokojnie rozwija, o miękki ołówek, B5.

Może ołówek będzie miał nagle jakiś pomysł. Potem druga kalka, trzecia, którą spokojnie zapelnia szkicem, czwarta. Spokojnie. Z napiętym wzrokiem, ale spokojnie; musi się znaleźć jakieś rozwiązanie. Svoboda nie jest pozerem, to wykwalifikowany fachowiec, i szkic, który tego przedpołudnia (po nocnym rzucaniu flaszki od whisky) kreślił na papierze, jest już lepszy, przynajmniej jaśniejszy; obaj rysownicy, nachyleni nad szkicem, zaczynają kiwać z uznaniem głowami... Tymczasem następuje przerwa, telefon z budowy, Svoboda komunikuje swą decyzję; potem słychać jego śmiech; potem musi iść do urzędu, tymczasem obaj rysownicy napinają nowe arkusze papieru i ostrzą swoje ołówki. Po południu widzą go znowu w białym kitlu roboczym, opartego owłosionymi rękami o krawędzie stołu; to, co naszkicował przed południem, wygląda istotnie na pomysł, choć wedle niego zbyt nieśmiały, jeżeli chodzi o proporcje, więc znowu rozwija trzeszczący arkusz kalki i prosi, wszystko staje się tylko kwestią godzin nadliczbowych. Kiedy się wchodzi po zameldowaniu przez sekretarkę, widać od tyłu jego brązową łysinę, czekam, aż rysownicy zrozumieją dokładnie, wreszcie Svoboda obraca się wolno na ruchomym stolku, wstaje, zdejmuje okulary w rogowej oprawie.

— Przeszkadzam? — zapytuję.

Myje ręce, wyciera, kawal chłopca, nie ma o niego obawy. Oświadcza, że miło mu mnie powitać, choć widać, że myśli jego krążą jeszcze dokola kalki, jest serdeczny, wierzę mu od razu, zwraca moją uwagę na model, aby usłyszeć zdanie laika.

— Wybacz... — mówi.

Widzę:

Svoboda, ze słuchawką wciśniętą między ucho i ramię, wyciąga szufladę na rolkach, przerzuca katalog eternitu, nie przerywając rozmowy, zwraca się do sekretarki z prośbą, żeby przyniosła jakiś kosztorys; w trakcie tego rzuca pytanie:

— Co myślisz o scenie przestrzennej?

— Nic — odpowiadam. — Niewiele.

Może pomówię o tym ze Svobodą, kiedy będzie miał czas i spokój, może później, w samochodzie; teraz przykucam przed jego modelem, który bardzo mi się podoba. Model roboczy, jak słyszę, będzie jeszcze zmieniony. To na marginesie. Dyskusja na temat eternitu, która go wyraźnie gniewa, trwa długo. Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę i zamknął katalog, mówi do mnie:

— Zawracanie głowy.

Widzę, jak Svoboda, rzuciwszy okiem na zegarek, zdejmuje biały kitel roboczy, potem bierze marynarkę, milczy; sprawa z eternitem musiała go zirytować.

Po chwili powiada:

— Dziękuję, powodzi mi się doskonale.

Przed wyjściem jednak — trzymam już rękę na klamce, ale mi się nie śpieszy — Svoboda idzie do innego pomieszczenia, w którym ludzie w białych kitlach, częściowo siedząc, częściowo stojąc, pochyleni nad rajzbretami i suwakami, pracują nad rozwiązaniem zadań; jest to również śnieżnojasne atelier. Starszy technik ma cały projekt {o ile

odgadłem z telefonu, chodzi tu o dom w parku) przeliczyć na eternit. Niestety.

— A ty? — zapytuje w samochodzie Svoboda. — Byłeś w Jerozolimie — przypomina sobie — co tam robiłeś?

Widzę:

Svoboda prowadzi wóz, obie ręce na kierownicy, jak kiedy się podczas długiej jazdy chce trochę wytchnąć, twarz niewyspana, ale czujna; rozsądny kierowca; jeśli jest okazja, wymija inne pojazdy od razu, nie przerywając rozmowy, a kiedy to nie wychodzi, jedzie wolno, nie denerwuje się; ma się wrażenie, że to nie on prowadzi, lecz szosa w trakcie jego rozmowy.

Ani słowa o Liiii.

Po drodze widzę plac budowy i Svobodę, który przechodzi po chwiejących się deskach, na budowie już skończona praca, betoniarka milczy, ocieka wodą, obok worki od cementu, latryna pod kwitnącym drzewem wiśni, taczki, barak, nad nim między drutami plakat: WEJŚCIE NA PLAC BUDOWY NIEUPRAWNIONYM SUROWO WZBRONIONE. Svoboda w płaszczu. To, co określa jako pokój mieszkalny, jest dżunglą z pionowych okrągłaków i lat, zwanych szalunkiem, sufit dziś wybetonowano, przez okrywające go płótno workowe przecieka woda. Wszędzie materiały: miki papy dachowej, przy dotyku szorstkiej jak papier szmerglowy, beczka z kwiatami wiśni na powierzchni brudnej wody, łopaty, w trawie wiązki prętów do zbrojenia betonu, kupy brunatnej ziemi, porośniętej chwastami, stosy cegły, bładoróżowej jak

zmierzch. W pewnej chwili Svoboda wyciąga żółtą składaną miarkę. Zbiornik na ropę do ogrzewania, stojący obok przygotowanego dołu, wszędzie kaluże, deski z napisem przez szablon: Scotoni & Co, sznury z ołowianym obciążnikiem pionu, rury, lśniące jak świeże kasztany, kanalizacja, cementowy zbiornik, nad nim trójnożny kozioł z wielokrążkiem, pryzma żwiru, brzoźki osłonięte drewnianym szalunkiem, w trawie butelki po piwie, puste papierowe worki od cementu. Svoboda patrzy na to wszystko z zadowoleniem.

— No tak — mówi. — Jedziemy?

W domu:

— Czego się napijesz? — pyta, podziękowawszy za lód, który przyniosła Lila, i za szklanki do whisky, których poprzedniego dnia nie wrzucił do kominka.

— Masz, zdaje się, chorą wątrobę?

— Whisky.

— Widzisz — powiada — on również uważa tę gadaninę o scenie przestrzennej za bzdurę.'

A więc to ona.

Opowiadam o Jerozolimie...

Lila jest przecież aktorką!

Gdybym był Svobodą:

Wyjąłbym z szafy mój karabin wojskowy, położyłbym się na brzuchu, może wstałbym jeszcze raz, aby zdjąć marynarkę. Wyjmuję fajkę z ust, zanim znowu położę się na brzuchu, wciskam

kciukiem pierwszy magazynec, jak mnie uczono, zamykam zamek, wszystko to robię spokojnie. Przez chwilę, kiedy raz jeszcze kładę karabin, wygląda, jak gdybym się wahał, rozumiał nonsens mego przedsięwzięcia; ale odłożyłem broń tylko dlatego, że mnie piją spodnie, potem muszę przetrzeć okulary, nim odbezpieczę broń, wreszcie przykładam kolbę do policzka, potem — z całym spokojem — celuję na przykład do zegara w stylu Ludwika XV. Pamiętasz? Białe, okrągłe jak tarcza strzelnicza, porcelana, złote wskazóweczki! Paf! i otwieram zamek, aby wyskoczyła pusta, gorąca łuska, miejmy nadzieję, że nie spali naszego dywanu, zamykam zamek, ważne jest, żeby spokojnie i regularnie oddychać, kiedy na przykład celuję do weneckiego lustra, zgrywam oko ze szczerbinką i muszką, powoli zginam palec wskazujący na języku spustowym: dzz! Znowu otwieram, zamykam, wszystko, jak mnie uczono, tylko bez pośpiechu, kiedy celuję— tym razem może do głośnika, który ciągle jeszcze gra Schuberta, Trio nr 1, przed oddaniem strzału nie mrugnąć okiem: bumm! Zanim przejdę do delikatniej szych zadań, rozwiązuję krawat, zakładam pas karabinu na lewy łokieć, żeby mi ręka nie drgała. Traf teraz do gwoźdźca, na którym wisi twoja podobizna! Na to, żeby portret zaczął się tylko kołysać, zużywam cztery naboje. Czy jestem pijany? Muszę założyć nowy magazynec, odciągam zamek do tyłu, wciskam magazynec, zamykam zamek, wszystko, jak mnie uczono, przykładam broń do obojczyka. A gdyby tak zabrać się do książek? Mój

policzek rozkoszuje się chłodem kolby, podczas gdy celuję do Millera. Puff! Już od dawna słyszę krzyki i wołania z ulicy, ale przecież jestem u siebie w domu. Otwieram, zamykam zamek, jazda dalej. Co to obchodzi tych, którzy krzyczą tam na ulicy? Odważam się tymczasem na subtelniejsze cele, na przykład listy pewnej portugalskiej zakonnicy. Zużywam na to trzy naboje. Wydaje mi się, że to nie byłoby tyle warte, bar jest lepszym celem: whisky — ping! dżin — pong! To przynajmniej brzęczy za każdym razem i kiedy wypada rozgrzana luska, kiedy otwieram zamek, robi mi się wesoło; nie rozumiem, dlaczego' nagle zadzwonił telefon. Jestem zdziwiony, ale nie tęsknię za nikim. Telefon dzwoni i dzwoni, aż wreszcie do niego celuję j bang! Nie wiedząc jeszcze, co będzie moim następnym celem, wciskam nowy, przedostatni magazynek, zamykam, przykładam kolbę do policzka. Cisza. To wykluczone, żebyś ty do mnie zadzwoniła. Skądże znowu! Leżysz z innym, a ja dalej muszę robić swoje. A może dzwoniła osoba trzecia, ktoś niewinny, ale z twego polecenia (niechętnie, czegoś jednak nie robi się dla ciebie), aby mi zakomunikować, żeś się spóźniła na pociąg? Wierzę w to. A jakby też było z dziurką od klucza w twojej szufladzie? Ale twoje tajemnice są przestarzałe; wolę skórzaną poduszkę Pif, paf, puf! Nudne polowanie na bawoły. Potem zawstydzające pudło do glinianego psa z Peru i już znowu muszę zmienić magazynek. Rzut oka na otoczenie, w którym mieszkaliśmy. Aż do ostatniego naboju, tak, to nie ulega wątpliwości; odwrót jest już niemożli-

. A gdyby tak zabrać się do żarówek? Na cztery rowki zużywam pięć naboju, w ciemnościach pada gips. Ostatni nabój posyłam do księżycy, który natychmiast spróbował zastąpić światło żawek i widocznie za szybą okienną czuje się pewny, zz! I nagle stoi policjant, miał szczęście, w lufie nie ma już ani jednego naboju, a on, uzbrojony w bezwstydnie oślepiającą latarkę, kieszonkową, yta o moje personalia... Ale nie jestem Svobodą.

Powiedzmy, że nazywam się Gantenbein.

Moje historie dla Camilli — pewnego pięknego ranka skończy się to, moje ostatnie manicure.

— Ach, te pańskie historie!

Śmieje się, właśnie zabrała się do lewego kciuka Gantenbeina, śmieje się, nie podnosząc oczu, Gantenbein widzi tylko jej utlenioną na jasno grzywę? nawiasem mówiąc ta grzywa nie jest już utleniona. Może nawet od dawna. Jak się zdaje, Gantenbein przestał ją widzieć, naprawdę widzieć.

— Camillo — pytam — co się z panią dzieje? Jej zapotrzebowanie na opowiadania zostało pokryte; zdaje się, że Camilla ma własną, prawdziwą historię.

— Tak — mówi — będzie sobie pan musiał poszukać innej manicurzystki — i po raz ostatni opilowuje paznokieć mego kciuka. Nie patrząc na mnie dodaje: — Wychodzę za mąż — Składam jej życzenia.

Narzeczonej, dentysta, znalazła go z ogłoszenia, nie chce, aby Camilla w dalszym ciągu robiła manicure. A więc znowu koniec z samodzielnością kobiety.

— Będę mu pomagała w gabinecie — mówi z wyraźnym szacunkiem dla tego słowa—w każdym razie, dopóki nie będziemy mieli dzieci.

— Chciałaby pani mieć dzieci?

Kiedy później oglądam palce prawej ręki, wiem, że jest to moja ostatnia wizyta u Camilli Huber. Ubolewam nad tym. Rozumiem dentystę, który nie chce, aby dalej robiła manicure. W ogóle nie zobaczymy się już, oczywiście, inaczej dentysta mógłby to fałszywie zrozumieć, a tego nie chciałbym. Powtarzam moje życzenia, ale ubolewam; Camilla i Gantenbein byli przyjaciółmi, jak się okazuje, prawdziwymi.

— Panie Gantenbein — mówi —

—; Słucham.

— Pan nie jest ślepy.

Nie pytam, od kiedy o tym wie.

— Nie, nie jestem — powiadam — a bo co? Biorę czarną laseczkę, stoimy w korytarzu, właściwie pożegnaliśmy się już, trzymam rękę na kłamce, widzę po jej wyrazie twarzy, że chciałaby jeszcze coś powiedzieć.

— Panie Gantenbein...

Czekam.

— Nie powiem nikomu, że nie jest pan ślepy, może pan być tego pewien, i pan nie powie nikomu, co pan widział.

Stała między nami umowa.

Zauważyłem właśnie z przerażeniem, że Lila, w jakikolwiek sposób ją sobie wyobrażam, nigdy nie ma dziecka. Po prostu nigdy o tym nie pomyślała.

Dziecko? Z kim?

Wyobrażam sobie:

Owego popołudnia w barze, zapytana przez obcego pana, czy ma dzieci, zapytana oczywiście bez szczególnego zainteresowania, ot tak, mimochodem, w trakcie pogawędki, między jednym solonym migdałkiem a drugim, wcale tego nie przemilczała, przeciwnie, powiedziała, w jakim wieku jest jej dziecko. Wydaje się, że to on tymczasem o tym zapomniał, obcy pan w ciemnym ubraniu wieczorowym, kiedy, aby ją zabrać do Opery, czeka na nią w pokoju. Z przechyloną na bok głową, aby móc odczytać tytuły, stoi przed półkami na książki, ręce włożył do kieszeni, aby niczego nie dotknąć. Nie wie, co ona robi tak długo, skoro podał jej już futro. Ale czeka bez zniecierpliwienia, bez cienia niechęci. Może szuka klucza; uświadomił sobie, jak korzystnie wygląda w porównaniu z jej mężem, którego fajki stoją w kubku z epoki Inków i który przebywa w Londynie; żaden mąż, któremu każe się czekać, nie bywa tak całkowicie pozbawiony zniecierpliwienia. Dla obcego ma to nawet pewien urok, że nie wie, nawet nie przeczuwa, co Lila robi tak długo. Raz do uszu jego dochodzi z przedpokoju stuk jej pantofli na szpilkach. Co prawda na odchodnym powiedziała, że bar jest do jego dyspozycji, ale on nie chce z niego

korzystać. Nie chce tu niczego dotykać. Z rękami w kieszeniach marynarki, obcy pan, który jest tutaj, ale nie chce wiedzieć, gdzie jest, czeka spokojnie, bez zaciekawienia. Już rzut oka na książki jest przekroczeniem granicy, wejrzeniem, zetknięciem się z otoczeniem, o którym nie chce nic wiedzieć. Do tego te fajki w kubku z epoki Inków. Wie, że Lila nie spadła z nieba tylko po to, aby pójść z nim do Opery; jeszcze żadna kobieta nie spadła po południu z nieba do baru. Wiadomo, jak to jest; prędzej czy później wyjdzie to na jaw: rzeczywistość pewnego otoczenia, rodzina, historią prawdziwą, zawikłaną i banalną. Ale on nie chce nic wiedzieć. Nie chce nawet usiąść. Już użycie pozłacanej zapalniczki marki Dunhill, którą zapewne Lila darowała swemu mężowi, na chwilę mąci jego nastrój; nie chciałby się tutaj zadomowić. Pali, stoi i pali. Nie wie, dlaczego to mieszkanie pary Svoboda-Lila w jakimś stopniu go irytuje; jest przecież urządzone ze smakiem. Zegar Ludwik XV. Białe skórzane poduszki. Gliniany pies z epoki Inków. Wszystko pełne smaku; ale istnieje. Dlaczego twarz, którą się spotyka, nigdy nie unosi się w próżni? Nie chciałby rozglądać się zbyt dokładnie. To już lepiej iść do Opery! — Kiedy ona wraca, zastaje go przy oknie wyglądającego, aby nie patrzeć na mieszkanie; zapomniał, że^ ona ma dziecko, które trzeba uspokoić, zanim mama pójdzie do Opery.

■— Dlaczego pan nic nie pije?

Podchodzi do baru, aby obsłużyć obcego pana; dowiaduje się z jej ust, że dziecko płakało; ale

teraz, jak się zdaje, pocieszyło się obietnicą, że mama po powrocie opowie całą operę.

— Heż ona ma lat?

Ona powtarza, co mu już powiedziała.

„i — Dziękuję — mówi on. — Bardzo dziękuję!

Piją, rozmawiają o tym i owym, pałą, siadają, rozmawiają, opera już dawno przestała być aktualna.-' Lila, wciąż jeszcze w płaszczu, oboje czują, że powinni opuścić mieszkanie, udać się do miasta, jakkolwiek nie byłoby sprzeczne ze zwyczajami, gdyby gościła kogoś jeszcze o północy. Zresztą nie ma jeszcze dwunastej... Dziecko śpi... Zdaje się, że znowu o nim zapomnial; ona nie. Jest matką. Nie mówi o swoim dziecku, które śpi, nawet nie myśli o nim; ale wie, dlaczego nie jest teraz ze Syobem w Londynie. Ponieważ jest matką. Tak sprawa wygląda. Na szczęście. Jutro odwiezie dziecko do przedszkola; nie potrzebuje o tym myśleć, wie, że tak będzie. Może być tego pewna. Czasami Lila (lat trzydzieści jeden) wydaje się sobie stara... Podnoszą się, żeby wyjść na miasto, przez chwilę zdumieni tym milczącym porozumieniem; ona gasi lampę stojącą. Dotychczas całe mieszkanie było oświetlone, wszystkie drzwi, z wyjątkiem prowadzących do pokoju dziecka, stoją otworem od kilku godzin, od czasu kiedy szukała planu sieci drogowej Peru, nawet drzwi do kuchni, jak gdyby lękała się zamkniętych drzwi. Po zgazowaniu lampy stojącej gasi również górne światło; coś pcha ją do przedpokoju, gdzie światło jeszcze się pali, on czeka już tylko, żeby znalazła klucz od samochodu, gotów do wyjścia. Ona rozgląda

się, jakby coś mogło być jeszcze nie w porządku, ale lewą rękę już trzyma na kontakcie. — Chodźmy— szepce, kiedy jego ręka, jakby na pożegnanie z jakąś możliwością, niechcący a zarazem ironicznie, zdając sobie sprawę, że to powtórzenie, gładzi jej czoło. — Chodźmy! — szepce z kolei on. Dokąd? O tym nie mówią. Szepcą, żeby nie obudzić dziecka. Szept stwarza wspólnotę. To ją przeraża i kiedy gasi światło w przedpokoju, nie patrzy na obcego pana, a potem nie ma już światła, dopóki przez okna nie zacznie wdzierać się brzask; nie ma, z jednym wyjątkiem: o trzeciej Lila idzie do pokoju dziecinnego, ponieważ usłyszała kaszel, zapala światło, aby się upewnić, czy dziecko śpi. Śpi. Czy to przebiegłość, że je budzi? Budzi je; Aby powiedzieć, że mama jest w domu, że była w Operze. Nie opowiada o przedstawieniu szczegółowo, ale bądź co bądź tak, że dziecko będzie coś pamiętało. A kiedy urośnie, pójdzie również do Opery. Ale żeby urosnąć, musi teraz spać. Przygotowuje szklankę wody z cukrem. Potem gasi światło. Czeka przy łóżeczku, nie całuje dziecka; ale mówi mu, że tata jutro wróci i na pewno coś ładnego przywiezie, lalkę w szkockiej spódniczce (jeżeli to dziewczynka) albo żaglówkę (jeżeli to chłopiec), ale pod warunkiem, że dziecko teraz zaśnie. Czeka jeszcze, aż wybije czwarta; potem zamyka drzwi z zewnątrz, kiedy wraca, nie mówi ani słowa, nawet szeptem, chowa twarz w zgięciu jego obnażonego ramienia, podczas gdy on oddycha miarowo przez otwarte usta, nasłuchując; jest cicho...

Następnego dnia zjawia się Svoboda.

Dziecko (tego o szkockiej lalce widocznie już nie dosłyszało, nie jest więc rozczarowane, że tata nic nie przywiózł) bardzo zabawnie opowiada b operze, na której była mama.

Dziecko jako anioł opiekuńczy?

Kupiłem magnetofon, żeby nagrywać wasze rozmowy, rozmowy, w których nie biorę udziału. Wiem, to podstępne. Toteż wstyd mi, ilekroć drżącymi palcami zakładam krążek brunatnej taśmy, nagranej w czasie mojej nieobecności, na tę diabelską maszynę.

Po co!

Czasami wydaje mi się, że mogę sobie wyobrazić, jak przebiegają rozmowy moich przyjaciół beze mnie, czasami znów nie mogę. Czy teraz, po moim odejściu, ciągle jeszcze rozprawiają o historii papieży? A jeżeli nie, to o czym? Przede wszystkim jednak: jak oni teraz rozmawiają? Inaczej niż dotąd? Zupełnie tak samo? Poważniej czy bardziej żartobliwie? Nie wiem, dlaczego chciałbym to wiedzieć. Są ludzie, którym dowierzam, że po moim odejściu będą dalej mówili jak przedtem; szczerze mówiąc jest w nich według mnie coś nudnego, prawie nieludzkiego. Oczywiście mogę się mylić. Fakt, że ktoś po odejściu Burriego rozmawia zupełnie tak samo, nie oznacza jeszcze, że będzie rozmawiał zupełnie tak samo, kiedy ja sobie pójdę. Jedni ludzie kuszą do zdrady, inni nie. Cóż znaczy zdrada! Nie sądzę, żeby inni, ledwie zostawszy

sami, mówili o mnie, a jeżeli to robią, to niech sobie; moją ciekawość podnieca co innego. Czy na przykład Burri, sam na sam z Lilą, nie ma jeszcze również zupełnie innej twarzy? Wymyślając rozmowy, odbywające się beze mnie, narażam się na niebezpieczeństwo, że mogę obawiać się ludzi, szanować ich lub kochać, stosownie do tego, jak w mojej wyobraźni mówią, kiedy mnie nie ma. Na przykład moje ślepe niemal zaufanie do Burriego, płynące tylko stąd, że w moich wymyślonych rozmowach nie mówi, nie milczy, nie śmieje się inaczej niż w mojej obecności, idzie tak daleko, że po prostu nie wierzę, kiedy się okrężnymi drogami dowiaduję, co niedawno Burri miał powiedzieć. Plotki! Nie chcę słuchać plotek. W rezultacie nie podejrzewam Burriego, lecz jedynie tych, którzy mi opowiadają, co Burri miał niedawno w mojej nieobecności powiedzieć. Może to nawet naprawdę powiedział, ale nie tak, jak to przekazała plotka. Może w tych słowach, ale nie tym tonem. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, żeby Burri mógł mnie sprzedać dla pointy. Równie uzasadniona czy nieuzasadniona jako rezultat mojej ślepej fikcji, która prędkiej czy później tworzy się wokół każdego człowieka, jest moja długoletnia nieufność w stosunku do innych; na przykład moje bolesne uprzedzenie do Dolfa tylko dlatego, że ilekroć mówi nie w mojej obecności, lecz w moim wyobrażeniu, robi to o wiele subtelniej, mądrzej, nie tylko bardziej uczennie, jeśli swej wielkiej wiedzy nie musi ukrywać w obliczu mojej niewiedzy, lecz również bardziej pomysłowo-

wo i dowcipnie. Jestem przekonany, że pewni ludzie ukrywają przede mną swój dowcip; nie biorę im tego za złe, jestem tylko zawsze zdumiony, że w mojej obecności nie są dowcipni, nie tryskają pomysłami, że wesołość ich nie przechodzi w zuchwałość, że nie wykazują swojej wyższości. Przypuszczam, że mszczą się za to, ale nie mam dowodów. Taki jest Dolf. W rozmowach bowiem, które wymyślam w drodze powrotnej albo leżąc w wannie, w rozmowach beze mnie, ów Dolf jest istną kopalnią humoru, rozrzutny w dziedzinie wiedzy, którą stale przede mną ukrywa. Z czego to płynie? Często tylko dlatego nie idę na jakieś przyjęcie, bo przecież byłbym obecny, gdybym się nawet zachowywał hajciszej; skoro jestem obecny, nie jest to towarzystwo, które mnie interesuje, lecz towarzystwo masek, czemu ja jestem winny — Stąd magnetofon!

Gończkowo, z uczuciem wstydu,' manipuluję drżącymi palcami przy taśmie, naprawdę za każdym razem wstyd mnie ogarnia, kiedy włączam aparat, ale nie podejmuję kroków przeciw samemu sobie. Pierwszy metr zawsze odcinam, mimo to jednak na niektórych taśmach łapię mój głos, wypowiedane półgłosem kłamstwo: — Idę po papierosy! — co też czynię, uruchomiwszy piekielną maszynę, ukrytą za książkami. Moje ślubowanie, że z taśm tych nigdy nie zrobię użytku, jest niewiele warte. Taśmę dźwiękową można skasować, z pamięcią nie da się tego zrobić. Czego właściwie oczekuję? Przeważnie w tym zamęciu głosów, kiedy wszyscy mówią równocześnie, niewiele rozumiem, w tym

czasie palę fajkę. Dziwię się, że się nawzajem rozu-
miecie. Śmiech! Nie widzę powodu. Bezustanne
wybuchy śmiechu! Z nagrania nie można zrozu-
mieć, co was tak bawi. Równie niezrozumiale jes-
nagle milczenie. Nagle wydaje się, że taśma się
zerwała. Ale nie, kręci się dalej. Grobowa cisza
Nie mam pojęcia, co się teraz dzieje. Ciągłe jeszcze
grobowa cisza. Czyżbyście zauważyli, że w ukryciu
znajduje się maszyna, ucho, pamięć? Teraz stłu-
miony głos kobiety: sprawy dotyczące służby
Pałę, czekam na niski głos Dolfa, na jego humor
który się nie pojawia, powoli ogarnia mnie rozczu-
rowanie; równie dobrze mógłbym być przy tym
A Lila? Tylko głos Liili ma inne brzmienie, tak
że wstrzymuję oddech. Ale i ona nie mówi nic
czego bym nie powinien słyszeć, unika tych samych
nazwisk, co w mojej obecności. Niemniej głos
ma inny. Swobodniejszy. Śmieje się częściej,
inaczej, jeżeli ktoś rozmawia dowcipnie, głośnie-
j. Czy, kiedy jestem obecny, obawia się, żebym nie
pomyślał, że śmieje się ze mnie? Wydaje mi się,
że kiedy mnie nie ma w pokoju, nie można się
jej oprzeć. Jest bardziej dziewczęca. Ale to zrozu-
miałe. Wtedy jej głos brzmi, jak kiedy ją poznałem,
to było już dawno temu. Zupełnie tak samo; a prze-
cież taśma, której słucham, została dziś nagrana.
Odważa się na żarty, które by i mnie wprawiły
w zachwyt, i zdarza się, że choć jestem w drażliwej
roli podsłuchującego, muszę się roześmiać. Mówicie
o polityce. W pewnej chwili, kiedy ledwie słucham,
pada moje nazwisko. Mam wyłączyć? Za późno:
już mnie ktoś pochwalil. Za co, tego nie zrozu-

miałem. Mógłbym przecież przekręcić taśmę, aby usłyszeć, ale nie robię tego. Może chwaliliście moją piwnicę, gdyż teraz następuje rozmowa o winach, po czym Lila zapytuje mimochodem, dokąd poszedłem. W tym miejscu gaśnie mi fajka. Teraz jest już połowa taśmy. Wydaje mi się, że się nie śpieszycie, czekacie na Jsoniec mojej taśmy, aby potem mówić naprawdę, bez masek. Słyszę, że szukacie teraz korkociąga, i nie mogę wam pomóc; korkociąg był w kuchni. Zdaniem Dolfa szkoda, zdecydowana szkoda, że nie chcę zająć się polityką. Jak to? Twierdzenie, że mi to doradzał, jest niezgodne z prawdą, w każdym razie nie mogę sobie nic podobnego przypomnieć, nawet mojej błyskotliwej (na taśmie wychodzi bardzo efektownie) opinii o dzisiejszej socjaldemokracji, którą rzekomo wypowiedziałem. Dlaczego stroi mnie we własne piórka? Milknie teraz, jakby autor jego błyskotliwej wypowiedzi mógł w każdej chwili wejść do pokoju, Lila poszła tymczasem do kuchni, zdaje się po korkociąg. Słyszę, że nie ma jej teraz w pokoju. Słyszę to jak ślepiec; nie milczy, jak wszyscy inni, nie ma jej. Nasi goście są sami. Może poznają to po zmianie tonu. Rozmawiacie teraz o fiinie Felliniego, weselej niż przedtem, z większym ożywieniem, a równocześnie z onieśmieniem, teraz bowiem jesteście między sobą, zwolnieni od obowiązku mówienia o domniemanych sprawach gospodarzy, słyhać gwar, jakby przedtem nie wolno było mówić o filmie Felliniego. Aby nie plotkować-o gospodarzach, lękacie się teraz jakiegokolwiek pauzy. Ktoś wola: — Lila, co pani tam robi? — i słyhać echo

tego samego" głosu: — Co ona tam robi? — Na szczęście wszyscy widzieli film Felliniego, i, co ważniejsze, nie są ze sobą zgodni w jego ocenie. Katolickość Felliniego...

Koniec taśmy.

Znowu zapalam fajkę.

To było wszystko.

Zdrady (skoro się już to chce nazwać w ten sposób) nie było. Kasuję taśmę, która wykazała tylko jedno: że łaknę zdrady. Chciałbym wiedzieć, że jestem. To, ob mnie nie zdradza, rodzi podejrzenie, że żyję tylko w moim urojeniu; chciałbym wydobyć się z tego urojenia, chciałbym być na świecie. Chciałbym w najgłębszym wnętrzu być zdradzony. To dziwne. (Przy czytaniu historii życia Jezusa doznawałem często wrażenia, Jezusowi, kiedy przy wieczerzy mówi o rychłej zdradzie, nie tylko zależało na zawstydzeniu zdrajcy, lecz, że jednego z uczniów namawia do zdrady, aby być na świecie, aby dać świadectwo swemu istnieniu na- świecie...)

Palę więc fajkę.

Magnetofon zawiódł. Wprawdzie słyszę wasze rozmowy, ale nie widzę zdrady, która musi być widoczna w waszych twarzach, i gdybym chciał sfilmować miny, które macie w mojej nieobecności, film również zawiódłby całkowicie. Wydaje się, że zdrada to coś bardzo delikatnego, nie można jej arti ujrzyć, ani usłyszeć, jeżeli nie potęguje jej szaleństwo.

P.S.

Zazdrość jako przykład tego, zazdrość jako

prawdziwy ból, z tego powodu, że istota, która nas wypełnia, znajduje się równocześnie na zewnątrz. Senny koszmar w biały dzień. Zazdrość ma mniej wspólnego z miłością seksualną, niż się wydaje; to przepaść między światem i szaleństwem, zazdrość w węższym znaczeniu jest tylko odsyłaczem do niej, szokiem; świat identyfikuje się z partnerem, nie ze mną, miłość tylko złączyła mnie z moim szaleństwem.

'Powiedzmy, że nazywam się Gantenbein!
(Ale definitywnie).

Wyobrażam sobie:

Gantenbein jako niewidomy świadek przed sądem przysięgłych, wyposażony w okulary, czarną laseczkę i żółtą opaskę, którą nosi, kiedy występuje publicznie, poza tym nie zawsze, ale jako wyborca przy umie niedzielnej albo, oczywiście, przed sądem; jest teraz sam w korytarzu, laseczkę trzyma między kolanami, jakby potrzebował oparcia.

Czego chcą się ode mnie dowiedzieć?

Sprawa, od tygodnia szeroko omawiana na szpaltach pism, znana jest każdemu czytelnikowi gazet, również i Gantenbeinowi. Najprzód widniała tylko jako nagłówek na szyldach, które sprzedawcy gazet noszą na brzuchach; wołali: MORD W SEEFELD, ludzie we wszystkich tramwajach rozchwytywali pisma i zaraz o wszystkim zapominali, podczas gdy policja kryminalna miesiącami plątała się w daremnych dochodzeniach; potem

rzecz stała się sensacją, kiedy aresztowano pewną osobistość, skandalem poruszającym umysły, i wreszcie znalazła się przed sądem przysięgłych, grożąc przekształceniem się w skandal polityczny —

— Panie Gantenbein — mówi jakiś głos — nie ma pośpiechu, ale proszę się już przygotować.

Co im powiem?

— Proszę nie wstawać — mówi głos — kiedy nadejdzie pora, zaprowadzę pana.

Jest przedpołudnie, zeznają ostatni świadkowie, nie wiem, przez kogo Gantenbein został powołany, przez oskarżenie czy przez obronę; wiem tylko, że wyrok, który przysięgli mają wydać, w opinii publicznej właściwie już zapadł, a co się dotyczy Gantenbeina, to wiem, że jak każdemu świadkowi zależy mu na jednym: na zachowaniu swej roli; stąd zamknięte oczy... Zegar na wieży wydzwania jedenastą, kiedy uderzenia milkną, słychać znowu zadowolone, głupie gruchanie gołębi.

Wiem tylko jedno:

Gdyby Gantenbein jako świadek powiedział prawdę i Lila dowiedziała się z gazet, że nie jestem ślepy, Lila i wszyscy moi znajomi —

— Proszę, oto woda.

Pewnie zauważono, że się pocę; oczywiście nie sięgam po dzbanek ani po szklankę, słyszę tylko, jak ją woźny sądowy napelnia; wygląda na to, że nie ja pierwszy, wezwany tylko na świadka, czuję się jak oskarżony.

— Panie Gantenbein — odzywa się głos — czy mogę pana prosić...

Podnoszę się.

ale nie ma pośpiechu —
Z zamkniętymi oczyma, aby przed sądem nie
ypaść z roli, już teraz z zamkniętymi oczyma, gdyż
cd żadnym pozorem nie chciałbym zobaczyć
skarżonego, gotów jestem stanąć przed sądem,
oparty na czarnej laseczce. Trzeba mnie tylko
prowadzić. Czuję mocną rękę pod moim łokciem,
rękę przyjazną, która mnie nie opuści, póki ja,
Theo Gantenbein, nie stanę lub nie usiądę na
miejscu przeznaczonym dla świadków.

— Powoli — słyszę — tylko powoli.

Słyszę na korytarzu własne kroki.

— Uwaga — słyszę — tu są stopnie —
Podnoszę nogę.

■ — trzy stopnie.

A więc w prawo, w lewo, w prawo.

— Jesteśmy — słyszę i ręka puszcza teraz mój
łokieć. — Proszę tutaj zaczekać!

Słyszę, jak otwierają się bezgłośnie drzwi, nagle
słyszę salę.

— Proszę wejść!

Znowu ujęty pod łokieć i prowadzony, dzięki
czemu naprawdę nie muszę otwierać oczu, wystu-
kują czarną laseczką w ogromnej ciszy, pełnej
napięcia, zakłóconej jedynie moim stukaniem.

— Niech pan — słyszę — zajmie tutaj miejsce.
Po omacku szukam ławki i znajduję ją, siadam,
znowu opuszczony przez rękę. Tylko nie otworzyć
teraz oczu! Słyszę szelest papieru. Sala musi być
wielka, wysoka, goła, z pozamykanymi oknami,
nie słychać gruchania gołębi, pełno tu oddycha-
jących ludzi; niezawodnie jest wśród nich oskarżo-
no

ny. Czy mnie pozna? Przede wszystkim slysze, czy tez wydaje mi sie; ze slysze moj puls w szyi. Poza tym nic sie na razie nie dzieje. Od czasu do czasu daleko w glębi sali ktoś chrząka, z przodu szepty, potem znowu szelest papieru; na ogół jest jednak cicho. Wiem, co bym ujrzal, gdybym otworzył oczy: oskarżonego między dwoma żandarniami, za nim i nad nim przewodniczącego sądu, gdzieś tam prokuratora w todze, może to on ciągle jeszcze szeleści papierami, prawnika w binoklach, również w todze, obrońcę; pochylił się naprzód, właśnie podaje oskarżonemu karteczkę. Dalej przysięgli, którzy dziś jeszcze muszą wydać wyrok, szereg przemęczonych twarzy różnego pochodzenia. A w górze prawdopodobnie klasycystyczny obraz Sprawiedliwości z wagą i opaską na oczach... Teraz ktoś odczytuje personalia Gantenbeina, które mam potwierdzić, potem upomnienie, żebym mówił prawdę i tylko prawdę, slysze echo mojej przysięgi, potem kaszel, szelest papieru, szepty w drewnianych ławkach, kroki, w moim kierunku, głos:

— Panie Gantenbein, czy znał pan Camille Huber — slysze — i od kiedy?

Kiwam głową.

Od kiedy?

Zastanawiam się.

— Czy miał pan kiedykolwiek wrażenie...

— Chciałbym zwrócić uwagę — przerywa inny głos — że świadek jest niewidomy, nie należy mu zatem zadawać pytań, na które nie może odpowiedzieć pod przysięgą, zwłaszcza pytania —

Dzwonek.

— Wnoszę zastrzeżenie —

Dzwonek.

— Proszę panów —

Gwar, napięcie, czekam, żeby znowu doszedł do słowa przewodniczący, który jednak ze słów nie korzysta, przekazuje je jako ciszę, jako" ciszę bez echa, głosowi z prawej strony, którego jeszcze nie słyszałem.

— Znał pan zamordowaną?

Otwieram oczy, ale jej nie widzę.

— Jakiego rodzaju stosunki łączyły z nią pana?

— Manicure.

Śmiechy na trybunie.

— To prawda — mówię.

Nie wierzą mi.

— Często odwiedzał pan Camillę Huber?

— Camillę Huber?

— Tak.

— Regularnie.

— Żeby zrobić manicure — ?

— Tak — mówię. — Żeby zrobić manicure.

Oczywiście przynosi mi to ulgę, że oni najwyraźniej nie chcą znać prawdy, którą przysięgłem mówić jako świadek.

Przewodniczący:

— Powracając do sprawy —

— Raz jeszcze chciałbym podkreślić z całym naciskiem — mówi głośno tamten głos na sali — że świadek jest ślepy, co oznacza, że nigdy nie mógł widzieć zamordowanej.

Czyjś głos:

— Nie ó to chodzi!

Dzwonek.

— Ślepy to żaden świadek!

Jak już wspomniano, jest to sprawa poruszająca wszystkie umysły. Tylko przysięgli siedzą z zastygłymi twarzami, podobnie jak oskarżony, który jednak w przeciwieństwie do przysięgłych ledwie słucha; jego życie tak czy inaczej zostało unicestwione.

Co wiem z gazety:

Uduszenie przy pomocy sznura od firanki. Samobójstwo nieprawdopodobne. Zamordowana określana jest jako osoba pogodna. Morderstwo rabunkowe lub seksualne. Zawód („kobieta lekkich obyczajów”) i przeszłość: pochodziła z rodziny drobnomieszczańskiej. Podejrzenie padło na osobnika, który jej sprzedał karmanna. Do tego szereg innych poszlak, które są jednak kwestionowane; brak alibi. Jej korespondencja z oskarżonym. Jej ogłoszenia matrymonialne. Morderstwo zostało popełnione wieczorem w przeddzień ślubu z pewnym dentystą —

Obrońca:

— Przejdźmy do rzeczy. A więc nigdy nie słyszał pan od Camilli Huber nazwiska oskarżonego?

Prokurator:

— Czy nie słyszał pan, choćby bez wymieniania nazwiska, o kliencie, który od lat pisywał do Camilli Huber listy z pogrózkami na tle zazdrości?

A więc o to im chodzi! Nie wiem, dlaczego zamiast potrząsnąć głową, zapytuje:

— Co pan rozumie przez zazdrość?

Na sali błysk flesza.

— Proszę odpowiedzieć na moje pytanie —

Niepewny, czy nie zauważono, że i Gantenbein drgnął przy nagłym błysku, odpowiadam: — Nie! — Ale strach wywołany nim odbiera mojej wypowiedzi pozory wiarygodności, czuję to.

Widzę oskarżonego:

• Człowiek, którego nieraz widywałem, niegdyś osobistość, wykształcony, co nie oznacza, abym go nie uważał za zdolnego do popelnienia tego czynu; znam zazdrość, której nie może dorównać żadne wykształcenie. Przeciwnie, wykształcenie ją tylko spiętrza, aż staje się całkowicie prymitywna. To straszne, tak, może go rozumiem. Niegdyś osobistość, teraz ruina, człowiek.nienagannie ubrany, wypielęgnowany, milczący, drgają mu kąciki ust, kiedy mowa o sznurze od firanki (jak w powieści kryminalnej). Załamania nerwowe, wspomniane z naganą na łamach gazet, nie przemawiają na jego korzyść. Dlaczego się nie przyznaje? Widać przy tym, że od czasu do czasu dręczy go gwałtowna skrucza; przykłada wtedy rękę do czoła ruchem człowieka, który nie pojmuje już samego siebie. Samo ujawnienie faktu utrzymywania długoletniej korespondencji z osobą lekkiego prowadzenia wykończyło tego człowieka, choć jego listy, odczytane na sali i cytowane w prasie, są właściwie bardzo, nawet niezwykle piękne; nawet w druku nie wydają się śmieszne, świadczą o jego namiętności, która może ma w sobie coś morderczego, ale nie brutalną groźbę, lecz tkliwą żądę odgadnięcia, kogo kocha.

Listy te wykorzystuje przede wszystkim obrona, gdyż są inteligentne i w swych niezmordowanych zabiegach wzruszające. Jak mogłaby indywidualność tego rodzaju, mówi od tygodni adwokat i powtórzy to w swej mowie obrończej, sięgnąć po sznur od firanki? Ale to nie skutkuje. Oskarżonego nie obciąża w głównej mierze ani suma poszlak, ani sporna ekspertyza odcisków palców, ani sprawa klucza od windy, ani nawet okoliczność, że przy ustalaniu jego alibi na ów kwadrans, kiedy to z jej mieszkania dochodziły krzyki, zdradza zakłopotanie; najbardziej obciąża go odruchowe drganie kącików ust,- nerwowe załamywanie się, a przede wszystkim subtelne poczucie winy, które listy jego z góry wywołują, wyczuwalna z nich ironia w stosunku do siebie samego i wszystkiego, co dla jednostki na świeczniku jest raczej święte. Człowiek zgubiony, zgubiony w opinii publicznej, sam osłabia siłę wystąpienia obrońcy przez to, że uważa je za zbyt naiwne; widać to po nim, nawet, kiedy milczy. A kiedy mówi, co się zdarza coraz rzadziej, jest bezradny, jakby mu przeszkadzało doświadczenie, które inni umieją czerpać z jakiegoś czynu. Znany jako olśniewający mówca w parlamencie, do którego należał, naraził się szczególnie na podejrzenia przez to, że kilkakrotnie przypierany do muru przez prokuratora, nawiasem mówiąc należącego do tej samej partii, podobno zaczął się jękać, po prostu jękać. Brakowało mu słów, dowodzących niewinności. Tak nie było! To może każdy powiedzieć! Ale jak było? Jak gdyby nie uważał za wykluczone, że mógł to uczynić,

powtarza od tygodni, że nie uczynił tego, nie. Z początku, jak już mówiliśmy, wyglądało na skandal, że na tego człowieka w ogóle mogło paść posądzenie. Nikt by go nie podejrzewał o tego rodzaju korespondencję. Podczas kiedy jeszcze w początkowym stadium rozprawy, choć obciążony ciężkimi poszlakami, w żadnej mierze nie odpowiadał wyobrażeniu, jakie ma się o mordercy kobiet lekkich obyczajów, udało mu się dzięki jego osobowości zmienić to wyobrażenie o sobie tak dalece, że właściwie werdykt przysięgłych nie budzi już wątpliwości...

Przewodniczący:

— Przesłuchiwanie świadków zostaje na tym zakończone. Sąd zbierze się dziś o drugiej po południu dla wysłuchania przemówień prokuratora i obrońcy.

Jestem wolny.

Jedyne pytanie, którego się lękałem, nie padło: czy Gantenbein owej nocy, w owej porze (00.3!5—00.50) widział oskarżonego bądź w barze, o którym była mowa, bądź na ulicy. Nie znam owego baru, wedle opisu lokalu podejrzanego, od dawna dobrze znanego policji, Gantenbein mógłby odpowiedzieć. W tym sensie, potem milczeć. Ale ze względu na jego żółtą opaskę pytania tego oczywiście w ogóle nie zadano. Inni świadkowie, którzy znajdowali się w barze, nic dokładniej nie pamiętają; niektórzy z nich z początku sądzili, że coś sobie przypominają, później jednak, kiedy ich tryb życia postawił przed znakiem zapytania wiarygodność ich zeznań, stracili pewność siebie. Wypytywanie niewidomego, teraz,

na zakończenie przesłuchiwania świadków, byłoby kiepskim kawalem. Nie ulega wątpliwości, że wóz oskarżonego stał na Feldeggstrasse; okoliczność ta skłoniła go do szukania alibi w owym barze; teraz jednak zdawało się, że sam nie może już sobie przypomnieć, gdzie się w owym czasie naprawdę znajdował. Obrona, raz nastawiona jego zawodną pamięcią, od tygodni powoływała się na bytność oskarżonego w barze, tak że inne alibi byłoby teraz niewiarygodne, zwłaszcza alibi potwierdzone przez Gantenbeina, noszącego żółtą opaskę. Widywaliśmy się często, kiedy szedłem na manicure, raz w windzie, ponieważ jednak oskarżony nie mógł wiedzieć, że Gantenbein go widzi, nigdy nie klanialiśmy się sobie, co jest godne ubolewania; gdyby nie to, owej nocy, kiedy między dwunastą i pierwszą, wyprowadziwszy mego Klapsa, spacerowałem po bulwarze nadrzecznym i widziałem oskarżonego, karmiącego łabędzie, wywiązałyby się może rozmowa, dająca mu alibi; tamten pamiętałby ją, a i Gantenbein bez trudu mógłby ją potwierdzić, nie będąc zmuszony do poświęcenia z tego powodu swej roli niewidomego.

Przewodniczący:

— Zamykam posiedzenie sądu.

Gwar głosów.

Zanim zamknę oczy, widzę raz jeszcze oskarżonego, drganie kącików ust, jakby wiedział, o co naprawdę gra idzie; sfery odgrywające czołową rolę w tym kraju, winne pod wielu względami, do czego jednak nie chcą się przyznać, gdyż wtedy utraciłyby swą rolę kierowniczą, nie mogą pozwo-

lic na to, aby ktoś należący do nich, komu zarzucono haniebny tryb życia i popełnienie zbrodni, będącej zresztą jego osobistą sprawą, z braku dowodów został uiuwinniony przed całym narodem; mogłoby to wyglądać, jak gdyby w obliczu prawa nie wszyscy byli sobie równi, powstałoby mgliste podejrzenie, które obciążałoby owe sfery — takiego człowieka nie można ratować; sfery odgrywające czołową rolę w kraju przynajmniej na samej górze muszą być reprezentowane przez osobistości, których prywatna poprawność pokrywa wszystkie inne.

— Panie Gantenbein...

Zamykam oczy.

— Tu są stopnie! — mówi woźny sądowy, ujmując za łokieć ślepego świadka; kiedy już jesteśmy na ulicy, zapytuje: — Poradzi pan sobie?

Dziękuję mu.

— Tu jest krawężnik.

Wymacuję go laseczką.

Każda rola powoduje winę —

Z napięciem oczekuję wyroku.

Jedyna pewność co do Liiri: nie ma jej takiej, jaką sobie wyobrażam; kiedyś może i ja ją zobaczę, Lilę od zewnątrz —

Stoję znowu na pokładzie statku tuż przed wypłynięciem na pełne morze, mimo szarej pogody zadowolony, nabijam fajkę, właściwie w takich momentach przyjemnego napięcia nie widzę nic odpowiedniejszego; nie można przecież wśród

ludzi znajdujących się na pokładzie nagle zacząć nucić lub tańczyć; nie chcę również zapytywać samego siebie, dlaczego tak dobrze czuję się na pokładzie białego statku, zanim wypłynie, sam nie tylko na pokładzie, ale w całym porcie, nabijając fajkę, której nie zamierzam zapalić, beczynny, podczas gdy załoga biedzi się usiłując wyciągnąć z żelaznych pierścieni na molo długie, ciężkie liny, już teraz beczynny w obliczu beczynnych dni na tym statku, który wciągnął już trapy, a więc z fajką w ustach, nie paląc, z rękami w kieszeniach; dlaczego tak dobrze się czuję: nie potrzebuję do nikogo wymachiwać, czekam tylko na buczenie syreny, przenikające do szpiku kości, na drugie, ochrypnięte; raz już jej głos przeniknął mnie do szpiku kości. Nie myślę o nikim, obydwoma łokciami opieram się o reling, widzę holowniki z dymiącymi kominami, podobne do kundli na linowce, widzę Neapol w mgle. Później przychodzę na drugą stronę, żeby zobaczyć ludzi, mnóstwo ludzi, którzy zostają na lądzie, wymachują rękami — rodziny, przyjaciół, narzeczone, jakąś łkającą starowinę. Nie widzę Wezuwiusza. Dzień szary, parny, przy tym wietrzny. Teraz ciężkie liny chlusnęły w ciemną wodę portu, wśród baraków i hal urzędu celnego huczy syrena, wymachiwanie na brzegu wzmacnia się, chustki są białe jak grządki narcyzów. Obok mnie jakaś pani, która również nie macha; szczelina między molo i statkiem poszerza się powoli; przy tym uczucie, że to molo się porusza, a nie nasz statek; holowniki dymią i dodają sobie powagi wielką ilością piany. Nie widać twarzy pani stojącej

obok (co mnie to obchodzi!) z powodu trzepoczącej chustki na głowie. Stoi sobie po prostu z rękami w kieszeniach żakietu; i ona nie ma do kogo wymachiwać. Widzę, że powoli ruszyliśmy, choć fal jeszcze nie ma. Niektórzy na pokładzie jeszcze ciągle machają, machają, machają, ale wyraz ich twarzy już się zmienia; nie widzą już tych, których żegnają wymachiwaniem, przestawiają swoje uczucia na terażniejszość, która na razie jest pusta, otwarta, lekka, trochę oszołamiająca. Teraz zahaczyły także syreny holowników, odczepiają brunatne liny, wrzucają je do wody i zawracają, płyniemy już o własnych siłach, powoli, ale punktualnie. Ostatnie móło, czarne od alg, ubielone mewami, prześlizguje się obok nas z latarnią morską, woda rozpryskuje się na falochronach, potem jesteśmy wolni — na siedem dni — teren naszych fal, niezmienny, rozplywa się w porankach, południach i wieczorach.

Siedzę na pokładzie.

Nuda z widokiem na morze, rozkoszna nuda:
■nie być martwym i nie musieć żyć...

Próbuję czytać,

! Czy można pracować na pokładzie?

Wlokę się leniwie do barn — "

jak wspomniałem, czuję się dobrze, nie bardzo dobrze, ale obojętnie dobrze; nie szukam rozmowy ani tak zwanego spotkania; idąc powoli do baru rozpoznałem tylko niebieską chustkę na głowę i przyjąłem do wiadomości tamtą twarz — dobrą twarz, kobiety może trzydziestoparoletniej, niezwykłą, ale zatroskaną, nieśmiałą, twarz rozglą-

dającą się wśród ludzi na pokładzie i pragnącą, aby jej nie zauważono. Nie zagadam do niej, myli się, poznaliśmy się tylko jako dwoje ludzi, którzy w Neapolu nie wymachiwali do nikogo. Zostaję w barze, aby poczytać książkę kieszonkowego formatu.

Morze jest szare, monotonne, gładkie.

Rozglądam się:

Dużo Włochów, trochę Amerykanów —

Czytam dalej.

Siedzi, odwrócona do mnie plecami, przy barze. Jest teraz bez chustki; blondynka, taka, jakie bywają Włoszki, o ciemnych oczach. Twarz jej, którą przesłania dymem papierosa, widzę w lustrze. Jest ładna. Wie ó tym i stara się być niepozorna; ale zwraca uwagę, gdyż, choć udaje spokój i znużenie, jest zdenerwowana. Jak człowiek podczas ucieczki. W rozpaczliwym nastroju (tak to sobie mogę wyobrazić) powzięła jakąś decyzję, nastrój minął, rozpacz została, decyzja musi być wykonana ze względu na szacunek dla siebie samej; pije —

Pierwszy posiłek:

Sadzają mnie z młodym małżeństwem, nastrój dosyć sztywny, czwarte krzesło przy naszym okrągłym stole pozostaje puste —

Pogoda poprawia się.

Popołudnie na pokładzie.

Palermo:

siedzimy właśnie przy obiedzie, młode małżeństwo i ja; pozwalam się informować o możliwościach gospodarczych Kanady, kiwam głową, kiedy przy stole, skierowana przez stewarda, siada pani z nie-

bieską chustką na głowie, teraz w czarnej sukni wieczorowej i oczywiście bez chustki.- Wydaje się, że jest rozczarowana miejscem, które jej przypadło jak los na loterię; nie nasza wina. Ma na szyi sznur perel, taki, jakie i ja ofiarowywałem już nieraz, włosy ma teraz podczesane do góry, nałożyła okulary od słońca, aby nie można było czytać w jej oczach. Na palcu (widzę jej rękę, trzymającą duży jadłospis) ma obrączkę. Aby nie patrzeć na nią, udaję, że w rybie jest dużo ości: Mówi z kelnerem po włosku, znakomicie, ale nie jest to jej język ojczysty. Włosy kobiety (widzę je, kiedy się odwracam, aby skinąć na kelnera, roznoszącego wina) nie są jasne, ale może to wina oświetlenia w tej sali. Za oknami Palermo w mroku, ciągle jeszcze stoimy na redzie. Patrzę na rybę na talerzu, pracuję jak chirurg, nawet nie podnoszę wzroku, kiedy kelner pokazuje mi etykietę na winie, pochłonięty jestem całkowicie ościami, których nie mogę znaleźć, widzę tylko jej rękę, która odłamuje i kruszy grissini, i jej łokieć. Widzę jej wiek. Potem młode małżeństwo kanadyjskie rozmawia ze sobą. Chwała Bogu; ktoś musi mówić. Kiedy kelner zabrał mój talerz, spoglądam przed siebie. Musi być piękna; odczytuję to z twarzy przy sąsiednim stole. Pani zapytuje, czy może zapalić, po chwili znowu wdaję się w rozmowę z młodą parą, której przyszłość zdaje się być zapewniona. Ona prawie nic nie je. Opuszcza nas przed deserem, żegnamy ją skinieniem głowy, zapomniała torebki; młody Kanadyjczyk podaje ją, dzentelmen. Jej zęby w uśmiechu, jej kark, jej chód, kiedy przemierza

sałę jadalną — obierając jabłko, gonię ją wzrokiem...

Mogłaby być Lilą.

(Lilą Od zewnątrz).

Kiedy wchodzi do baru, panowie robią się szczuplejsi, aby mogła przejść nie ocierając się o nich. Ponieważ wszystkie czerwone stolki są już zajęte, podnoszę się. Bez słowa. Siada, nie skinąwszy głową. Rozumiem jej pogardę dla mężczyzn, wychodzę na pokład, aby obserwować noc...

Gibraltar:

długie godziny stoimy w zatoce na kotwicy, z widokiem na słynną skałę, otoczeni rojem kołyszących się barek, handlarze zachwalają marokańskie dywany, wrzask, zgiełk, rzucają w górę sznury, wystarczy pociągnąć, potem włożyć dolary do koszyka, mocny wiatr, ale wszyscy stoją na pokładzie, również i my, dama z niebieską chustką na głowę i ja, z rękami w kieszeniach, nie wiem nawet, jak doszło do rozmowy — bez wstępów, jak mi się wydaje, bez takich pytań, jak: czy pan po raz pierwszy płynie przez Atlantyk?... Również i Lila (jeśli przyjmiemy, że to Lila) nie kupuje pamiątek, tylko przygląda się transakcjom, z rękami w kieszeniach zamszowej kurtki; jest rześka, wydaje się lekka jak mewa.

— Tak — mówię — teraz nikt już nie wsiądzie.

Rozmawiamy po niemiecku.

Chciałbym wiedzieć — ciągnę — czy to ciągle te same mewy krążą nad nami od Neapolu.

Zdaje się, że ona myśli o czymś innym.

—¹~ Młody człowiek przy naszym stole — mówię, aby rozmowa nie zamarła — twierdzi, że to te same mewy, że będą nam towarzyszyły aż do Ameryki. — Pauza, gdyż w związku z mewami nic więcej nie przychodzi mi do głowy; wystukuję tytoń z fajki —

Tylko tyle z naszej rozmowy!

Z nogami opartymi o białą, bezustannie dygoczącą barierę, mając między butami Atlantyck, siedzę znowu na leżaku; w tej błękitnej, piennej beczyno-ności nie mogę nawet czytać książki — nie chciałbym teraz pójść do baru, zapewne ona tam jest...

Nic sobie nie' mamy do powiedzenia.

Niestety, nie gra w szachy.

'Kiedy wyobrażam sobie, że ta kobieta to Lila, albo tylko zapytuję siebie samego, czy Lila mogłaby wyglądać tak, jak ta kobieta, staje się rzecz dziwna : nie mam pojęcia, kim jest, i wiem, że nie mam o tym pojęcia, mimo to zaczynam rozumieć to, co ona przemilczy —

Kobieta godna miłości.

Jestem pewny:

Kobieta o takiej twarzy nie tylko nie rozbija szklanek od whisky, lecz robi to, czego Svoboda w odwróconej sytuacji nie potrafi zrobić: ułatwia mu to, a ponieważ nie okazuje po sobie, kiedy całą noc przeplakała, on nawet nie wie, komu zawdzięcza swoje szczęście. Nie obraża się, jak mężczyzna. I nie rozpowiada wszystkiego naokoło; kto ją w tych miesiącach widuje, niczego się nie domyśla? Czy mężczyzna umiałby się na to zdobyć? Spełnia pozosta-wione jej przez inną obowiązki dnia powszedniego,

brzydnie trochę; ale i tym ułatwia mu sprawę. Nie liczy się z całkowitym zakończeniem wielkiej miłości; wierzy w cuda; nie grozi mu, że ją utraci; wprawia się w odgrywanie drugorzędnej roli. Jej wielkoduszność nie jest wymuszeniem. Szanuje go. Nie potępia tamtej kobiety tylko dlatego, że on ją kocha. I nie grzebie się w przyczynach, nie pogrąża wszystkiego w gadulstwie. Nie tłumi jego wesołości, kiedy on ma odwagę być wesoły, a kiedy opowiada o swej pracy, ona słucha, jakby chodziło o coś najważniejszego. Dzięki niej może być miły; ale nie pokazuje mu się naga, w kąpielu. Wie, że istnieje tamta inna, i nie chce wiedzieć o szczegółach, które jej nie dotyczą; znajduje grzebień, które nie należą do niej, nic nie mówiąc usuwa je. Pokazują się we troje. Nie jest skąpa. Mówi do tamtej jak do szczęśliwej siostry, którą podziwia —

Wspaniała • kobieta.

Czy Svoboda tego nie wie?

Jego wywody:

Różnica naturalna między mężczyzną a kobietą, nie do usunięcia przez równouprawnienie, polega na tym, że podczas stosunku mężczyzna jest stroną czynną. Jest zawsze sobą i kobieta wie o tym; zna go. Nie chce wiedzieć tego, co mogłaby odgadnąć. Mężczyzna, przeciwnie, nie wie, jaka jest kobieta, która odeszła, w objęciach innego mężczyzny; nie potrafi tego nawet odgadnąć. Kobieta jest potworna wskutek swej niemal bezgranicznej umiejętności dostosowywania się i kiedy wraca od innego,

jest już nie ta sama; jeżeli to trwa jakiś czas, wpływa na jej zainteresowania, sądy i opinie. Jeśli kobieta odchodzi, idzie dalej niż mężczyzna, więc wracając musi się maskować, nawet w rozmowie na blahe tematy; dlatego mężczyzna chce wiedzieć o tym, co go w ogóle nie obchodzi; kobieta mająca smak nigdy się wobec niego nie zdradza, mężczyzna, w odwrotnej sytuacji, nudzi ją często Opowiadaniem. Jak gdyby w stosunku mógł być kiedykolwiek inny! Na tym opiera się wielkoduszność rozsądnej kobiety, wielkoduszność nie do zniesienia, przypominająca nam nasze ograniczenie. Tak rozumuje Svoboda.

—; Widzi pani — mówię — teraz jesteśmy już tutaj! — Pokazuję jej czerwone chorągiewki, wtykane co dzień rano w wielką mapę Atlantyku, naszą pozycję w błękitnej pustce, pociętej południkami. — Posuwamy się naprzód.

— Dziś już czwartek?

— Tak — mówię.

— Tak — powiada młody człowiek, dla którego Kanada jest ideałem — szkoda, że już pojutrze będziemy na miejscu.

Pozostawiam tych dwoje samych.

Na leżaku, z nogami opartymi o bezustannie dygocącą barierę, czytam właśnie przez słoneczne okulary książkę, która by się jej podobała; historię człowieka bez atawizmu; właśnie doszedłem do rozdziału, w którym ten mężczyzna, kochający pewną kobietę i informowany już na dwustu trzydziestu stronicach, że spędziła ona noc z innym, podaje śniadanie, śniadanie na troje, apetyczne,

nie tylko jeżeli chodzi o napitki i jedzenie: jajka na szynce, różne rodzaje sera, czarny chleb, owoce, wszystko opisane bardzo apetycznie; ale apetyczna jest również rozmowa we troje, dowcipna, bez kontrowersji, bez ukrywania czegoś, bez aluzji do sytuacji, która dzięki temu staje się sama przez się zrozumiała — jestem ciekawy, co będzie dalej...

Niestety, morze jest bardzo burzliwe.

Przedostatni obiad:

nasza młoda para ma sobie z dnia na dzień coraz mniej do powiedzenia, zdaje się, że przede wszystkim młody człowiek nie liczy już na to, żeby jego młoda żona, którą przeszczebia do Kanady, miała cokolwiek do powiedzenia —

Po południu:

czytam, co się dalej dzieje w mojej książce, od czasu do czasu przewracam po kilka kartek, zniecierpliwiony sam nie wiem czym, patrzę, czy te same mewy ciągle jeszcze nam towarzyszą, kiepski ze mnie czytelnik: moje myśli krążą i krążą, jak mewy dookoła płynącego statku, nagle zakręcają i lecą ku pełnemu morzu, ale wracają, wyprzedzają nas, zawsze te same, pozostają w tyle, jak moje myśli, pozostają w tyle za historią, która nieprzerwanie płynie naprzód pełną parą.

Raz, widzę, grają w ping-ponga.

Zdaje się, że ciągle nie wynaleziono farby, która by się ostała powietrzu nasyconemu morską solą; trzej marynarze malują bez przerwy barierę od Neapolu do Nowego Jorku i z powrotem, wszystkie białe powierzchnie są nieuleczalnie ospowate, żurawie, dźwigi, drabiny, śpiewające rury wenty-

latorów, wszystko, co białe, jest pokryte bliznami, marynarze kładą nową warstwę farby, ale znowu pojawiają się żółtawe i brunatne, ospowate krosty rdzy...

Przedostatni wieczór:

kobieta, która mogłaby być Lilą, i młody inżynier tańczą. Jej twarz nad jego ramieniem, którą na próżno próbuję opisać: — wystarczy opuszczenie jej powiek, przestawienie jej wzroku z przedmiotu bliskiego na odległy, ręka odsuwająca włosy za ucho, widziane z profilu, potem znowu jej uśmiech en face, obrót, zmiana światła, przejście od uśmiechu do milczenia: wystarczy zmarszczenie czoła, aby wszystkie przyrmytniki, jakie zebrałem, po prostu odpadły od jej twarzy...
Idę spać.

Ostatnie popołudnie:

skończyłem książkę, poza tym w ciągu tych długich-krótkich dni nic nie zrobiłem, czasami jakaś rozmowa; bez pomysłów, historii i planów, jeżeli chodzi o mnie; stwierdzam, że potrafię pół dnia nie myśleć o nikim ani o sobie, że z przyjemnością, oparłszy nogi o bezustannie dygocącą barierę, teraz już nie czytając, ale nie senny, patrzę na młodą żonę, która szuka swego inżyniera; widziałem go na basenie pływackim, ale podobno już go tam nie ma; nie przypuszczam, żeby tych dwoje skoczyło do morza, może zwiedzają maszynownię, przecież on jest inżynierem, statek to prawdziwy labirynt —

Ostatni wieczór:

ona nie zjawia się przy stole.

Rozmawiam z ożywieniem (właściwie tylko po to, aby milczeniem nie podkreślać nieobecności naszej współbiedniczki i dlatego, że młoda żona inżyniera patrzy przed siebie i milczy skamieniała) i bardziej szczegółowo, niż to odpowiada mojemu zainteresowaniu, z młodym inżynierem — który nie skoczył do morza przez bezustannie dygoczącą barierę — o problemie wibracji, jak słusznie przypuszczałem, jeszcze nie rozwiązany —

Północ na pokładzie, gwiazdy, wiatr.

Rozmawiam z jakimś duchownym amerykańskim, spacerując od dzioba do rufy i od rufy do dzioba, idę obok jego czarnej, trzepoczącej sutanny, kiwam głową, kiedy tamci dwoje na pokładzie zauważyli, że ich poznałem.

Ostatni ranek:

na pokładzie zjawia się pilot, głośniki zwracają się do pasażerów w trzech językach, ruch na korytarzu, roi się jak w poruszonym mrowisku, pasażerowie w płaszczach, stosy waliz, personel zdejmuje bieliznę z pościeli, napiwki, nagle zjawili się w messie oficerowie amerykańscy, nieprzyjemnie rzeczowo sprawdzają paszporty i nie tylko to, nawet zdjęcia rentgenowskie, oczywiście świadectwo szczepienia, trwa to długo, głośniki zwracają się do pasażerów po raz ostatni, w korytarzu toboły z bielizną pościelową... Myślę sobie: miejmy nadzieję, że spakowała swoje walizy i torby — może siedzi w kabinie i czesze się, zanim znowu zawiąże na głowie niebieską chustkę. (Co to obchodzi mnie, stojącego w kolejce z paszportem

się trwa również, głośniki na korytarzu nie proszą już, wyciąga z ust kłamrę i maluje wargi, które napina na zębach, lśniących jak masa perłowa, miękkie, pełne, łagodnie mocne wargi, które napina, potem zaciska, aby namalować subtelną linię konturu, usta, pochyla się ku lustru, aby dokładniej wiedzieć, usta wilgotne jak miąższ pękniętej moreli; potem wargami rozciera szminkę, zakręca pomadkę, spojrzenie na usta w lustrze, otwiera je, ale nieme, już czas, brzęczą łańcuchy kotwic, czas na niebieską chustkę na głowę, na "wypadek gdyby był wiatr, wydaje się, że statek już nie płynie, brzęk łańcuchów kotwicy, nie zapomina niczego, ponieważ jest sama, rozgląda się, jej ciało w lustrze: tak jak je ogląda mężczyzna, jej ciało od zewnątrz, wkładając niebieską chustkę na uczesane włosy nie myśli o nim, jej ciało już go nie pamięta, zawiązuje chustkę pod brodą, gotowa, aby za kwadrans powitano ją na nabrzeżu nic nie przeczuwającymi rękami, oczyma, pocałunkami — Czy tak jest? .

Svoboda tak to widzi.

Stoję przy relingu z rękami w kieszeniach, jeden z ostatnich na pokładzie, wyrzucają na ląd liny, wszyscy tłoczą się przy wyjściu, gorączka końca podróży, chłodny ranek, horyzont we mgle. Czy ja jestem Svoboda?

Próby, którym Gantenbein jest poddawany, nie mają końca:

— sam w mieszkaniu, brodząc w wodzie, która

łśni, chlupie, drobne fale przy każdym kroku, woda bulgoce, pełno jej w całym długim korytarzu, słyszę to..tu nie pomoże udawanie ślepego, wszędzie bulgoce i przelewa się, gdzie idę, także w bawialni, przepływa z pokoju do pokoju, odbijają się w niej okna, letnia woda... Nie po raz pierwszy Lila, przynaglana opóźnieniem, zapomniała zamknąć natrysk; ale po raz pierwszy Gantenbein nie zauważył tego w porę... A więc, podczas kiedy Lila stoi na scenie, ja brodzę w wodzie. Rozumiem: myślała o swoim tekście. Trzymam kciuki za jej powodzenie. A właściwie: zakręcam kran. Gantenbein robił to już nieraz. Bez słowa. Ale tym razem spóźnił się. Tym razem Lila odgadnie, kto zamknął natrysk, i to mnie zdradzi. Co robić? Sam, w płaszczu i kapeluszu, stoję bezradny w zalanym wodą mieszkaniu. Oto skutki tego, że Gantenbein, aby utrzymać się w swej roli, nigdy nie powiedział słowa. A może, nie zamykając natrysku, mam usiąść w fotelu bujającym, położyć nogi na stoliku, aby uwiarogodnić to, że Gantenbein przy swojej ślepotce nie zauważył powodzi? Kosztowne rozwiązanie: podłoga nasiąknie, zanim Lila wróci, będzie północ i przybiegną lokatorzy, mieszkający pod nami. A może Gantenbein powinien po prostu wyjść? Woda nie podniesie się powyżej progu balkonu. Mam wrażenie, że nie ma innego rozwiązania: odkręcić z powrotem natrysk i zwiesić rączkę z sitkiem tak, żeby woda spływała na brzeg wanny, a potem wyjść. Przemawia przeciw temu взгляд pedagogiczny. A potem, gotowy do wyjścia, widzę, że woda swoimi chimerycznymi językami

powoli, ale pewnie zbliża się do książek i płyt, które wprawdzie nie powinny leżeć na podłodze, ale właśnie leżą. Tego bym nie przeboleł: ratuję książki i płyty, jedwabne pantofle Liii i firanki, które już się poddają osmozie. Jak może w ten sposób postępować niewidomy? Zamknięcie natrysku dałoby się jeszcze wytłumaczyć; nawet Gantenbein czuje, kiedy ma mokre nogi, i słyszy, gdzie leci woda. Ale ratowanie książek i płyt? Stoję więc boso po zabezpieczeniu książek i płyt, zdając sobie sprawę, że muszę również usunąć wodę, aby mnie nie zdradziła, i to natychmiast, aby do powrotu Liii wyschły podłogi. Przeklinanie nic tu nie pomoże, jedyne wyjście to ręcznik kąpielowy, który starannie, aby nie spowodować fal i nie rozszerzyć granic małego potopu, kładę na posadzce, a kiedy nasiąknie wodą, wyżymam w łazience, za każdym razem po ćwierć litra, nie więcej, wędruję tak boso tam i z powrotem, tam i z powrotem, z początku bez widocznego rezultatu — woda ciągle jeszcze lśni i bulgoce. Trwa to półtorej godziny. Wypalam pierwszego papierosa; spoglądam na zegarek: Lila gra trzeci akt. Trzymam kciuki na szczęście. Ale dywany? W panice nie pomyślałem o przemoczonych dywanach, aż pocę się z bezradności. Nie wykręcę się, choćby z wściekłości na Gantenbeina. Klękam więc, zwijam dywany, aż dostaję skurczu w rękach, wałkuję je. Klaps uważa za zabawne; widzę jedynie mętną wodę, którą wywałkowuję z dywanów, nie widzę jeszcze śladów jego łap w całym mieszkaniu, jeszcze nie. Po dalszej godzinie nic

już nie da się wycisnąć z dywanów. Nie są oczywiście suche, ale resztę pozostawiam przeciągowi ■— otwieram wszystkie okna. Potem szklanka piwa. Do północy jeszcze godzina! Potem w fotelu bujającym, do pewnego stopnia wyczerpany, zapytuję siebie, czy zachowanie moje jest zasadniczo słuszne. Ale nie udaje mi się myśleć: widzę teraz brudne ślady łap, któryrru tymczasem Klaps pocętkował całe mieszkanie, wymaga to drugiej rundy z ręcznikiem kąpielowym, potem umycia wanny. Na szczęście Lila nie przychodzi o obiecaną porze i dywany mają czas; z pewnością spotkała kogoś, kto ją, słusznie, uwielbia, mam nadzieję, że to potrwa do trzeciej. Jest teraz północ. Dotykam ręką dywanów. Mogę tylko liczyć na to, że pójdą do Siebenhagena — w takim razie przeciągnie się do czwartej. Dywany nie będą suche, ale od razu wezmę Lilę na kolana, aby nie dotknęła stopami podłogi. Zapyta mnie, co przez ten wieczór robiłem.

— Ach — powiem — pracowałem.

To ją ucieszy:

Będę się uśmiechał.

Ale następnego ranka (myślę o tym dopiero teraz!) posadzka szara, blada, zaplamiona, nie wiem, jak Gantenbein ma to wytłumaczyć... Znowu jestem bezradny. Posadzka mnie zdradzi. Nic nie pomoże. Tylko jedno: — zawiążuję znowu krawat, przedtem włożyłem świeżą koszulę, potem zawiążuję krawat, potem odkręcę natrysk, i to tak, żeby woda leciała poza wannę, kładę książki i płyty na dawne miejsce i kiedy powódź jest już w toku,

biorę marynarkę, czarną laseczkę, aby wyjść z mieszkania.

No i?

Mimo powodzi Lila nie może uwierzyć, że zapomniała zamknąć natrysk. To może być tylko moja wina. Coś podobnego, mówi, nigdy jej się nie wydarzyło. Gantenbein nie może zaprzeczyć.

Czy Gantenbein jest głupcem?

Gantenbein jako ojciec:

Kiedy pielęgniarka prowadzi go do białego łóżeczka, z jednej strony nie mogą zrozumieć, po co niewidomy sobie tego życzy, z drugiej wstrząśnięta tym, że ten ojciec nigdy nie będzie mógł poznać swego dziecka, przenigdy, kiedy pod surowym warunkiem, że nie dotknie noworodka, nie mówiąc już o pocałowaniu go, odsuwa wreszcie zaslonkę, która jest również biała, Gantenbein nie ma potrzeby udawać: naprawdę nie widzi nic niezwykłego. Wielka chwila, niewątpliwie, ale nie dla oczu. Chwila historyczna. Widzi niemowlę. Tego, co opowiada pielęgniarka, Gantenbein nie może ujrzeć. Niemowlę jak tysiące innych. Niczego innego nie można się było spodziewać. Milczy; nie musi udawać; to dobrze, jak na pierwsze zetknięcie się. Jest rad, że Lila ma to za sobą. Jej krzyki były przerażające. Teraz leży ze zlepionymi potem włosami, ale uśmiechnięta, Gantenbein trzyrra jej wilgotną rękę.

Powiedzmy, że to dziewczynka.

Później, sam na ulicy z czarną laseczką, którą ostukuje chodnik, w towarzystwie Klapsa, nie mającego pojęcia o wydarzeniu, potem w ogrodzie publicznym, gdzie siada na ławce, odczuwa pierwszą ojcowską troskę: że podczas mycia, ważenia i przewijania noworodka mogą go zamienić. Sam, jak już wspomniano, nie mógłby tego zauważyć. Owładnięty niepokojem, wraca do lecznicy. Aby zobaczyć noworodka. Nie daje się odprawić, nie sobie nie robi z regulaminu, musi zobaczyć noworodka; choć to żądanie wydaje się dziwaczne, bo przecież ma na ramieniu żółtą opaskę niewidomego, nie mogą mu odmówić. Lila śpi. Trzeba więc chodzić na palcach. Widząc, jak pan Gantenbein, ślepy ojciec, stoi przy białym łóżeczku co najmniej dziesięć minut, pielęgniarka jest naprawdę wzruszona. Oczywiście Gantenbein nie pyta, czy to na pewno jego dziecko; pytanie takie byłoby źle zrozumiane. W korytarzu, na którym roi się od niemowląt, siostra prowadzi go pod rękę; czuje się naprawdę ślepy. Jak nigdy jeszcze. Nie wyzbywszy się niepokoju, wychodzi na ulicę prowadzony przez Klapsa i wkrótce potem stoi w barze, aby wypić kieliszek wiśniówki. I odzyskać rozsądek. Rozsądek polega na tym, że po prostu wierzy; że idzie teraz do drukarni, zdjęwszy uprzednio okulary dla niewidomych i żółtą opaskę; nie jest mu bowiem obojętne, jaki będzie krój pisma, jaka czcionka, chce dokładnie obejrzeć wzory, zanim każe wydrukować radosne zawiadomienie:

BEATRYCZE

Ladne imię...

Beatrycze Gantenbein, jak się dziecko będzie później nazywało, brzmi mniej ładnie, ale to się nie da zmienić, tego się nie wybiera; człowiek ma jakiegoś ojca, niezależnie od tego, jak brzmi jego nazwisko.

Wyobrażam sobie:

Niektórzy, czytając to radosne ogłoszenie, nie mają ani cienia wątpliwości, że to naprawdę dziecko Gantenbeina; inni zastanawiają się, oczywiście nie mówiąc o tym. Ostatecznie, nic ich to nie obchodzi. Uwielbiają- Lilę, lubią Gantenbeina, gratulują obojgu, nie, brak kwiatów. Zapewniają Gantenbeina, że dziecko jest podobne do niego. Nie może go przecież zobaczyć. Wykapany ojciec — twierdzą wszyscy i Lilę cieszy, kiedy ludzie, pochyleni nad wózczykiem, mówią to, żeby w ogóle coś powiedzieć; zresztą i ona tak uważa...

Wyobrażam sobie:

W jakiś czas potem Gantenbein wychodzi z małą, trzymając ją za rękę, nie wiadomo, kto kogo właściwie prowadzi, najważniejsze, żeby oboje nie wpadli pod ciężarówkę, dziecko i ślepy ojciec, i Gantenbein, który prowadzi dziecko Liii albo daje mu się prowadzić, Gantenbein kupuje lody, pokazuje dziecku w ogrodzie zoologicznym niezdarne niedźwiedzie, dopominające się łapami o jedzenie, tańczące na tylnych łapach, dopóki im się nie rzuci marchwi; ślepy Gantenbein (jak przystało na tatusia) zręczniejsz rzuca marchew —

Wyobrażam sobie:

Jego troska, że pewnego dnia dziecko mogłoby

go przejrzyć i nieodwołalnie zdemaskować jego grę w ślepcą również i wobec dorosłych, którym jest ona tak bardzo na rękę, będzie rosła wraz z Beatrycze —

Jak długo dziecko wierzy?

Znałem kiedyś w kręgu moich przyjaciół dziecko, którego nie można było wziąć na kolana, żeby nie sięgało po okulary dorosłego i nie zdierało mu ich z nosa; manii tej nie można było poskromić ani prośbą, ani groźbą, ani humorem; czteroletnie wówczas dziecko prawie nie mówiło; w trakcie jakiegoś zabawnego opowiadania, któremu przysłuchiwało się na pozór z zainteresowaniem, sięgało po okulary, już je chwytalo, nie po to, żeby je mieć, tylko tak sobie, żeby je zedrzyć z nosa.

Wyobrażam sobie:

Gantenbein, oglądając jej dziecięce rysunki, widzi ich porywające piękno i trudno mu nie uważać ich za genialne, ale nie wolno mu ich chwalić, musi ukrywać podziw, pytać, co Beatrycze narysowała; ale mała tego nie potrafi powiedzieć, może tylko narysować kolorową kredką, i Gantenbein widzi: to tatuś, mężczyzna z opaską na ramieniu, i namalowane wszystko, co jej po drodze pokazywał i opowiadał, wszystko w jaskrawych barwach, cyrk, statek z kołem poruszającym go, czarownica, chorągwie i błyskawica na fioletowym niebie, i parasol, który odwrócił się na drugą stronę, wszystko, góry, bęben wywołujący grzmoty, gruby strażak z wężem na drabinie, Beatrycze i tatuś z żółtą opaską i czarną laseczką, którą pokazuje wszystko, wszystko, a teraz nawet tego nie poznaje.

Robi się coraz trudniej.

Potem pierwsze jej kłamstwa —

Beatrycze coś zlasowała, widzi to po jej niewinnych wargach, które przeczą, po fartuszkach splamionym marmoladą, ale Gantenbein nie może jej tego udowodnić, może tylko milczeć i uśmiechać się, Beatrycze płacze. Okazuje się, że nie można lasować, bo tatuś się o tym dowiaduje. Ale jak? On wie wszystko. Albo: Beatrycze już od wielu tygodni wpychała pod blat stołu chleb, którego nie lubi, i Gantenbein nic nie zauważał. Ale pewnego ranka wszędzie te zeschnięte skórki leżą na stole i choć ślepy tatuś nie karze jej nawet słowami, bo przecież tego, co leży na stole, nie może zobaczyć, dziecko jednak rumieni się. Wszystko wychodzi na jaw. Nie można kłamać. Bozia i tatuś to jedno i to samo — przez jakiś czas... potem Beatrycze zauważa, że tam, dokąd Gantenbein nie przychodzi, na przykład w lesie, gdzie ona coś wyczynia z chłopcami, nie przychodzi również Pan Bóg.

Można kłamać.

Tatuś nie wie o wszystkim.

Nie wie nawet, jak wygląda pan Siebenhagen, który czasami gra z Lilą w tenisa, jakiego koloru jest jego wspaniały samochód; chciałby wiedzieć, ale Pan Bóg nie mówi mu tego, Gantenbein widzi to tylko na dziecięcych rysunkach: biała mamusia, biała piłka nad siatką i pan Siebenhagen, który widocznie ma czarne wąsiki, białe nogi i długi krok...

Wyobrażam sobie:

Choć Lila, która znowu powróciła do swego zawodu, przy wszystkich próbach, przedstawi-

niach (do tego podróże z występami gościnnymi) ma rozumie się niewiele czasu, jej miłość do dziecka jest wręcz bezgraniczna, tak jak i pobłażliwość, kiedy Beatrycze robi tylko to, na co ma ochotę. To, co Gantenbein uważa za wychowywanie, jest dla niej koszmarem, milknie wtedy i spogląda na dziecko. Dziecko to ona. Kto gani dziecko, ten gani matkę. I oczywiście wydaje się to już nagana, kiedy Gantenbein, nie ganiąc, wymaga od dziecka tego, czego piękna matka nie wymaga od siebie. Nagle wygląda na to, że chce wychować Lilę. Jak można oduczyć małą tego, żeby nie rzuciła płaszczyka na podłogę (zupełnie jakby wracała zmęczona z próby, jak Lila)? Wtedy Lila podnosi płaszczyk i wiesza, gdzie należy. Czegóż Gantenbein chce więcej? Cierpliwość Liili w stosunku do dziecka jest niewyczerpana. Rezultat*: dziecko zjada gościom wszystkie solone migdały,* jest ładne i ostatecznie goście nie przyszli dla solonych migdałów, Lila ma rację. Poza tym goście zawsze mają poczucie humoru. Kiedy sprawy idą za daleko, kiedy na przykład mała Beatrycze, znudzona rozmowami dorosłych, co jest zrozumiałe, jakiemuś gościowi, zapatrzonemu w Lilę, zaczyna kruszyć cygaro, zawsze jest jeszcze czas na wnie-
szanie się Gantenbeina:
— Zostaw to!

Oczywiście gość, wobec tego, że nie chodzi o jego dziecko, lecz tylko o jego cygaro, ma więcej poczucia humoru aniżeli Gantenbein; ale, jak stwierdza w duchu, była to jego ostatnia hawana
1 nie od razu może sobie przypomnieć, o czym mówili

przed chwilą. Pauza. Więc o czym to była mowa? Lila strajkuje, dotknięta jako matka; stąd jej pocieszające spojrzenie na dziecko, które ostatecznie jest tylko dzieckiem —

— Tatuś nie jest kochany.

I to przychodzi.

— Chcę innego tatusia.

Nawet Lila uważa, że tego już za wiele, choć właśnie te słowa poprawiły humor gości. Teraz Lila przywołuje dziecko do porządku, i to grożąc karą. Tego nie wolno mówić, że Beatrycze chciałaby mieć innego tatusia. Placi za to utratą deseru. Tu Lila jest bardzo surowa. Gantenbein obiera w milczeniu banana — dziecko ma chyba trochę racji: może człowiek, który tu na ślepo obiera banana, naprawdę nie jest jej tatusiem... Ale mniejsza o to. Telewizja, o tym była mowa, jako instrument urabiania świadomości, i w ogóle sztuka w epoce techniki, zwłaszcza telewizja, na ten temat może coś powiedzieć każdy, z wyjątkiem Gantenbeina, który ma usta zapchane bananem.

Wyobrażam sobie:

Poza tym jednak wszystko idzie dobrze. Lila i Gantenbein z dzieckiem robią wycieczki, dziecko jest dzieckiem, Lila i Gantenbein ujmują je za rączki, aby się mogło huśtać, Lila trzymając pełną łyżkę opowiada o wozie siana, który chce wjechać do stodoły, a kiedy mała jest zmęczona, Gantenbein bierze ją na barana, patataj, patataj. Potem zjawiają się inne zabawy, raz koklusz, latem kąpiele, zimą saneczki, wszystko o swojej porze, Lila kupuje dziecku gustowne sukieneczki, Gantenbein opo-

wiada o potopie i arce Noego, śmieją się z dziecinnych powiedzonek, a kiedy Lila jest na Rannych występach, telefonuje, aby gawędzić z Beatrycze, Beatrycze na kucyku, niezapomniany widok, nadchodzi pora na flet, i tak dalej, Lila i Gantenbein nie muszą zbyt wiele mówić ze sobą, dziecko jest prawie zawsze obecne, a kiedy Beatrycze chce wiedzieć, skąd się biorą dzieci, mówi się jej, że tak i tak...

Wyobrażam sobie:

Anegdota o ich pierwszym spotkaniu w garderobie, Gantenbein jako pelen zachwyty ślepiec z różami, jest omal zgodna z prawdą, ale niezupełnie — to się w żadnej anegdocie nie zdarza... Oczywiście Lila nie żyła wtedy bez mężczyzny, ale to zupełnie nie interesowało Gantenbeina. Anegdota, którą Lila zawsze tak chętnie opowiadała, jest o tyle prawdziwa, że nie wspomina o nim; istotnie Gantenbein nie widział owego bliskiego Liii mężczyzny, który siedział wtedy w garderobie. A człowiek ten przez cały czas siedział (jeżeli nie w anegdocie, to w ówczesnej rzeczywistości) wprawdzie nie obok toalety, ale w każdym razie na miejscu dostatecznie widocznym, w jedynym wygodnym fotelu, nie mówiąc ani słowa, w kapeluszu na głowie, przerzucał gazetę, szeroko rozstawiwszy nogi, pewny, że istnieje. Tak siedział. Jakby był meblem. Człowiek w najlepszych latach, kiedyś bardzo w Liii zakochany, teraz w stadium dojrzałej miłości, gotów do małżeństwa, bez zniecierpliwienia, w kapeluszu na głowie. I podczas gdy Gantenbein odstawał swój nieporadny, dopiero w anegdocie

przekonywający numer z różami, nawet nie przy-
słuchiwał się ten człowiek w kapeluszu na głowie,
który zdaje się znał jej zapotrzebowanie na ślepe
holdy. Wystarczyło mu zakaszać, a byłby ślepego
adoratora wystraszył. Nie odrywając wzroku od
gazety, zapytał później mimochodem: — Co to
był za ptaszek? — Powiedział: ptaszek, co Lilę
nieco dotknęło. Bądź co bądź był to wielbiciel.
Bez kapelusza na głowie. Milczała. Na korzyść
Gantenbeina. Istotnie widział wtedy tylko Lilę.
Prostszego dowodu, że jest ślepy, nie mógłby
wymyślić... Oczywiście później doszło do jego
wiadomości, że Lila nie żyje sama; ale wtedy było
już za późno na obejrzenie się; nikt już nie siedział
w jej garderobie. Tylko fotel, w którym tamten
rzekomo siedział, stał na swoim miejscu. Siedział
w nim teraz Gantenbein. A na scenie Lila grała
wciąż jeszcze tę samą rolę. Gantenbein nie mógł
sobie pozwolić na przerzucanie gazety, zanim
wybuchną oklaski, ponieważ Lila wierzyła w jego
ślepotę; kochała go właśnie z jej powodu. Widział
depesze powtykane za ramę jej lustra, powinszo-
wania, częściowo pożółkłe; widział siebie w lustrze:
zakochanego, który ślepo czeka, aż zahuczą brawa.
I tak co wieczór, dopóki nagle nie zjawiała się Lila:
w przebraniu, w cudzych włosach, jak gdyby lalka,
piękna, ale uszminkowana do światła reflektorów,
piękna na odległość, brwi niebieskie, powieki zie-
lone, policzki żółte, twarz tak spospoliconą do
piękności, nawet oczy powiększone; w skrytości
ducha Gantenbein za każdym razem się przera-
żał. Jak ptaka. Garderoba była za mała; Lila,

jeszcze w transie gry, ale bez tekstu. — Jak tam przedstawienie? — pytał, aby usłyszeć jej głos. Tylko głos był Lila. Potem musiała jeszcze raz wyjść na scenę; ciągle jeszcze klaskano. Demonstracyjnie. Jakby chciano poinformować Gantenbeina, jak wspaniała jest kobieta, którą kocha. I tak co wieczór. Był, rozumie się, dumny i tymczasem odkorkowywał małą butelkę szampana. Dumny z czego? Równocześnie wydawał się samemu sobie zbyt czyny. Gantenbein nie mógł bić brawa, możność złożenia holdu została mu odebrana. Napelniał jej kieliszek, to wszystko, co mógł zrobić. Każde oklaski kończą się kiedyś. Lila cieszyła się potem jego miłością, piła szampana przy toalecie, podczas gdy Gantenbein siedział w jedynym wygodnym fotelu, wyposażony w ciemne okulary. Widział, jak wyciera twarz wata. Lila w jedwabnym szlafroku, Gantenbein ze swą laseczką. Tak siedział w jej garderobie, ślepy, ale obecny, Lila, jak zawsze po przedstawieniu, wyczerpana, podniecona, roz-targniona. Nie słyszała pukania, a mężczyzna, który wszedł, nie czekając długo na pozwolenie, wiedział, zdaje się, że Gantenbein jest ślepy; nawet mu nie skinął głową. Jakby Gantenbeina nie było w garderobie, jakby nie istniał. Ów pan, uważający się za zwolnionego od przyzwoitych manier, mógł być dyrektorem teatru. Pan u kresu najłepszego wieku. Ponieważ Lila nie widziała go, gdyż właśnie zamknęła oczy, by zetrzeć z powieki szminkę, Gantenbein powiedział: — Zdaje się, że ktoś pukał. — Ale Lila nie słyszała pukania, a ów pan, przekonany, że go Gantenbein nie widzi,

stał bez ruchu, podczas gdy Lila wrzucała do kosza na papiery zatłuszczone kawałki waty coraz bardziej gotowa do rozmowy z Gantenbeinem. Zajęta swoimi palcami, które wycierała ściereczką, zapytała, dokąd pójdą na kolację, i po prostu nie zauważyła, że w garderobie jest jeszcze jeden mężczyzna. Co Gantenbein robił dziś? Można by, przypuszczać, że tamten przyszedł, aby wyciągnąć z kieszeni rewolwer i strzelić do Liili, pomylenieć, niemy, jakby w ten sposób mógł stać się dla Gantenbeina niewidzialny; może zresztą chciał mówić tylko z Lilą. W cztery oczy. Był blady, nie ogolony, niewyspany. Gantenbeinowi ciągle jeszcze nie przychodziło na myśl, gdzie mogliby coś zjeść, i w milczeniu głaskał psa; Klaps był niespokojny, czujny. Wszystko to nie trwało nawet minuty, a jednak nieskończenie długo. Dopiero kiedy Lila nachyliła się ku lustru, poddając badaniu rzęsy, przeraziła się, a jej cienkie palce, którymi właśnie chciała potrząść skronie, znieruchomiały wobec człowieka w lustrze. Poznała go. Aby go uczynić niewidzialnym, również i ona nie wyrzekła ani słowa. Twarz jej, którą Gantenbein widział, nie pozostawiała wątpliwości. A więc był to człowiek, którego Gantenbein wtedy nie dojrzał. Teraz bez kapelusza na głowie. Ujawnienie w tej chwili, że nie jest ślepy i orientuje się w sytuacji, byłoby złośliwością. Poglaskał więc psa. Milczenie, również i z jego strony, zdradziłoby go; zaczął więc robić projekty, gdzie mogliby zjeść kolację, Gantenbein, jedyny, który mówił. Kiedy Lila się odwróciła, mężczyzna opuścił już nie tylko lustro, ale i garde-

robę. Bez słowai Pojawienie się go, w pierwszej chwili komiczne; sprawialo teraz wrażenie raczej niesamowite. Ale Gantenbein nie mógł teraz zapytać: kto to był? W dodatku wiedzial to, a znaczenia tej wizyty, tak się przynajmniej zdawalo, nie rozumiala również i Lila. Bylo mu jej zal; pobladla ze strachu. Ale Gantenbein nie wiedzial, co powiedziec; ostatecznie i on odczul strach i musial go ukryc. Czego tamten chcial, bylo wlasnie jasne: chcial miec z powrotem swoja Lilę. Swoja! Oto dlaczego wygladal tak ponuro, tylko przez to nieme roszczenie w oczach, tak ze Gantenbein musial liczyc się z możliwością wyciągnięcia rewolweru i sam był wytracony z równowagi, jak i tamten. Na pewno Lila nigdy go takim nie widziala. Podniosla się teraz, jeszcze blada ze strachu, zamknęła na klucz drzwi garderoby, Gantenbein zaś, aby ją rozerwać, opowiedzial o zabawnym psim figlu swojego Klapsa, nowym, tak samo wymyślonym, jak wszystkie inne, co nie przeszkodilo Klapsowi dumnie pomerdac ogonem; ale na próżno, Lila sztywniala coraz bardziej, zapewne na myśl o tym, ze tamten czlowiek mógłby czekać na nią przy wyjściu dla aktorów, ukryty w ciemnym podwórzu. Byloby to możliwe. Tymczasem on na pewno nie mial przy sobie rewolweru; sprawial tylko takie wrażenie; nie przyszedl, żeby ją zabic, lecz żeby ją poślubić. Za późno. Kiedy zapukano do drzwi, Lila nie chciala otworzyc; musial to zrobic Gantenbein. I zrobil to rzeczywiscie, wykorzystujac dogodna okazję, aby dac dowód, ze jest prawdziwym mężczyzna. Byla to tylko garderobiana; wręcyla

liścik, który Lila pośpiesznie otworzyła, przeczytała, ale nie wetknęła go za ramę lustra. Kiedy jej wreszcie zdjęto perukę, przyglądała się Gantenbeinowi, jakby po raz pierwszy zrodziły się w niej wątpliwości co do jego ślepoty, niepewna, czy rzeczywiście nic nie widział, teraz już z własnymi włosami i piękna, wyraźnie uspokojona liścikiem, wyzwolona od strachu, że ktoś czatuje na nią na podwórzu. Potem Lila i Gantenbein poszli na kolację i Gantenbein jak zawsze obrał jej pstrąga z ości. Później poszli do domu. Przez nikogo nie zaczepieni. Kiedy Gantenbein zapytał od niechcienia, czy słyszała coś o swoim dawnym przyjacielu, odpowiedziała szczerze, że wrócił, że jest w mieście. Widziała go, ale nie mówiła z nim. Odpowiedź jej brzmiała równie od niechcienia jak jego pytanie, ale on widział, co przemilczała, widział jej zmieszanie. Rozumiem:

Trzeba kogoś porzucić, decyzja jest decyzją, ale przez to rozstanie nie staje się jeszcze faktem dokonany; chciałoby się dokonać go z godnością, ale godność przeszkadza dokonaniu; jeden z partnerów nie może tego pojąć, dopóki zachowana jest godność, i kocha drugiego, jak nigdy; pewnego wieczora zjawia się znowu; nie można dokonywać rozstań przy pomocy listów; kiedy nie pozostało mu nic innego, Gantenbein okazał całkowite, ciche zrozumienie dla tego, że tych dwoje musi się jeszcze zobaczyć...

Było to w lutym.

Lila przy toalecie (tym razem przed przedstawieniem) zakomunikowała mu to niemal żartobli-

wie, nie odwracając się, ze spokojnym napięciem czekając na dzwonek, który ją za chwilę miał wezwać na scenę, nawiasem mówiąc nie zdenerwowana, ale już niezdolna do jakiegokolwiek rozmowy, nie nieobecna duchem, przeciwnie, gotowa do wyjścia na scenę, zakomunikowała mu to mimochodem, pudrując nos, nie odwracając się, nie patrząc, kto teraz siedzi w jedynym wygodnym fotelu, powiedziała żartobliwie: niechaj nie wpada z tego powodu w uroczysty ton ani w popłoch, jej niedyspozycje bywają często nieregularne. Potem odezwał się dzwonek... Lila miała wtedy trzydzieści jeden lat, nie była niedoświadczoną dziewczynką, Gantenbein również nie był młodzieńcem, przed którym po raz pierwszy stają pewne sprawy. Kiedyś jednak, pomyślał, trzeba będzie pomówić o tym zasadniczo. Po przedstawieniu jednak, po spacerze Gantenbeina z Klapsem oraz następnego dnia wydawało się, że Lila w ogóle już o tym nie myśli. Po cóż by miał myśleć Gantenbein. Ale robił to, wcale nie przestraszony, nawet chwilami wesoly, kiedy rozważał, jak też Lila będzie wyglądała jako matka, dziwiło go, że w ciągu trzech, potem czterech dni nie powiedziała na ten temat ani słowa. Jej beztroska była ujmująca, ale nie zaraźliwa. Myśl, która niedawno w garderobie mignęła jak błyskawica, potrafił dotychczas odsuwać od siebie, tę myśl związaną z kalendarzem, a na wypadek, gdyby wszelkie myśli okazały się zbędne, Gantenbein pragnął nie pamiętać o tej właśnie. Lila była nadal beztroska, widział to, uszczęśliwiona, czekała ją znakomita rola, którą

miała *zagrać* następnej jesieni. Kiedy Gantenbein raz (pod pretekstem zapłaty komornego) zapytał o datę, był marzec; Lila przeraziła się zaległym komornym i w ogóle: jak ten czas leci! Było to w restauracji, na dekolcie Lili lśniło światło świec i perły. Ona z uśmiechem:

— Co byś powiedział, gdybyśmy naprawdę mieli dziecko? — Restauracja nie była, oczywiście, miejscem właściwym, żeby w to uwierzyć; kelner, choć zachowując należyty dystans, nalegał jednak milcząco na zamówienie. Nastąpiło milczące chrupanie bułeczek. Podejrzanie, że Lila zamierza wydać dziecko na świat, nie mówiąc o tym Gantenbeinowi, było oczywiście nonsensem; w piątym miesiącu nawet ślepy by to zauważył. Restauracja po prostu nie była odpowiednim miejscem do rozmowy o tym. Już jego sugestia, że powinna pójść do lekarza, została przyjęta jako niestosowna i mimo blasku świec powstał nie najlepszy nastrój.

Odtąd milczał i Gantenbein.

Kiedyś dawniej, Lila powiedziała w kręgu przyjaciół: gdyby chciała mieć dziecko, byłoby jej obojętne, kto byłby jego ojcem! Była to jej replika dana jakiemuś mistykowi krwi, zrozumiała i w danej chwili słuszna; człowiek mówi różne rzeczy, które w danej chwili są słuszne — Gantenbein nie chciał już o tym myśleć... Lila zakomunikowała mu to w chwili, kiedy naprawdę o tym nie myślał, trzy minuty przed zjawieniem się gości:

— Będziemy mieli dziecko.

Gantenbein, zaskoczony, milczał.

— Byłam u lekarza.

Dzwonek, jak na dany znak. Goście! I stał się cud: owa myśl związana z kalendarzem, której Gantenbein się wstydził, istotnie nie powróciła, Gantenbein cieszył się na ślepo, witał gości z wylewnością, którą niewątpliwie brali do siebie; niektórzy nie znali jeszcze pana Gantenbeina, widział ich zakłopotanie wobec ślepcy, którego im przedstawiano... Wtedy to Lila po raz pierwszy opowiedziała ową wyborną anegdotę, jak to Gantenbein wchodzi z różami do jej garderoby... Następnego rana, obudzwszy się jakby z toporem w czaszce, Gantenbein już sobie nie przypominał wieczoru, pamiętał natomiast wiadomość o dziecku, na szczęście Lila miała wtedy próbę i właśnie musiała wyjść; inaczej byłby może zapytał, czy w lutym spała z tamtym. Co wtedy? Może odpowiedziałyby: tak. Bez wahania, z prostotą: tak. Albo z ociąganiem się, po dłuższej chwili milczenia, aż dotarłaby do niego śmieszność jego pytania, zapalając papierosa, powiedziałyby: dlaczego o to pytasz? I wtedy mogłoby to być dziecko Gantenbeina; kwestia tylko, czy po tym pytaniu Lila chciałaby go jeszcze jako ojca swego dziecka; może nigdy by już nie powiedziała: nasze dziecko. Pozostałoby jej dzieckiem... A więc Gantenbein leżał jakby z toporem w czaszce, a ponieważ był w domu sam, pytanie nie zostało zadane... A może powiedziałyby: nie. Nie byłoby to czymś lepszym dla przyszłości, stanowiłoby ulgę jedynie chwilową, ale ta ulga byłaby jej wstrętną, po takim rozczarowaniu nie chciałaby całować ojca swego dziecka, może w związku z tym nie przyszłoby ono na

świat... A więc szczęście... Pozostaje tylko jedno: Gantenbein zakłada raz na zawsze, że to dziecko, jej dziecko, nie jest jego dzieckiem, ale nigdy nie daje po sobie poznać, że to zakłada, w nadziei że to jego dziecko.

Wyobrażam sobie:

Jej zrozumiała w swoim czasie replika dana „mistrykowi krwi”; Lila zaprzeczyłaby teraz, że to kiedykolwiek powiedziała.

Wyobrażam sobie:

Sześćioletnia Beatrycze w kąpielu, Gantenbein w roli tatusia namydla jej ciało, jej niewinną skórę, przede wszystkim skórę, loki w pianie mydlanej, tatuś nie może przecież widzieć, gdzie Beatrycze w tej chwili schowała stopę, ale w końcu łapie czule na łaskotki paluszki, by namydlć je również, Gantenbein bez marynarki, musi jeszcze zawinąć rękawy koszuli, oczywiście to nie Beatrycze tak bryzga, lecz Kryzimizi, który się pluska w wannie; Kryzimizi jest istotą, która łaskocze tatusia i chowa mydło, niewidzialna dla tatusia; Kryzimizi to mąż czarownicy i tylko kiedy Beatrycze z .nim mówi, słucha, nie pryska, wtedy Gantenbein może namydlć dziecięce plecki i dziecięcą pupkę Beatrycze, nawet uszy i pachy, Beatrycze nie może tylko zdradzić ślepcowi, jak Kryzimizi wygląda. Potem chciałaby jednak koniecznie, żeby tatuś zobaczył okropną szramę, i Gantenbein widzi też malusieńką szramę na kolanie, nie namydla jej, zapudruje i obandażuje z całym nabożeństwem, tylko Kryzimizi nie potrafi dojrzeć, nawet kiedy z powodu pary zdejmuje okulary, i dlatego

Kryzirnizi nie odczuwa strachu, kiedy Gantenbein mu wymyśla lub choćby tylko go ostrzega, chlapanie i pluskanie w wannie trwa bez końca, wreszcie Gantenbein wypuszcza wodę z wanny, aby puścić prysznic na jej loczki w mydlinach, jej lśniące od mydła, wilgotne ramiona i udka, całe jej ciało, nie, nie będziesz marynarzem, o nie, będziesz na pewno dziewczynką. Beatrycze, zupełnie na pewno, nie pomoże noszenie spodenek i trzymanie rączek w kieszeniach, z łokciami wykręconymi do przodu, ani sztuki na brzegu wanny, teraz skok na dywan, szkoda, że tatuś nie mógł tego zobaczyć; i kiedy mała, zawinięta w białe prześcieradło kąpielowe, chwilę stoi spokojnie, aby w całej pełni rozkoszować się wycieraniem jego mocnymi rękami, zapytuje nagle: — Czy to prawda, tatusiu, że ty w ogóle nic nie widzisz? — Wkrótce potem, aby to wypróbować, jej okrzyk: — Umiem latać! — Ślepy tatuś nie może wyrazić wątpliwości, musi w to wierzyć, cofnąć ręce, aby Beatrycze mogła powiedzieć: — Nie widzisz, jak latam? — Potem myśli przez moment, że może Beatrycze naprawdę nie jest jego dzieckiem, a kiedy ją wyprostowanymi rękami podnosi w górę, jej radosny okrzyk: — Widzisz! Nie widzisz mnie? — Jej radosne okrzyki —

Wyobrażam sobie:

Dziesięcioletnia Beatrycze wyrwała się razem z rowerem, wstrząs mózgu, noc pełna przerażenia, że mogłaby umrzeć, wspólne przerażenie matki i ojca, to przerażenie w szeroko otwartych oczach, które płaczą —

Wyobrażam sobie:

Zmuszony rolę ślepcą do stopniowej rezygnacji z wychowywania dziecka, Gantenbein jest, nie najgorszym ojcem... Kiedy Beatrycze po prostu nie robi nic, na co właśnie nie ma ochoty, w nadziei, że przecież Gantenbein i tak tego nie może zobaczyć, na przykład czy jej sukienki wiszą na ramiączkach, czy też ciągle jeszcze leżą porozrzucane, kiedy później Gantenbein, mniej troszcząc się o sukienki niż o dziecko, które jego zdaniem gdzieś, kiedyś musi nauczyć się robić to, do czego właśnie nie ma ochoty, pyta wieczorem, czy to zostało zrobione, widząc niestety, że nie' zostało zrobione, no, co wtedy? Kiedy później Lila, jako matka, również udaje ślepią i milczy, aby w każdym razie stanąć po stronie dziecka i nie dopuścić do skarcenia — trzeba lat, aby Gantenbein zrozumiał, że nie można wychować dziecka, jeżeli matka tego nie chce, i aby podtrzymywał swą rolę ślepcy także wobec dziecka, pozwalając okłamywać się w drobiazgach, aby pozostać kochanym tatusiem, który zrezygnował z wszelkich prób wychowania, gotów pomóc Beatrycze, kiedy zacznie ją karać samo życie.

To przychodzi.

To przychodzi i idzie w zapomnienie za każdym, razem, kiedy pomoc się udaje, tak, ale ojciec to nie czarodziej; lekki niedowład powiek z powodu nieposłuszeństwa podczas odry pozostaje nieuleczalny; wypadek zaniedbania kary, lekki wypadek winy, jeden z wielu, ale wina umacnia ojcowską

milość Gantenbeina, który już nie wyobraża sobie życia bez dziecka.

Beatrycze nie jest anegdotą.

Czas dziecińczych rysunków przeminął, miłość ojcowska nie da się dowieść braniem na barana, patataj, patataj. Już od dawna. Beatrycze wojuje z łaciną, accusativus cum infinitivo, miłość staje przed zadaniami, które i Gantenbeinowi sprawiają kłopoty. Czego to teraz żądają od naszych dzieci i ich ojców! Aby udawać, że umie na ślepo to, czego sam się kiedyś nauczył, musi, podczas gdy Beatrycze siedzi w szkole i nie uważa, sam raz jeszcze potajemnie chodzić do szkoły. A algebra! Człowiek dojrzały wyobraża sobie, że umie wyciągać pierwiastki, tymczasem okazuje się, że musi się tego uczyć od nowa, człowiek o szpakowatych skroniach ślęczy nad równaniami o jednej, dwóch, ■ trzech niewiadomych itd.

Wyobrażam sobie:

Pewnego dnia, wyjątkowo pięknego i bardzo błękitnego dnia wracamy z wycieczki, Lila denerwuje się za kierownicą, kolumna samochodów, Lila miała być o siódmej na lotnisku, żeby kogoś powitać, kogoś, Gantenbein nie pyta, kogo, kto przybywa sam i mógłby doznać zawodu, gdyby go nikt nie powitał na lotnisku, zwłaszcza że przybywa do Lili w interesie, prawdopodobnie to sprawa filmowa^ a więc jej sprawa, Gantenbein to rozumie, Gantenbein w okularach dla niewidomych, wskutek czego nie mógł widzieć odpieczętowanego telegramu (wczoraj), wie, kto wylądował o siódmej dwadzieścia, więc nie pyta, a teraz jest już szósta, ale

zator pozostaje zaturem, Lila zrozpaczona, czas, zawsze ten czas, nie ma już czasu, aby odwieźć Gantenbeina i dziecko, a potem popędzić na lotnisko, to niemożliwe, biedna Lila przy kierownicy, ktoś będzie bardzo rozczarowany, bo przecież Lila go zaprosiła, istna katastrofa, Gantenbein proponuje chytrze skrócenie drogi, a więc nie do domu, lecz prosto na lotnisko, Lila oniemiała, nie, to niemożliwe, dlaczego niemożliwe, znaczyłoby to, że Lila nie czeka na lotnisku sama, lecz z mężem, i dzieckiem, family-style, ten ktoś musiałby być zawiedziony i jeżeli Gantenbein tego nie rozumie, nie, Gantenbein rozumie, Gantenbein upiera się przy skróceniu drogi, trzymając z jowialną miną fajkę w ustach, Lila hamuje na skrzyżowaniu: — To niemożliwe — mówi — to nie wypada — jakby wątpiła o jego ślepcie, a Gantenbein bierze dziecko i wysiada z nim na środku jezdni, z tyłu wyją klaksy —

Co się tyczy Siebenhagena:

Kto to wie, czy śpi również z Lilą albo spał kiedyś, kiedy miał jeszcze wąsiki, o tym może wiedzą przyjaciele, którzy jednak nie robią plotek, może kiedyś spał z nią każdy z nich z wyjątkiem Burriego, kto wie. A jeżeli nawet! Gantenbein wzrusza ramionami. Pytanie, gdzie sypia' jego Lila, a gdzie nie, obrzydło mu już. A jeżeli nawet! Przy całym szacunku dla jej tajemnicy, wszystko jedno, czy pan Siebhenagen także, czy nie. Może być, ale nie musi. I kto wie, jak jest naprawdę, w każdym razie nie Gantenbein, może przyjaciele, ale może wszyscy się mylą.

Czymś pewnym jest dziecko.

BEATRYCZE.

Kiedyś później (ale może do tego już nie dojdzie) siedzą w kawiarni, ojciec i córka, obecnie już panienska, mająca kłopot; to, nad czym trzeba się naradzić, nie jest kłopotem zbyt wielkim: niepowodzenie w szkole. Miała pecha, trzeba pomyśleć, jakie są jeszcze szkoły, a- więc pech i ciastka, Gantenbein pali nie bez dumy, że istnieje na świecie dzięki temu kwitnącemu stworzeniu, które się tak niedobrze spisalo w szkole, potrzebuje jego pomocy i zajada ciastka. Kto choćby raz w życiu nie miał niepowodzenia? Gantenbein w czarnych okularach — widzi na stole swoją starą rękę, jakby w powiększeniu, a równocześnie słyszy siebie przemawiającego jako ojciec, który chciałby być również zrozumiany, który prosi o koleżeństwo, gdy tymczasem Beatrycze, o której sądzi, że musi podnieść ją na duchu opowiadaniem o własnych klęskach, zadowala się bitą śmietaną, a wspomnienia ojca tylko ją nudzą. To dziecko ma siedemnaście lat, jej inteligencja jest w rozkwicie, brak jej zaś doświadczeń, milczy więc, pochłaniając ciastka; tylko odruchowe drganie kącików ust, czasem błysk w oczach zdradzają jej niecierpliwość, kiedy słyszy same banały, na przykład, że kobieta powinna mieć jakiś zawód, aby być niezależną, same rzeczy, o których wszyscy wiedzą. Po co te rozwlekłe przykłady! Klęski, innych nie interesują jej; Beatrycze nie potrzebuje pociechy, tylko jego podpisu i pieniędzy na lepszą szkołę. Roszczenia jej są proste i uczciwe, nie domaga się koleżeństwa,

ojciec niepotrzebnie, aby się wkraść w jej łaski, opowiada o własnym życiu, o własnych poważnych wadach; dziecko widzi je i tak, uśmiecha się, spogląda w stronę parku. Nic tu nie można wskórać, Gantenbein widzi to, nie ma rady na inteligencję bez doświadczenia. Czego on właściwie chce? Jego podpis i ciastka wystarczą. Jak dziecko, nawet najmilsze, miałoby wpaść na pomysł, że ojciec ma także swoje troski? To przecież jego sprawa. Jak wszyscy, którzy są jeszcze na chodzie, należy do przeszłości, a teraźniejszością nie jest ojciec z córką, lecz córka. Jeszcze tego brakowało: ojciec, który nie pomaga! Po złożeniu swego podpisu stanowczo za dużo gada. Beatrycze ma rację, Gantenbein widzi to przez dym fajki czy cygara, widzi jej lekki, chłodny uśmiech, jej rumienienie się z powodu ojca, któremu pozostało tylko koleżeństwo — Gantenbein wola wreszcie kelnera i płaci; w parku naprzeciw czeka jej przyjaciel, który ją bierze pod rękę...

Ach, moje dziecko.

Na pewno pójdzie swoją drogą...

Nasze dziecko!

Raz późno wieczorem (o czym właściwie była mowa, że ta zbędna wiadomość musiała okazać się nieodzowna?) Burri oświadczą, że mu ktoś opowiadał, że podobno Siebenhagen mówił, że Lila powiedziała, że kobieta wie zawsze, kto jest naprawdę ojcem jej dziecka, na przykład ona wie to na pewno, Lila wedle relacji Siebenhagena, wedle relacji kogoś, komu to powiedział Siebenhagen ■—

Plotki!

Przez chwilę, tak sobie mogę wyobrazić, Gantenbein odczuwa to jako koniec; wprawdzie zawsze uważał, że tak jest, nie oczekiwał jednak, że Lila odsłoni osobie trzeciej (Siebenhagenowi) tajemnicę Beatrycze, której strzegła przed nim i której on strzegł. Ale nie mówi ani słowa.

Nie znajduje odpowiedniego.

(Zdrada?)

Twarz jej wygląda jak zawsze...

Spójrzcie na jej twarz!

Ta twarz nie wie ó niczym...

Plotki!

A może Burri jest także plotkarzem?

Co dalej?

Gantenbein na lotnisku: — można by sądzić, że zdarza się to co dzień albo przynajmniej raz na tydzień, Gantenbein na lotnisku, zawsze w tej samej hali, oparty na czarnej laseczce, w okularach ślepego, przyszedł po Lilę; a przecież nie zdarza się to nawet co tydzień, Gantenbein wie, że mu się tylko wydaje, jakby, tak jak teraz, stał przez całe życie, całe życie na lotnisku, w tej samej hali, dokładnie na tym samym miejscu, aby powitać Lilę... jak dziś, jak zawsze: Gantenbein przy kiosku, aż nadchodzi, czas na okulary, potem idzie na taras, aby przyglądać się lądowaniu różnych innych samolotów, potem: spóźnienie z powodu mgły w Hamburgu, Gantenbein słyszy meldunek, jeszcze zanim' głośniki zaczną trzeszczeć, skrzeczeć i wreszcie go głośno obwieszczą, a potem, kiedy trójjęzyczny meldunek rozplynie się we własnym pogłosie i jego

echu, Gantenbein nagle nie wie: czy meldunek o mgle nadany został dziś, czy było to ostatnim razem? I musi zapytać w informacji, czy naprawdę słyszał ogłuszające głośnieki, czy" też tylko nośniki z jego wspomnienia, co zresztą, jeśli chodzi o czekanie, nie ma znaczenia... Psu, Klapsowi, łatwiej czekać; nie czeka, jest psem o nastawionych uszach, węszy dokoła, jest terażniejszością od pyska do ogona, pies bez czasu, niemniej pies, staje przed charcicą, dużo za dużą dla niego, ale kiedy pan bierze go przepisowo na smycz, zapomina o charci cy i nie nudząc się ani przez chwilę, rozciąga się na ziemi.

Takiemu psu dobrze.

Znudzony swoimi myślami, które zna jak tykanie wskazówek zegara, Gantenbein spaceruje tam i z powrotem, tam i z powrotem, rad z wzoru na posadzce, który rozczłonkowuje czas, z uwagą skupioną nie na Liii, lecz na tym, czy za każdym razem natrafi czarną laseczką dokładnie na rowek w okładzinie posadzki; wędruje możliwie wolno, bo im prędzej to czyni, tym wolniej schodzi czas, a wedle uzyskanej informacji potrwa jeszcze co najmniej czterdzieści minut, zanim zobaczy Lilę z jej torbami i magazynami ilustrowanymi, jak zawsze i przez całe życie. Czym jest czas? Wzorem na okładzinie posadzki, myślą: im szybciej Gantenbein się porusza, tym wolniej leci samolot, i nagle ogarnia go strach, wiadomo bowiem, że samoloty potrzebują pewnej rrunimalnej szybkości, aby nie spaść z chmur; Lilę unosi w powietrzu jego ciepłowość, siła człowieka, który powoli czeka, powoli

wędruje, powoli, krok za krokiem, powoli tam i z powrotem, jak wskazówki zegara, powoli czeka całe życie.

(Czy muszę wynaleźć jeszcze i Siebenhagena?)

Lila wylądowała i, patrzcie tylko, Lila idzie sama, dźwiga płaszcz, ręczną torbę i magazyny* sama jak palec.

Co się stało?

Żaden mężczyzna nie pomaga jej przy odprawie celnej —

Po co teraz jeszcze to małżeństwo z niewidomyym?

Żaden mężczyzna nie przechodzi obok ślepego Gantenbeina bez ukłonu — to znaczy wszyscy mijają Gantenbeina bez ukłonu, ale nie ma pośród nich takiego, który by wykorzystywał ślepotę małżonka... Niewiele brakuje, a Gantenbein zacznie machać ręką. Kiedy Lila mija barierę, jak zawsze następuje pocałunek. Potem, jak zawsze, ramię w ramię. Tylko Gantenbein jest inny, milczący, podczas gdy Lila udaje, że jest taka jak zawsze. Zbija go z tropu to, że nie widzi zmiany w jej twarzy. Gantenbein bierze od niej ciężki płaszcz i torby. Jak zawsze. Ale bez słowa. Nie można wyczytać z jej twarzy, że nie kłamie, że nic nie zataja. Twarz ma otwartą i szczerą jak zawsze. W samochodzie, kiedy on jeszcze ciągle milczy, Lila zapytuje z troską w głosie, co mu się stało. I ze swej strony opowiada to, i tak jak zawsze; tylko że teraz jest to szczerą prawdą. Nie wierzy jej? Jak zawsze, niesie jej bagaż. A kiedy siedzą naprzeciw siebie: jej radość; jak zawsze, jej radość,

że znowu jest w domu. Czy Gantenbein się nie cieszy? Jest zdumiony. Latami udawał, że wierzy w jej radość z powodu powrotu do domu, i teraz dopiero widzi, jak skończenie doskonała była jej gra, dokładnie taka sama jak obecna rzeczywistość. Może to właśnie sprawia, że oniemiał. Jak zawsze, Lila siada mu na kolanach. Po raz pierwszy Gantenbein nie gładzi jej po włosach, choć włosy są te same co zawsze; Gantenbein wstaje pod pretekstem, że ma' pragnienie. Jest niemożliwy. Jak można mieć teraz pragnienie, a zresztą, gdyby je nawet miał! Stojąc piję wodę.

Lila go nie oszukuje.

Na to Gantenbein nie ma roli.

— Lilu — mówi —

— Co się stało? — pyta Lila.

A kiedy Gantenbein zdejmuje okulary — nie czyni tego gwałtownie, jak nieraz, i wcale nie po to, żeby przetrzeć oczy dłońmi i z powrotem włożyć okulary, lecz robi to inaczej niż kiedykolwiek; po raz ostatni. Uśmiecha się albo mu się tak zdaje, a po prostu nie ma już twarzy.

, — Co się stało? — pyta Lila.

— Lilu —

— Powiedz wreszcie, proszę cię, nie wiem, co się stało, naprawdę nie wiem.

Wyobrażam sobie:

Kiedy nagle nadchodzi scena, którą Gantenbein w najrozmaitszy sposób wyobrażał sobie tysiące razy, rzeczywistość zaskakuje go z początku całkowitą pustką. Więc na razie tylko potrząsa głową. Ale Lila chce oczywiście wiedzieć, co on przemilcza.

I kiedy Gantenbein, choć się nie śpieszy do tego, wypowiada powoli to, co od lat przemilczał, jest to właściwie nic. Musi się naprawdę zastanowić; nie odrzuca okularów, które stają się odtąd zbędne, nie chowa ich również do kieszeni, lecz trzyma je i patrzy na nie jak na jakąś pozostałość, na pamiątkę, i kiedy sobie przypomina to i owo, co go kiedyś poruszyło, są to właściwie bagatelki, niewarte tego, aby o nich mówić... No tak — uważa, że to, co w tej chwili wypowiada obojętnie i nieco rozweselony, jest właściwie wyznaniem miłosnym: że istotnie widział i istotnie mimo to nie wie wszystkiego, co od wielu lat się rozgrywało, wie jednak dość dużo, ale nie dokładnie i nie chce też już wiedzieć dokładnie, i że on także grał...
Koniec:

(nieproporcjonalnie krótki)

— Odejdź! — mówi ona, bierze papierosa, zapalki, podczas kiedy ja pytam, co się u Boga Ojca stało. — Przez te wszystkie lata! — mówi ona i pali. Go ja takiego powiedziałem? Przedtem szło. Chwała, teraz, zaciągając się papierosem, mówi tylko: — Odejdź! — Jak to, oszukiwałem ją? Jest takie powiedzenie, że komuś włosy stają dęba. Ale to naprawdę bywa, widzę, jak jej włosy stanęły dęba. Czy Lila naprawdę wierzyła, że jestem ślepy? A więc to koniec. Właściwie, dlaczego? Na próżno błagani ją o przebaczenie, że to i owo widziałem. — Przez te wszystkie lata! — mówi — nigdy mnie nie kochałeś, nigdy, teraz wiem, teraz chcę, żebyś odszedł, odszedł! — Nie wyjmując papierosa z ust krzyczy: — Żebyś odszedł!

▪

Przebudzenie (jak /gdyby wszystko to się nie zdarzyło!) okazuje się uludą; zdarzyło się coś, ale co innego.

Pewnego dnia będę poddany przesłuchaniu.

— A więc — mówi ktoś, kogo to nie obchodzi, rozmawiamy w cztery oczy — co się właściwie stało z pańskim życiem, które dobiega końca?

Milczę.

— Mężczyzna kocha kobietę — mówi tamten — ta kobieta kocha innego mężczyznę — mówi — pierwszy mężczyzna kocha inną kobietę, która z kolei jest kochana przez innego mężczyznę — powiada i kończy wnioskiem: — historia najzupełniej powszednia, która rozłazi się na wszystkie strony —

Kiwam głową.

— Dlaczego nie powie pan krótko i wężlowato — zapytuje tamten, doprowadzony do kresu cierpliwości — którym z tych dwóch mężczyzn jest pan?

Wzruszam ramionami.

— Śledztwo wykazało — mówi tamten z odcieniem groźby — że na przykład osoby nazywającej się Camilla Huber nie ma i nigdy nie było, podobnie jak osobnika nazwiskiem Gantenbein —

— Wiem.

— Opowiada pan same zmyślane historie.

— Przeżywam same zmyślane historie.

— Pięknie. Ale co się naprawdę wydarzyło w owym czasie i w owych miejscach, w których pan przebywał?

Zamykam oczy.

— Dlaczego pan nie odpowiada?

Milczę.

— Zapomina pan, mój drogi, że są świadkowie. Po czym otwiera drzwi, słyszę to, a kiedy dobiega mnie stukot spiczastych obcasów, raz jeszcze otwieram oczy, żeby zobaczyć, jaka gra się tu toczy —

Widzę: i

Resztki burgunda w butelce, znam to, wysepki pleśni na czerwonym winie, a także twarde jak kamień resztki chleba, w lodówce kurczy się zeschnięta szynka, w misce pływają mętne pozostałości kompotu, mul morelowy, prowiant na drogę dla mumii, wiem, siedzę w płaszczu i czapce, pachnie kamforą, kurzem, pastą do podłogi, dywany zwinięte, siedzę na poręczy fotela, bawię się korkociągiem, nie wiem, co się stało, na wszystkich meblach białe pokrowce, znam to, okiennice zamknięte, wszystkie drzwi otwarte, nie potrzebuję się podnosić, znam to —

Jestem ślepy. Wiem o tym nie zawsze, ale czasami. Potem znów wątpię o tym, czy historie, które mogą sobie wyobrazić, nie są jednak moim życiem. Nie wierzę w to. Nie mogę uwierzyć, że to, co widzę, jest biegiem świata.

Historia dla Camilli:

(po bytności policjanta)

— Porządek musi być — mówię. — Przed laty

mieli wypadek, który ich bardzo zdenerwował. Tu, w mieście. Człowieka, który nie chciał pozostawić po sobie nazwiska, nie mówiąc już o jakiejś historii. Wiedziano tylko, że musiał żyć, ostatecznie dowodziły tego jego zwłoki, które pewnego ranka znaleźli w Limmacie — pewnego bardzo pięknego ranka, pamiętam, właśnie przeszedłem przez most Helmhaus, by nakarmić labędzie. Rosła tam wtedy duża wierzba, może dotychczas jeszcze rośnie, płacząca wierzba w ogrodzeniu dla kaczek i labędzi, długie gałęzie zanurzały się w zielonym Limmacie, liście w ociekających wodą girlandach, idylla z kaczuszkami, kolorowa, jak wycięta z glansowanego papieru, do tego białe dostojęństwo labędzi, nad tym katedra, Karol Wielki z mewami na koronie, dzwony na jedenastą... a więc tam się właśnie zapłatał. Nie znaleziono by go jeszcze długo, może nigdy, gdyby beczki, na których unosi się krata ogrodzenia, z biegiem lat nie zardzewiały. Myślę, że to sprawa urzędu robót ziemnych lub zarządu ogrodów, w każdym razie zardzewiały beczki pod pomieszczeniem dla labędzi trzeba było wreszcie zastąpić nowymi. Kiedy robotnicy usunęli zbutwiały deski, aby dostać się do zamulonych beczek, ujrzeni zamulone zwłoki. Natychmiast przerwali pracę, zawiadomili policję, która wkrótce przypląnęła płaską zieloną łodzią w trakcie dzwonięcia na jedenastą, trwającego dziesięć minut — to dzwonięcie należy do moich najradośniejszych wspomnień; moim zdaniem brzmi najładniej, kiedy człowiek idzie wolno przez most Helmhaus; dźwięki dzwonów ze wszystkich wież mieszają się

wtedy nad wodą... Może właśnie dlatego zwłoki tam się zaplątały. Oczywiście nie ja jeden chciałem zobaczyć, co tam się stało. Obaj policjanci w zielonej łodzi z godłem miasta, jeden z wiosłem, drugi uzbrojony w długą żerdź, obaj w mundurach i hełmach, jakby mieli dokonać aresztowania, wyglądali na nieco zdenerwowanych' z powodu tylu widzów na moście i przez dłuższą chwilę w ogóle nic się nie działo. Dzwony na jedenastą. Wiedzący wszystko lepiej, ulokowani na górze przy balustradzie, uważali, że zwłoki można wyciągnąć jednym mocnym chwytym; było już bowiem wiadomo, że chodzi o trupa, i wydawało się, że opinia publiczna ma prawo dowiedzieć się, czyje to zwłoki. Ale trup tkwił między zardzewiałymi beczkami. Im mniej się działo, tym bardziej wzrastało napięcie, tymczasem dzwony milkły i musiało się wreszcie coś stać, oczywiście nie ze względu na zwłoki, dla których parę godzin więcej nie miało już znaczenia. Nie ulegało wątpliwości, że tylko tak można było postąpić: policjant, idąc za radą kolegi, który w pocie czoła walczył z prądem przy pomocy długiego wiosła, grzebał żerdzią między zardzewiałymi, zamulonymi beczkami, nie biorąc pod uwagę, że zwłoki, oswobodzone po latach, natychmiast popłyną w dół rzeki. Tak się też stało i widzowie na moście nic z tego nie mieli. Płynęło teraz coś, trup, powoli, ale jakby miał jeszcze własną wolę, i to nawet bardzo zdecydowaną: wolę ucieczki. Zanim policjanci mocnymi uderzeniami wiosła zdążyli odwrócić długą łódź i rozpocząć pościg, zwłoki wyprzedziły ich o kilka-

dziesiąt metrów. Twarzą ku dołowi, oczywiście nieruchome, bez pomocy rąk, jakby cały czas tylko na to czekały, płynęły z prądem rzeki, a za nimi sunęło czółno z godłem miejskim, kolysząc się niebezpiecznie pod wpływem mocnych uderzeń wiosła. Dla każdego tubylca było rzeczą jasną, że pościg będzie trwał tylko do mostu Urania, gdyż żadna łódź nie może przepłynąć pod nim. Niektórzy z widzów pobiegli wzdłuż Limmatu, a właściwie nie pobiegli, lecz poszli tak szybko, jak tylko mogli. Większość jednak, aby zachować godność miasta, dała temu spokój, poszła własną drogą, jakby nic się nie stało, dostojnie jak labędzie, które, złożwszy rozpostarte skrzydła, znowu spokojnie sobie pływały. Zwłoki nie dopłynęły jednak daleko. Już przy moście Jarzynowym, tym o licznych dźwi-garach, zaplątały się znowu, a prąd odwrócił je twarzą do góry. Były to zwłoki mężczyzny. Kilku sprzedawców kwiatów, którzy mają tam kramy, ujrzało zbutwiałą twarz; policja, której posterunek właśnie tam się znajduje, zjawiała się natychmiast w wystarczającej sile, aby ruch pieszych skierować okrężną drogą, i przynajmniej na moście opanowała sytuację, rzecz jasna nie bez wywołania sensacji; ludzie tutaj nie wiedzieli, co się stało, na pytania nie otrzymywali odpowiedzi, wyglądało na to, że chodzi o kramy z kwiatami. Ale po kramach nic nie można było poznać. Wyglądało na to, że nagle w Zurychu nie wolno kupować kwiatów. I znowu nic się dłuższy czas nie działo. Inspektor policji, kierujący dalszą akcją, zjawił się wprawdzie po chwili, ale wykonanie zarządzeń, jakie wydał po

naocznych oględzinach, wymagało czasu. Ubrany po cywilnemu, ćmił niedopalek cygara i czekał. Stan zwłok był taki, że gdyby je zaczęto ciągnąć, rozpadłyby się. Nadeszło tymczasem południe, szczytowa godzina mchu, tylko zwłokom się nie śpieszyło; z twarzą zwróconą w górę, głuche na zgiełk ruchu ulicznego, pozwalały Limmatowi przepływać bulgoczącymi wirami koło oblepiających je płatów szlamu, wyglądało na to, że całkowicie zrezygnowały z ucieczki. Ale inspektor policji, człowiek przezorny, mimo to kazał ich pilnować, raczej żując niż ćmiąc resztki swego cygara; łódź była teraz przywiązana do żelaznego dźwigara, również otoczona wirami prądu, odległa o długość żerdzi od wplątanych w dźwigary zwłok, a policjant spoglądał na nie służbowym wzrokiem. Było ciepło południe sierpniowe. Trup miał na sobie zimowy płaszcz, rękawiczki, ale był bez czapki. W pewnej chwili policjant zdjął hełm, otarł pot z czoła i, pozostając w stanie pełnej gotowości, włożył go z powrotem. Miało się wrażenie, że zwłoki najchętniej po prostu by utonęły, ale udało się to jedynie głowie. Nareszcie zajechał czarny karawan z trumną. Mimo kordonu ciekawi mieli teraz na co patrzeć: na trumnę ze świeżego drzewa jodłowego. Kiedy trzeba było na trumnę założyć sznury, zabrał się do tego własnoręcznie inspektor policji. Plan jego stał się teraz jasny: podwodne złożenie do trumny. Zwłoki musiały być dobrze zbutwiałe, zamulone, zadanie obu policjantów w hełmach o bączkach z herbem miasta, którzy mieli, można powiedzieć, wylowić je razem z trum-

ną, nie było do pozazdroszczenia. Po opuszczeniu trumny na czterech sznurach pracowali też długo, a ciekawi, powstrzymywani przez policję, widzieli tylko inspektora, dającego sponad balustrady wskazówki, jak gdyby nigdy nic, rzeczowo, z początku bez denerwowania się, potem z potrząsaniem głową; trup jakoś nie stosował się do jego wskazówek. Kiedy ciekawi, niektórzy już rozdrażnieni, ponieważ niema policja w dalszym ciągu nie odpowiadała na pytania, usłyszeli wreszcie krótki krzyk, , nikt nie wiedział, co się stało! niektórzy mieli ochotę rozeźmiać się. Inspektor potrząsnął głową, nic mówiąc ani słowa, a wkrótce potem ujrano płynący po zielonym Limmacie helm, za nim trumnę ze zwłokami, za nią łódź, popychaną przez stojącego w niej dzielnego wiosłarza; drugi, który wpadł do wody, płynął w mundurze i w wysokich butach w stronę szuwarów, nie interesując się już całym > przedsięwzięciem. Łódź również nie mogła już niczego dokonać; eskorta, jaką dawała wolno płynącej trumnie, jak należało oczekiwać, skończyła się przy moście Urania. Potem trumna popłynęła sama, to nogami, to głową naprzód, jakby musiała wypróbować, która pozycja będzie wygodniejsza do długiej podróży. Prąd znosił ją na prawo, tak że wkrótce kilkakrotnie obila się o mur nadbrzeżny, co groziło wywróceniem się, było to w pobliżu mostu kolejowego, gdzie ją nie od razu zauważono. Nie każdy, nie widząc policji, spogląda przez balustradę w dół. Podczas gdy na moście Jarzynowym kordon, choć zbyteczny, utrzymywano w dalszym ciągu, tu policji w ogóle nie było, a trup miał

chwile wypoczynku, ponieważ mur nadbrzeżny jest tam dosyć wysoki; widać było, jak się kołysze w trumnie, ale nie można było nic poradzić. Po kilkakrotnym obiciu się o mur trumna przechyliła się na bok, teraz zwisiała z niej ręka. Również policjant regulujący ruch, którego zawołano z jego podwyższenia, nie mógł nic poradzić^ zdjął białe rękawiczki, wyraźnie sam bardzo ciekaw, co zrobi później, i na tym się skończyło. Wielu ludzi odwróciło się. Zdaje się, że przeraziła ich przede wszystkim ręka, ponieważ poruszała się w wodzie, choć nieznacznie tylko i od czasu do czasu, ale jednak. Tylko policjant, ściskający białe rękawiczki, nie odwrócił się, jakby winien był to swemu mundurowi. Jego decyzja, aby zadzwonić do komendy i złożyć meldunek, była jedynym rozsądnym posunięciem; jak się zdawało, trup również na to czekał. Ledwie jednak policjant poszedł, aby zadzwonić z budki telefonicznej, wystarczył jeden wir, aby trumna ruszyła w dalszą drogę. Nie wywróciła się. Sunąc łagodnym łukiem, natrafiła na otwór w moście kolejowym i znalazła się bez przeszkód po drugiej stronie mostu głową naprzód; płynęła teraz wyłącznie głową naprzód, przestała się obracać, poruszała się zdecydowanie, wydawało się, że mijając gmachy urzędowe przyspieszyła, jak gdyby dziś jeszcze chciała dotrzeć do morza. Nie wiem, czy w gmachach urzędowych ktoś właśnie wyglądał przez okno. Trumna otarła się wprawdzie o filar nowego mostu Walche, ale nie na długo zatrzymała się przy nim; dokonała tylko obrotu, nie wywracając się, i płynęła teraz

wzdłuż tonącego w bujnej zieleni parku Szwajcarskiego Muzeum Krajowego, teraz znowu nogami naprzód, kołysząc się, ale niepowstrzymanie, i miało się wrażenie, że Zurych naprawdę nie potrafi jej powstrzymać, Zurych, który wrócił do porządku dziennego: białe majestatyczne labędzie pod wierzbą płaczącą, wysoko w górze mewy na koronie Karola Wielkiego, zamiast dzwonów na jedenastą rozbrzmiewał teraz sygnał czasu rozgłośni Beromunster, most Jarzynowy nie był już otoczony kordonem, łódź została przymocowana do boi, policjant w białych rękawiczkach znowu regulował ruch ze swego podwyższenia... Później dopiero pewna kobieta z wózkiem dzieciennym zgłosiła się do policji, zmuszona przez męża, który uważał, że to trzeba zameldować: znaleźli trumnę koło gruntu tak zwanego „Drucianego Schmiedli”, gdzie jest tama, która musiała zwłoki zaskoczyć: otwarta trumna sterczała niemal prostopadle z bulgocącej wody, trup rozpierał się w niej... Camilla ma wyraz twarzy świadczący o odrazie.

— Tak — mówię — tak było.

— Obrzydliwe!

— A przy tym omal mu się to nie udało — mówię, spoglądając na paznokcie, które znowu zostały doprowadzone do porządku. — Omal.

— Co?

— Odplynąć bez historii.

Wszystko jakby się nie zdarzyło... Wrześniowy dzień; kiedy z ciemnych i wcale nie chłodnych

grobowych wychodzimy na światło, mrużymy oczy,
tak jaskrawy jest dzień; widzę czerwone skiby
ziemi nad grobami, w oddali ciemne morze jesieni,
południe, wszystko jest terazniejszością, wiatr

J , buszuje w zakurzonych ostach, słyszę dźwięki
fletu, ale nie są to etruskie flety w grobach, lecz
gwizd wiatru w drutach, w cętkowanym cieniu
oliwki stoi mój wóz, szary od pyłu, rozpalony
mimo wiatru, straszliwy żar, ale jest już znowu
wrzesień; terazniejszość, siedzimy przy stole w cie-
niu i jemy chleb, zanim usmaży się ryba, obejmuję

I ręką butelkę, aby sprawdzić, czy wino (verdicchio)
! jest dość chłodne, pragnienie, później głód, życie
podoba mi się...